

„Radujcie się, fani Króla Kruków i *Stranger Things*.
To będzie wasza kolejna obsesja”. CLAIRE LEGRAND

WIĘŹNIOWIE SZAROŚCI

Christine
Lynn
Herman

W głębi lasu
czai się Bestia.
Jaka moc może
ją powstrzymać?

Wciągnęła tyle powietrza, ile tylko zmieściło jej się w płucach, i krzyknęła. A przynajmniej spróbowała krzyknąć.

To, co wydobyło się z jej gardła, bardziej niż wrzask przerażenia przypominało cichy świst. Krzyk – wysoki i przeszywający – rozbrzmiał dopiero po kilku sekundach.

Zrobiła jedyną rzecz, jaka wciąż miała sens. Uciekła.

Pędziła, aż drzewa, ziemia i zastygłe niebo zlały się w jedno. Płuca bolały, stukot kroków spóźniał się o sekundę. Kiedy opadła z sił, zgięła się wpół i zwymiotowała.

Cokolwiek spodziewała się zobaczyć po podniesieniu głowy, z pewnością nie była to jej siostra, jak gdyby nigdy nic stojąca pod sąsiednim drzewem.

Violet otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Rosie miała na sobie ubranie, w którym zginęła: džinsy z dziurami na kolanach, pokrytą artystycznymi plamami farby koszulkę bez rękawów i karmazynową sportową kurtkę, gryzącą się okropnie z turkusowymi włosami. W tym dziwnym szarym świetle tylko ona zachowała kolory – w słabym poblasku stalowego nieba wyglądała jak istna feeria barw.

– Rosie? – szepnęła Violet, obezwładniona radością i oszołomieniem. – Gdzie ja jestem? Co to za miejsce?

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Część pierwsza. PIĄTKA KOŚCI

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Część druga. SPLĄTANY KORZEŃ

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Część Trzecia. SZKIELET

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Epilog

Podziękowania

Okładka

Christine Lynn Herman

WIĘŹNIOWIE SZAROŚCI

przełożyła
Iwona Michałowska-Gabrych

BUKOWY LAS

TYTUŁ ORYGINAŁU: *The Devouring Gray*

Copyright © 2019 by Christine Lynn Herman

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem do reprodukcji w całości lub we fragmencie w jakiegokolwiek formie.

Copyright © for the Polish edition and translation by Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2019

ISBN 978-83-8074-234-5

PROJEKT OKŁADKI: Paweł Cesarz

FOTOGRAFIE: Jannes Glas / Unsplash, Sergei Akulich / Unsplash, Jason Blackeye / Unsplash

REDAKCJA: Anna Rojkowska

KOREKTA: Bogusława Otfinowska

REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.

ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław

www.bukowylas.pl

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

Dressler Dublin Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

www.dressler.com.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

*Mojemu rodzeństwu:
Joannie – za to, że pomogła mi znaleźć głos Violet,
Louisowi – za namówienie mnie do wycięcia wszystkich scen, które mi
się nie podobały,
i Andrei – za to, że przeczytała moje wcześniejsze książki.
Dziękuję, że nauczyliście mnie, jak należy opowiadać historie.*



CZĘŚĆ PIERWSZA
PIĄTKA KOŚCI



Rozdział 1

Gdy znaleziono trzecie zwłoki w roku, Justin Hawthorne klęknął w ogródku, by poznać swoją przyszłość.

Jego siostra May rozłożyła talię omenów na trawie pomiędzy nimi. Wszechwiedzące oczy na grzbietach pięciu kart, białe jak oczy trupa, pustym wzrokiem patrzyły w koronę drzewa. Justin wzdrygnął się mimowolnie.

Nie widział ostatniego ciała, lecz szczątki wyrzucane przez Szarość zawsze wyglądały tak samo. Oczy wybielone na barwę mleka. Żebra wywrócone na lewą stronę, z kośćmi przebijającymi spod napuchniętej skóry niczym rogi.

– Nie muszę pytać kart. – Głos May z natury nie należał do łagodnych, ale się starała. Justin nie prosił jej o czytanie z kart, odkąd oblał Próbę. Wiedziała, ile go kosztowała dzisiejsza prośba.

To on powinien władać talią omenów. To jemu powinny przypaść w udziale rodzinne moce i ochrona miasteczka.

Nic z tego. Był uschniętą gałęzią na zdrowym drzewie.

Szarość w tym roku poczyniała sobie śmieiej. Już trzy ofiary wciągnęła w pułapkę swego świata, wydała na pastwę głodnej Bestii. A on naiwnie wierzył, że gdy tylko zyska moce, powstrzyma ją.

Tymczasem Justin nie miał mocy. Nie mógł powstrzymać Szarości przed zabijaniem.

Nie zamierzał beczynnie patrzeć, jak umierają ludzie. Z mocami czy bez nich, był Hawthorne'em i zawziął się, by znaleźć sposób na uratowanie Czterech Ścieżek.

Karty znały jego los.

– Zapytaj. – Ścisnął dłonie siostry.

May zamknęła oczy. Po chwili poczuł w głowie jej znajomą obecność – ostre, wyraziste macki wślizgujące się w jego myśli. Wiedział, że siostra raczej wyczuwa, niż widzi. Bada przeszłość i teraźniejszość, by na ich podstawie kreślić ścieżki przyszłości.

Po kilku sekundach May puściła go, westchnęła lekko i zamrugła powiekami.

– Już – powiedziała ochryple i odwróciła karty. Wszechwidzące oczy patrzyły teraz w ziemię zamiast w niebo. Justin ledwie zdążył omieść wzrokiem poszczególne karty, gdy jego siostra syknęła gniewnie.

– Co...? – Przebijające pomiędzy liści słońce zmieniło barwę medalionu na jej szyi z matowej czerwieni w płonący karmazyn, jak gdyby na bladym gardle dziewczyny otworzyła się rana.

W ciągu minionych lat May dziesiątki razy odczytywała bratu przyszłość – dla zabawy, dla wprawy. Nigdy dotąd nie widział jej tak wstrząśniętej.

Przeniósł wzrok na leżące między nimi karty.

Pośrodku oczywiście Ósemka Gałęzi. Karta Justina z wizerunkiem chłopca siedzącego na pieńku z wiązką patyków w rękach. Dopiero gdy był nieco starszy, zauważył, że nogi chłopca uwięzione są w splątanych gałęziach.

Chwilę trwało, nim zrozumiał przyczynę zdenerwowania May. Jej karta – Siódemka Gałęzi – zawsze znajdowała się po jego lewej stronie. Zawsze, ale nie dziś. Dziś wcale nie było jej w rozdaniu. Obok niego widniała nieznana mu karta z wyrazistym, ekspresyjnym rysunkiem otoczonej drzewami postaci stojącej w Szarości ze zwykłą ludzką prawą dłonią...

...i lewą odartą do kości.

Mimowolnie zanucił w duchu *Kołysankę założycieli*. „Gałęzie i kamienie, sztylety i...”

– Kości – mruknęła beznamiętnie May, dotykając wypielęgnowanym paznokciem karty z cieniutkiego drewna. Dłoń jej drżała. – Nie powinnam... musiałam się... – Umilkła. Nawet w panice nie była gotowa przyznać, że jej rozdanie mogło być błędne.

– Oboje wiemy, że nigdy się nie mylisz. – Justin nie mógł oderwać wzroku od karty. – Po prostu powiedz, co to znaczy.

– Dobrze. – May cofnęła rękę. – Znajdziesz sposób na uratowanie miasta, ale konkrety są rozmyte. Tu masz Splątany Korzeń, ciąg wyborów, które nie dadzą dobrego rezultatu. W połączeniu z Tarczą wygląda na to, że jak zwykle będziesz próbował mediacji. Prawdopodobnie winna jest Trójka Sztyletów, bo Isaac zawsze musi coś spieć...

– Nie udawaj, że tego tu nie ma! – Karta pomiędzy nimi zdawała się emitować własne światło. Ciało i kości połączone w jedno, splątane niczym warkocz życie i śmierć. – Mów prawdę.

Jednym wyćwiczonym ruchem nadgarstków May zebrała karty i wtasowała do reszty talii, zerkając przez ramię brata. Gdy znów się odezwała, jej niebieskie oczy wciąż wpatrywały się w drzewa za jego plecami.

– Chodzi o Saundersów. – Wstała. – Wracają. Zawiadomię mamę, a ty milcz jak grób. Nawet Isaacowi ani słowa.

– Chwila! – Nim Justin pozbierał się z ziemi, May chwyciła już za klamkę tylnych drzwi domu. Kiedy chciała, potrafiła być szybka. – Jaki to ma związek z ratowaniem Czterech Ścieżek?

Różowa przepaska na głowie May była przekrzywiona, co w przypadku jego siostry spełniało już definicję niechlujstwa. Ona jednak nie wydawała się tego świadoma.

– Sama niezupełnie to rozumiem. Wiem tylko, że kiedy się tu zjawią, będziesz miał szansę znacząco zmienić Cztery Ścieżki.

Tym razem pozwolił jej odejść.

Długo siedział w ogrodzie wpatrzony w głóg z powykęcanymi gałęziami oplatającymi graniaste daszki ich rodzinnego domu

niczym długie paluchy.

Pierwszy raz w jego życiu w Czterech Ścieżkach mieli przebywać liczący się przedstawiciele każdego z rodów założycielskich miasta.

Karty przepowiedziały, że Justin odegra jakąś rolę w nadciągających wydarzeniach. Nie będzie odstawiony na boczny tor.

Wierzył w to. Nie miał innego wyjścia.

Talia omenów, w odróżnieniu od posługujących się nią Hawthorne'ów, nie kłamała.

Dwa tygodnie później

Wystarczył jeden turkusowy włos, by Violet Saunders się rozsypała. Bezmyślnie bawiła się folderem z partyturami, gdy nagle jej wzrok wychwycił włókno wyrastające niczym kiełek spomiędzy fotela a uchwytu na kubek.

Dłonie dziewczyny zastygły na folderze, plamiąc granatowy plastik zimnym potem. Nie potrafiła myśleć o przemykającej za oknami porsche autostradzie ani o palcowaniu w *Wariacjach Abegg opus 1* Schumanna. Jej entuzjazm wobec utworu wyparował.

Jeden po drugim odklejała palce od grzbietu folderu. Jej lewa dłoń skradała się do włosa jak biała żyłkowata tarantula. Matka musiała coś zauważyć, bo wyłączyła słuchawki.

– Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakby coś się stało.

Violet gwałtownie odwróciła głowę i ściszyła ryczącego w słuchawkach Schumanna. Starła się nie dać po sobie poznać, jak zdumiało ją to, że po raz pierwszy od ponad godziny matka raczyła się do niej odezwać.

– Trochę mnie mdli od jazdy.

Juniper w zamyśleniu przekrzywiła głowę. Słuchawka na jej uchu zamrugwała, rzucając niebieską poświatę na blizny po licznych dziurkach na kolczyki. Tylko one pozostały z poprzedniej, dawno nieistniejącej wersji matki Violet.

– Daj znać, gdybyś chciała wymiotować. Zjadę na pobocze.

Od matczynej troski ścisnęła ją w żołądku. Juniper nic nie powiedziała, gdy Violet przestała brać lekcje fortepianu. Ledwie zauważyła, gdy rankiem w dniu, w którym mieszkanie mieli odwiedzić pierwsi kandydaci na kupców, jej córka pomalowała swój pokój na ciemną czerwień, albo gdy po pogrzebie niechlujnie ścięła włosy do wysokości obojczyków. Tymczasem teraz, w środku konferencji telefonicznej, jakimś cudem zauważyła, że z Violet coś się dzieje.

To było niezrozumiałe, ale czy jej matka kiedykolwiek zachowywała się zrozumiale?

– Nie jest tak źle. – Violet przesunęła paznokciem po skraju foldera. – W sensie choroby lokomocyjnej. Do rzygania mi daleko.

Słuchawki znów błysnęły.

– Nie pogniewasz się, jeśli wrócę do konferencji? Londyńskie biuro ma problemy. Muszę pogadać z szefami projektu, zanim wszystko się posypie.

– Jasne – mruknęła Violet. – Nie wezmę odpowiedzialności za katastrofę.

– Utemperuj się, zanim dotrzemy do Czterech Ścieżek.

Violet podkręcała Schumanna coraz głośniej. Znała każdą frazę, pauzę, palcowanie. W końcu słuchała własnego wykonania.

– W takim razie będę musiała nabrudzić w samochodzie.

Juniper przewróciła oczami. Potem zaczęła mówić do mikrofonu coś o błędzie w oprogramowaniu przygotowywanym przez swoją firmę. Violet ustawiła muzykę na maksymalną głośność i rozsiadła się wygodnie, odcinając się od głosu matki.

Cztery Ścieżki. Miejsce, w który wychowała się matka, lecz bynajmniej nie była wylewna na jego temat. Juniper w ogóle nie była wylewna. Nigdy nie powiedziała, dlaczego uparła się przy tym, by Violet i jej siostra nosiły nazwisko matki, a nie ojca, ani dlaczego zaraz po ukończeniu liceum wyjechała z miasta, by nigdy tam nie wrócić – nawet gdy zmarli jej rodzice. Ani gdy siostra – ciotka, której Violet nie miała okazji poznać – zachorowała.

Na myśl o siostrze głębiej zapadła się w fotel. Nie jechałaby teraz do Czterech Ścieżek, gdyby jej rodzina nie przeżyła własnej zapaści.

Wielka ciężarówka z rykiem wyprzedziła je prawą stroną. Serce podeszło Violet do gardła, gdy naczepa przysłoniła jej świat. W ciągu pięciu miesięcy, które upłynęły od wypadku Rosie, jechała samochodem mnóstwo razy, ale ciężarówki wciąż przyprawiały ją o mieszaninę mdłości i furii.

Z wysiłkiem odwróciła wzrok od naczepy. Turkusowa niteczka wciąż tam była. Szydła z niej. Violet zatrzymała nagranie, odłożyła folder na kolana i szarpnęła.

Włos był cięższy, niż się spodziewała. Okazało się, że wczepił się w spinkę cienkiej srebrnej bransoletki wciśniętej między uchwyt na kubek a skraj fotela. Musnęła filigranową różyczkę zdobiącą bransoletkę. Juniper wciąż wyrzucała do mikrofonu urywane zdania.

W żałobie kuriozalne jest to, że kiedy przetrwasz pierwsze tygodnie, kiedy znów nauczysz się spać, jeść i oddychać, pod pewnymi względami robi się trudniej. Gdy już załatwisz formalności związane z pogrzebem, nadopiekuńczy sąsiedzi wrócą do swoich spraw, a terapia dobiegnie końca, nagle znajdujesz w samochodzie biżuterię nieżyjącej siostry, której pozostałe rzeczy dawno zapakowałaś do kartonów, i zupełnie nie jesteś na to gotowa.

Rosie nawet nie lubiła tej bransoletki. Violet wyraźnie pamiętała jej ironiczny uśmiezek po rozpakowaniu prezentu otrzymanego na szesnaste urodziny od ciotecznej babci ze strony ojca, która ostatnio widziała je, gdy były małe, i najwyraźniej nie za bardzo wiedziała, kim są i jak funkcjonują nastolatki.

– Róża? Serio? – zachnęła się Rosie, gdy w jej pokoju przeglądały górę ciuchów oraz rękodzieła sprezentowanego przez przyjaciół. – Jakie to płytkie. Ponoszę ją trochę z uprzejmości, ale to jak plakietki z imionami, które zakładają sobie na szyję niektóre dziewczyny. Jak psi chip.

Jak zwykle się z nią zgodziła, choć jednocześnie pomyślała, że nawet jeśli bransoletka nie jest w guście Rosie, cioteczna babcia przynajmniej się starała. Po śmierci ojca matka przestała

utrzymywać kontakty z jego rodziną, ale Violet uwielbiała, gdy mimo wszystko jakieś wieści z tamtej strony przebijały się do nich.

Wpatrywała się w filigranową różę przybrudzoną przez długie pokutowanie w czyścicu uchwytu na kubek.

A co tam. Otworzyła zapinkę, uwolniła włos i włożyła do foldera, po czym zapięła sobie bransoletkę na nadgarstku, obracając różę tak, by przykryła niebieskie żyłki biegnące do wnętrza dłoni.

Pretensjonalne. Rosie pewnie by ją wyśmiała. Ale dzięki temu teraz, gdy porsche zjeżdżało z autostrady, Violet czuła się odrobinę mniej samotna.

*

Samochód meandrował coraz mniej ruchliwymi drogami, a za oknem zamiast autostrady przetaczały się zadbane pola uprawne. Potem zastąpiła je gęstwina drzew stłoczonych na skraju drogi. Przez liście przeświecało wczesnopołudniowe słońce. Gdy Schumann w słuchawkach ustępował miejsca Bachowi, a potem Chopinowi, Violet kontemplowała przez szybę świat skąpany w zielonkawych cieniach.

Te drzewa miały w sobie coś szczególnego. Kształty pni, żywe barwy liści odciągały jej uwagę od drogi i nieba tak skutecznie, jakby machały do nadjeżdżającego auta.

W końcu Juniper zjechała w krętą, wyboistą drogę. Zawieszona na gałęzi tablica wypalonymi na czarno literami powitała je w Czterech Ścieżkach, stan Nowy Jork.

– Wciąż ten sam szyld – parsknęła ponurym śmiechem Juniper. – Myślałam, że w końcu zastąpili go czymś bardziej profesjonalnym.

Violet zdjęła słuchawki.

– On tu wisi od czasów twojej szkoły?

– Odkąd pamiętam.

Była to pierwsza informacja na temat Czterech Ścieżek, jaką jej matka kiedykolwiek wyjawiała z własnej woli. Gdy porsche mijało zrujnowane domy, w gardle Violet kłębiły się dziesiątki pytań. Przed

każdymi drzwiami wisiały dzwonki koloru terakoty – jeden, dwa, a czasem chyba z tuzin. Kołysały się na wietrze, ale nawet po opuszczeniu szyby nie słyszała, by wydobywał się z nich jakiś dźwięk.

Nim zdążyła lepiej im się przyjrzeć, samochód wjechał w coś, co wyglądało na centrum miasteczka – choć jedynie dlatego, że zrujnowane domy ustąpiły miejsca zrujnowanym kamienicom.

Ani śladu supermarketu. Zamiast niego parę sklepików jakby żywcem wyjętych z czarno-białej fotografii. „Sklep wielobranżowy” – głosiły na wpół zdarte złote litery na witrynie jednego z nich. Były też lumpeks, bar wyglądający na spelunkę, spożywcza i biblioteka ze zdobionym szczytem. Ludzi kręcili się przed knajpką przywodzącą na myśl lata pięćdziesiąte ubiegłego wieku i rzucali na chodnik pety. Na dźwięk nadjeżdżającego samochodu odwrócili głowy i odprowadzili go wzrokiem.

Choć wyjechały z hrabstwa Westchester zaledwie pięć godzin wcześniej, Violet czuła się, jakby ją teleportowano na inną planetę.

Juniper wskazała ratusz – niezwykle, olśniewający, zupełnie nieprzystający do odrapanego sąsiedztwa i niemal wrośnięty w las. Zachłanne gałęzie wdrapały się na dach z obu stron, jakby chciały się spotkać pośrodku. W Ossining, rodzinnym mieście Violet, drzewa były niczym intruzi. Uparcie wyrastały spomiędzy żwiru albo stały przy ulicy w ogrodzonych skrzynkach. Ale tutaj to budynki wydawały się nie na miejscu; to one były intruzami wśród drzew.

Jedynie mały placzyk za ratuszem pozostał od nich wolny. Nieco oddalony od głównej drogi stał tam samotny budynek z nieznanym Violet symbolem na drzwiach: kręgiem przeciętym przez cztery kreski przypominające krzyż, z którego wymazano środek.

– To kościół? – Lustrowała wzrokiem marmurowe zdobienia zwieńczone łukowato u szczytu budowli.

Juniper pokręciła głową.

– W Czterech Ścieżkach nie ma kościołów. To mauzoleum. Tu się wszystkich kremuje, a urny zakopuje w podziemiach.

– Straszne. – Violet się wzdygnęła.

Matka wzruszyła ramionami.

– Praktyczne.

Miasto bez kościoła i cmentarza było dla Violet jak herezja.

Minęły kolejną uliczkę ze sklepami, które następnie ustąpiły miejsca kolejnym domom. Obejrzała się za siebie. Rozkołysany konar przysłonił ratusz.

– Chwila. To już całe miasto?

– Całe.

Samochód turlał się przez leśny gąszcz. Próbowала go sfotografować komórką, ale z gałęzi robiła się jedna wielka plama.

Gdy w końcu porsche wyjechało z gęstwiny, Violet zmrużyła brwi w obronie przed promieniami słońca, które nagle zaatakowały ją przez przednią szybę. Nim wzrok przywykł do jasności, samochód już zbliżał się do posesji.

– To nasz dom? – zapytała.

Może matka odpowiedziała, może nie. Dziewczyna była zbyt zaprzątnięta widokiem, by jej słuchać.

Budynek wyglądał jak w snach: chaotyczny, nieprzewidywalny, lekko skrzywiony. Ceglastobrązowe ściany wyrastały ponad drzewa, by następnie rozdzielić się na trzy wieżyczki zakończone stożkami rdzewiejącego żelaza.

Samochód nie zdążył jeszcze na dobre się zatrzymać, a ona już chwyciła za klamkę i wyskakiwała na podjazd. Przez coś, co kiedyś było ogrodem, a dziś potwornie zarosło, dobiegła do omszonych schodów prowadzących na werandę.

– Niesamowite, że on wciąż stoi – mruknęła Juniper. – Konstrukcja przeczy zasadom budowlanym.

– Jest piękny.

Violet wpatrywała się w oryginalną kołatkę na drzwiach. Humor zepsuła jej dopiero myśl o tym, jak bardzo dom spodobałby się Rosie. Obie marzyły o takim miejscu. O starym, sypiącym się dworku, na którego ścianach Rosie mogłaby tworzyć murale, Violet przez cały dzień grałaby na fortepianie, a okoliczne dzieciaki uważałyby je za czarownice. Próbowала odpędzić te myśli, stukając kołatką, ale nie odeszły – smutek, jak zawsze, oblepiał jej skórę na

podobieństwo niewidocznego kokonu, z którego nie można się wydostać.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich rozczochrana, przynajmniej o głowę niższa od niej kobieta w sukni z karmazynowej włóczki. Jej twarz była niczym twarz Juniper w gabinecie luster: Juniper, która nie farbuje włosów i woli chodzić boso niż na obcasach.

– Witaj, Dario – powiedziała Juniper.

Ciotka przekrzywiła głowę.

– Akwizytorom mówię „nie” – oznajmiła i zatrzęsnęła drzwi z niezwykłym jak na jej posturę wigorem.

Przestraszona Violet odskoczyła. Matka wspominała, że Daria jest chora, ale nie taką chorobę wyobrażała sobie jej córka: oczami wyobraźni widziała osobę niedołązną i przykutą do łóżka.

– Dario! – Juniper bezskutecznie uderzała kołatką. – To nie jest śmieszne! Otwieraj!

– Wszystko z nią w porządku? – zapytała Violet, wpatrzona w skrawek włóczki, który utknął między zawiasami. Najwyraźniej Daria nie rozpoznała własnej siostry.

Juniper obróciła się, nie zdejmując dłoni z kołatki. Kosmyk kręconych włosów wysmyknął jej się z koku i zwisał pośrodku czoła.

– Sama widzisz, że nie. Ma wczesną postać demencji. Lekarze chcieli ją wysłać do domu opieki. Dlatego tu jesteśmy.

Srebrna róża na pulsującym nadgarstku wydawała się Violet zimna i ciężka.

– Nie przyszło ci do głowy, żeby mi to wcześniej wyjaśnić?

Juniper zmarszczyła brwi.

– Mówiłam, że jest chora.

Wyglądała na lekko otumanioną, jak pięć miesięcy wcześniej podczas pogrzebu Rosie. Przeszła przez cały proces na wystudiowanym luzie; nie wzięła ani dnia urlopu, a trumnę wybrała w przerwie na lunch. Nabożeństwo przesiedziała z miną zastygłą w uprzejmym znudzeniu, która nie zmieniała się ani na jotę, nawet gdy stały nad grobem. Violet walczyła z pokusą wepchnięcia matki do wykopu w ślad za trumną, ale zdrowy rozsądek zwyciężył. Rosie zasługiwała na lepsze towarzystwo.

Nie miało sensu próbować uświadomić matce, że ją zraniła. Skoro śmierć jednej córki nie skłoniła jej do zauważenia drugiej, która jej jeszcze została, tym bardziej teraz nie mogło się udać.

– Nie do wiary – mamrotała Juniper, zapominając o Violet i ze stukotem obcasów przechadzając się między filarami. – Jechałyśmy taki kawał... Ona nie może tak po prostu kazać nam tu...

– Właśnie że może! – odkrzyknął zza jednego z okien nieco przytłumiony ochrypły głos.

Violet wychyliła się z werandy i zobaczyła przyciśniętą do szyby pomarszczoną twarz Darii. To podsunęło jej pewien pomysł.

W ciągu kilku sekund zbiegła po schodkach i zaczęła przedzierać się przez wysokie trawy.

– Co ty wyprawiasz? – zawołała za nią matka.

Violet bez słowa przeszła na tył domu, za którym znajdowało się porośnięte drzewami zbocze. Z tego miejsca słońce wyglądało jak nabite na najwyższą wieżyczkę.

Tylne drzwi okazały się znacznie mniej imponujące niż frontowe. Ciekawe, czy w dawnych czasach wchodziła tędy służba. Klamka nie ustąpiła pod naciskiem, ale brudna szyba była już popękana w wielu miejscach. Violet obejrzała się za siebie.

Przebywała tu zaledwie od kilku minut, a już zdążyła poczuć osobliwą więź z tym miejscem. Przez całe życie miała tylko Rosie i matkę. Ojciec był mglistym wspomnieniem poskładanym z kilku krótkich anegdot i cennych zdjęć, a rodzina matki stanowiła wielką zagadkę.

Ten dom dowodził, że Saundersowie mają historię.

Oderwała wzrok od drzew i przeszukała wszystkie możliwe schowki, jakie przychodziły jej do głowy, aż w końcu znalazła zapasowy klucz pod krawędzią starej donicy pełnej zwiędłych kwiatów.

Klucz był brudny i zardzewiały, ale pasował. Kilka sekund później maszerowała już przez swój nowy dom. Cuchnął stęchlizną, a jej kroki odbijały się echem w ciemnych, wyglądających na nieużywane pokojach. Korytarz po obu stronach zdobiły rzędy wypchanych

zwierzaków. Wzdrygnęła się, gdy jej dłoń przypadkiem otarła się o stadko martwych ptaków na patykach.

W czymś, co prawdopodobnie było salonem, zza kanapy wystawały pomięta czerwona suknia i rozczochrane włosy. Violet westchnęła i szła dalej – aż do zalanego słońcem przedpokoju.

Gdy otworzyła frontowe drzwi, jej matka stała z kwaśną miną oparta o barierkę werandy.

– Dzięki Bogu. – W mgnieniu oka znalazła się w domu. – Daję słowo, ten dom zawsze mnie nienawidził.

Violet ruszyła za nią. Matka zatrzymała się w półotwartych drzwiach salonu. Z tego miejsca widać było całą Darię – podciągnięte pod brodę kolana, suknię okrywającą ciało niczym krwawa plama z wełny, dłonie wplecione w niesforne włosy. „Włosy Saundersów” – słyszała wielokrotnie Violet z ust matki, która zdawała się winić za wszystkie swoje problemy dalekich przodków ze Szkocji.

Zastygła, gdy Juniper położyła jej dłoń na ramieniu. Nie pamiętała, kiedy ostatnio matka jej dotykała. Nawet przed wypadkiem Rosie zawsze trzymała ją na dystans.

– Ja się nią zajmę, a ty zacznij rozpakowywać przyczepę.

Jej głos brzmiał dziwnie łagodnie, niemal przepraszająco. Było to gorsze niż uprzejma obojętność, tak jak rozmowa w samochodzie była gorsza niż ignorowanie córki. Bo jedno i drugie oznaczało, że jeśli jej matka chce, potrafi się o nią troszczyć.

Wyśliznęła się spod jej dłoni.

– Dobra.

Ruszyła w stronę drzwi wejściowych, ale po kilku krokach zatrzymała się i obejrzała za siebie, patrząc, jak Juniper klęka obok Darii. Dobiegło ją echo niewyraźnych słów, w których, choć nie zrozumiała treści, pobrzmiewały nuty gniewu i rozżalenia.

Daria położyła dłoń na ramieniu siostry – by się podeprzeć, czy może ją odepchnąć? Ostatecznie wstały razem niczym czworonoga bestia rozświetlona wpadającymi przez wielkie okna promieniami słońca. Ich postacie zwały się w jeden ogromny cień, a Violet, mrużąc oczy w oślepiającym świetle, była gotowa przysiąc, że za ich głowami dostrzegła przeblysk turkusowych włosów.



Rozdział 2

Serce Justina omal nie wyskoczyło z klatki piersiowej, nim wreszcie usłyszał trzy ostre gwizdy.

– Koniec! – szczeknął trener Lowell, wyjąwszy gwizdek z ust.

Justin z niewysłowioną ulgą przeszedł ze sprintu w miarowy trucht. Kochał biegi, ale przedsezonowy trening wytrzymałościowy na licealnej bieżni zrobił z niego sfatygowaną gąbkę. Reszta drużyny przełajowców pokonywała rundę odpoczynkową w ślad za nim, dysząc i klnąc pod nosem.

W przyszłym tygodniu miał rozpocząć ostatni rok nauki w liceum. Ostatni rok treningów z tym zespołem.

– Czas? – zawołał, zawracając i idąc w stronę trenera. Stłoczone na skraju bieżni drzewa wypychały korzeniami asfalt niczym przebijające spod skóry żyły. Zawodnicy z innych szkół często przewracali się na tym odcinku, ale miejscowi nie mieli z nim problemów.

Justin wychował się w tych lasach. Teraz jednak bliskość pni i gęstwina gałęzi nad głową przyprawiły go o niespodziewany dreszcz.

Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że sięgają po niego.

Trener spojrział na trzymany w potężnym łapsku stoper i zmarszczył brwi.

– Hawthorne – burknął. – Podejź no tu.

Liceum w Czerech Ścieżkach było zbyt małe i biedne, żeby mieć program lekkoatletyczny z prawdziwego zdarzenia, ale drużyna biegów przełajowych jeździła na zawody, a czasem nawet je wygrywała. Konkretnie rzecz biorąc, wygrywał głównie Justin. Tym razem jednak, sądząc z miny trenera, nie spisał się najlepiej.

– Patrz. – Lowell cisnął mu w twarz arkusz wyników. Na widok swojego czasu chłopak zrobił wielkie oczy.

Ostatni raz przebiegł rundę tak wolno chyba w pierwszej klasie... Nawet nie – w gimnazjum!

– Co ty odwalasz? – zapytał ostro trener. Na jego ciemnej twarzy malowało się zniecierpliwienie. – Na trzeciej prostej Gonzalez prawie cię dogonił.

– Gonzaleza to ja dubluję przez sen! – najeżył się Justin.

– Masz dawać drużynie przykład, Hawthorne. Jeśli ty się nie skupiasz, reszta też nie.

Justin stuknął czubkiem buta w spłowiały asfalt. Trener miał rację. Nie był w formie.

Trudno się skupić na bieganiu, gdy zginął kolejny człowiek. Nie możesz przestać myśleć o tym, co czuł, kiedy Szarość pożerała go żywcem.

Nazywał się Hap Whitley. W nekrologu napisano, że pracował wraz z ojcem w warsztacie samochodowym. Justin przez cały kwadrans wpatrywał się w opublikowane w „Głosie Czterech Ścieżek” zdjęcie przedstawiające nieśmiało uśmiechniętego młodego mężczyznę z lekko zmrużonymi oczami i niesfornymi lokami wymykającymi się spod założonej tyłem naprzód baseballówki.

Minęły dwa tygodnie, a on wciąż się zastanawiał, jak wyglądał ten facet, zanim go skremowali i pochowali w mauzoleum.

Dziś, tak jak przepowiedziała jego siostra, do miasta wróciła rodzina Saundersów. Pół miasta widziało, jak ich błyszczące auto jedzie główną ulicą w kierunku rodowej posesji. O ile sam przyjazd nie był dla Justina zaskoczeniem, o tyle zdziwił go fakt, że matka

wezwała go i May do gabinetu i kazała im trzymać się z dala od nowo przybyłych.

– Nie mają pojęcia, jak funkcjonuje to miasto – powiedziała. – To martwa gałąź rodu. Nie obciążajcie ich brzemieniem dziedzictwa.

Choć Augusta Hawthorne mówiła te słowa do obojga swoich dzieci, przez cały czas patrzyła na niego. Pomyślał o karcie z cieniutkiego drewna leżącej pomiędzy nim a May, o splecionych palcach z ciała i kości, o zapachu grzybów gnijących pod głógiem.

Więc owszem – był rozkojarzony. Ale nie powinien był ujawniać tego przed trenerem.

Nie miał mocy. Miał natomiast dar uspokajania ludzi. Przybrał taką samą niedbałą pozę co trener, z ręką leniwie kołyszącą się u boku.

– To się nie powtórzy – obiecał dźwięcznie.

Trener niemal natychmiast się rozluźnił. Ufał Justinowi, a mówiąc ściślej – ufał Hawthorne’om.

– Z pewnością. – Poklepał chłopaka po ramieniu i uśmiechnął się swobodnie. – Chcę tylko mieć pewność, że w Long Lake będziesz w formie. Zjadą się tam skauci. Prowincjonalne szkoły też dają stypendia.

Skauci. Skauci z college’ów.

Kiwnął lekko głową, udając, że jego rozszalałe serce i rwany oddech to skutek ciężkiego treningu. Reszta drużyny przechodziła już obok nich w drodze do szatni, z ożywieniem dyskutując o rozpoczęciu sezonu biegowego.

Oczywiście znali się wszyscy – z treningów, szkoły, imprez. Nie miało jednak znaczenia, że ścigał się z Calem Gonzalezem od dziecka albo że w różnych okresach życia spotykał się z Seo-Jin Park, Brittą Morey czy Marissą Czechowicz. Dzieliła ich bolesna przepaść. Gdy Justin był młodszy, uwielbiał sposób, w jaki traktowały go inne dzieciaki. Ich przesadny śmiech z jego żartów i rzucone mu spojrzenia stanowiły element szacunku dla jego rodu i świadectwo dobra, które ten ród uczynił dla miasta.

W tym roku, gdy znaleziono pierwsze ciało, przyjazne dotąd spojrzenia stały się wyczekujące. Do tej pory Szarość zabierała kogoś

z Czterech Ścieżek co kilka lat, zwykle w okolicach równonocy, lecz nigdy nie pochłonęła tylu ofiar w tak krótkim czasie. Justin powoli zaczynał pojmować, że bycie jedną z osób, od których mieszkańcy oczekują ratunku, ma swoje ciemne strony.

Zwłaszcza jeśli nie możesz nic zrobić. Matka od niemal roku utrzymywała w tajemnicy fakt, że jej pierworodny okazał się pozbawiony mocy, ale on nie miał wątpliwości, że w końcu prawda wyjdzie na jaw. A wtedy miasto odwróci się od niego z niesmakiem.

Dlatego właśnie matka kilka tygodni temu wzięła go na dywanik i wręczyła plik podań o uczelniane stypendium sportowe.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co jej chodzi. Tylko jedna gałąź każdego rodu założycielskiego w danym pokoleniu mogła dziedziczyć moce, więc dzieci założycieli, które pomyślnie przeszły Próbę, po skończeniu liceum nie wyjeżdżały. Zwłaszcza teraz, gdy Cztery Ścieżki były w tarapatach, a założyciele się wykruszali. Kontynuowanie nauki przez Internet albo w pobliskim studium policealnym to niewygórowana cena za zapewnienie miasteczku bezpieczeństwa.

W dodatku Hawthorne'owie nie byli po prostu jednym z rodów założycielskich. To oni zarządzali miastem. Tamtego dnia matka tłumaczyła mu, że miasto musi w nich widzieć idealnych przywódców, a wieść o tym, że Justin jest pozbawiony mocy, mogłaby zniszczyć reputację rodziny.

Augusta Hawthorne kazała mu opuścić Cztery Ścieżki, nim mieszkańcy poznają prawdę. Obiecała opłacać jego chesne na uczelni stanowej, o ile tylko syn da słowo, że nigdy nie wróci.

Jeszcze nie zdecydował, czy jej posłucha.

Może przyszłość, którą zobaczyła w kartach May, pozwoli mu zostać.

A może tylko się oszukiwał.

Zwykle po treningach wracał do domu, ale tym razem zgodził się pozmywać w Jadłodajni. Biorąc pod uwagę urząd pełniony przez Augustę Hawthorne, Justin w zasadzie nie musiał pracować, ale mieszkańcy Czterech Ścieżek zwracali uwagę na takie rzeczy, a on ze wszystkich sił starał się utrzymać reputację członka rodu

założycielskiego, któremu zależy na służeniu ludziom, a nie tylko na ich ochronie.

Słońce wisiało już nisko nad drzewami, gdy zajechał na pusty parking przed Jadłodajnią. Przewiesił przez ramię służbowy fartuch, zamknął auto i pomachał do pary policjantów palących przed lokalem.

– Matka bierze cię dzisiaj na patrol? – zapytał Anders.

Pokręcił głową.

– Jutro.

– Aha. Bądź ostrożny. Trzy trupy w tym roku wystarczą. Nie chcemy czwartego. – Policjant z lubością zacisnął wolną dłoń na kaburze u pasa, jakby to mogło go obronić. Za restauracją rozciągał się las z wielkimi dębami kasztanowymi, *Quercus montana*, przy których budynek wydawał się mikroskopijny.

Broń w niczym nie pomagała, jeśli wpadałeś w Szarość, ale połowa podwładnych matki i tak ją nosiła. Pistolet był amuletem ochronnym dla ludzi, którzy nie mieli w sobie krwi założycieli. Był tym samym co wisiorki na ich szyjach i gliniani stróże nad drzwiami.

– Jasne. Będę uważał – mruknął Justin, choć gdyby zechciał, mógłby chodzić na patrole po pijanemu i nago. Odkąd oblał Próbę, matka nie dopuszczała go tam, gdzie było choćby najmniejsze niebezpieczeństwo. Patrolował wyłącznie po to, by nie wzbudzać podejrzeń.

Medalion boleśnie wpijał mu się w nadgarstek. Ten krążek z karmazynowego szkła miał zaświadczać, że teraz, gdy Justin włada już mocami, nie potrzebuje kamiennych wisiorków, które chroniły zwykłych mieszkańców miasta. Medalion kłamał, ale Justin nosił go ze względu na Andersa i wszystkich innych, którzy wciąż wierzyli, że jest pełnoprawnym założycielem.

Tłumiąc poczucie wstydu, pożegnał policjantów i wszedł do Jadłodajni.

W środku knajpa wyglądała, jakby za chwilę miała się rozpaść. Oparta o ścianę szafa grająca cicho wygrywała zniekształconą piosenkę Beach Boysów. Z niebieskich pluszowych obić wystawały

kawałki żółtej pianki migoczące w świetle pękniętej jarzeniówki nad głową Justina. Przejechał dłonią po blacie jednego ze stołów – stołów, które nigdy nie wyglądały czysto, choćby nie wiem jak często je szorowali.

– Oj, jesteś. – Isaac siedział za kasą i czytał. – Możesz mnie zmienić, jak zaczniesz się ruszać.

Najlepsze słowo, jakim Justin mógł określić wygląd kolegi, brzmiało „pretensjonalny”. Głowę miał wygoloną nad uszami, a na czubku ciemne, opadające kaskadą loki. Flanelową koszulę zapiął starannie po samą szyję. Na bladej skórze nadgarstków połyskiwały bliźniacze czerwone medaliony – jeden zdobyty, drugi odziedziczony po bracie.

– Wszyscy i tak obserwują założycieli – mówił. – Niech przynajmniej mają na co patrzeć.

Między innymi dlatego byli najlepszymi kumplami. Isaac wiedział, jak to jest wciąż być na cenzurowanym.

– Dzisiaj nie obsługuję – odpowiedział Justin, wkładając fartuch. – Mam dyżur na zmywaku.

– Zmienię cię – uparł się Isaac. Wziął książkę i odsunął się od baru. – Ty zajmij się klientami.

Choć pracowali tu już kilka miesięcy, Justin nie zdołał powstrzymać złośliwego chichotu na widok napisu na fartuchu Isaaca. Zamaszyste litery głosiły: „Witaj w Jadłodajni. Jestem twoim pokornym sługą. Dołożę wszelkich starań, by klient był zadowolony!”.

– Czego rechoczesz? – spytał Isaac. – Sam masz na sobie taki fartuch.

– Owszem, ale ciebie on bardziej wkurza.

Isaac zacisnął zęby. Justin od lat wiedział, że jego marsowa mina może oznaczać tylko jedno: poważne kłopoty.

– Już nie – wycedził Isaac, dotykając fartucha opuszkami palców. Powietrze przed wyhaftowanym napisem zawirowało i zamigotało, szwy puściły, a w miejscu haftu została dziura o poczerwiałych, spopielonych brzegach.

Justin przeklinał siebie w duchu. Podjudzanie kogoś tak nieobliczalnego, szczególnie w pracy, było nierozsądne.

Isaac znalazł zatrudnienie w Jadłodajni po incydencie, wskutek którego sklep spożywczy poniósł ogromne straty. Całe miasto wiedziało, że jest tu jedynie dzięki przynależności do rodu założycielskiego i poparciu Hawthorne'ów. Nawet książka w jego rękach byłaby lepszym kelnerem niż on sam.

– O, jesteś. Będziesz potrzebny w kuchni, jak tylko ludzie zaczną się schodzić na obiad. – Z kuchennych drzwi wymaszerował Pete Burnham. Restauracja należała do jego rodziny, ale tylko dzięki niemu wciąż funkcjonowała.

Na widok fartucha Isaaca Burnhamowi zrzęła mina.

– Tylko nie to – jęknął. – Znowu! Wiesz, że Mateczka Burnham własnoręcznie to haftuje?

Isaac nie wydawał się poruszony.

– Kup jej maszynę do szycia. Albo powiedz, żeby sobie znalazła lepsze hobby.

– Mateczkę to ty szanuj.

– Mówił ci już ktoś, że masz do swojej matki dziwny stosunek?

– Nie muszę tego słuchać, Sullivan.

Powietrze wokół chłopaka znów zaczęło się kłębić jak para unosząca się nad rozgrzanym asfaltem. Pete wycofał się w stronę kuchni.

Isaac zwykle słuchał głosu rozsądku, przynajmniej jeśli ten głos pochodził od Justina. Młody Hawthorne nie zdążył jednak interweniować, bo w tej właśnie chwili skrzypnęły drzwi restauracji i stanęła w nich dziewczyna, którą widział pierwszy raz w życiu.

Była kanciasta, ciemnooka, z atramentowoczarnymi włosami do ramion, w dzinsach z wysokim stanem i dziurami odsłaniającymi połowę ud.

Lustrowała wnętrze lokalu wzrokiem, który miał w sobie coś zwierzęcego. Justin poczuł się nieswojo, gdy podchodziła do baru, nie zwróciwszy większej uwagi na fartuch Isaaca ani na zastygłego w nerwowym wyczekiwaniu Pete'a.

– Rozumiem, że któryś z was tu pracuje? – rzuciła w przestrzeń.

Pete natychmiast się ożywił. Wskoczył za bar i rzucił jej idealny uśmiech pokornego sługi.

– Pete Burnham – przedstawił się. – Kierownik tego zacnego lokalu.

– Świetnie – odparła. Musiała być z Saundersów. Nikt nie przyjeżdżał do Czterech Ścieżek bez powodu. – W takim razie powiedz mi, czy ten lokal wydaje posiłki na wynos.

Pete pokiwał głową jak pacynka.

– Oczywiście! Wybrała pani najlepsze miejsce! Gotujemy najlepiej w mieście!

– Wielkiej konkurencji nie macie – mruknęła z przekąsem.

– Liczy się jakość, nie ilość – zripostował Pete.

Zamówiła dania z karty, do której chyba nikt przed nią nie zaglądał. Pete pobiegł do kuchni – zapewne uszczęśliwiony faktem, że może się oddalić od Isaaca – obiecując na odchodnym, że będzie stał nad kucharzem, póki ten wszystkiego nie przygotuje.

Dziewczyna czekała przy kasie, machinalnie postukując paznokciami w kontuar. Ostre obojczyki wypychały paski koszulki, a zawieszane na szyi kryształki połyskiwały matowo w świetle jarzeniówki.

Jeśli należała do Saundersów, karta z talii omenów mogła się odnosić do niej.

A w takim wypadku rozmowa z nią mogła być pierwszym krokiem ku zapobieżeniu następnej śmierci.

Justin pamiętał polecenie matki, by trzymać się z daleka od tej rodziny. Dziewczyna jednak nie miała karmazynowego medalionu ani na ręce, ani przy naszyjniku. W razie problemów mógł powiedzieć matce, że nie wiedział, z kim ma do czynienia.

Zerknął na Isaaca, który wśliznął się za najbliższy stół, otworzył książkę i przerzucał strony w udawanym skupieniu mającym świadczyć o całkowitym braku zainteresowania sytuacją. Dziwne zachowanie, biorąc pod uwagę fakt, że od czasu, kiedy byli w drugiej klasie podstawówki, do Czterech Ścieżek nie wprowadził się nikt nowy.

Cóż. Justin musiał wziąć sprawy w swoje ręce.

– Jestem Justin Hawthorne – powiedział, próbując naśladować jej niecierpliwą ton. Słowa zabrzmiały sztucznie, jakby wypowiadała je obca osoba, ale i tak się uśmiechnął.

– Violet Saunders – odparła niechętnie po dłuższej chwili, jakby jego nazwisko nie zrobiło na niej żadnego wrażenia. – Ty też zamierzasz wygłaszać peany na cześć tutejszej kuchni?

– Pete jest tu szefem – rzekł Justin, nie do końca pewny, czym właściwie są peany. – Musi mówić takie rzeczy.

– Chcesz powiedzieć, że w rzeczywistości jedzenie nie jest dobre?

– Skąd! Jest w porządku.

– Hm. Macie w menu coś o nazwie „śmieciowy talerz” – zauważyła Violet. – Raczej nie wzbudza zaufania.

– To lokalny specjał! – ratował sytuację spłoszony Justin. – Całkiem znośny!

– Znośny czy dobry? To pewna różnica.

Zmarszczył brwi. Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Isaac prychnął kpiąco znad książki.

– Chyba dobry. – Justin nie kłamał, choć prawdą było również, że gdyby Burnhamowie uznali, iż robi ich lokalowi złą reklamę, wywlekliby go na parking i sprali, nie bacząc na to, że jest Hawthorne’em. A on wolał zachować nos w jednym kawałku. – Jesteś tu nowa, prawda?

Wiedział, że to banał, ale nie miał innego pomysłu na kontynuację rozmowy. Skoro nie zareagowała na jego nazwisko, najwyraźniej nie miała pojęcia o założycielach. To zaś oznaczało, że jego matka miała rację. Tylko jakim cudem ktoś, kto nie wie nic o Szarości ani o mocach swojej rodziny, miałby mu pomóc w ratowaniu Czterech Ścieżek?

– Czy ta miejscina jest tak mała, że od razu rozpoznajecie obcych? – Violet odsunęła dłoń od kontuaru. – Czy po prostu nie wyglądam na miejscową?

Skrzyżowała ręce na piersiach. Ten prosty gest i lekko zgarbiona postawa przywiodły mu na myśl Harper Carlisle.

Szybko wyparł z głowy jej obraz, ale poczucie winy już zaczynało kiełkować. Jak zawsze.

– Masz zamiar tak się gapić? – prychnęła Violet.

Ze zgrozą uświadomił sobie, że jego swobodny uśmiech zniknął. To przez Harper. Samo wspomnienie o niej sprawiało, że zapominał, jak być Hawthorne’em, i tracił grunt pod nogami.

– Wcale się... – zaczął. Wybawił go Pete, który wszedł przez kuchenne drzwi z wielką papierową torbą w dłoniach.

– Proszę.

– Dziękuję. – Violet wzięła od niego torbę, błyskawicznie zapłaciła i ruszyła do wyjścia. Tam jednak przystanąła.

Justin przez chwilę się łudził, ale ona patrzyła na Isaaca, który starannie zasłonił twarz książką.

– Nie spodoba ci się zakończenie.

Wymaszerowała, żegnana przez chór Beach Boysów.

Isaac opuścił książkę.

– Poszło nieźle. Jestem pewien, że gdy wrócisz do domu, będzie na ciebie czekała w łóżku.

– Nie kop leżącego. Jestem wystarczająco zdołowany. – Justin przechylił się przez stół. – A ty dlaczego z nią nie gadałeś? Powinno cię interesować, że w mieście pojawiła się nowa założycielka.

– Nie słyszałeś, co mówiła szeryfowa? Martwa gałąź, żadnych mocy, nie zwracajcie sobie nimi głowy.

Może Justin powinien być zdziwiony, że matka rozmawiała o tym z całym miastem. Ale nie był. Augusta Hawthorne niczego nie pozostawiała przypadkowi.

– Od kiedy to przejmujesz się słowami mojej matki?

Isaac wzruszył ramionami.

– Może po prostu się z nią zgadzam.

Ale Justin w to nie wierzył. Znał Isaaca lepiej niż ktokolwiek inny – przynajmniej ktokolwiek z żywych – i doskonale wiedział, że ta nieznacznie głębsza nuta, która zabrzmiała w jego głosie, oznacza kłamstwo. Nie miało jednak sensu naciskać w obecności Pete’a.

Wzrok Justina padł na okładkę książki, którą skomentowała Violet. *Nowy wspomniały świat*. Isaac uwielbiał książki o mocnych, pompatycznych tytułach, w obliczu których Justin czuł się jak głupek.

– Czytałeś ją już wcześniej, prawda? – zapytał.

– Owszem.

– Jak się kończy?

Isaac prychnął i zatrzaskał książkę.

– Ostatnia nadzieja ludzkości odbiera sobie życie.

Justin pokręcił głową.

– Rany, człowieku. Po cholere czytać takie rzeczy?

– I ty się dziwisz, że nie chciała z tobą gadać.

– Sullivan! – zawołał z drugiego końca restauracji Pete tonem wskazującym, że nie zapomniał Isaacowi wcześniejszego komentarza na temat swojej matki. – Zamierzasz dzisiaj w ogóle pracować?

Isaac rozejrzał się teatralnie po pustym lokalu.

– Klienci są zadowoleni.

Pete zmarszczył brwi.

– Weź nowy fartuch i do roboty. I zanim spytasz: tak, odliczę ci koszty tamtego od wypłaty.

Isaac trzasnął książką o stół i Justin znów się zaniepokoił, ale gdy przyjaciel ruszył do kuchni, powietrze wokół niego wyglądało normalnie. A w przypadku Isaaca „normalnie” oznaczało „najlepiej, jak to możliwe”.

– Zwykle nie jest takim palantem – skomentował Pete, gdy Isaac zniknął za obrotowymi drzwiami.

– Staje się nim w tygodniach poprzedzających rocznicę.

– O. No tak. – Pete wbił wzrok w kasę. – Dam mu spokój.

Drzwi kuchni otworzyły się zamaszyście i stanął w nich Isaac w nowym fartuchu.

– Skoro ja mam pracować, to ty też – oznajmił. – Przestań tu na mnie narzekać i idź zmywać.

Niemal jednocześnie otworzyły się drzwi wejściowe i stanęły w nich pierwsi klienci.

– Wiesz co – rzekł Justin. – Może jednak ty pozmywaj. Ja stanę przy barze.

Kącik ust Isaaca zadrżał.

– Jak sobie chcesz.

Nim zniknął w kuchni, Justin zdążył dostrzec w jego oczach niewątpliwą wdzięczność. Podszedł sztywno do baru, wciąż obolały po treningu, z piekącymi łydkami. Po kilku godzinach biegania z talerzami w obu rękach będzie wykończony.

Zacisnął zęby, wyprostował się i z uśmiechem obsługiwał klientów jakby nigdy nic. Bo Isaac go potrzebował, miasto miało wobec niego oczekiwania, a on nie miał najmniejszego zamiaru pokazać po sobie, jak bardzo już wszystkich zawiódł.

*

Obiad przebiegał w niezdrowej atmosferze. Zamiast jeść razem z Violet i Juniper, Daria nałożyła sobie resztkę gulaszu i zamknęła się w pokoju. Jej kot, Orfeusz, arogancka bestia z żółtymi ślepiami i uchem obwiązany czerwona włóczką, został w jadalni i syczał, póki Violet się nie ugięła i nie rzuciła mu kawałka kurczaka.

Zastanawiała się, jak to jest przez całe lata mieszkać samotnie, a potem nagle przeżyć nalot ludzi, którzy twierdzą, że są twoją rodziną, i zakłócają ci spokojną egzystencję. Brzmiało przerażająco.

– Przykro ci widzieć ją w takim stanie? – zapytała matkę.

Juniper wykrzywiła usta.

– A jak myślisz? Ledwie mnie poznała. – Wstała i wskazała resztki na talerzu Violet. – Daj, wyrzucę.

Ty przynajmniej wciąż masz siostrę, pomyślała dziewczyna, ale nie powiedziała tego na głos. W milczeniu podała matce talerz i przełknęła ostatni kęs kurczaka w parmezanie, wspominając chłopaków z knajpy.

Justin – przystojny, jasnowłosy, przewidywalnie pewny siebie. I ten z książką, udający obojętnego. Obaj patrzyli na nią tak, jakby czegoś oczekiwali.

Cóż. Cokolwiek mieli na myśli, nie zamierzała im tego dać. Nigdy za bardzo nie leciała na chłopaków. Na dziewczyny zresztą też nie. Czasem ktoś wpadał jej w oko; kilka lat temu nawet zwierzyła się Rosie, że jest biseksualna, ale wciąż nie dojrzała do tego, żeby się

z kimś spotykać. Siostra i fortepian to wszystko, czego potrzebowała do szczęścia. Po śmierci Rosie nieliczni znajomi oddalili się od Violet, nie wiedząc, jak sobie poradzić z jej cierpieniem. To, że za tydzień pójdzie do nowej szkoły w obcym mieście, martwiłoby ją bardziej, gdyby zostawiła w Ossining kogoś, na kim jej zależało.

Serce zadrżało jej na myśl, że przez prawie dobę nie tknęła fortepianu. Rozładowywanie przyczepek było długie i męczące. Ledwie zdołała zawlec najpotrzebniejsze pudła do swojej sypialni, a już musiała lecieć po obiad. Reszta kartonów stała po obu stronach korytarza niczym żołnierze w dwuszeregu, gdy Violet przechodziła między nimi do pokoju, w którym stał fortepian.

Nie podzielała namiętności do wypchanych zwierząt, która zdawała się cechować jej przodków. Udając, że nie dostrzega trzech jelenich łbów patrzących ze ściany, podniosła pokrywę instrumentu. Rządek równiutkich klawiszy barwy kości słoniowej uśmiechał się do niej niczym stary przyjaciel.

Z ulgą i podnieceniem przesunęła po nich dłońmi. Wszędzie, gdzie mogła grać, czuła się u siebie. Muzyka była jej życiem, odkąd jako czterolatka po raz pierwszy poszła na lekcję gry na fortepianie, od którego trzeba ją potem było odciągać siłą, wierzgającą i błagającą, by mogła jeszcze przez chwilę pouderzać w klawisze.

Na próbę zagrała gamę. Ku jej wielkiemu zdumieniu instrument był nastrojony. Czyżby Daria też grywała? Wkrótce spod jej palców popłynęły dźwięki *Preludium i fugi nr 6 d-moll* Bacha. Pokój miał doskonałą akustykę.

Po pogrzebie Rosie Violet przestała regularnie ćwiczyć. Miewała dobre dni, zwykle jednak muzyka krążyła gdzieś w jej głowie i nie sposób było ją uchwycić. Zrezygnowała z lekcji fortepianu, ale i tak kilka razy w tygodniu ćwiczyła program swojego recitalu, jakby próbowała siebie przekonać, że wszystko może wrócić do normy. Tyle że przeważnie już po kilku minutach porzucała program na rzecz improwizacji.

Szkoła muzyczna to przeszłość.

Dłonie dryfowały po klawiszach w poszukiwaniu nowych fraz. Zamknęła oczy i pozwoliła nieść się melodii.

Po pewnym czasie w jej muzyczny świat poczęły się wdzierać jakieś obce dźwięki. Wybita z rytmu oderwała palce od klawiszy, choć okazało się to nadspodziewanie trudne.

Otworzyła oczy.

W pokoju panowały nieprzeniknione ciemności.

Zamrugnęła. Dźwięk rozbrzmiał ponownie – głuchy, metaliczny. Z mroku patrzyły na nią błyszczące oczy. Odsunęła się, gorączkowo szukając telefonu. Zaczepnęła tchu, by wrzasnąć, gdy nagle spod ławki wyłonił się znajomy skrawek czerwonej włóczki.

– Uff. – Wypuściła powietrze. – To ty!

Kot znów wydał z siebie to dziwne miauknięcie przywodzące na myśl miniaturową piłę łańcuchową, po czym ugryzł Violet w kostkę.

Zakłęta i wciągnęła nogi na ławkę. W końcu udało jej się znaleźć telefon na stojaku do nut. Włączyła ekran i zamarła.

Wydawało jej się, że grała zaledwie dziesięć minut, a tymczasem, jeśli wierzyć zegarowi, spędziła w salonie prawie cztery godziny. Już wcześniej zdarzało jej się tracić poczucie czasu przy fortepianie, lecz nigdy do tego stopnia.

Wstała i energicznie ruszyła do drzwi.

Wciąż zdezorientowana weszła do swojej nowej sypialni. Pokój był znacznie większy niż ten w Ossining, o ścianach koloru ciemnej cegły. Stało w nim przypominające eksponat muzealny łóżko z baldachimem. Nie zabrakło też kolejnych przerażających martwych zwierzaków. Wyniosła do sąsiedniego pomieszczenia wronę i głowę jelenia, z trudem zwalczając dziwną pokusę przeproszenia ich.

Ponownie otworzyła drzwi sypialni i napotkała wzrokiem piramidę kartonów ustawionych pod przeciwległą ścianą. Na każdym z nich dużymi czarnymi literami napisano: ROSIE.

W przeddzień pakowania rzeczy siostry Violet weszła do jej pokoju po raz pierwszy od wypadku. Przeczesała półki, toaletkę i szafy, usuwając tajemnice, które nie powinny wpaść w ręce matki: spod materaca na wpół opróżnioną butelkę whiskey, z szuflady na bluzki bieliznę, z kieszeni kurtki liściki miłosne od Elise. Spędziła godzinę na przeobrażaniu Rosie z osoby, którą była, w osobę, którą

chciała w niej widzieć matka – a kiedy skończyła, zwinęła się w kłębek we własnym łóżku, czując w ustach nieprzyjemny, popielisty posmak.

Stojące przed nią kartony stanowiły zatem podrasowaną wersję Rosie: barwny, lecz gustowny portret dziewczyny o uroczo artystycznej naturze, bliższej Monetowi niż van Goghowi. Violet przeniosła wzrok na wiszący ponad nimi obraz.

Było to jedno z pokazowych dzieł Rosie – abstrakcja mająca przedstawiać Violet. Plamy farby rozmywały się i łączyły, tworząc oszłamiające wzory, które obracały się i wirowały, jeśli spojrzeć na nie pod odpowiednim kątem. Rosie wykonała cztery takie płótna, po jednym dla każdego członka rodziny – także dla ojca, choć od dawna nie żył – i dzięki nim dostała się na wszystkie trzy wybrane przez siebie uczelnie artystyczne. Nazywała te obrazy „portretami dusz” i choć Violet jej dogryzała, że brzmi jak guru New Age, musiała przyznać, że nazwa jest trafna.

Nawet jeśli inne aspekty wizerunku jej siostry były fałszywe, portrety dusz nie. Patrzyła z bliska na znajomy obraz, czując, jak wrażenie obcości mija.

Dotknęła płótna opuszkami palców. Potem odsunęła zasłony. Światło księżyca wydobywało z mroku sylwetki drzew rosnących zygzakiem obok domu niczym rząd krzywych zębów.



Rozdział 3

Harper Carlisle płynnie powtarzała serię parad i ripost, coraz szybciej pracując nogami. Wciskała w piasek bosc palce, wyobrażała sobie potwora w Szarości – chudego, pozbawionego twarzy kościotrupa – i nacierała. Gdy wbijała ostrze w pierś nieobecnej istoty, poźółkłe koronki nocnej koszuli tworzyły fałdy wokół kolan.

Harper nie wiedziała, jak wygląda Bestia. Nikt żywy tego nie wiedział.

Wiedziała natomiast, jaki wydaje dźwięk. Nie było dnia, w którym nie prześladowałby jej ten głuchy, metaliczny głos.

Zbliżał się świt, ale ona już od trzeciej ćwiczyła za domem szermierkę. Na usychającej trawie usadowiły się kamienne zwierzaki – rudobrunatna publiczność. Jeśli jej rodzina miała jakieś pamiątki rodowe, były nimi właśnie te stworzenia. Niektóre – wyrzeźbione z twardej gliny – były stróżami służącymi Carlisle'om jako toporne nośniki dodatkowych oczu i uszu – ale inne, jak te jelenie, żyły naprawdę, zanim któryś z Carlisle'ów nie zmienił ich w kamiennych golemów posłusznych jego woli.

Od bardzo dawna w jej rodzie nie było nikogo o takiej mocy.

– Wygrałam – rzuciła cicho Harper w tym samym momencie, w którym leżący między uszami uspiętego jelenia telefon zaczął

dzwonić na pobudkę. Ruszyła do domu, wciąż trzymając miecz w dłoni, co zmusiło ją do otwarcia drzwi kikutem. Utrata lewej dłoni wpłynęła na sposób walki – zmieniła równowagę, pracę nóg, sposób atakowania. Nie zmieniła jednak pewności, jaką dawało jej trzymanie miecza. Nawet rozpoczęcie nowego roku szkolnego wydawało się znacznie mniej straszne, póki go dzierżyła.

Wytarła stopy i bezszelestnie szła przez dom, zatrzymując się jedynie po to, by z ociąganiem wsunąć miecz na honorowe miejsce nad kominkiem. Treningi przed świtem mogą się wydawać przesadą, ale nie wtedy, gdy masz w rodzinie osiem wścibskich osób – w tym niemowlę – z których żadna nie wie, że po wypadku nie przestałaś trenować.

Harper była gotowa na wielkie poświęcenia, by utrzymać ten stan. Tym bardziej że niewiele sypiała, odkąd straciła dłoń.

Od dnia, w którym wpadła w Szarość.

Po trzech latach wciąż śniła jej się tafla jeziora zamykająca się nad głową. Wynurzyła się na powierzchnię w innym, obcym miejscu, w którym oddech nie wypełniał płuc powietrzem, a dłoń zamieniła się w kamień i skruszyła na brzegu. Przed nią rozpościerało się coś, co przypominało las, tyle że drzewa były gołe i powykręcane, zgarbione pod nieruchomym niebem lśniącym jak popękana stal.

W Szarości nie było kolorów. Z wyjątkiem karmazynowej krwi – jej własnej.

Zadrzała, odparła atak wspomnień i wróciła do codzienności.

Nim o szóstej zadzwonił budzik rodziców, zdążyła się ubrać, zrezygnować z prób okiełznania sięgających pasa czarnych loków i poprawić makijaż oczu. Przez następne pół godziny wyciągała z łóżek Bretta i Norę, szykowała ich do szkoły i robiła wszystko, by nie potknąć się o kabel prostownicy do włosów Mitzi.

– Ktoś mógłby mi pomóc. – Zerknęła w kierunku toaletki, przy której Mitzi wplatała w kasztanowe włosy założycielski medalion.

– Obudź Seta. – Mitzi przechyliła głowę, by podziwiać połysk szkła. – Ja jestem zajęta.

– Gapieniem się na siebie? – Harper nie potrafiła ukryć zazdrości. Ona nie zdobyła medalionu i musiała się zadowalać zwykłym

kamiennym wisiorkiem.

Twarz Mitzi patrzyła na nią z lustra z osobliwą mieszaniną samozadowolenia i litości.

– Czy można mnie winić?

– Nie ma sprawy! – zawołała Nora, pieczołowicie wkładając na nogi dwa zupełnie różne buty. – Sama sobie poradzę!

– Wiesz, że te buty nie pasują do siebie, co? – Harper uśmiechnęła się do Nory. Jej niezmierna energia zniechęciła już wiele opiekunek, ale Harper uwielbiała siostrzyczkę.

Nora wyduła usta.

– Tak jest fajnie!

Nim starsza siostra zdążyła odpowiedzieć, drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie i w masywnej futrynie pojawiła się sylwetka ojca, Maurice'a Carlisle'a, z malutkim Olym popłakującym w ramionach.

– Chodźcie na śniadanie, dzieciaki – zwrócił się do Bretta i Nory. – Smażę naleśniki.

Maluchy pobiegły ku drzwiom, a gdy się odsunął, by je przepuścić, na jego ogorzalej twarzy wykwitł uśmiech.

– Przejmuję opiekę.

Zwykle zajmował się dziećmi przed południem, gdy ich mama, Laurel Carlisle, pracowała w kancelarii prawnej w sąsiednim mieście. Harper to nie przeszkadzało. Rodzice nie traktowali ich równo – mama faworyzowała Mitzi, a ojciec zawsze wolał ją. Cieszyła się, że to on spędza w domu więcej czasu.

Reszta poranka złała się w wielką plamę: Harper odprowadziła Bretta i Norę na autobus szkolny, a potem wraz z Mitzi wsiadła do zdezelowanego auta Seta, które, pyrkając, zawiozło całą trójkę do liceum. Seth zaparkował krzywo na dwóch miejscach, po czym ruszył w kierunku grupy obiboków, którzy każdego ranka kręcili się na tyłach szkoły, paląc i przechwalając się, jak świetnie umieją skręcać jointy. Chwilę później ulotniła się Mitzi, powiewając na odchodnym kasztanową czupryną.

Harper wlokła się z przewieszoną przez ramię ciężką torbą. Tłum przed nią rozdzielił się na dwie nitki, omijając w bezpiecznej

odległości ławkę, na której rozsiadło się rodzeństwo Hawthorne'ów. Szerokie ramiona Justina widać było z daleka, a gdy się obrócił, rozbawiony jakimś żartem siostry, cienka niebieska koszulka napięła się na jego mięśniach. Światło poranka zmieniało jasne loki chłopaka w fale płynnego złota, a medalion na nadgarstku lśnił krwistą czerwienią.

Potomkowie założycieli byli w Czterech Ścieżkach adorowani, ale uwielbienie mieszkańców miasta dla Justina wykraczało daleko poza szacunek dla rodu. Chłopak traktował wszystkich bardzo serdecznie, a nielicznych wybrańców poklepywał po ramieniu. Po spotkaniu z nim ludzie odchodzili zdeorientowani, jakby spojrzeli prosto w słońce.

Ale jego wystudiowany uśmiech jedynie wzmagał złość Harper, tak jak osełka wyostrza miecz.

Po swoim wypadku była przekonana, że zawiodła. Ojciec nauczył ją używać innego czasownika: przetrwała. Posłuchała go. Nie miało sensu gniewać się na siebie o to, że nie przeszła Próby. Gniew należał się komuś innemu: Hawthorne'om, którzy po tym, jak wróciła z Szarości bez mocy, zaczęli ją traktować niczym powietrze.

A zwłaszcza Justinowi, który zamiast ją wesprzeć, zdradził ich wieloletnią przyjaźń na rzecz sojuszu z matką.

– Tchórz – mruknęła pod nosem, przeciskając się przez tłum.

Weszła do sali jako pierwsza. Usiadła w tej samej ławce, w której siedziała od początku szkoły, i patrzyła, jak reszta uczniów powoli się schodzi – większość łaskawie zniżała się do tego dopiero po drugim dzwonku.

Ostatni rocznik liceum w Czterech Ścieżkach liczył zaledwie pięćdziesiąt siedem osób. Wszystkie one znały Harper od dziecka, a jednak nie przywitały się z nią, choć czuła na sobie ich wzrok. Lia Raynes i Suzette Langham usiadły przed nią i plotkowały. Przyjaźniły się od dawna, ale ostatnio połączyło je coś więcej i było niemal pewne, że wygrają głosowanie na parę roku do kroniki klasowej. Na prawo od niej usiadł Danny Moore, a obok niego pospiesznie sadowili się Seo-Jin Park i Cal Gonzalez, nie przerywając rozmowy o biegach przełajowych.

Harper przywykła do bycia ignorowaną. Po wypadku szybko zauważyła, że nikt już nie potrafi z nią rozmawiać. Początkowo sądziła, że to z powodu ręki. Nie zdecydowała się na noszenie protezy przedramienia – jej rodziny nie było stać na protezę mioelektryczną, a kosmetycznej nie chciała. Wszyscy wiedzieli, co ją spotkało, więc i tak by się gapili.

Teraz jednak rozumiała, że ich spojrzenia i niezręczne rozmowy wcale nie są związane z ręką.

W Czterech Ścieżkach nikt nigdy nie przeżył w Szarości dłużej niż kilka godzin. Harper wyszła z niej żywa po czterech dniach.

Słyszała pogłoski o tym, że Szarość zmieniła ją na zawsze. Że udało jej się wydostać tylko dlatego, iż zgodziła się na to Bestia, która z założycielki przeobraziła ją w szpiega, potwora w ciele nastolatki.

Oczywiście były to bujdy na resorach. Ale Harper od dawna wiedziała, że niektóre osoby zawsze przedkładają bujdy nad prawdę.

Z udawanym zainteresowaniem przetrząsała zawartość piórnika, gdy w drzwiach stanął Justin. Pół klasy witało go wylewnie, gdy wchodził do sali, jak zwykle w towarzystwie Isaaca Sullivana – swojego cienia nieodmiennie przyobleczonego we flanelową koszulę.

Isaac nigdy się do niej nie przekonał, choć jako dzieci z rodzin założycielskich od początku byli skazani na swoje towarzystwo. Wiedziała, że nie powinna czuć do niego urazy o to, że Justin okazał się nielojalny... A jednak ją czuła.

Nie bez satysfakcji patrzyła więc, jak inni uczniowie wzdrygają się na widok Isaaca. O ile Justin był powszechnie szanowany, o tyle jego przyjaciela po prostu się bano.

Trzy lata wcześniej wpadałaby do klasy w ostatniej chwili razem z nimi, zaśmiewając się z kiepskich żartów Justina. Zastanawiała się, czy udawanie, że są sobie obcy, sprawia mu trudność. Pewnie nie, a w każdym razie nie taką jak jej. W końcu to on zaczął ją ignorować, gdy tylko okazała się bezużyteczna. A to znaczyło, że nigdy mu na niej nie zależało.

Na dźwięk gorączkowych szeptów stłumiła złość i podniosła wzrok. W drzwiach stała nieznajoma dziewczyna, rozglądając się niepewnie w poszukiwaniu miejsca. Harper od razu zaczęła jej współczuć, świadoma, że jedyna wolna ławka to ta przed Isaakiem. Nawet najmniej rozgarnięta osoba w mieście wiedziała, że lepiej tam nie siadać. Ale nowa nie miała wyjścia.

Przeszła przez salę, wpatrzona w pustkę ponad wbitymi w nią spojrzeniami. Harper miałaby ciarki, gdyby to ją tak lustrowali, ale dziewczyna nawet się nie skrzywiła. Nowy uczeń w miejscowym liceum to było coś niesłychanego. Poprzednio do Czterech Ścieżek wprowadziła się Britta Morey i choć zdarzyło się to w drugiej klasie podstawówki, ludzie wciąż uważali ją za obcą.

Pani Langham – ich wychowawczyni i mama Suzette – zaczęła, aż dziewczyna usiadzie, po czym odchrząknęła.

– Witam wszystkich po wakacjach – zaczęła i spojrzała na nową, która właśnie ciskała plecak na podłogę. – Z pewnością nie mogliście się doczekać powrotu do szkoły.

Patrzeli na nią beznamiętnie. Ławka Isaaca na tyłach sali zaczęła dygotać, a jego noga uderzała miarowo o podłogę. Nauczycielka udawała, że nie słyszy.

– Spróbujmy od nowa. Cieszycie się, że zaczynacie swój ostatni rok w liceum?

Tym razem odpowiedziały jej niemrawe oklaski. Nawet Harper musiała się uśmiechnąć. Za rok zostawi to miasto na zawsze i rozpocznie pierwszy semestr na uniwerku dającym najwyższe stypendia – jeśli się uda, może na Uniwersytecie Stanu Nowy Jork w Binghamton albo w Geneseo. Wiedziała, że spora część jej klasy zostanie w Czterech Ścieżkach na zawsze. Nie mogła sobie wyobrazić gorszego losu. Chciała uciec – od rozrastającego się stadka sióstr i braci, od chłodnej pogardy Hawthorne'ów i od miejsca, w którym nigdy nie poradziłaby sobie z brzemieniem popełnionych błędów.

– Moi drodzy – kontynuowała pani Langham – przedstawiam wam nową koleżankę, Violet Saunders. Przyjmijcie ją miło.

Saunders!

Puls Harper przyspieszył, a wokół niej znów rozbrzmiały szepty – tym razem głośniejsze. Wszystkie głowy obróciły się ku nowej, która wbiła niezmacone spojrzenie w ławkę.

Ciekawe, dlaczego jej rodzina wróciła. Harper zachodziła w głowę, po co ktokolwiek miałby wracać do tej miejsciny, nawet jeśli pochodzi z rodu założycieli. Z pewnością Hawthorne'owie nie byli zadowoleni, że wszystkie cztery rody znowu są w grze. Ojciec Harper mówił, że kiedy był dzieckiem, w czasach burmistrza Saundersa, każda rodzina sama patrolowała swój teren. Ale to było, zanim Saundersowie zaczęli się wykruszać, a Sullivanowie uciekli. Teraz na patrole chodzili głównie Hawthorne'owie i Carlisle'owie, a szeryfowa Hawthorne wywyższała się ponad całą resztę.

Pani Langham omawiała indywidualne plany zajęć, wywołując każdego po kolei. W tle wciąż pobrzmiwał stukot ławki Isaaca, jak zwykle ostentacyjnie okazującego brak zainteresowania. Na blacie rozłożył sobie książkę, a podrygujący w rytm jego oddechu stół uderzał w plecy siedzącej przed nim Violet.

W końcu dziewczyna nie wytrzymała.

– Słuchaj no, Nowy Wspaniały Świecie! – rzuciła z furją, chwytając brzeg ławki. Jej głos, melodyjny i silny zarazem, przykuwał uwagę. Harper wiele by dała, by taki mieć. – Mógłbyś łaskawie przestać, zanim zrobisz mi dziurę w plecach?

– Przestać co? – udawał niewiniątko Isaac.

– Walić ławką o moje krzesło – wyjaśniła bez mrugnięcia okiem Violet. – Niektórzy próbują słuchać, a to cholernie rozprasza.

W sali zaległa grobowa cisza. Nikt nie przemawiał w ten sposób do potomków założycieli, a już na pewno nie do Isaaca Sullivana. Zwłaszcza po jego Próbie, w świetle pogłosek o tym, że to przez niego reszta rodziny zniknęła z miasta.

Ławka znieruchomiała, a powietrze przed rękami Isaaca zaczęło migotać. Nowa dziewczyna, Violet, zrobiła wielkie oczy, a Harper przygotowała się na najgorsze. Lia i Suzette chwyciły się za ręce, a Cal i Seo-Jin podnieśli się z krzeseł.

Wtedy Justin Hawthorne przechylił się przez rozproszone światło i położył dłoń na ramieniu Isaaca. Ten spojrzał na niego gwałtownie.

Żaden się nie odezwał – tylko patrzyli na siebie z powagą, a powietrze powoli się uspokajało.

– Chyba robiłem to nieświadomie – mruknął Isaac.

Justin energicznie skinął głową i wrócił na miejsce. Napięcie w sali zelżało.

– Dzięki – odpowiedziała Violet, nie patrząc na Isaaca, lecz na Justina.

Harper wiedziała, co się święci. Chłopak zarzucał na Violet sieć, jak kiedyś na nią. W dzieciństwie, zanim wszystkich zawiodła.

Mogła zrobić tylko jedno. To, co powinna była zrobić dawno temu, gdy zrozumiała, że Justin się od niej odwrócił.

Mogła pozwolić mu odejść.

Odwróciła się. Ciekawe, ile czasu minie, nim Violet zajmie jej miejsce na tyłach sali.

I czy zdrada przyjaciela jest czymś, nad czym kiedykolwiek można przejść do porządku dziennego.

*

Wracając ze szkoły po pierwszym dniu zajęć, Violet zobaczyła przed swoim domem obce samochody. Nowe liceum stanowiło przeciwieństwo tego z Ossining: uczniów było tak mało, że pod koniec dnia kojarzyła już większość swojego rocznika. Mięśnie bolały ją od jazdy rowerem, ale samochód nie wchodził w grę: odkąd auto Rosie staranowała półciężarówka, Violet ani razu nie usiadła za kierownicą.

Prowadziła rower po żwirze podjazdu, marszcząc brwi na widok zgromadzonych aut. Za dużo ich było, by mogły należeć do jakiejś firmy sprzątającej czy przeprowadzającej dezynsekcję.

Za werandy dobiegło ochryple szczekanie i oczom dziewczyny ukazały się dwa olbrzymie mastify przywiązane do gnijącego drewnianego płotka: jeden czarny, drugi w brązowe łaty.

Wyraz ich oczu przywodził jej na myśl chłopaka, który czytał w restauracji, a potem tak wrogo odnosił się do niej w szkole: była

w nich spokojna, bezwzględna pewność, którą przejawiają jedynie stworzenia zbyt groźne, by znać strach. Nie umknęło jej uwagi, że po lekcjach ten chłopak, Isaac, jego kolega Justin i jasnowłosa dziewczyna, tak podobna do tego ostatniego, że musiała być jego siostrą, odbywali na boisku jakąś poważną naradę.

Było coś dziwnego w sposobie, w jaki ich traktowano. Kiedy ci dwaj wchodzili do klasy, wszyscy dosłownie zrywali się z miejsc, by ich powitać. W Westchester największą popularnością cieszyli się sportowcy i przewodniczący samorządu uczniowskiego, którym wróżono świetlaną przyszłość na najlepszych uczelniach. Tych troje traktowano inaczej.

Nie jak królów i królową, lecz jak bogów.

– Dobrze pieski. – Violet oparła rower o przeciwległą ścianę werandy. – Dobrze, wielkie, być może ludożercze pieski.

Otworzyła drzwi, nie przestając zachodzić w głowę, kto chciałby mieć pupila, który pewnie byłby gotów odgryźć właścicielowi rękę, gdyby tylko się na niego pogniewał.

Śladem cichego brzdąkania i swobodnych wybuchów perlistego śmiechu dotarła do salonu, w którym chyba ze dwadzieścia dorosłych osób stało w grupkach, trzymając w rękach kieliszki i kołysząc się w takt muzyki country dobiegającej z ekskluzywnych głośników Juniper.

Dziwna historia. Jej matka nienawidziła imprez. Poza tym przyjechały do Czterech Ścieżek niecały tydzień temu. Jakim cudem zdołała tu zgromadzić tylu znajomych?

Violet podjęła błyskawiczną decyzję: ukryje się w pokoju i nie wyjdzie, póki wszyscy goście nie odjadą. Zanim jednak zdążyła uciec, dobiegł ją pisk, który teoretycznie powinny usłyszeć tylko mastify na podwórzu.

– Violet Saunders! – Jakaś ciemnoskóra kobieta z upiętymi na czubku głowy warkoczami wciągnęła ją do salonu. – To ty, prawda?

Violet z trudem oparła się pokusie skłamania.

– Owszem – powiedziała. – A pani to...?

– Możesz mnie nazywać panią Moore, złotko.

W mgnieniu oka obok nich zmaterializowała się kolejna kobieta, tym razem blada i piegowata. Jej nadgarstki zdobiły dwie niezgrabne kamienne bransolety.

– A ja jestem Mateczka Burnham. Ścisłej mówiąc, Mateczka dla wszystkich, którzy mają mniej niż dwadzieścia pięć lat.

Violet niechętnie uścisnęła jej dłoń. Wścibskie oczka Mateczki taksowały ją beczelnie.

– Jesteś córką Juniper?

Przytaknęła.

– Wyglądasz zupełnie jak ona.

Pierwszy raz w życiu ktoś jej to powiedział. To Rosie była podobna do matki – obie miały niesforne kręcone włosy, okrągłe twarze i szerokie uśmiechy odsłaniające nieco krzywe zęby trzonowe. Violet odziedziczyła po ojcu sztywne proste włosy i skórę nadwrażliwą na światło słoneczne, którym Rosie, chętnie opalająca się podczas rysowania w ogrodzie, nigdy nie musiała się martwić.

Ale Rosie już nie było. Zostały tylko ona i matka.

– Pewnie tak – mruknęła ochryple. – Przyjaźniły się panie z moją mamą?

Pani Moore zachichotała, kiwając głową.

– Na tyle, na ile ktoś taki jak ona mógł się przyjaźnić z kimś takim jak my.

– To znaczy? – nie zrozumiała Violet.

Kobiety wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i pociągnęły po łyku wina.

– Żaden z założycieli nigdy tak naprawdę nie przyjaźnił się ze zwykłymi ludźmi. – W głosie pani Moore pobrzmiwała gorycz, na którą Violet wcześniej nie zwróciła uwagi. Teraz nie słyszała nic oprócz niej. – Zawsze mieliście inne rzeczy na głowie.

– Założycieli? – zdziwiła się.

– Claro. – Mateczka Burnham dotknęła ramienia pani Moore. – Uwierz, Violet, ona nie chciała powiedzieć nic złego o twojej mamie. To nie była jej wina, że wyjechała, zwłaszcza po tej paskudnej historii ze Stephenem.

Stephen. Kolejne imię, które nic jej nie mówiło. Nim jednak zdążyła poprosić o wyjaśnienia, kobiety umilkły jak rażone gromem na dźwięk chłodnego, niskiego głosu.

– Widzę, że plotkujecie na całego. – Podeszła do nich blondynka o imponującej posturze. Równie dobrze mogłaby być królową co ochroniarką. – Nie sądzicie, że naopowiadałyście jej dość bzdur jak na jeden wieczór?

Pani Moore i pani Burnham pospiesznie pożegnały się z Violet i umknęły. Miała wrażenie, że dają jej znaki, żeby nie zadawała dalszych pytań.

– Augusta Hawthorne. – Potężna blondynka wyciągnęła odzianą w rękawiczkę dłoń wielkości głowy Violet.

Dziewczyna bała się, że palce siłaczki ją zmiażdżą, ale dotyk miękkiej, popękanej skórzanej rękawiczki okazał się zaskakująco delikatny.

– Violet Saunders. Chyba poznałam pani syna.

Nawet gdyby Augusta nie zdradziła swego nazwiska, jej podobieństwo do Justina było wyraźne. Te same regularne, atrakcyjne rysy, rumiana cera i rzadkie jasne włosy. Ta sama postawa kogoś, kto oczekuje, że wszyscy wokół będą patrzeć w tym samym kierunku co on. I może tak było, bo Violet nagle poczuła, że kolektywny wzrok uczestników przyjęcia dosłownie wbija się w jej spraną koszulkę.

– No tak. – Przez twarz kobiety przemknęło coś niezidentyfikowanego. – Justin potrafi robić wrażenie.

– Coś w tym stylu.

– Przyszłam się przedstawić. – Otworzyła portfel, ukazując srebrną tarczę z kręgiem czerwonego szkła pośrodku. – Jako szeryf małego miasteczka zachęcam wszystkich, żeby w razie jakichś problemów zwracali się do mnie osobiście.

– To miło – mruknęła Violet.

Ciekawe, jakie problemy miała na myśli matka Justina. Ton, którym wypowiedziała te słowa, wydawał się odrobinę podejrzany.

Nim jednak ta myśl w głowie Violet nabrała kształtów, u jej boku zjawiała się Juniper.

– A, tu jesteś – rzuciła do Augusty, jakby nagle coś zrozumiała. – Przypuszczam, że ten nalot to twój pomysł?

Miałam rację, pomyślała z satysfakcją dziewczyna. To nie matka zorganizowała tę nieplanowaną imprezę. Aż tak nie przepada za towarzystwem.

Augusta przechyliła głowę.

– Uznałam, że to dobry pomysł, i podzieliłam się nim z kilkoma osobami. Wszystkie bardzo chciały się dowiedzieć, co u ciebie.

– Masz na myśli to, że chciały powęszyć w moim domu – prychnęła Juniper. – Jeśli chciałaś wiedzieć, co u mnie, wystarczyło zadzwonić. Miałaś na to trzydzieści lat.

– A ty miałaś trzydzieści lat na to, żeby nas odwiedzić.

Oczy Juniper stały się równie zimne i szkliste jak oczy zawieszona na ścianie głowy jelenia.

– Widzę, że zostałaś stróżem prawa. – Mówiła tym samym jadowitym głosem, którym rozmawiała z nierzetelnymi klientami. – Z pewnością to uwielbiasz.

– A ty zajmujesz się... finansami?

– Produkcją oprogramowania.

– Fascynujące.

Wiedza dwóch kobiet, z którymi Violet rozmawiała wcześniej, pochodziła raczej z plotek niż z doświadczenia. Tu było inaczej. Wyczuwała między Augustą a swoją matką jakąś nieprzyjemną zażyłość, która uświadomiła jej, że Juniper zostawiła za sobą nie tylko to miasto, ale i dawne życie. Ofiarą jej wyjazdu padła Daria, a teraz okazywało się, że prawdopodobnie również pani szeryf.

– Myślę, że się nie pogniewacie, jeśli was opuszczę – rzekła Augusta. – Muszę zajrzeć do psów. W nieznanym miejscu lubią rozrabiać.

A więc mastify należały do niej. Zupełnie to Violet nie dziwiło.

– Nie ma sprawy – odparła Juniper.

– Kim ona dla ciebie była? – zapytała Violet, gdy Augusta się oddaliła.

Juniper nerwowo pociągała za klapę zakietu.

– Najlepszą koleżanką.

Violet wzięła głęboki oddech.

– A Stephen?

Matka zastygła. Muzyka country w tle jakby przycichła, a dziewczyna uświadomiła sobie nagle, że w tym pokoju więcej jest umarłych niż żywych: głowa jelenia na ścianie, wypchane lisy w kącie, gniazdo pełne ptaków na patykach między kanapami.

Wiedziała, że to, co za chwilę powie Juniper, będzie kłamstwem.

– Może jakiś chłopak z miasta? – Matka ostrożnie dobierała słowa.

– Minęło tyle czasu. Nie wszystkich pamiętam.

– Nie wierzę ci.

Nigdy nie widziała matki tak wstrząśniętej i zagubionej.

– Nie tutaj.

Wskazała drzwi.

– Świetnie. Ta impreza i tak mnie wkurza.

U stóp schodów było spokojniej. Juniper nerwowo omiatała wzrokiem brudnoczerwone korytarze, upewniając się, że nikt ich nie podsłuchuje.

– Łudziłam się, że wszyscy zapomnieli, ale najwyraźniej się myliłam.

– Zapomnieli o czym?

Zacisnęła palce na nóżce kieliszka.

– O Stephenie. Moim młodszym bracie.

Violet wyprostowała się jak struna. Nie miała pojęcia, czego się spodziewała, ale z pewnością nie tego.

– Masz brata?

Juniper starannie cedziła słowo po słowie, jak na pogrzebie Rosie.

– Miałam. Zmarł kilka miesięcy przed tym, jak skończyłam liceum.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś – zauważyła Violet mimowolnie oskarżycielskim tonem. – To dlatego wyjechałaś z miasta?

Juniper wzięła głęboki, drżący oddech.

– Tak. Dlatego.

– Plotkujecie? – Daria przykucnęła na półpiętrze jak pajak. W jej oczach odbijało się miodowe światło zakurzonego żyrandola.

– Nie mogę o tym przy niej rozmawiać. – W głosie Juniper pobrzmiwała leciuteńka nutka paniki. – Tylko się zdenerwuje.

– Na razie to ty wyglądasz na zdenerwowaną – zauważyła Daria.
– Skoro Stephen był waszym bratem, to...
– Później – przerwała stanowczo Juniper i ruszyła z powrotem do salonu, wypijając po drodze cały kieliszek wina.

Violet nie poszła za nią. Była zbyt wstrząśnięta, by się ruszyć. Przytłoczona, wypełniona po brzegi nową, potworną wiedzą.

– Nie zbliżaj się do lasu, kosteczko – ostrzegła ją Daria z wymówką w głosie. – Widzę, jak te gałęzie po ciebie sięgają.

Ale Violet ledwie ją słyszała.

Juniper uciekła z miasta po śmierci brata. I uciekała dalej, po śmierci ojca odcinając córki od jego rodziny, a po odejściu Rosie wyrywając Violet z Ossining. Nie obchodziło jej, kogo opuszcza ani kogo krzywdzi.

Z trudem dowlokła się do swego pokoju. W głowie jej pulsowało. Skuliła się na łóżku i wypłakała wszystkie łzy, których zabrakło Juniper. Oplakiwała utraconych ojca i siostrę, a także wujka, którego nigdy nie miała poznać.

Gdy się uspokoiła, na dole panowała cisza.

Violet wytarła twarz kołdrą i zdecydowanym krokiem ruszyła do salonu muzycznego.

Musiała zagrać. Tylko muzyka mogła rozjaśnić jej w głowie i ukoić ból w piersi.

Tym razem nawet nie próbowała zaczynać recitalu. Pozwoliła palcom improwizować, by wyrazić ból, którego nie dało się ująć w słowa, w akordach odbijających się dźwięcznym echem, jakby grała w pieczarze. To było jej życie bez Rosie – te rwane dźwięki grane dla nikogo. W tej chwili oddałaby wszystko – wszystko! – by odzyskać siostrę choćby na chwilę.

Zamknęła oczy i próbowała pokonać tęsknotę, zabić ból. Gdy je otworzyła, nie zobaczyła przed sobą fortepianu.

W jego miejscu pojawiło się pełne szarych, nieruchomych chmur niebo, lśniące niczym matowa stal.



Rozdział 4

Leżała na ziemi twarzą do góry, z rozpostartymi kończynami, niczym porzucona lalka.

Wokół niej we wszystkich kierunkach ciągnęły się popielate pnie i spirale nagich gałęzi wyciągających się ku nieruchomemu niebu. Cały ten czarno-biały świat trwał w kompletnym bezruchu, dwuwymiarowy niczym scenografia: las z kartonu i malowanej sklejki.

Usiadła. Jej plecy przeszył gwałtowny ból. Całe ciało było obolałe – bose stopy, pokryte zrogowaciałym naskórkiem dłonie. Ręce od opuszek palców aż po łokcie miała powalane błotem.

Nie wiedziała, gdzie jest i skąd ten ból. Nie miała pojęcia, jak tu trafiła.

Strach ścisnął ją za gardło, lecz nie paraliżował.

Póki nie zobaczyła ciała.

Groteskowo powykręcane kończyny, odłamki kości wystające w okolicach stawów. Napuchnięta, poszarzała skóra. Na tułowiu regularny półksiężyc z małych dziurek – być może po zębach, choć nie przychodziło jej do głowy żadne zwierzę o tak szerokich szczękach. Z otworów wydobywała się przezroczysta, oleista substancja.

Jedyną oznaką, że to ludzkie zwłoki, była przytwierdzona do piersi srebrna tarcza.

Violet spojrzała w niewidzące, całkowicie odbarwione oczy. Chwilę później zauważyła, że język trupa przegryziony jest na pół.

Wciągnęła tyle powietrza, ile tylko zmieściło jej się w płucach, i krzyknęła. A przynajmniej spróbowała krzyknąć.

To, co wydobyło się z jej gardła, bardziej niż wrzask przerażenia przypominało cichy świst. Krzyk – wysoki i przeszywający – rozbrzmiał dopiero po kilku sekundach.

Zrobiła jedyną rzecz, jaka wciąż miała sens. Uciekła.

Pędziła, aż drzewa, ziemia i zastygłe niebo zlały się w jedno. Płuca bolały, stukot kroków spóźniał się o sekundę. Kiedy opadła z sił, zgięła się wpół i zwymiotowała.

Cokolwiek spodziewała się zobaczyć po podniesieniu głowy, z pewnością nie była to jej siostra, jak gdyby nigdy nic stojąca pod sąsiednim drzewem.

Violet otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Rosie miała na sobie ubranie, w którym zginęła: dzinsy z dziurami na kolanach, pokrytą artystycznymi plamami farby koszulkę bez rękawów i karmazynową sportową kurtkę, gryzącą się okropnie z turkusowymi włosami. W tym dziwnym szarym świecie tylko ona zachowała kolory – w słabym poblasku stalowego nieba wyglądała jak istna feeria barw.

– Rosie? – szepnęła Violet, obezwładniona radością i oszołomieniem. – Gdzie ja jestem? Co to za miejsce?

Gdy ruszyła w stronę siostry, ciało Rosie zaczęło migotać. W końcu stało się tak przejrzyste, że prześwitywały zza niego koślawe gałęzie.

To tylko ułuda.

Miażdżąca świadomość, że Rosie tu nie ma, że być jej tu nie może, bolała Violet bardziej niż widok tamtego zmaltretowanego ciała.

Widmo cofnęło się o krok. Gałęzie nad jego głową kołysały się i pulsowały. Dla kogoś, kto przywykł do chodzenia wszędzie za swoją siostrą, nie ulegało wątpliwości, że i teraz musi za nią podążyć.

Tyle że Rosie była dziwnie odmieniona. Jej ręce i nogi wyginały się pod niewłaściwymi kątami, jakby bardzo się starała wyglądać

ludzko, lecz nie potrafiła.

Przez las przetoczył się głuchy, metaliczny dźwięk, który mógł być głosem.

Wydawały go drzewa.

Tętniące nienaturalnym życiem gałęzie za plecami Rosie sięgały przed siebie, próbując dosięgnąć Violet, która cofała się w narastającej panice. Jedna z tych macek musnęła jej rękę – dziwnie, tak dziwnie, jak dziwna i makabryczna była cała ta matowa zachłanna szarość.

Nie mogę tu umrzeć, postanowiła Violet.

Odwróciła się i już miała pobiec, gdy nie wiadomo skąd dobiegła kakofonia dźwięków przywodzących na myśl zawrodożenie tysiąca dzwonów. Uskoczyła do tyłu... i nagle do świata powrócił kolor. Brązy, zielenie, błękity.

Wokół niej rosły zdrowe, bujne dęby obsypane liśćmi o zabarwionych na delikatny oranż brzegach. Ponad wierzchołki wzbijały się trzy znajome wieżyczki domu Saundersów rozjaśnione słabym różowym światłem świtu.

Wciągnęła w płuca prawdziwe, ożywcze powietrze i zaniosła się spazmatycznym szlochem niewysłowionej ulgi.

Może po prostu lunatykowała, a cała ta historia tylko się jej przyśniła. Ciało, drzewa, Rosie – to przecież nie mogła być prawda.

Gdy jednak spojrzała na swoją dłoń, odkryła, że wciąż ścisnęła w palcach szarą witkę.

*

O świcie mastify Hawthorne'ów, Henry i Brutus, zaczęły szczeleć.

Były zbyt dobrze wytresowane, by robić hałas bez przyczyny. A matka Justina w nocy patrolowała miasto.

Justin zostawił plecak na łóżku i przeskakując po dwa schody naraz, rzucił się do drzwi frontowych. Dobiegł dokładnie w momencie, w którym Augusta otworzyła je od zewnątrz.

Policzek miała posiniaczony, knykcie zdarte do krwi, przytwierdzony do odznaki szeryfa medalion założycielski powalany ziemią.

Ale tym, co naprawdę przeraziło chłopaka, była panika przebijająca spod jej zawodowej obojętności.

Matka nie miała w zwyczaju okazywać strachu, tak jak May nie miała w zwyczaju przyznawać się do błędów.

– Co się stało? – wychrypiał. Psy za jego plecami zawyły ponuro.

Twarz matki stężała.

– Widzimy się w czytelni. Idę po twoją siostrę.

Zniknęła, nim zdążył odpowiedzieć, że za chwilę powinni się szykować do szkoły. Zresztą szkoła przestała mieć znaczenie, odkąd matka stanęła w drzwiach.

Był tylko jeden powód, dla którego mogła zwołać dzieci do czytelni.

Chciała poznać przyszłość.

Matka i siostra czekały już na niego przy porysowanym drewnianym stole – jedynym meblu w tym pomieszczeniu, starszym od wszystkiego innego na ziemi Hawthorne'ów, nie licząc rosnącego w ogrodzie głogu, od którego pochodziło ich nazwisko^[1]. Justin wśliznął się na swoje stałe miejsce naprzeciwko okna, za którym rysowały się niewyraźne kształty konarów napierających na dom.

– Gotowi? – zapytała Augusta.

Nad jej głową wisiał portret Hetty Hawthorne, jednej z założycielek Czterech Ścieżek i protoplastki rodu. Jej rysy dawały świadectwo czystości puli genowej Hawthorne'ów: otoczona jasnymi włosami twarz była pewna siebie, atrakcyjna w swej surowości, okraszona uśmiechem, który przy bliższym wejrzeniu okazywał się ironiczny. Hetty sama namalowała swój portret, podobnie jak talię omenów, która wyszła spod jej ręki półtora wieku temu. Justin był niemal przekonany, że pewnego razu widział, jak kobieta z portretu zakłada sobie za ucho luźny kosmyk włosów.

– Mogę odczytać ci karty, ale wolałabym najpierw usłyszeć uzasadnienie. To ułatwi mi pracę. – Jedyne leciutkie drżenie palców na talii omenów świadczyło o zdenerwowaniu May. Nie każdy

Hawthorne potrafił czytać przyszłość, lecz moc rodu tkwiła w umiejętności przewidywania i zmieniania ruchów korzeni i gałęzi łączących całe miasto, tak jak mocą Carlisle'ów było rzeźbienie w kamieniu, a Sullivanów – niszczący lub uzdrawiający dotyk. Każda rodzina chroniła Cztery Ścieżki na swój własny sposób.

A przynajmniej powinna chronić. Ostatnio chyba nie za bardzo im to wychodziło.

Augusta niechętnie skinęła głową.

– Dziś o świcie komendant doniósł mi o zakłóceniach na granicy. Nie dowierzałam, ale postanowiłam osobiście to sprawdzić. Miał rację. Nie byliśmy jednak przygotowani na konsekwencje.

– Konsekwencje? – wyrwało się Justinowi.

Przez twarz matki znów przemknął grymas strachu, którego próżno było szukać w jej głosie.

– Komendant Anders nie żyje.

Pokój zawirował Justinowi przed oczami, a ciałem wstrząsnął dreszcz. Przed oczami stanęły mu szerokie barki policjanta, cienki wąsik, kabura u pasa. Nie minął tydzień od rozmowy, podczas której komendant ostrzegał go przed niebezpieczeństwem.

Pistolet nie mógł go obronić. Ale Justin może by mógł, gdyby miał moce.

Przepełniało go poczucie winy.

Wciąż pamiętał każdy szczegół swojej Próby. To, jak paliła go dłoń, gdy przeciął nożem jej wnętrze, a potem przycisnął do pnia głogu, by krew mogła spłynąć po korze.

To, jak sekundy mijały, matka i May wierciły się niespokojnie za jego plecami, a on z narastającą rozpaczą czekał, aż coś wreszcie się wydarzy.

Gdy w końcu poczuł, jak drzewo ożywa, i usłyszał cudowne, głębokie bicie jego serca, nie stało się to, na co liczył. Głóg nie pokłonił mu się na znak posłuszeństwa. Zamiast tego w serce Justina wdarła się wielka pustka. Powietrze się rozstąpiło i zagarnęła go Szarość – nieruchome niebo, ciemne, pulsujące drzewa – a on poczuł się mały i bezradny.

Przerażony osunął się na kolana. Głuchy, metaliczny głos syczał mu coś do ucha i choć Justin nie potrafił wychwycić słów, sam fakt, że znalazł się tak blisko Bestii, by słyszeć jej głos, zwiastował niechybną śmierć.

Nie da się walczyć, gdy paraliżuje cię strach.

Tak właśnie postępowała Bestia z ludźmi pozbawionymi mocy. Widzieli i słyszeli tylko to, co ona chciała. Zaczynali wierzyć, że byłoby lepiej, gdyby byli martwi, na długo przed tym, nim rzeczywiście ich zabiła.

Justina uratowała May. Przeciągnęła go na stronę Czterech Ścieżek, nim pożarł go potwór z Szarości, jak przedtem każdego Hawthorne'a, który okazał się niegodny władania mocami.

On wciąż był żywy – przynajmniej w pewnym stopniu.

Ale nie mając mocy, pozostawał bezsilny w walce z rosnącą w siłę Szarością. To przez niego zginęły cztery niewinne osoby.

May wbiła wzrok w stół.

– Przepraszam – wybąkała głosem miękkim jak źdźbło trawy, które można dowolnie giąć.

Augusta wzruszyła ramionami.

– Mnie nie musisz przeproszać. To nie ja zginęłam. – Cisza po jej słowach podobna była do tej, jaka zalega po klapsie lub krzyku. – Czy możemy przejść do czytania?

May odkaszlnęła i pociągnęła nosem.

– Oczywiście, mamo. Proszę o zadanie pytania.

– Kto lub co sprawia, że Szarość rośnie w siłę? – Augusta ostrożnie ważyła każde słowo. – I jak mamy to pokonać?

Kartom nie należało zadawać jednocześnie dwóch pytań, ale ona zawsze to robiła. Gdy tylko skończyła, May przystąpiła do tasowania. Moc przejęła kontrolę i karty jedna po drugiej znikwały, aż wreszcie pozostały tylko cztery.

Rozłożyła je na stole tak, by każde wszystkowidzące oko zwrócone było w innym kierunku. Czytanie z kart wymagało bezpośredniego dotyku, a Augusta nigdy nie zdejmowała rękawiczek, więc May musiała objąć dłonią jej nadgarstek. Drugą ręką matka chwyciła dłoń Justina; chwilę później lekko spocona dłoń May dotknęła jego

wolnej dłoni. Upłynęło niemal pół minuty, nim dziewczyna przerwała krąg.

– Gotowe. – Obracała każdą kartę po kolei. Cienie jej palców rysowały na stole smugi przypominające rozlany atrament, po czym zastygły, gdy zatrzymała dłoń nad ostatnią kartą.

Znów Saundersowie. Tym razem Ósemka Kości. Dwie czaszki złączone nos w nos – jedna beznadziejnie połamana, druga gładka i nienaruszona.

– Jakież to ciekawe – mruknęła Augusta podejrzenie miękkim głosem. – Mów, co widzisz.

Głos May drżał lekko.

– W Czterech Ścieżkach nastąpiło poważne zakłócenie harmonii.

Wskazała pierwszą kartę: Szale Wagi. Hetty Hawthorne namalowała dużą drewnianą wagę z zawieszonymi na szalkach dwiema filizankami. W jednej z nich siedziała w kucki kobieta, w drugiej – mężczyzna.

– Pytałaś, jak możemy powstrzymać ekspansję Szarości – kontynuowała May. – To część odpowiedzi. Oznacza, że w mieście jest coś, co bardzo zaburza równowagę.

– Rozumiem – rzekła Augusta. – Czy zdołamy ją przywrócić?

– Być może. – May zmarszczyła brwi. – Wszystko zależy od Ósemki Kości. Albo pomoże nam wrócić do normalności, albo zmieni wszystko na zawsze.

Augusta postukała paznokciem w policzek.

– A więc to wszystko sprawka Ósemki Kości. Karty Saundersów.

– Wiele na to wskazuje – odparła May. – Ale najbardziej niepokojąca jest ostatnia część. Ponieważ to ty zadałaś pytanie, początkowo pojawienie się twojej karty – wskazała Szóstkę Gałęzi – aż tak mnie nie zdziwiło.

Na karcie widniało młode drzewko, mocno uszkodzone przez uderzenie pioruna. Wokół jego pnia owijały się dwa węże. Justin nigdy nie potrafił ocenić, czy próbują podtrzymać drzewko, czy jeszcze bardziej je zniszczyć.

– Karty często opowiadają nam tę wersję wypadków, która będzie miała bezpośredni wpływ na tego, kto zadaje pytanie, więc

naturalne jest, że karta tej osoby się pojawia. Ale twoja karta jest tu nie dlatego, że zadałaś pytanie. W połączeniu ze Szkieletem... – May umilkła, a Justin uświadomił sobie, że przyczyną jej zwłoki nie była Ósemka Kości.

Chodziło o kartę matki.

– To ci się nie spodoba – ostrzegła.

Augusta uniosła brwi.

– Mów. Sama zdecyduję, czy mi się podoba.

– Dobrze. – Głos May drżał lekko. Justin chwycił jej dłoń pod stołem i ścisnął. Odwzajemniła uścisk. – Szkielet oznacza znaczącą zmianę. Można ją określić jako rozliczenie. W połączeniu z twoją kartą... najogólniej mówiąc, daje odpowiedź na drugie pytanie. Niebezpieczeństwo zagrażające Czterem Ścieżkom ma jakiś związek z tobą.

Augusta wyraźnie pobladła.

– Nonsens. Całe życie stawiam na pierwszym miejscu dobro miasta. Moje dzieci powinny to wiedzieć lepiej niż ktokolwiek.

May wbiła paznokcie w dłoń brata.

– Karty nie kłamią.

– W takim razie źle je czytasz! – Augusta uderzyła pięściami w stół. May wzdrygnęła się i pisnęła cicho. – Spróbuj jeszcze raz.

– Nie ma innego sposobu odczytania – odparła cichutko dziewczyna. – Wiem, że nie to chciałaś usłyszeć. Ale zadałaś dwa pytania, a karty odpowiedziały właśnie tak.

Augusta zniżyła głos do jadowitego szeptu.

– Zginął porządny człowiek. Skąd mam wiedzieć, że ta tragedia nie zakłóciła twoich zdolności czytania w kartach?

Oczy May zaszyły łzami. Justin poczuł ukłucie złości: jego siostra zawsze ubóstwiała matkę. Karanie jej za szczerość było ze strony Augusty niegodziwe.

– Chyba musisz jej zaufać – wtrącił. – Wiem, jakie to trudne, biorąc pod uwagę fakt, że jesteśmy jedynymi osobami w Czterech Ścieżkach, którymi nie możesz manipulować za pomocą swoich mocy.

Augusta prychnęła z furią i wstała, niemal dotykając głową sufitu. Justin przygotował się na obelgi, ale kiedy matka w końcu się odezwała, jej głos był zaskakująco cichy.

– Kiedyś miastem rządzą Saundersowie. My ochramiamy je znacznie lepiej niż oni i zrobię wszystko, by nadal tak było.

Jej wyjściu towarzyszyło wycie mastifów czekających na swoją panią.

Justin wpatrywał się w Ósemkę Kości. Po raz pierwszy dostrzegł przylegające wciąż do pogruchotanej czaszki fragmenty ciała. Ciekawe, co skłoniło Henriettę Hawthorne do malowania tak koszmarnych, ekspresyjnych wizji. Przeniósł wzrok na May, która siedziała z dłońmi splecionymi na kolanach.

– Zналиśmy Andersa od dzieciństwa. – Żyłka na jej czole uwypukliła się niczym korzeń wypychający asfalt. – A teraz... już go nie będzie.

– Dlatego mama jest wściekła, May. Nie chodzi o ciebie.

Pochyliła głowę.

– Wiem.

– Postąpiłaś właściwie. Musiałaś powiedzieć jej prawdę. – Nie był pewien, czy naprawdę tak myśli. Ale jego siostra potrzebowała tych słów.

– Czyżby? – Słabe światło lamp uwydatniało rysy May, póki nie stały się podobne do jej głosu: delikatne i kruche jak kryształowa miseczka balansująca na skraju półki nad kominkiem. – Jestem złym prorokiem. Ludzie giną, krzywdzą się nawzajem albo znikają.

– Wiesz, że chodzi o coś więcej – odparł Justin. – Karty są sprytne. Nie zawsze mówią całą prawdę.

– Mówią dość. – May uparcie patrzyła w pustkę. – Chwilami tego nienawidzę. Swojego daru. Odpowiedzialności. – A potem wyrzekła słowa, które, o czym Justin doskonale wiedział, dusiła w sobie od trzech miesięcy, od dnia swojej Próby. – Nie zrozumiałbyś tego.

Tamtego dnia, gdy tylko May dotknęła drzewa, jego gałęzie ożyły, a sękaty pień pochylił się ku ziemi. Powstrzymując łzy, patrzył, jak cały las przyklęka, odsłaniając połyskującą taflę jeziora za domem Carlisle'ów.

Dzień Próby Justina był najgorszym dniem jego życia, ale dzień Próby jego siostry niewiele mu ustępował.

– Pewnie nie – odparł głucho. – Chętnie posłucham raz jeszcze, jakie to okropne mieć moc.

– Przepraszam. Nie chciałam...

– Wiem – przerwał jej Justin. A ponieważ brak mocy był ostatnią rzeczą, o jakiej chciałby rozmawiać, kontynuował szybko: – May, jeśli istnieje jakaś szansa, że rodzina Saundersów może nam pomóc uratować sytuację...

– Rozumiem – rzekła z powagą May. – Ale mama kazała nam trzymać się od nich z dala. A ona nie robi nic bez powodu.

Justin pomyślał o strachu malującym się na twarzy Augusty. O jej słowach. I o tym, że wpatrywała się w Ósemkę Kości z mieszaniną trwogi i rezygnacji, jak gdyby od początku wiedziała, że rodzina Saundersów jest nierozzerwalnie związana z przyszłością ich wszystkich.

I jakby była gotowa zrobić wszystko, by przekonać innych, że jest inaczej.

Co oznaczało, że sam musiał wybadać, czy istnieje choćby najmniejsza szansa, że Violet Saunders może się Hawthorne'om do czegoś przydać.

1 „Głóg” to po angielsku *hawthorn* (przyp. tłum.).



Rozdział 5

Harper wykonywała właśnie serię ćwiczeń siłowych, gdy nagle dobiegł ją niski, głęboki głos śpiewający wśród drzew.

Znała ten głos i tę melodię. Jej ojciec nucił ją w warsztacie, gdy rzeźbił stróżów w bryłach wysuszonej w słońcu gliny.

Kiedyś każdy dom w mieście mógł się poszczycić stojącymi na progu golemami: posągami, które ożywały na rozkaz właściciela. Zadaniem Carlisle'ów było dostarczanie takiej ochrony wszystkim mieszkańcom Czterech Ścieżek przed każdą równonocą wiosenną lub jesienną, kiedy Szarość była najsilniejsza, a założyciele najsłabsi. Kiedy zacierała się granica między jawą a koszmarem.

Niestety ostatnią osobą, która potrafiła władać golemem, była babcia Harper. Teraz mieszkańcy musieli się zadowolić stróżami, których rzeźbił w swoim warsztacie Maurice Carlisle. Były to słabe podróbki: zawieszane nad drzwiami, sygnalizowały nadciągające niebezpieczeństwo, ale nie potrafiły ożyć i go oddalić.

Ród Carlisle'ów stał się zaledwie cieniem tego, czym był przed laty.

„Pewnego razu dziatwa mała
W leśne ostępy się wybrała...”

W pobliskich krzakach coś zaszeleściło. Ojciec Harper był Carlisle'em w każdym calu: twardym, nieprzejednanym i głośnym. Nawet chodzić nie potrafił bezszelestnie.

Pierwszą reakcją dziewczyny był popłoch. Nie bez powodu kryła się z treningami: nie chciała litości ojca. Jej lewą rękę poniżej łokcia przeszył gwałtowny palący ból. Wiedziała, że tam nic nie ma, wciąż jednak, zwłaszcza w chwilach strachu lub napięcia, doświadczała bólów fantomowych. Zadrżała, chwyciła miecz i dała nura za najbliższe drzewo.

Głos ojca był coraz bliżej.

„Zgubiła się i w Szarość wpadła

By nie powrócić więcej...”

Gdy na skraju polany pojawiła się jego sylwetka, puls Harper przyspieszył. Przywarła do drzewa. Ból ręki stał się tak silny, że jęknęła, straciła równowagę i wypuściła miecz.

Jego uderzenie o ziemię przeszło nocną ciszę niczym wystrzał armatni. Ojciec gwałtownie zamilkł.

– Kto to? – Wsunął dłoń do kieszeni i wyjął ostry srebrny sztylet.

Jeszcze nigdy nie widziała u ojca tak zaciętej miny. Przestraszona, czym prędzej wyskoczyła zza drzew.

– To ja, tato.

Napięcie na jego twarzy ustąpiło miejsca zaskoczeniu. Sztylet zniknął tak szybko, że zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle go widziała.

– Harper? Co ty tu robisz w środku nocy?

Ciężko przełknęła ślinę, aż nazbyt świadoma okrywającej ją matczynej koszuli nocnej, bosych stóp i leżącego w trawie miecza. Zdziwienie ojca zawsze sprawiało, że czuła się jak mała dziewczynka.

– Mogłabym ci zadać to samo pytanie.

Zaśmiał się.

– Wracam z patrolu. Stąd ta nerwowość.

Ale Harper znała na pamięć plan patroli stojący na kuchennym blacie. Od miesiący nic się w nim nie zmieniło.

– Masz dyżur w środy i soboty – zauważyła, krzyżując ręce i otaczając kikut palcami swojej jedynej dłoni. – A zgodnie z rozkładem równonocy zaczniecie chodzić dopiero za półtora tygodnia.

– Przejrzałaś mnie. – Na czubku ojcowskiego nosa zatańczyło światło księżycy. – A ty nie przyszłaś tu z jednym z rodowych mieczy po to, by sobie pospacerować nocną porą.

– Fakt. – To on ją nauczył, żeby nigdy nie wycofywać się z walki, gdy szanse są wyrównane. A wyglądało na to, że każde z nich ma coś do ukrycia.

Zmierzył ją taksującym spojrzeniem. Przez chwilę przestępował z nogi na nogę, poruszając szczęką.

– Czyżbyś trenowała?

W jego głosie nie było litości, której tak się bała. Był w nim niemal... podziw.

Skinęła głową.

W odpowiedzi ojciec posłał jej szeroki uśmiech.

– Powinienem był się domyślić, że nigdy nie przestaniesz. Zawsze lubiłaś szermierkę.

Uniosła dumnie brodę.

– Nadal lubię.

Przyglądał jej się w zamyśleniu.

– Brakuje ci tylko przeciwnika.

Przez moment wyobrażała sobie Justina Hawthorne'a z ostrzem przyciśniętym do szyi.

– Do czasu.

– Posłuchaj. – Ojciec szedł w jej kierunku, aż siwiejące loki przysłoniły księżyc i cała postać zmieniła się w ciemną sylwetkę. Z jego głosu zniknął oceniający ton. Cokolwiek rozważał Maurice Carlisle, najwyraźniej podjął już decyzję. – Naprawdę chcesz wiedzieć, gdzie dziś byłem?

Ona tylko nie chciała zostać przyłapana. Ale to się nie udało, a teraz miała wrażenie, że ojciec po raz pierwszy od lat naprawdę ją dostrzega.

Niczego nie pragnęła bardziej niż jego zaufania.

– Tak.

– Musisz to zachować w tajemnicy.

Próbowała spojrzeć mu w oczy, choć skrywała je ciemność.

– Nawet przed mamą? – zapytała, dręczona narastającym podejrzeniem. – Chyba nie chcesz od nas odejść...?

– Nie! – wykrzyknął z taką zgrozą, że od razu mu uwierzyła. – Nic z tych rzeczy! Chodzi o... coś niebezpiecznego. A poza tym myślę, że możesz to zrozumieć lepiej niż reszta rodziny, po tym jak... po tym, co przeszłaś.

Nie potrafiła powstrzymać goryczy.

– „Po tym, co przeszłam”? – wyszeptała. – Dlaczego nie możesz powiedzieć tego wprost? Że straciłam rękę? Że nie mam mocy?

– A mimo to wciąż walczysz. – Łagodnie, niemal tkliwie ujął jej dłoń. – Ćwiczysz w lesie w środku nocy. A gdybyś miała o co walczyć? Gdybyś musiała naprawdę używać miecza?

– To niemożliwe. – Starła się zachować spokój, nie dopuścić do siebie ani krzty nadziei. – Sam mówiłeś, że ktoś, kto oblał Próbę, jest w tym mieście zerem.

– Zgoda. Istnieją jednak inne sposoby na to, by stać się ważnym.

Prychnęła.

– Chyba nie chcesz zabierać mnie znowu na patrole? Hawthorne'owie w życiu się na to nie zgodzą.

Jego twarz rozjaśnił dziwny uśmiech.

– Fakt. Szeryf i jej rodzina nigdy by na to nie pozwolili. A gdyby to nie oni władali miastem?

Przez całe życie Harper jej ojciec podporządkowywał się woli Hawthorne'ów – babki Augusty, jej ojca, a potem jej samej. Rzeźbił dla nich stróżów. Patrolował. Szkolił swoje dzieci, by mogły im służyć.

A kiedy Hawthorne'owie uznali, że Harper jest dla nich bezużyteczna, poszedł w ich ślady. Teraz jednak zobaczyła, że myliła się, sądząc, iż bezrefleksyjnie wykonywał rozkazy. Podobnie jak w niej, w ojcu systematycznie narastał gniew.

– Mówisz o buncie? – zapytała szeptem.

– Bunt to takie nieprecyzyjne słowo. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Zdecydowanie wolę określenie „zamach stanu”.

Dreszcz podniecenia przebiegł jej po plecach. Był tylko jeden problem.

– Cztery Ścieżki kochają Hawthorne’ów – zauważyła.

Twarz ojca sposepniała.

– Już nie. W nocy mieliśmy wypadek. Komendant Anders zginął w Szarości.

Znała Andersa. Był dobrym człowiekiem – jedną z niewielu osób z biura szeryfa, które nie odwróciły się od Harper po jej oblanej Próbie.

A ona błąkała się po szkieletowym lesie dość długo, by wiedzieć, że to okropne miejsce do umierania.

Wzdrygnęła się.

– Nie. Tylko nie on.

Ojciec pokręcił głową.

– Niestety tak. I będą kolejne ofiary. W Czterech Ścieżkach jest coraz bardziej niebezpiecznie, a Hawthorne’owie nie są w stanie nic na to poradzić. Postanowiłem więc wziąć sprawy w swoje ręce. Dlatego wyszedłem w nocy.

– A konkretnie?

Światło księżycy przesunęło się na policzek zamyślnego znów Maurice’a.

– Tato – rzekła stanowczo dziewczyna. – Obiecałeś, że mi powiesz.

– Czy nie wystarczy ci wiedza, że zajdą zmiany?

Nie wystarczyła.

Harper od trzech lat w milczeniu czekała na zmiany. Przestała wierzyć, że ktoś inny zabije jej demony. Poza tym, jeśli ktoś miał obalić rządy rodziny, która zmieniła jej życie w piekło, to tym kimś chciała być ona.

Zbyt długo ją ignorowano.

– Nie – odparła. – Cokolwiek robisz, chcę w tym uczestniczyć.

– Nie wiesz, o co prosisz.

– Wiem dość. – Podniosła miecz i zatoczyła nim płynny ruch. Ojciec zrobił wielkie oczy. – Co jeszcze może mi zrobić to miasto?

Maurice Carlisle westchnął i pokręcił głową. Harper triumfowała.

– No dobrze. Oddałabyś nam przysługę, zaprzyjaźniając się z dziewczyną od Saundersów. Może stać się dla nas ważną sojuszniczką.

Harper przypomniała sobie, jak Violet patrzyła w szkole na Justina.

– Hawthorne'owie już nad nią pracują.

– Wiem – przyznał Maurice. – Ale ona nie ma pojęcia o swoim dziedzictwie. Gdy byłem mały, Carlisle'owie i Saundersowie trzymali się razem. Wkrótce będzie jej potrzebna pomoc. Chcę, żeby otrzymała ją od ciebie.

Ciepło wypełniło serce Harper na myśl, że ojciec zaliczył ją do Carlisle'ów. Zaraz jednak pomyślała o rodzeństwie, które w odróżnieniu od niej miało moce.

– Czy Mitzi lub Seth nie byliby lepsi?

– Mitzi i Seth nie wiedzą o możliwościach Hawthorne'ów tyle co ty. Pokaż jej, że Cztery Ścieżki nie należą do jednego rodu!

Jego głos przepelniała taka nienawiść, że Harper nawet przez moment w nią nie wątpiła. Nie miała pojęcia, jakim cudem ojcu tak długo udawało się ją ukrywać.

Nie była natomiast pewna, czy potrafi się zbliżyć do Violet. Ale jeśli miało to pomóc w obaleniu Hawthorne'ów, musiała spróbować.

– W porządku.

Maurice skinął głową.

– Uznaj to za próbę. Jeśli ją przejdiesz, zabiorę cię na spotkanie z pozostałymi.

– Z pozostałymi? – powtórzyła. – To ilu was jest?

Ojciec zacisnął palce na rękojęści sztyletu.

– Dość, by dokonać zmiany.

*

Violet zniknęła na całą noc, a Juniper nawet tego nie zauważyła. Rankiem, gdy dziewczyna wyszła spod prysznicza po długiej kąpieli,

matka powitała ją zdawkowym skinieniem głowy i podreptała do swojego pokoju.

Mocno pedałując w drodze do szkoły, starała się nie żywić urazy. I tak nie zamierzała opowiadać matce o tym, co ją spotkało. Gdyby tylko spróbowała opisać wydarzenia ostatniej nocy, Juniper z pewnością uznałaby, że coś poprzestawiało jej się w głowie jak Darii.

Poza tym istniała szansa, choć niewielka, że to wszystko było jedynie koszmarem.

Już pierwsze sekundy po wejściu do sali rozwiały tę nadzieję. Ledwie przekroczyła próg, wyczuła, że coś się stało. Wszyscy milczeli – tylko od czasu do czasu gdzieniegdzie rozlegał się szept. Miejsce Justina Hawthorne'a było puste, a Isaac wyglądał na całkowicie zatopionego we własnym świecie. Nawet nie czytał – po prostu gapił się w ławkę.

– Proszę o chwilę uwagi – odezwała się ochryple pani Langham. Nos i policzki miała lekko zaróżowione. – Większość z was pewnie już wie, że ostatniej nocy w tragicznym wypadku zginął komendant policji Frank Anders.

Odpowiedziały jej pomruki i kiwanie głowami. Violet omal znów nie wymiotowała.

Ciało w Szarości musiało należeć do Franka Andersa. Widziała odznakę na piersi.

A to znaczyło, że była w tym lesie razem z nim – oraz z tym, co go zabiło.

– Muszę wam przypomnieć, że las bywa niebezpieczny – kontynuowała nauczycielka, ale ona już jej nie słuchała.

Zerwała się z miejsca, z hukiem przewracając krzesło, i wybiegła z klasy. Jej kroki odbijały się głośnym echem na pustych korytarzach. Nigdy w życiu nie wagarowała i bardzo rzadko opuszczała lekcje, ale tym razem nie wytrzymałaby w szkole ani chwili dłużej.

Zatrzymała się na skraju parkingu. Za plecami miała liceum. Przed sobą – nieprzenikniony gąszcz wysokich dębów, których długie cienie kończyły się u jej stóp.

Nie miała wyboru: musiała wejść do lasu.

Mrugnęła i drzewa stały się czarno-białe. Mrugnęła raz jeszcze – i zobaczyła niewidzące oczy Andersa.

Jęknęła i zacisnęła powieki, lecz pod nimi czekał już półprzezroczysty obraz Rosie i gałęzie pochylające się ku nim obu.

– To nie jest prawdziwe – szepnęła. – Nie i już.

– Co nie jest prawdziwe?

Zza pleców Violet dobiegł miękki, łagodny głos.

Obróciła się gwałtownie gotowa do ataku. Ostatnia noc zszargała jej nerwy.

Ale stojąca za nią dziewczyna nie wyglądała na kogoś, kto mógłby jej zagrozić. Niska, harmonijnie zbudowana, przypominała porcelanową lalkę z powiekami pomalowanymi w „kocie oko”. Jej lewa ręka urywała się na wysokości łokcia, a płatanina ciemnych loków sięgała pasa.

Pamiętała tę dziewczynę z klasy. Krew uderzyła jej do twarzy na myśl, że tamta widziała jej załamanie.

– Po co za mną przyszłaś?

W ciemnych, sarnich oczach dziewczyny zamajaczyło coś, co mogło być litością.

– Uciekłaś – powiedziała. – Wydaje mi się, że wiem, przed czym.

Violet wyduła usta.

– Może po prostu mi się nudziło.

– Pani Langham mówiła, że ktoś umarł, a tobie się nudziło? – Rozmówczynie próbowała dodać jej otuchy uśmiechem, lecz Violet zauważyła jedynie jej mocno ściągniętą skórę. – Jakoś mi się nie wydaje, żebyś była tak nieczuła.

Violet wzięła głęboki, drżący oddech.

– W takim razie może się zdenerwowałam. Nie lubię śmierci. Wystarczy?

– Nikt jej nie lubi – zauważyła dziewczyna. – Ale ty dopiero się tu wprowadziłaś. Nawet go nie znałaś.

– A ty tak – burknęła Violet. Nie podobał jej się kierunek, w jakim to wszystko zmierzało. – Dlaczego więc po nim nie rozpaczasz?

Dziewczyna wbiła wzrok w las za plecami Violet. W jej ciemnobrązowych oczach odbijały się sylwetki drzew.

– Owszem, rozpaczam. – Głuchy głos brzmiał, jakby dobiegał z oddali. – Doskonale wiem, jak zginął, Violet. Kości wystające przez skórę. Białe oczy. Szara skóra. To nie są rzeczy, o których chce się głośno mówić. Pewnie myślisz, że mam coś z głową, co?

Dłonie Violet pokryły się zimnym potem, a w gardle tak ją ścisnęło, że z trudem oddychała.

Kimkolwiek była ta dziewczyna, ona też widziała ciało.

– Skąd możesz to wiedzieć? – wykrztusiła.

Jednoręka zrobiła krok do przodu. Jej drobną sylwetkę wchłonęły cienie drzew.

– Byłam w Szarości. I wygląda na to, że ty też.

Violet nie miała wątpliwości, o czym mowa. „Szarość” była idealnym określeniem na te bezbarwne drzewa i ociążałe niebo.

– Skąd wiesz, że byłam w... tym miejscu?

– A nie byłaś?

– Byłam – odparła Violet i poczuła wielką ulgę. – Ten las. On jest... tu. W tym mieście.

– I tak, i nie – odparła enigmatycznie dziewczyna. – Na pewno jest prawdziwy. I na pewno znajduje się w Czterech Ścieżkach. Ale nie tu. – Lekceważąco machnęła w kierunku drzew. – Większość ludzi nie wychodzi stamtąd żywa. Miałaś szczęście.

– Mam rozumieć, że ty też?

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Ja nie. – Wyciągnęła rękę. Violet ją uścisnęła. Nie uszło jej uwagi, że naskórek jest zaskakująco twardy. – Harper Carlisle.

– Czy muszę się przedstawiać?

Harper odpowiedziała uśmiechem – tym razem szczerym.

– Nie. Wszyscy w mieście wiedzą, kim jesteś.

Umysł Violet kipiał od pytań, lecz pierwsze, które wydostało się z jej ust, zaskoczyło ją samą.

– Jakie zwierzę potrafi w ten sposób zabijać?

Harper wbiła wzrok w las, a jej głos stał się odległy i senny. Gałęzie przestały szeleścić, jakby wyteżały słuch.

– To nie zwierzę.

– Więc co?

– Myślę – powiedziała Harper, nie patrząc na nią – że większość ludzi użyłaby słowa „potwór”.

Dzień wcześniej Violet przewróciłaby oczami i odeszła.

Ale nie teraz. Teraz przesunęła się tak, by widzieć twarz Harper, i z wielką starannością sformułowała następne pytanie.

– A ty jakiego słowa byś użyła?

Niezmacony wyraz, który malował się na twarzy Harper na początku ich rozmowy, ustąpił miejsca grymasowi bólu, jaki Violet widywała dotąd jedynie w lustrze.

– Nie wiem. Nie zajmuję się nazywaniem rzeczy, których nigdy nie widziałam na własne oczy.

– Dlaczego tu za mną przyszedłeś? – Nagle odpowiedź na to pytanie wydała jej się bardzo ważna.

Harper spojrzała jej w oczy.

– Bo nikt, kto w ten sposób wybiega z klasy, nie powinien pozostać sam.

Kłamała. Violet była o tym absolutnie przekonana.

– Masz jeszcze jedną próbę.

Harper się skrzywiła.

– No dobrze. Dlatego, że... wczoraj widziałam, jak rozmawiasz z Justinem. A Hawthorne'owie rozmawiają z kimś jedynie wtedy, kiedy uważają, że ten ktoś może im się do czegoś przydać. Postanowiłam cię ostrzec, że reszta miasta to tylko pacholki w ich rękach. Nawet jeśli udają, że jest inaczej.

Violet pamiętała, jak patrzyli na Justina wszyscy w szkole. I jak ci wszyscy dorośli patrzyli na jego matkę.

Ich uwielbienie było całkowitym przeciwieństwem zimnej furii przebijającej z głosu Harper. Niezależnie od tego, czy dziewczyna mówiła prawdę, z pewnością wierzyła we własne słowa.

– Co oni ci zrobili? – zapytała cicho Violet.

Dęby nad ich głowami zaszeleściły. Harper zaplatała włosy drżącymi palcami.

– Mogę tylko powiedzieć, że kiedy się ze mną przyjaźnili, wciąż miałam obie ręce.

Po tych słowach odwróciła się i odeszła szybko.



Rozdział 6

Gdy po szkole wróciła do domu, zastała Darię siedzącą na werandzie. Ciotka najspokojniejsza była w swoim starym bujanym fotelu, z nieodłącznymi szklanymi drutami do robótek poruszającymi się rytmicznie, gdy powoli rozwijała kłębek karmazynowej włóczki. Zwykle towarzyszył jej jedynie skulony na podłodze Orfeusz – tym razem jednak obok niej na przywleczonym z kuchni krześle siedziała Juniper, machając drugą parą drutów.

Violet na moment przystanęła u stóp werandy, próbując ogarnąć umysłem zastaną scenę.

– Uczysz się robić na drutach? – Jej słowa zabrzmiały nieco sztucznie. Odkąd dowiedziała się o Stephenie, prawie nie zamieniła z matką słowa.

– Próbuję ją uczyć – sprostowała z urazą Daria. – Ale ona nie potrafi się skupić dostatecznie długo, by zrobić choć jedno oczko.

Juniper zmarszczyła brwi w ten sam sposób, w jaki Violet robiła to pod adresem Rosie, gdy ta próbowała rozstawiać ją po kątach. Na twarzy matki mina ta wyglądała zbyt młodzieńczo, zbyt nieprofesjonalnie.

– Zawsze mi powtarzałaś, że jestem niecierpliwa. – Juniper miała na sobie buty na obcasach i eleganckie spodnie, jak w Ossining, ale

jej bluzka była pognieciona, a włosy niedbale zatknięte za uszy.

– Nigdy nie nauczyłaś się cierpliwości, June – potwierdziła Daria tonem raczej czułym niż złośliwym. – Ale wciąż masz czas. Kamienie jeszcze po ciebie nie przyszły.

Poklepała po ramieniu siostrę wpatrującą się bezradnie w płataninę włóczki między drutami.

– Kamienie. Po mnie. Co też ty opowiadasz? – Juniper przeniosła wzrok na Violet. – Możesz jej chwilę popilnować? Muszę wysłać kilka maili.

Violet skinęła głową. Matka błyskawicznie się ulotniła, pozostawiając na krześle splątaną włóczkę.

Daria spojrzała na dziewczynę.

– Znasz się na robótkach?

Violet oparła rower o płótek werandy.

– Nie.

– Szkoda – stwierdziła Daria. – Masz sprawne dłonie.

Violet poruszyła palcami.

– To od fortepianu.

– Tak. Przypominasz mi Stephena. – Przez twarz Darii przemknął cień uśmiechu. – On też był muzykiem.

Choć Juniper przestrzegała ją przed denerwowaniem ciotki, Violet postanowiła zaryzykować. Weszła po skrzypiących schodach i stanęła na ganku obok Darii.

– Tak? Na czym grał?

– Na fortepianie – odparła bez wahania ciotka. – Dlatego Juniper i Marcus chcieli, żebyś i ty grała. Na jego cześć.

Marcus. Jej ojciec, Marcus Caulfield.

Od dawna nie słyszała jego imienia. Wzmianka o nim wywołała nagły przebłysk wspomnienia: ciemne włosy, gromki, dźwięczny śmiech, muskularne ramiona unoszące ją z ziemi i przytulające.

Cały ten obraz przemknął przez jej umysł w ciągu jednego uderzenia serca, pozostawiając tęsknotę za obiema połówkami rodziny. Nigdy nie czuła się tak odległa od ojca, którego nie zdążyła dobrze poznać – ani od matki, choć obie przebywały teraz razem w jej rodzinnym mieście.

– Nie wiedziałam, dlaczego zapisali mnie na fortepian – przyznała cicho.

Daria wzruszyła ramionami.

– June zawsze miała kłopot z wyrażaniem swoich myśli. Ale pewnie chciała ocalić jakąś część Stephena.

– Co się z nim stało? – zapytała Violet. – Czy to miało jakiś związek z Szarością?

Druty Darii zastygły w bezruchu.

– Chodź tu – poprosiła łamiącym się głosem. Violet podeszła do niej z bijącym mocno sercem. Daria ujęła jej dłoń w obie swoje. – Och, Violet. Czuję, że umrzesz w czepku.

Ciarki przebiegły dziewczynie po plecach. Zaraz jednak westchnęła z rezygnacją. Powinna była wiedzieć, że Daria tylko na chwilę odzyskała rozum. Ta chwila najwyraźniej minęła. Ciotka niczego jej nie powie.

– W takim razie będę unikała nakryć głowy.

Daria puściła jej dłoń.

– Kiedyś zapomnisz. W Czterech Ścieżkach wszyscy zapominają.

Violet ponurym wzrokiem lustrowała wnętrze własnej dłoni. Przez werandę przetoczył się nagły podmuch wiatru – miła odmiana od wrześniowego upału.

– Zaglądałaś do lasu, kosteczko? – zapytała Daria ledwie słyszalnym głosem. – To jedyna część miasta, która naprawdę się liczy.

Violet spojrzała na nią gwałtownie.

– Co?

Ale drzwi już się otwierały. Stała w nich Juniper z telefonem w ręku.

– Sygnał ledwie dycha.

Violet słyszała ją jak przez mgłę.

„Zaglądałaś do lasu, kosteczko?”

Obróciła się w stronę drzew.

Myślała o tym, co mówiła dziś o lesie Harper, i o bólu malującym się na jej twarzy.

To miejsce rządziło się dziwnymi prawami, które Violet dopiero zaczynała odkrywać. Jeśli chciała poznać je lepiej, z pewnością nie miało sensu udawać, że nie dostrzega anomalii.

– Będę w ogrodzie. – Zbiegła ze schodków i pognęła za dom.

Wypierając z głowy wspomnienie ducha Rosie i zwłok komendanta Andersa, pobiegła w stronę wysokich drzew – jedynych świadków jej skromnej odwagi.

Wszystko wyglądało dość zwyczajnie: kasztanowe pnie dębów pochylających się ku sobie jak rozgadani przyjaciele, ćwierkające w koronach ptaki, skropione zielenią promienie słońca. W żołądku Violet wzbierał jednak niepokój.

To, że był dzień, nie znaczyło, że nie może się wydarzyć nic złego.

Usłyszała brzęczenie owadów – jednostajny, ociężały dźwięk przypominający warkot śmigła. Wydające go stworzenia wisiały niczym atomowy grzyb nad jakimś bezwładnym futrzakiem leżącym u stóp drzewa. To musiał być zdechły szop lub opos.

Zmarszczyła nos. Już miała się odwrócić, gdy dostrzegła skrawek karmazynowej włóczki. Chwilę trwało, nim jej mózg poskładał wszystko w całość. Znieruchomiała jak las wokół niej, niezdolna się poruszyć ani odwrócić wzroku.

Między korzeniami, smażąc się wolno w palącym słońcu, leżał Orfeusz. Głowę miał nienaturalnie obróconą, oczy na szczęście zamknięte. Na jego szyi połyskiwała krew.

Świat przed oczyma Violet zawirował. Zachwiała się, oparła dłonią o najbliższy pień i próbowała zwymiotować. Nie udało się, co bynajmniej jej nie pomogło. Nie przestając się trząść, raz jeszcze spojrzała na zwłoki. Na skraju pola widzenia coś się poruszyło, jakby kot machnął ogonem.

Wydawało się niemożliwe, by wciąż żył, ale na wszelki wypadek musiała to sprawdzić.

– Biedaku – szepnęła, zmuszając się, by podejść do kota. Chciała poszukać pulsu, ale wystarczył przypadkowy dotyk zeszywniałej prawej łapki.

Owładnęło ją nagłe poczucie straty. Czuła się wyczerpana, jakby przebiegła parę mil. Cofnęła rękę.

Kot bez wątpienia był martwy.

Już miała się odwrócić i pobiec do domu, zastanawiając się, jak wytłumaczyć swoją nieobecność, gdy przez dziurę w dżinsach otarło się o jej nogę coś miękkiego.

Orfeusz trącał ją głową i mruzczał. Unoszące się nad nim owady odleciały w gąszcz.

Violet wydała zdławiony okrzyk i zatoczyła się do tyłu na drżących nogach. To niemożliwe! A jednak: miejsce, w którym przed chwilą leżał kot, było puste.

Wzięła się w garść, przyklęła, ostrożnie wyciągnęła rękę i czekała, aż zwierzak przydrepcze.

Pogłaskała go po łebku. Futerko miał miękkie i gładkie. Wydawał się zupełnie rzeczywisty, choć bardziej przyjazny niż dawniej. Szturchnął noskiem wewnątrz jej dłoni, mruzcąc cicho. Violet odrobinę się odprężyła. Może to, co widziała wcześniej, było jakąś straszną halucynacją.

Tak jak Rosie.

Mózg po prostu płatał jej figle: połączył ostrzeżenie Darii z wcześniejszą nocną wizytą w lesie.

Już miała wstać, gdy jej palce trafiły na coś kleistego na szyi kota. Cofnęła dłoń i wbiła wzrok w krew na opuszkach.

– Ty nie żyjesz. – Odsunęła się od Orfeusza. Jej głos był ochrypły i bezbarwny, jakby wypuszczała powietrze z balonu. Czowała się związana z kotem niewidzialną nicią, a może pętlą, jak gdyby po dotknięciu go bezpowrotnie utraciła fragment siebie na rzecz czegoś nowego. – Kurwa. Nie żyjesz.

Na skraju pola widzenia pojawiła się znajoma sylwetka o jasnych włosach.

– Mylisz się – powiedział Justin. Stał na drugim końcu polany z twarzą bladą jak ściana. – Nie żył, ale teraz żyje. Dzięki tobie.

Wciąż oszołomiona, zrobiła kolejny chwiejny krok w tył.

– Nie rozumiem.

Chłopak zmarszczył brwi.

– Violet...

I nagle las za jego plecami otworzył się jak ziewające usta. Sztywne białe chmury pożerały błękitne niebo. Violet skuliła się, obezwładniona trwogą. Kończyny miała jak z ołowiu. Przez moment słyszała wysoki, metaliczny głos, wyrzucający z siebie niezrozumiałe słowa; ledwie jednak uświadomiła sobie jego obecność, zamilkł.

Oddech zamarł jej w gardle. Znow była w tym strasznym, bezbarwnym miejscu, które Harper nazwała Szarością.

I tym razem zabrała tam ze sobą Justina Hawthorne'a.

*

Justin przez większość dnia szukał okazji do wyrwania się z domu. Matka kazała mu i May uspokajać mieszkańców miasta, ale kiedy po południu pojechała do biura, wykorzystał okazję i przystąpił do realizacji własnych planów.

Nie spodziewał się, że będzie świadkiem używania przez Violet mocy – mocy ożywiania umarłych, jasno dowodzącej, że gadanie Augusty o „martwej gałęzi rodu” było bezczelnym kłamstwem.

Z całą pewnością nie spodziewał się również tego, że oboje wpadną w Szarość.

May nie myliła się w odczytaniu kart przynajmniej pod jednym względem: równowaga była poważnie zaburzona.

Co i tak niewiele go już obchodziło, skoro za chwilę miał umrzeć.

Strach ścisnął go za gardło, gdy zielona gęstwina ustępowała miejsca tym samym martwym drzewom, które widział w dniu swojej Próby. Stał wraz z Violet na początku drogi, po której obu stronach ciągnęły się budynki – prowizoryczne konstrukcje z cegieł i drewnianych bali, idealnie utrzymane w gamie szarości. Gdzieś tam ceglane mury się zapadały, a jeden z drewnianych dachów miał pośrodku byle jak załataną dziurę. Wydobywający się z komina dym zastygł w pół drogi.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytała Violet ostrym, oskarżycielskim głosem, który odbijał się głuchym echem. – To twoja sprawka?

– Moja? Skąd! – Dziwnie było najpierw wypowiadać słowa, a dopiero po chwili je słyszeć. Justin próbował się skupić i przypomnieć sobie wszystko, co wie o Szarości.

Wiedział jednak głównie to, że jeśli ktoś do niej trafił, najprawdopodobniej już nie wyjdzie.

– Więc dlaczego...? – szepnęła dziewczyna, opuszczając ramiona i zaciskając zęby.

Rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia.

– Jak się stąd wydostać? – zapytała z wymalowanym na twarzy przerażeniem. Szarobiały budynek za jej plecami na przemian rozpływał się w powietrzu i powracał niczym zanikający sygnał wi-fi.

Justin był zwarty i gotowy do biegu – tyle że nie miał dokąd biec.

– Nie wiem – odparł, siląc się na spokój. – Większość osób, które znalazły się w Szarości...

– Umiera jak Frank Anders, co? – dokończyła za niego ponuro. Odgarnęła włosy z twarzy, pozostawiając na czole smugę kociej krwi.

Justin ukrył zaskoczenie. Dziewczyna najwyraźniej wiedziała więcej, niż sądziła Augusta.

– Tak.

W głowie rozbrzmiał mu głuchy, metaliczny odgłos, który mógł być śmiechem. Obrócił się odruchowo roztrzęsiony, ale nic nie zobaczył.

– Też to słyszałeś? – szepnęła.

Przytaknął.

– Wynośmy się stąd. – Wskazała na granicę drzew, gdzie Szarość zaczynała migotać.

W miarę jak zza migotania wyłaniał się kształt, Justin przypominał sobie tamte ciała.

Wybielone oczy. Ślady ugryzień na kończynach. Wykrzywione bólem opuchnięte twarze.

Trwoga była tak namacalna, że mógłby wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Oto ona – śmierć, której zdołał się wymknąć podczas Próby

– upomniała się o niego.

Ale postać, która migotała na skraju lasu, nie była Bestią.

To był Isaac. Ramiona miał szeroko rozwarte, dłonie rozświetlone. Koniuszkami palców rozdzierał szarość, tworząc wielką wyrwę. Za jego plecami rozpościerały się rozkołysane gałęzie kasztanowych dębów z Czterech Ścieżek.

Justin nigdy nie był mu bardziej wdzięczny.

– Będziecie się tak gapić? – zawołał Isaac. – Długo nie wytrzymam!

Spocone loki przywierały mu do czoła, a ramiona drżały od wysiłku odpychania Szarości.

Violet pędem ruszyła ku wyrwie. Justin próbował pójść w jej ślady, lecz powstrzymał go metaliczny głos w głowie, tym razem głośniejszy i bardziej uparty.

I wyraźniejszy.

Chłopak zastygł w bezruchu, przerażony myślą o biegu przez ten las. O tym, że Bestia upoluje go i zabije.

„Zawiodłeś swoją rodzinę – mówił głos. – Zawiodłeś swoje miasto. Nawet Isaac się ucieszy, gdy znikniesz. Przynajmniej nie będzie musiał się o ciebie martwić”.

– Cholera – mruknął Justin. Tak właśnie postępowała Bestia: wdzierała ci się do głowy i mówiła, że jesteś bezużyteczny. Że jesteś nikim. – Pieprzysz.

„Czyżby? – Głos wydawał się niemal rozbawiony. – Okłamałeś wszystkich, Justinie Hawthorne. Ale mnie nie okłamiesz. Nie w jej sprawie”.

I nagle Justin znów znalazł się nad jeziorem. Przed nim stała matka w towarzystwie nieodłącznych mastifów, za nim Harper. Na twarzy Augusty malował się strach.

Tamtego dnia wybrał lojalność wobec rodziny, a nie Harper, bo Hawthorne'owie zawsze stawiali na pierwszym miejscu swoich bliskich.

Ale choćby nie wiem jak się starał, nie potrafił się pozbyć poczucia winy.

„Właśnie. Zdradziłeś ją – przytaknęła Bestia. – I zasługujesz na karę”.

Czyjaś ręka chwyciła go pod pachami i podniosła.

Chwilę trwało, nim się ocknął. Wciąż przebywał w Szarości. I wciąż żył. Violet jednak go nie zostawiła.

– Pomóż mi – wydyszał, wspierając się na jej kościstym ramieniu. Była silniejsza, niż się wydawała. – Sam nie dam rady.

– Hej! – wrzeszczał Isaac. – Co ty tam robisz? Podziwiasz widoki?

I oto – tak jak przepowiedziała May – znaleźli się obok siebie: Piątka Kości, Ósemka Gałęzi i Trójka Sztyletów.

– Zauważyłam! – sarknęła Violet w odpowiedzi na prośbę Justina.

Krok po kroku, olbrzymim wysiłkiem wykuścili razem z Szarości i padli bez tchu na zieloną trawę Czterech Ścieżek.

Justina jednak nie przestawało gnębić poczucie, że wszystko, co mówił mu ten głos – głos Bestii – było prawdą.



CZEŚĆ DRUGA

SPLĄTANY KORZEŃ



Rozdział 7

Krew i brud spływające z ciała Violet tworzyły w odpływie prysznica Hawthorne'ów rdzawy kalejdoskop. Zrobiła, co mogła, by zmyć z siebie grozę minionych godzin, ale prawdy nie dało się wypłukać.

Ożywiła trupa.

Wróciła do Szarości.

I tylko dzięki wysiłkom chłopaka, który do tej pory okazywał jej wyłącznie wrogość, zdołała się wydostać.

Włożyła niedopasowane białe dzinsy pożyczone od May, siostry Justina, i stanowczo za dużą koszulkę drużyny biegowej Czterech Ścieżek śmierdzącą ogniskiem i męskim dezodorantem.

Zapach był okropny, ale jej własne ubranie nie nadawało się do noszenia.

Nie potrafiła przestać myśleć o chwili słabości Justina.

Mogła go zostawić w Szarości, oddać na pastwę bezlistnych popielatych drzew. Harper ostrzegła ją przed Hawthorne'ami. Ratując chłopaka, Violet podjęła ważną decyzję: sama będzie decydować o swoich sojuszach.

Od chwili, w której Orfeusz podniósł się z ziemi, nie potrafiła odpędzić od siebie jednej natrętnej myśli: skoro ożywiła kota, dlaczego nie miałyby ożywić Rosie?

Nie mogła zrezygnować z prób dowiedzenia się, jak tego dokonać, wyłącznie z powodu ostrzeżeń jednej osoby. Pozwoliła więc zaprowadzić się do domu Hawthorne'ów i wysłuchać, co mają do powiedzenia Justin i jego siostra.

Rodzeństwo poprosiło, żeby po kąpieli przyszła do czytelnicy. Ale kiedy otworzyła drzwi, pokój był pusty. Rozejrzała się. Ku swemu zdziwieniu nie dostrzegła tam ani jednej książki. Na półkach stały różne drobiazgi ułożone w sposób świadczący o tym, że właściciele przywiązują do nich dużą wagę. Spetryfikowana gałąź leżała obok niewiarygodnie realistycznej rzeźby królika. Złamany sztylet – obok połyskującej srebrno w przyćmionym świetle zakurzonej karty z wizerunkiem smutnego błazna i podpisem: Głupiec.

Jedynym meblem w pomieszczeniu był wysłużony stół stojący przy oknie.

Uwagę Violet przykuł wiszący na ścianie oprawiony plakat z wykaligrafowanym tekstem. *Dziedzictwo Założycieli* – głosił tytuł. Dalsze słowa przypominały poezję.

Gałęzie w Lesie płaczą się i rosną. Od Nich się dowiesz, gdzie zapuszczać Korzenie i karczować, co Niezgodne.

Sztylety, ich Sprzymierzeńcy, Przywódcy brakiem osłabione, Ręce w Powietrze unoszą, by Świat niszczyć i scalać na nowo.

Kamienie, lojalne i stałe – nie lekceważ Budowniczych, bo zawsze mogą zburzyć, co wzniesli.

I Kości, Władcy wszystkich Rzeczy, żywych oraz umarłych.

Nie wątp w Tych, którzy mierzyli się z Czymś, czego nie pojmujesz.

Chwal Ich i nie wahaj się Woli ich wypełniać.

Tylko wtedy znajdziesz Zbawienie.

Czytany tekst poruszył w niej jakąś strunę. Nie miała pojęcia, co to jest, ale czuła się, jakby gdzieś w jej wnętrzu po raz pierwszy rozkwitał kwiat.

„Zaglądałaś do lasu, kosteczko?”

Jakby wreszcie się budziła.

– Węszysz?

Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że ten niski, drwiący głos należy do Isaaca. Zdumiał ją natomiast wzrok, jakim chłopak wpatrywał się w plakat.

Jakby chciał go rozedrzeć na strzępy.

– Kazali mi tu przyjść. – Zabrzmiało to, jakby się tłumaczyła, choć wcale nie miała takiego zamiaru. – Nie moja wina, że Justin i May się spóźniają.

– Nie myśleli, że tak szybko będziesz gotowa. – Był wyższy, niż dotąd jej się zdawało; szczupły, ale szeroki w ramionach. Zapięta na ostatni guzik flanelowa koszula zakrywała szyję. – Większość ludzi nie potrafi zmyć z siebie Szarości w ciągu kilku minut.

Zmarszczyła brwi. Isaac uważnie obserwował jej twarz. Jeśli szukał tam strachu, nie zamierzała dać mu satysfakcji.

Owszem, Szarość była straszna. Ale nijak nie mogła się równać z utratą Rosie.

– Nie tak łatwo mnie przerazić – powiedziała. Myślała o tym, jak wydostała się z koszmaru. O Isaacu rozpościerającym ramiona, jakby trzymał cały wszechświat. – Jakim cudem potrafisz otworzyć Szarość?

– Byłem ciekaw, kiedy zadasz jakieś rozsądne pytanie. – Wskazał plakat. Już wcześniej zauważyła medaliony na jego nadgarstkach, ale dopiero teraz dostrzegła, że jeden jest idealnie gładki, a drugi okropnie popękany. – Przeczytaj, co mówi credo: my, Sullivanowie, unosimy ręce i wstrząsamy światem.

Raz jeszcze spojrzała na tekst i dreszcz przebiegł jej po plecach. Gałęzie, kamienie, sztylety, kości...

– To znaczy, że niszczyte rzeczy?

– Przebijamy ściany i nadprzyrodzone bariery, łamiemy kości... i serca – dodał Isaac. – Ale do tego ostatniego nie potrzebuję magii.

– Bardzo śmieszne – wycedziła Violet, jak gdyby Isaac nie wypowiedział tak od niechcienia słowa „magia”, które nie brzmiało już w jej uszach tak niewiarygodnie, jak zabrzmiałoby jeszcze przed miesiącem. – Więc to jest credo? Credo czego?

Pokręcił głową.

– O niczym nie masz pojęcia. A mimo to Justin jest przekonany, że nam pomożesz.

– A co ty myślisz?

Isaac spojrzał na nią oczami przypominającymi wypalone zapałki.

– Szczerze? Uważam, że tylko nam szkodzisz.

Najeżyła się, lecz nim zdążyła odpowiedzieć, w drzwiach stanęli Justin i May. Natychmiast poczuła, że bardzo pasują do tego pomieszczenia, a ono do nich. To było ich miejsce, tak jak miejscem Darii był bujany fotel, a miejscem Rosie pracownia plastyczna. Tu byli sobą najpełniej.

– Widzę, że się zaprzyjaźniacie. – May wyciągnęła przed siebie parujący kubek. Violet poczuła zapach cynamonu i jeszcze czegoś... Drewna? Nie mogła się pozbyć wrażenia, że ten pokój w jakiś sposób stanowi część lasu. – Kawy?

– Z rozkoszą. – Z wdzięcznością uniosła kubek do ust, pociągnęła łyk, po czym ruszyła za May i Justinem w kierunku stołu. Po chwili dołączył do nich Isaac. Wydatne kości policzkowe rodzeństwa bardzo wyraźnie rysowały się w żółtym poblasku dochodzącym z jedyne w pokoju żyrandola o brązowych ramionach w kształcie gałęzi.

– Nic ci nie jest? – zapytał Violet Justin. – To, co ci się dziś stało... w ogóle nie powinno się wydarzyć.

– Więc w Czterech Ścieżkach... nie zawsze tak jest? – zapytała ostrożnie, znów myśląc o Franku Andersie.

Justin pokręcił głową.

– Nie. Nie wiem dokładnie, ile wiesz o tym mieście, ale nasza rodzina zajmuje się dbaniem o bezpieczeństwo.

– Jeśli ona umie robić to, o czym mi wspominałeś, to z całą pewnością wie dość – zauważyła May. Karmazynowy wisiołek na jej szyi jarzył się w słabym świetle. Violet uświadomiła sobie, że jest zrobiony z tego samego czerwonego szkła, które zdobiło bransolety Isaaca i odznakę pani szeryf.

Siedzący po drugiej stronie stołu Isaac pokiwał głową.

– Zgadzam się z May. Nie ma mowy, żeby cokolwiek ożywiła, jeśli nie przeszła Próby.

– Próby? – Violet nie miała pojęcia, o czym mowa.

May prychnęła na znak, że nie daje jej wiary.

– Violet, poszedłem do ciebie, bo sądziłem, że zdołasz nam pomóc – rzekł Justin, rzucając Isaacowi i May spojrzenie, które wyglądało na ostrzegawcze. – Teraz myślę, że możemy pomóc sobie nawzajem. Nasza trójka wie o tym mieście w zasadzie wszystko. Może więc powiesz nam, co wiesz, a my wypełnimy białe plamy?

Dokładnie tego chciała.

Powiedziała więc Hawthorne'om i Isaacowi wszystko, o czym według niej powinni wiedzieć – z paroma wyjątkami. Była pewna, że nie zdoła wykrztusić ani słowa o Rosie i o jej iluzorycznym powrocie, nie wybuchając płaczem. Nie zamierzała również zdradzać, że pewne rzeczy wie od Harper, ani wspominać o nieżyjącym dawno wuju. Wyrzuciła jednak z siebie całą resztę: Szarość, Orfeusza i chwile utraty świadomości.

– Jeśli naprawdę ożywiłam Orfeusza... co to może znaczyć? – zapytała na koniec. – Kim ja jestem? Jak to wszystko w ogóle działa? – Głos aż jej drżał od doniosłości tych słów. Dopiero wypowiedziane stawały się prawdą. A jeśli nią były, to może, ale tylko może, istniał sposób na uratowanie Rosie.

Wciąż miała przed oczami stojącą przed nią siostrę, tyle że nie wyobrażoną, lecz żywą. Przytuliłaby ją, a Rosie z czule kpiącym uśmiechem powiedziałyby jej, żeby przestała dramatyzować, bo przecież wszystko jest w porządku.

– Wydaje mi się, że rozumiem. – Cienie tańczyły na ścianie nad głową Justina, rozchodząc się na wszystkie strony po boazerii niczym obsypane liśćmi gałęzie wyrastające zza jego szyi. – Domyśliłaś się już, że Cztery Ścieżki tak naprawdę nie są miastem, tylko więzieniem.

Poczuła ucisk w żołądku. Wyobraźnia podsunęła jej białe oczy Franka Andersa.

– Więzieniem? Dla tego... tego czegoś w Szarości? W takim razie co my tu robimy?

– Mamy to we krwi – wyjaśnił Justin, co raczej nie uspokoiło Violet. – Może będzie prościej, jeśli ci pokażemy.

Podszedł do regału i po chwili wrócił z poślizniętym rulonem. Dopiero gdy rozwinął go na stole i przycisnął rogi gładkimi czerwonymi kamieniami, Violet uświadomiła sobie, na co patrzy.

Była to mapa Czterech Ścieżek, niewątpliwie ręcznie ilustrowana. Wszędzie rozpościerały się lasy – setki precyzyjnie naniesionych zielono-brązowych drzewek niemal wdzierających się w rozdwojoną wokół rynku wstęgę głównej ulicy. Violet już wcześniej zauważyła, że miasto jest zewsząd otoczone lasem, ale gdy się patrzyło na mapę, jego ogrom przytłaczał. Zatrzymała wzrok na małych kolumnach ratusza, a potem odnalazła dziwnie realistyczny klocek przedstawiający jej nowy dom. Pod posesją napisano atramentem: „Terytorium Saundersów”. Było to jedno z czterech „terytoriów” zaznaczonych na mapie. Na wschód od niego, w centrum kolejnego, stał kamienny domek w wiejskim stylu należący do Carlisle’ów, a na południu rozpościerało się terytorium Hawthorne’ów, z domem, w którym właśnie przebywała.

W zachodniej części miasta nie było domu – tylko zamalowany na czarno obszar, pod którym widniał napis: „Terytorium Sullivanów”. Pod plamą atramentu dostrzegła kontur budynku; ktoś jednak zadał sobie dużo trudu, by go usunąć.

Przeniosła wzrok na Isaaca. Siedział z nieruchomą twarzą.

– Co tu się stało?

May zaczęła coś mówić, ale chłopak jej przerwał.

– Nic dobrego.

– I nic, co miałoby znaczenie dla naszej rozmowy – dodała ostro May. – Liczy się to, co jest tu. – Jasnoróżowym paznokciem wskazała widniejące w nagłówku słowa „Mapa Założycieli”.

Violet w oszołomieniu wspomniała, że takim słowem określiła ją jedna z kobiet obecnych na przyjęciu.

Pomyślała o tym, jak koledzy i koleżanki ze szkoły patrzyli na rodzeństwo Hawthorne’ów i Isaaca.

– Jesteśmy potomkami założycieli miasta, tak? – zapytała, przenosząc wzrok na Justina. – Dlatego na tej mapie są nasze

nazwiska. To credo też mówi o nas. I dlatego gdziekolwiek pójde, ludzie się na mnie gapią.

Zaskoczenie na jego twarzy upewniło ją, że trafiła w sedno.

– Nie mam pojęcia, skąd to wiesz – rzekł Justin – ale tak. W latach czterdziestych dziewiętnastego wieku założyły to miasto cztery osoby: Hetty Hawthorne, Lydia Saunders, Richard Sullivan i Thomas Carlisle.

Nie uszła jej uwagi czołobitność, z jaką wymawiał te nazwiska. Ani to, że Harper również pochodziła z założycielskiego rodu.

– Dlaczego wszystkich tak bardzo to obchodzi?

– Bo dla Czterech Ścieżek założyciele nie byli zwykłymi ludźmi – wyjaśniła May. – Na początku istnienia miasta czczono ich jak bogów. Byli nawet nazywani Czterema Bóstwami. Uosabiali cztery ścieżki do zbawienia. Stąd nazwa miasta.

A więc Violet nie ubzdurała sobie, że pozostali uczniowie dziwnie na nich patrzą. Rzeczywiście byli kimś w rodzaju bogów.

Nie wiedziała, dlaczego ta myśl tak ją uwiera. Zacisnęła palce na kubku z kawą.

– Co konkretnie zrobiła ta czwórka, by zasłużyć na taką cześć?

Zapach drewna, który wyczuła już wcześniej, wydawał się teraz silniejszy. Za oknem robiło się coraz ciemniej, a cienie przedmiotów na półkach wydłużyły się i rozlały na ścianę za plecami rodzeństwa.

– Pokonała potwora – oznajmiła z uśmiechem May.

– Masz na myśli to coś, co żyje w Szarości? – zapytała Violet. – Bo ono nie wydaje mi się pokonane.

Tym razem odpowiedzi udzielił Isaac.

– Ten potwór jest tu od bardzo dawna. Trudno sobie wyobrazić, czym był, a raczej wciąż jest. Normalna broń nie mogła go zranić. Był dość sprytny, by dostać się do czyjejś głowy i zobaczyć myśli, a nawet przyszłość. Jedno jego dotknięcie mogło cię zniszczyć. – Ich oczy znów się spotkały i Violet przypomniała sobie słowa Isaaca o tym, co potrafi jego ród. – Bardzo trudno było go zabić, a może w ogóle był nieśmiertelny.

Mówił niskim głosem, bez wysiłku, jak ktoś powtarzający bajkę lub kołysankę, którą słyszał tysiąc razy.

– Skoro nie mogli go zabić – zapytała – to co zrobili?

Justin przesunął palcem po krzywiźnie na skraju mapy. Jego gest wydał się Violet czuły jak pieśzczoła.

– Oszukali go. Oddali mu część siebie w zamian za część jego magii. Potem wykorzystali tę magię, by przykuć potwora do miasta. A konkretnie do pewnej wersji miasta. Miejsce, które cię wciągnęło, to jego więzienie. Inne Cztery Ścieżki, nakładające się na nasze. Zastygłe w momencie, w którym założyciele uwięzili potwora. Szarość.

Violet pomyślała o szeregu dziwnych starych domów. O nieruchomym niebie i tych okropnych, powykręcanych drzewach.

– Więc to dlatego ich... nas... czczono – rzekła w zamyśleniu, wciąż próbując przetrwać słowa Justina.

– Właśnie – przytaknął. – Ludzie nazywali to kultem czterech bóstw. Ten kult dawno wygasł, ale... coś po nim pozostało. My wciąż chronimy miasto, a ludzie nas za to szanują.

– Miałaś furę szczęścia, wiesz? – już mniej zgryźliwie wtrąciła May. – Większość osób, które wciągnęła Szarość, nie wyszła z niej żywa. Zwłaszcza te, które nie przeszły pomyślnie Próby.

Violet zastanawiała się, dlaczego wypowiadając ostatnie słowa, May zerknęła znacząco na Justina.

– Wspominałaś już o próbie. Próbie czego?

– Każdy założyciel – przejął pałeczkę Justin – połączył się z potworem w inny sposób. My, jako potomkowie Hetty Hawthorne, aby zacząć władać drzemiacymi w nas mocami, musimy przejść tę samą Próbę, którą przeszła ona. Próba każdego rodu jest nieco inna i przechodzi się ją w nieco innym wieku, choć zwykle następuje to między trzynastym a szesnastym rokiem życia.

– Więc oboje macie ją już za sobą? – zapytała.

Wymienili spojrzenia. Ten gest przypominał jej rozmowy bez słów, które często prowadziła z Rosie, i obudził dojmującą tęsknotę.

– Tak – odparł Justin po nieco przydługiej przerwie. – Ty jesteś w naszej klasie, więc masz siedemnaście lat, prawda?

Skinęła głową.

– Powinnaś już przejść Próbę. Póki tego nie zrobisz, jesteś narażona na duże niebezpieczeństwo. Masz moc, ale nie będziesz w stanie jej odpowiednio kontrolować, póki nie dopełnisz procedury. Do tego momentu Szarość będzie cię tu trzymać.

– Trzymać? – Ogarnął ją nagły niepokój. – Jak to? Chyba mogę wyjechać?

– Nie – odparła z powagą May.

Violet wciągała powietrze krótkimi, rwanymi haustami. Rosie została w Westchester. Tu nie było nic oprócz tych dziwnych, bogopodobnych rodzin i Szarości. Nie zamierzała jednak rozklejać się na oczach tych trojga.

– Mówiliście, że więzienie jest przeznaczone dla potwora.

– Owszem. – Była niemal przekonana, że Justin stara się utrzymać uspokajający ton głosu, co tylko wzmagало jej panikę. – Ale twoja rodzina jest z nim związana. Dopóki nie przejdziesz Próby, z całą pewnością będziesz traktowana tak samo.

– Chcesz powiedzieć, że żadne z was nie mogło wyjechać z miasta przed Próbą?

Justin pokręcił głową.

– Ależ skąd. Mogliśmy wyjeżdżać. Mówię tylko, że jeśli nie przejdziesz jej wówczas, kiedy powinnaś to zrobić, miasto zatrzymuje cię, dopóki albo nie zapanujesz nad swoimi mocami, albo... – Umilkł niezręcznie.

– Albo nie umrzesz – dokończył za niego Isaac z namiastką uśmiechu.

– Chwila. Moja mama i ciotka też musiały ją przechodzić. – Violet z narastającym gniewem wyrzucała z siebie słowa. – Matka musi o tym wszystkim wiedzieć. To znaczy, że mnie okłamuje.

Zdławiła ponury śmiech. Justin przykrył jej dłoń swoją, ale się wyrwała.

– Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że twoja matka nie kłamie – powiedziała łagodnie May. – To, że założyciele mogą opuszczać Cztery Ścieżki, nie oznacza, że jest to łatwe. Poza miastem nasze moce nie działają.

Violet posmutniała jeszcze bardziej. Niby miała możliwość przywrócenia Rosie do życia, ale w tej sytuacji stało się to właściwie niemożliwe.

W zadumie nad okrutną ironią losu ledwie słyszała dalsze słowa May.

– Mamy obowiązek tu zostać, iść w ślady naszych przodków i chronić miasto. Ceną jego opuszczenia może być utrata pamięci o tym, czym są Cztery Ścieżki.

Justin przytaknął, nie patrząc Violet w oczy.

– Zaraz, zaraz – mruknęła z powątpiewaniem – to miejsce potrafi wymazywać ludziom pamięć?

– Nie masz pojęcia, ile jeszcze potrafi – odrzekła ponuro May.

– No dobrze – starała się uwierzyć Violet. – Zakładając, że moja matka tego nie wie, a ciotka nie jest wiarygodnym źródłem informacji, to wy musicie mi powiedzieć, na czym polega moja Próba. Kiedy ją przejdę, będę mogła opuszczać miasto.

Justin zmarszczył brwi.

– Z chwilą wyjazdu twojej mamy Saundersowie przestali brać udział w życiu miasta. Niewiele wiemy o waszych mocach, a tym bardziej o Próbach.

W gardle Violet wezbrał histeryczny śmiech.

– Nie wiecie, jak mam przejść Próbę, więc przyprowadziliście mnie tu tylko po to, żeby mi powiedzieć, że jestem uwięziona? Że nic nie mogę zrobić? Że to koniec?

– To, że nie wiemy, w jaki sposób możesz zyskać kontrolę nad swoimi mocami, nie znaczy, że nie możemy ci pomóc w odkryciu tego – odparł Justin. – Mamy swoje sposoby i rozumiemy, jak funkcjonuje to miasto.

Nie czas panikować czy się złościć, powtarzała sobie. Teraz trzeba myśleć.

– Mówiłeś wcześniej, że możemy pomóc sobie nawzajem. Co ja mogę zrobić dla was?

Cała trójka wymieniła spojrzenia.

– Zapewne zauważyłaś – zaczął ostrożnie Justin – że sytuacja w mieście jest... napięta. Założycieli pozostało mniej niż

kiedykolwiek przedtem, więc dwoimy się i troimy, żeby wszystkich ochronić. Potrzebujemy twojej pomocy, zwłaszcza teraz, przed równonocą.

– Równonocą?

– Kiedy lato przechodzi w jesień albo zima w wiosnę, Szarość jest najsilniejsza – wyjaśniła May. – Zwykle udaje nam się utrzymać ją w ryzach, ale w tym roku sytuacja się skomplikowała. A równonoc jesienna przypada za półtora tygodnia.

– Widziałaś ciało Franka Andersa – zauważył bez ogródek Isaac. – Im więcej założycieli patroluje miasto, tym mniej ludzi zginie. Pomożemy ci nauczyć się wykorzystywać twoje moce, jeśli się zgodzisz ich użyć, żeby nam pomóc w ochronie miasta.

– To wielki zaszczyt – wtrąciła May. – Powinnaś być dumna ze swego dziedzictwa.

Violet nie była tego taka pewna.

Zawsze chciała czuć się częścią prawdziwej rodziny. Kiedy tu wróciły, miała nadzieję, że czegoś się dowie. Teraz najchętniej uciekłaby z powrotem do Ossining. Całym jej dziedzictwem był ból i przemilczenia matki, a historia ojca i jego rodziny pozostawała wielkim znakiem zapytania.

Czy Violet naprawdę była tu uwięziona, czy też Hawthorne'owie jedynie chcieli jej to wmówić?

– Zanim się zgodzę – powiedziała, patrząc w oczy Justinowi – chcę się przekonać, że mówicie prawdę. Że faktycznie jestem uwięziona w mieście i muszę przejść Próbę, by móc wyjechać.

Zamiast brata odpowiedziała May.

– Przypuszczałam, że to powiesz. – Wstała i wzięła z półki drewnianą szkatułkę, którą ostrożnie postawiła na stole. Pośrodku pokrywy wypalono znany już Violet symbol: krąg przecięty czterema kreskami niemal łączącymi się pośrodku. – I dokładnie wiem, jak ci odpowiedzieć.

Zapach drewna, który wcześniej unosił się w pokoju, przybrał na sile. Violet spojrzała na May, której twarz w świetle gasnącego słońca przybrała szarą, niemal upiorną barwę, a cienie pod oczami wyglądały jak czarne dziury.

– Co jest w środku? – zapytała ochryple.

May uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając zęby, które wydawały się nieco zbyt szpiczaste jak na kogoś tak powściągliwego.

– Dziedzictwo rodowe.

Uniosła pokrywę i odsłoniła talię kart wielkości dłoni Violet. Na ich grzbietach wytłoczono kontury oczu wypełnionych samym białkiem.

– To coś w rodzaju tarota? – Violet mogłaby przysiąc, że portret wiszący na ścianie za plecami siostry Justina zmarszczył brwi, ale kiedy dokładniej się przyjrzała, nie dostrzegła żadnego ruchu. Zadrżała i przeniosła wzrok z powrotem na May, która westchnęła z politowaniem.

– To talia omenów – odparła, wyjmując karty ze szkatułki i zręcznie je tasując w szczupłych dłoniach. Justin nabożnie wpatrywał się w talię, a Isaac siedział skulony, jakby chciał się przed nią ukryć w ciemnościach. – Stworzyła ją Hetty Hawthorne, pierwsza prawdziwa wizjonerka. Tarot – wskazała głową półkę, na której leżał srebrny Głupiec – posłużył jej za szablon. Ale talia jest jej autorskim dziełem. Ma cztery kolory: gałęzie, kości, sztylety i kamienie; każdy z dziewięcioma blotkami i dwoma figurami. Oprócz nich talia zawiera dwie dzikie karty.

– Dzikie karty?

Cienie gałęzi za plecami May wydawały się przybliżać. Dziewczyna uśmiechnęła się krzywo.

– Pojawiają się, kiedy mają na to ochotę. Moja moc wiąże się z korzeniami tego miasta. Karty są dla mnie pośrednikiem w znajdowaniu odpowiedzi. Możesz je zapytać o wszystko: swoją przeszłość, teraźniejszość, przyszłość.

– A gdyby karty powiedziały coś, co mi się nie spodoba, to nie mogłabyś po prostu mnie okłamać?

May zaśmiała się ponuro.

– Nie. Na tym polega mój układ z kartami: one mówią prawdę, a ja mam obowiązek ją przekazać. Jeśli skłamię... – Jej twarz pociemniała. – Przeszaną do mnie mówić.

– Nie wiedziałem – wtrącił cicho siedzący po drugiej stronie stołu Isaac. Wpatrywał się w talię takim wzrokiem, jakby się bał, że jeśli tylko jej dotknie, spłonie.

May spojrzała na niego spode łba.

– Może byś wiedział, gdybyś kiedykolwiek pozwolił mi odczytać swoje karty.

Justin zmarszczył brwi.

– Dość. Skupcie się.

May odkaszlnęła.

– Dobrze. Violet, możesz zadać pytanie.

Violet wyprostowała się jak struna. W głowie wirowało jej od pomysłów.

– Mogę zapytać, na czym polega moja Próba?

– Pytanie musi być związane bezpośrednio z tobą – odparła May. – A Próba to nie twoje dzieło. Więc nie.

Violet skrzywiła się. Tylu rzeczy chciałaby się dowiedzieć! Musiała starannie sformułować pytanie.

– Czy to prawda, że nie mogę opuścić miasta? – zapytała wolno. – I jak mam poznać szczegóły mojej Próby?

– Miało być jedno pytanie – skarciła ją May, ale potasowała karty.

Ku zdumieniu Violet karty jedna po drugiej znikwały z jej rąk.

W końcu zostały tylko trzy. May położyła je na stole grzbietami do góry i znów westchnęła.

– Teraz musimy się schwycić za ręce – mruknęła niezręcznie. – Wszystkie nasze moce wymagają kontaktu fizycznego.

Violet niechętnie schwyciła bladą, spoconą dłoń May, a drugą ręką dotknęła palców Isaaca. Dziwnie się czuła: od śmierci Rosie prawie nie dotykała drugiego człowieka. Zarówno May, jak i Isaac mieli silne i twarde dłonie, lecz o ile May trzymała jej palce od niechcenia, o tyle dotyk chłopaka był zarazem silny i zaskakująco łagodny.

Chwilę później poczuła coś znacznie potężniejszego: jakby czyjeś palce sięgały jej w głąb czaszki.

– Co jest? – wyjąkała i wyrwała rękę.

– Chyba powinnam była cię uprzedzić – przyznała May. – To właściwość Hawthorne'ów. Dostajemy się ludziom do głów.

– Owszem, powinnaś mnie uprzedzić! – zachnęła się Violet. – Nie życzę sobie, żebyś czytała mi w myślach.

– Nie czytam w myślach. – May wyglądała jednocześnie na rozgniewaną i zawstydzoną. – Nie widzę żadnych tajemnic. Po prostu w ten sposób łączę cię z twoimi kartami. Jestem pośrednikiem, który przekazuje kartom to, co masz w sobie, i pozwala im udzielić najbardziej prawdopodobnej odpowiedzi na twoje pytanie. Wiem, że może się to wydawać trochę dziwne.

– „Trochę dziwne”?

May wzruszyła ramionami.

– Chcesz usłyszeć odpowiedzi czy nie?

Skrzywiła się. Skoro jest już tak blisko... Ponownie chwyciła dłoń dziewczyny i przez następnych trzydzieści sekund cierpiała w milczeniu.

– Już – oznajmiła w końcu May.

Violet cofnęła ręce i zacisnęła w pięści. Oddychała z ulgą. Niesmak wywołany tym, co zrobiła z nią May, odrobinę łagodziło to, że tamta wydawała się równie zdegustowana jej dotykiem.

– No to jazda – mruknęła May i po kolei odwróciła karty.

Na widok środkowej Violet wydała okrzyk zdumienia. To było jak zagłębienie do innego świata – świata, którego wolałaby nie rozpoznawać. Z kręgów farby wyłaniała się skryta w cieniu postać stojąca pośrodku polany otoczonej wąskimi szarymi drzewami. Jedyne światło padało na jej odartą ze skóry dłoń. W prawym górnym rogu karty wyźłobiono kontur kości z piątką w środku.

– Widzę, że rozpoznałaś swoją kartę. – May jaskraworóżowym paznokciem popukała w cieniutkie drewno. – Piątkę Kości.

– Nie jestem jedną z figur? – zapytała Violet.

– Ciesz się – odparli chórem May i Justin.

– W rozdaniu często pojawia się karta pytającego – kontynuowała May. – Po prawej stronie masz Wilka. – Karta przedstawiała zwierzę o futrze, które w pierwszej chwili wydawało się czarne, lecz spod powierzchni przebijało mnóstwo maleńkich kolorowych plamek. Violet przysięgłaby, że Wilk wpatruje się w nią badawczo. Osoba,

która to namalowała, musiała być niewiarygodnie utalentowana. – Nie chodzi o dzikie zwierzę w sensie dosłownym, tylko o nieoczekiwane źródło mocy. Tym źródłem jesteś ty. Ale naprawdę ciekawie robi się wtedy, gdy przeanalizujemy twoje pytanie w połączeniu z tym. – May przesunęła dłoń na trzecią kartę: Ósemkę Kości. Na gliniastej ziemi leżały zwrócone przodem do siebie dwie czaszki, jedna czyściutka i lśniąca, a druga potwornie zdeformowana, z niezliczonymi pęknięciami i przepołowioną szczęką. – Karty mają swój porządek – kontynuowała. – Cztery kolory oznaczają cztery rody założycielskie miasta. Gałęzie to my, Hawthorne’owie. Sztylety symbolizują Sullivanów, kamienie Carlisle’ów... – Przy ostatnich słowach jakby się zawahała. – Kości to oczywiście wy. Dlatego to rozdanie jest tak dziwne. Karta musi oznaczać kogoś z twojej rodziny, a zarazem stanowi odpowiedź na pytanie. To właśnie ona uwięziła cię w Czterech Ścieżkach. To ona stoi na drodze twojej Próby. A może w ogóle to ona cię tu sprowadziła. W każdym razie jest kluczowa.

Serce Violet boleśnie uderzało o żebra, a palce machinalnie schwyciły różyczkę na przegubie dłoni.

Nie potrafiła mówić ani myśleć, a oni wszyscy – zwłaszcza Isaac – wpatrywali się w nią przenikliwie.

– Wiesz, kogo przedstawia ta karta – powiedział i z całą pewnością nie było to pytanie.

Odskoczyła, jakby ją uderzył. Nie, nie tak: uderzenie bolałoby mniej. Cokolwiek by powiedziała, rozpląkałaby się, a nie zamierzała tego robić w ich obecności. Niech myślą, że jest nieczuła, kłamliwa – wszystko, tylko nie słaba.

– Niech to szlag – dobiegł ją wysoki, przenikliwy głos May.

Podniosła wzrok. W kącie oka dziewczyny pojawiła się czerwień, która stopniowo rozprzestrzeniała się na całe białko. Violet ze zgrozą patrzyła, jak May mruga, a spod jej powieki wypływa karmazynowa łza i toczy się po policzku.

– Co się stało? – wyszeptała.

– Nie patrz na mnie – warknęła May, drżącą pięścią ocierając krew. – Patrz na karty.

Violet spojrzała.

Na stole pojawiła się czwarta karta – korona o czterech wierzchołkach na czarnym tle. Każdy wierzchołek zrobiono z materiału reprezentującego jeden z kolorów talii: poskręcanych gałęzi, wyblakłej obłupanej kości, lśniącego ostrza i graniastego kamienia. Końcówki wierzchołków spływały krwią, a poniżej korony widniała para okrutnych żółtych oczu.

Pod tym wszystkim literami tak nieforemnymi, jakby skreśliła je drżąca ręka, napisano jedno słowo: BESTIA.

Nie musiała pytać, by wiedzieć, że chodzi o potwora z Szarości. W tym momencie dotarło do niej, że w niego wierzy; wierzy bez zastrzeżeń, całą sobą. I wierzy, że z tej drewnianej płytki spogląda na nią coś monstrualnego. Szkielety drzew zatańczyły jej przed oczami. Odskokzyła od stołu, rozlewając kawę na podłogę.

Isaac rzucił się w stronę Justina, siedzącego o zaledwie kilka cali od karty nieruchomo, zbyt nieruchomo, z tym samym wyrazem twarzy, który miał w Szarości: jakby ktoś zgasił światło w jego oczach.

Przyjaciel zacisnął mu dłoń na ramieniu w tej samej chwili, w której May zgarnęła karty ze stołu.

Gdy tylko zatrzasnęła wieko szkatułki, powróciła normalność. Isaac powoli zdjął dłoń z ramienia Justina. Patrzył na niego z taką troską, niemal czułością, że Violet musiała odwrócić wzrok. Nie pamiętała, kiedy ktokolwiek patrzył tak na nią.

– Dobra. – Wytarła w dzinsy mokrą od kawy dłoń. – Może mi ktoś łaskawie wytłumaczyć, co to było?

May zaciskała pokrwawione palce na szkatułce tak mocno, że zbiegały jej knykcie. Z oczu spłynęły dwie kolejne krwawe łzy, brukając porcelanowobiałą cerę karmazynowymi kreskami.

– Dowód, że musisz odbyć Próbę – powiedziała. – Bo jeśli nie okiełznasz swoich mocy, nie przestaniesz przywoływać... tego.

Violet zaschło w gardle.

– Chcesz powiedzieć, że ta karta pojawiła się przeze mnie?

– To było twoje rozdanie – odparła May.

– Odkryjesz, jak to zrobić – wtrącił ochryple Justin. Skórę wciąż miał bladą, a skronie zroszone potem, ale wyglądał lepiej niż przed chwilą. – Pomożemy ci. A kiedy się uda, będziemy mogli sprawić, że potwór już nigdy nikogo nie zabije.

– Cóż – mruknęła Violet – chyba nie mam wyboru.

Z drugiej strony pokoju zabrzmiał głęboki, gardłowy śmiech Isaaca.

– Witamy w Czterech Ścieżkach. Nikt by tu nie został, gdyby miał wybór.



Rozdział 8

Justin nie pamiętał czasów, w których nie znałby prawdy o Czterech Ścieżkach. Niektóre z jego najwcześniejszych wspomnień wiązały się z dziadkiem, poprzednim szeryfem, człowiekiem o posturze tak słusznej, że potrafił jednocześnie kołysać do snu oboje swoich wnucząt, śpiewając im *Kołysankę założycieli*.

*Pewnego razu dziatwa mała
W leśne ostępy się wybrała
Zgubiła się i w Szarość wpadła
By nie powrócić więcej.*

*Tam, gdzie koszmary się ziszczają
Czworo przeżyło, by nieść wieść
Gałęzie i kamienie, sztylety i kości
W Szarości Bestię uwięziły
A my musimy zostać.*

Znajome słowa dźwięczały mu w głowie, gdy wraz z May przemierzał las w drodze na nocny patrol.

Nigdy nie pójdzie w ślady swego dziadka, nawet jeśli miałyby zostać w Czterech Ścieżkach. W tych lasach uczył się biegać, tu po raz pierwszy się całował, tu szukał ucieczki, gdy rodzina zbyt mocno dawała mu się we znaki. O ile jednak lasy się nie zmieniły, on owszem.

Teraz ledwie mógł patrzeć na te niewiarygodnie wysokie pnie, nie myśląc o rozwierającej się za nimi Szarości. Nie pasował do skąpanego w świetle księżyca lasu pachnącego zdrowym drewnem i ziemią. Powinien był umrzeć w dniu Próby, pod chmurami koloru matowej stali; na zawsze pozostać w niezmiernym przestworze wypełnionym pokracznymi popielatymi drzewami. I tak by się stało, gdyby nie May.

– Czemu masz taką minę? – zapytała siostra, wkładając ręce do kieszeni atłasowej różowej kurtki bomberki. Wciąż była pierwsza połowa września, ale w powietrzu już czuło się chłód. – Myślałam, że będziesz zadowolony. Złamałeś Królową Śniegu.

– Violet nie jest Królową Śniegu – zaprotestował, z trudem poruszając obolałymi łydkami. Po wieczornych przejściach musiał sobie zafundować długi bieg na uspokojenie. – I nie ja ją złamałem, tylko Szarość.

Zbliżył się do Violet w poszukiwaniu sojusznika, a zamiast tego znalazł kolejny problem.

– Jej nie zależy na ochronie Czterech Ścieżek – zauważył Isaac kilka godzin wcześniej, gdy Violet poszła do domu. – Ona jedynie chce się stąd wydostać.

– Uważasz, że nie powinniśmy jej pomagać? – zapytał Justin.

Isaac bawił się popękany medalionem na nadgarstku.

– Tego nie powiedziałem.

– Ona ożywia umarłych. – Justina wyrwał z zamyślenia głos May. – Ciekawie byłoby sprawdzić, jak sobie radzi na patrolu.

Justin przytaknął. Mrok rozświetlały już światła siedziby szeryfa, przyciągając rodzeństwo do niskiego brzydkiego budynku niczym ćmy do ognia.

Spodziewał się zastać w środku tradycyjną scenę: Augustę i kilku policjantów wytyczających trasy i wydających polecenia. Po wejściu

okazało się jednak, że matka czeka na nich sama w holu. Jej falujące blond włosy w świetle jarzeniówek świeciły niemal jak neon.

Pierwszą myślą Justina było: „Znow stało się coś strasznego”.

– Wszystko w porządku? – zapytała May, najwyraźniej tknięta podobnym przeczuciem.

– Tak, tak – uspokoiła ją Augusta. – Po prostu muszę coś omówić z twoim bratem. Mogłabyś pójść do sali konferencyjnej? Moi zastępcy wytyczają już trasy.

May rzuciła Justinowi zdezorientowane spojrzenie i zniknęła w głębi korytarza.

Od kilku lat pierworodny dorównywał matce wzrostem, ale kiedy Augusta prowadziła go do swego kiepsko oświetlonego biura, wciąż czuł się od niej niższy. Mastify drzemały skulone na podłodze. Brutus zamerdał ogonem, gdy Justin usiadł i poklepał go po łbie.

– O co chodzi? – zwrócił się do matki, która spokojnie sadowiła się za biurkiem, gdy on zachodził w głowę, co zrobił nie tak. Gdyby chodziło o Violet, oboje z May zostaliby wezwani na dywanik.

– Uznałam, że lepiej będzie powiedzieć ci to osobiście. – Miał wrażenie, że Augusta przykuwa go wzrokiem do krzesła. – Nie chcę, żebyś dziś szedł na patrol.

Justin zmarszczył brwi.

– Dlaczego? Mitzi albo Seth chcą się zamienić?

– Nie – odparła. – Po prostu martwię się, czy dasz radę. Zwłaszcza teraz, gdy zbliża się równonoc. To dla twojego dobra. Chcę cię chronić.

Justin spędził dość czasu w różnych drużynach sportowych, by wiedzieć, co naprawdę znaczą słowa matki.

– Odsyłasz mnie do rezerw?

– Chodzi o twoje bezpieczeństwo.

Poczuł w piersi niemal fizyczny tępy ból.

– A co z ludźmi, którzy mogą umrzeć, bo nie wyszedłem na patrol? Kto ich ochroni?

– Nie pozwolę ci ryzykować życia – powiedziała niemal łagodnie Augusta. – Daję słowo, że sytuacja jest pod kontrolą.

– Mitzi, Seth, Isaac i May nie mogą sami ochronić miasta. Maurice Carlisle nie patroluje, a... – Urwał, nim zdążył wypowiedzieć imię Violet.

Augusta zmrużyła oczy.

– A co? Tylko mi nie mów, że chcesz włączyć do patrolu Harper Carlisle.

Przełknął ślinę, wdzięczny matce, że sama podsunęła mu wygodne kłamstwo.

– Ty to powiedziałaś, nie ja.

Augusta Hawthorne nie szanowała nikogo, nad kim nie miała władzy. Nikogo, kto mógł stanowić zagrożenie dla Czterech Ścieżek.

Zrozumiał to przed trzema laty, gdy zmusiła go do odwrócenia się od Harper.

Gdyby teraz opowiedział jej o mocach Violet, o tym, jak straciła świadomość i jak wciągnęła go wraz ze sobą w Szarość, znów by to zrobiła. A kolejna założycielka, która – przynajmniej teoretycznie – mogła pomóc ocalić miasto, nigdy nie dostałaby szansy.

Nie mógł na to pozwolić. A to znaczyło, że nie tylko on, lecz także May i Isaac muszą okłamać Augustę.

Pomyślał o ludziach zabranych przez Bestię w tym roku: o Vanessie Burke, która pewnej chłodnej lutowej nocy zniknęła z imprezy, o Carlu Falahee, którego znaleziono za budynkiem szkoły, o Hapie Whitleyu i komendancie Andersie. O ich wyblakłych oczach, opuchniętej, połyskującej skórze i kościach wystających z brzuchów niczym wielkie krzywe zęby.

Sumienie zbyt mocno dawało mu się we znaki. Nie zamierzał dodawać Violet Saunders do listy osób, którym sprawił zawód.

– Wiem, że rozstroiło cię to, co się stało z Harper – kontynuowała Augusta, zwijając w pięść dłoń w rękawiczce. – Ale i tak nie mógłbyś z nią zostać. Zresztą nie zauważyłam, żebyś miał trudności ze znajdowaniem kobiet na jej miejsce.

– Mamo! – Czuł, że się rumieni. Wolałby znaleźć się z powrotem w Szarości niż przez kolejną sekundę wysłuchiwać takich rzeczy. – Czy moglibyśmy zmienić temat?

– Oczywiście – odparła oficjalnym tonem. – Chciałam tylko powiedzieć, że przerwa w patrolach nie jest taka zła, jak ją przedstawiasz. Potrwa tylko kilka tygodni. Możesz w tym czasie wypełnić podania do college'ów.

– Super – odmruknął. – Napiszę wypracowanie o tym, jak matka zakazała mi bronić rodzinnego miasta przed pradawnym złem.

Twarz Augusty wykrzywiła się w wyrazie, którego nie widział od lat. Chwilę potrwało, nim zrozumiał, że to powstrzymywany śmiech.

– Bez wątpienia by się wyróżniało!

Gdy się ma matkę, która potrafi w mgnieniu oka zmienić się z nieprzejednanej w autoironiczną, najtrudniejsze jest to, że nigdy nie wiesz, czy ją bawisz, czy denerwujesz. Czasem wystarczał jakiś rzucony od niechcienia sarkastyczny komentarz, by wpadła w lodowatą furję. Innym razem sama sypała żartami.

Rozmawiając z nią, przez cały czas musiał się mieć na baczności. Nigdy nie wiedział, którą matkę zobaczy, gdy ośmieli się jej sprzeciwić. Miał tego dość.

Tym razem dopisało mu szczęście.

Pewnie dlatego, że Augusta była pewna zwycięstwa.

– No dobrze – mruknął ponuro, wstając ociężale, nagle przytłoczony gigantyczną różnicą między tym, kim był, a tym, kim chciał być. – Wracam do domu.

Twarz Augusty przeciął uśmiech przywodzący na myśl szczelinę w betonie.

*

Tej nocy Violet prawie nie spała. Godzinami analizowała wszystko, czego się dowiedziała. Próbowwała oddzielić prawdę od kłamstw i zrozumieć nowy świat, w który została gwałtownie wrzucona.

Nie mogła się pozbyć wrażenia, że Hawthorne'owie coś przed nią ukrywają. Na pewno jednak nie kłamali w kwestii potwora i nie byli zaskoczeni tym, co zrobiła z Orfeuszem.

A co najważniejsze, obiecali, że pomogą jej znaleźć sposób na wydostanie się z miasta.

Nie była tylko pewna, czego chcą w zamian.

Kiedy zeszła do kuchni na śniadanie, Juniper majstrowała przy ekspresie do kawy. Nie miała na uszach słuchawek, ale na blacie leżał jej telefon. Orfeusz ocierał się o nogi od stołu, łypiąc żółtymi ślepiami.

Violet starała się nie myśleć o tym, jak wyglądał wczoraj. O połyskującej na jego szyi krwi i sztywnym ciele leżącym bezwładnie pod drzewem.

Teraz był żywy i tylko to się liczyło.

– Tutejsza kawa jest wstrętna – przywitała ją Juniper. Violet mruknęła potakująco. – I wiesz, jak trudno coś zamówić w sieci? Nikt nie chce dostarczać towaru do tej dziury.

Jej ubiór mógłby sugerować, że wybiera się do swego nowojorskiego biura, a nie na sześciogodzinną telekonferencję do własnej sypialni.

Wczoraj Hawthorne'owie powiedzieli Violet co nieco o jej matce.

– Mamo – zaczęła – spędziłaś w tym mieście osiemnaście lat, prawda?

– Przecież wiesz. – Juniper przeczesła palcami włosy. Były idealnie wyprostowane i gładkie, co musiało ją kosztować mnóstwo roboty. – O co chodzi? Chcesz zadawać mi kolejne pytania o... wiadomo kogo?

W ciągu minionego dnia tyle się wydarzyło, że Violet w zasadzie zapomniała o Stephenie Saundersie.

Teraz musiała o nim pomyśleć. Czy to ból po stracie brata kazał Juniper tak długo milczeć na temat Czterech Ścieżek? Ukrywała tak wiele: istnienie Stephena, chorobę Darii, status rodziny. Mimo nalegań Violet i Rosie przez tyle lat nie pozwalała im spotykać się z kuzynami i dziadkami ze strony Caulfieldów. Violet nie wiedziała nawet, jak ich zaprosić na pogrzeb: w mediach społecznościowych było mnóstwo osób o tym nazwisku, a kartki świąteczne nie przychodziły już od lat. Biorąc pod uwagę te wszystkie

przemilczenia, nie byłoby niczym zaskakującym, gdyby Juniper ukryła przed córkami również magiczne dziedzictwo.

– Nie o twojego brata – powiedziała Violet i zauważyła, że matka rozluźnia ramiona. – O Cztery Ścieżki. Nie zauważyłaś, jak tu bywa dziwnie?

– Bardzo bym chciała, żeby wreszcie wydarzyło się tu coś dziwnego. Byłoby to zdecydowanie lepsze od tej nijakości.

Prawie na pewno nie kłamała. Po wzmiance o Stephenie wyraźnie się uspokoiła, jakby największe niebezpieczeństwo minęło.

Violet musiała się jednak upewnić.

– Nie bój się. Możesz mi powiedzieć prawdę.

– Prawdę? Violet, o czym ty mówisz?

Telefon matki błysnął. Sięgnęła po niego. W sercu dziewczyny wezbrała frustracja.

– Doskonale wiesz, o czym mówię.

Juniper machinalnie przycisnęła guzik i wbiła wzrok w rozświetlony ekran.

– Nie teraz.

Najwyraźniej nie miała pojęcia, o czym mowa. Gniew Violet odrobinę złagodniał.

– O Szarości, mocach, Próbach. Chyba musiałaś słuchać, gdy ci to wszystko tłumaczono w dzieciństwie, prawda? W twoich czasach nie było komórek, które by cię rozpraszały.

W matczynych oczach malowała się wyłącznie troska.

– Wiem, że ci ciężko – powiedziała spokojnie Juniper, unosząc telefon do ucha. – Ale oskarżanie mnie o ukrywanie takich nonsensów nie pomoże. Może znajdziemy w pobliżu jakiegoś terapeuty. Twoja pani psycholog radziła, żeby poszukać kogoś nowego.

Violet omal nie wybuchnęła płaczem, gdy do niej dotarło, że – co było zupełnie wyjątkowe – obojętność w głosie matki ustąpiła miejsca trosce.

Wybiegła z kuchni. Nie miała już ochoty na śniadanie. Gdy usłyszała, jak Juniper odbiera telefon, osunęła się wzdłuż ściany

korytarza i patrzyła w oczy przytwierdzonego do drewnianej ramy wypchanego sokoła, połykając łzy.

Hawthorne'owie mieli rację: jej matka niczego nie pamiętała.

Na skraju pola widzenia zamajaczyły znajome turkusowe włosy. Gwałtownie obróciła głowę, lecz korytarz był pusty.

Miała wrażenie, że ktoś włamuje się do jej głowy – jak wtedy, gdy uczyniła to moc May.

Nim zdążyła wziąć kolejny oddech czy zrobić ruch, zawładnęła nią ciemność.

*

Zbudził ją dotyk czegoś miękkiego i zimnego na policzku. Zatrzepotała powiekami, otworzyła oczy i napotkała żółte ślepie z pionowymi źrenicami, które natychmiast przywiodły jej na myśl okrutne, przenikliwe oczy patrzące na nią z karty w czytelni Hawthorne'ów.

Gdy jednak Orfeusz zastrzygł uszami i musnął ogonem jej rękę, bezdźwięcznie wypuściła powietrze.

– A – wychrypiała po chwili, wyciągając dłoń, by pogłaskać kota – to ty.

Nad jej głową rozpościerał się znajomy drewniany sufit, a pod ścianą stał stos kartonów z napisem „Rosie”.

Znów straciła świadomość, lecz tym razem przynajmniej ocknęła się w swojej sypialni.

Gdy przesunęła palcem po złamanym wcześniej karku, Orfeusz miauknął z urazą. Choć jego ciało znów było całe, w kręgosłupie pozostała wyrwa.

– Mam nadzieję, że nie boli – szepnęła łagodnie Violet.

Szturchnął noskiem jej dłoń, jakby chciał dodać dziewczynie otuchy. Znów poczuła falę energii łączącej ich niczym niewidzialna smycz.

Orfeusz wyglądał jak kot. W dotyku też nie różnił się od żywego zwierzęcia.

Tyle że był stanowczo za zimny, a kiedy dotykała jego brzuszka, nie czuła pulsu. Ponadto sam fakt, że kot pozwala gładzić się po brzuchu i nie drapie, świadczył dobitnie o tym, że nie jest już zwykłym kotem.

Nie był w stu procentach żywy. Wciąż jednak potrafił patrzeć na nią spode łba, gdy siadała prosto i opierała dłonie na kołdrze, walcząc z mdłościami.

Justin, May i Isaac twierdzili, że póki nie przejdzie Próby, nie będzie miała władzy nad swoimi mocami. Czy właśnie z tego wynikały utraty przytomności? A może ich źródło tkwiło zupełnie gdzie indziej?

Mogła ich zapytać. Przecież obiecali pomoc.

Gdy jednak czerwona wełna na uszku Orfeusza załśniła w sączącym się przez okno świetle, Violet uświadomiła sobie, że nawet w tym domu jest ktoś, kto może odpowiedzieć na jej pytania.

Zsunęła stopy na podłogę i podreptała korytarzem do pokoju ciotki.

– Ciociu? – Zapukała. – Ciociu, jesteś tam?

Daria często chowała się w dziwnych zakątkach domu, ale jej pokój wydawał się najlepszym miejscem do rozpoczęcia poszukiwań. Violet odetchnęła z ulgą, gdy po chwili drzwi się uchyliły i stanęła w nich ciotka w kolejnej ręcznie wydzierganej sukni.

– Mam kilka pytań dotyczących naszej rodziny – oświadczyła bez ogródek Violet. – O ile jesteś w nastroju do odpowiadania.

Daria w zamyśleniu podrapała się w siwiejącą czuprynę. Była zaledwie kilka lat starsza od Juniper, ale czas nie oszczędził się z nią łagodnie. Jej twarz wyglądała, jakby ktoś zwinął ją w kulkę, a potem rozprostował.

– Może – odparła z wahaniem. Otworzyła drzwi szerzej i gestem zaprosiła siostrzenicę do środka.

Choć Violet była w pokoju ciotki po raz pierwszy, spodziewała się zastać mniej więcej taki widok. Wełna, kocie zabawki, stosy dziwnych szpargałów. Suszone kwiaty na ścianach, wielkie okno

z widokiem na ogród. Miała wrażenie, że znalazła się w izdebce emerytowanej wiedźmy.

Biorąc pod uwagę to, czego się dowiedziała w ostatnich dniach, może i tak było.

Usiadła niespokojnie na purpurowej aksamitnej otomanie i patrzyła, jak Daria krząta się po pokoju, chwytając dziwne przedmioty, obraca je i ciska na podłogę.

– Rozmawiałam z Hawthorne’ami – zaczęła Violet, próbując sprowadzić ją na ziemię. – Mówią, że mamy moce, ale nie możemy nimi władać, póki nie przejdziemy Próby.

– Hawthorne’owie lubią się wywyższać. – Daria uniosła do nosa bryłkę bursztynu z pająkiem w środku, powąchała i rzuciła na łóżko. – Ich korzenie sięgają wszędzie, owijają się wokół życia każdego człowieka. Powinni pozwolić innym rozwijać się po swojemu. Zawsze tak robiliśmy.

– My? To znaczy Saundersowie?

Daria chyba jej nie słyszała.

– A ten ich chłopak. Powinnaś go ostrzec. Powiedz mu, że krzyżowiec wraca, by wreszcie tu umrzeć. Zawsze to robi. Wszyscy zawsze wracają.

– Jasne – mruknęła Violet i raz jeszcze próbowała skierować rozmowę na inne tory. – A o nas coś wiesz? Na czym polega nasza Próba?

Ciotka przestała grzebać w szpargałach.

– Wiedziałam. Powinnaś wiedzieć. – Z niemal dziecięcym strachem na twarzy patrzyła w dal.

Frustracja Violet w jednej chwili zmieniła się w troskę. Nie powinna była tak męczyć chorej kobiety.

– Wszystko w porządku – zapewniła ją szybko. – Sama się dowiem.

Daria chwyciła nitkę włóczki wplecioną w suknię i pociągnęła mocno.

– Nie w porządku. Musisz porozmawiać z Carlisle’ami.

Violet przypomniała sobie nazwisko na mapie i ostrzeżenie Harper. Zaryzykowała jeszcze jedno pytanie.

– Dlaczego?

– Bo kiedyś sobie ufaliśmy – wyjaśniła Daria. – Idź. I zabierz kota. Ten niewdzięczny zwierzak woli ciebie, odkąd przywróciłaś go do życia. Odkąd został twoim kompanem.

Violet oniemiała. Siedzący obok otomany Orfeusz miauknął z rozdrażnieniem.

– Zauważyłaś, że jest... inny?

– Nie wszystko zapomniałam – odparła szorstko ciotka. – Nie bez powodu naszym symbolem są kości. A teraz pozwól mi spokojnie dziergać.

Wykurzyła ją z pokoju i zamknęła drzwi, nie dając szansy na zadanie kolejnych pytań.

Violet przez chwilę stała w holu, próbując opanować gonitwę myśli. Potem włożyła rękę do kieszeni i wymacała telefon.



Rozdział 9

Spotkały się nad jeziorem.

Harper była zawstydzona sposobem, w jaki zakończyła poprzednią rozmowę; przekonana, że jej nagłe odejście wyglądało co najmniej dziwnie. Mówienie o Justinie wciąż sprawiało jej trudność. Tamtego wieczoru unikała ojca, nie chcąc się przyznać, że znów go zawiodła.

Najwyraźniej jednak nie zepsuła wszystkiego dokumentnie, bo już następnego dnia Violet przysłała jej SMS-a z prośbą o spotkanie. Harper zostawiła Bretta i Norę pod opieką Seta, by spotkać się z nią sam na sam. Biorąc pod uwagę nieodpowiedzialny charakter brata, trochę ryzykowała, ale gra z pewnością była warta świeczki.

Dostrzegła między drzewami ciemne włosy Violet i przywołała ją gestem. Choć na wielu odcinkach wzdłuż linii brzegowej las był tak gęsty, że nie dało się przez niego przedrzeć, żadna gałąź nie rozciągała się na więcej niż kilka stóp nad taflą wody. Wręcz przeciwnie: zawracały i rosły w przeciwnym kierunku, byle tylko uniknąć kontaktu z jeziorem.

To właśnie z niego wyszła Bestia, gdy założyciele osiedlili się w Czterech Ścieżkach. Las nie zapomniał.

Carlisle'owie też nie.

– Nie miałam pojęcia, że to jezioro jest takie wielkie – powiedziała Violet, gdy w końcu przedarła się do Harper. Powalone przez jakąś dawną burzę drzewo utworzyło na brzegu sękatą, pooraną bliznami ławkę. – Pływacie tu?

– Nigdy.

– Niech zgadnę: jest jakiś nieprzyjemny powód.

– Szybko się uczysz – mruknęła cierpko Harper.

Violet prychnęła i usiadła obok niej. Wyglądała na znacznie bardziej opanowaną niż poprzedniego dnia, a mimo to spod jej idealnie nałożonego makijażu przebijało jakieś rozkojarzenie.

Stopy w lśniących czółenkach niecierpliwie przytupywały.

Palce skubały karmazynowy lakier na paznokciach.

Oczy czujnie obserwowały las, jakby za każdym konarem mogło czyhać niebezpieczeństwo.

Bardzo się starała zachować spokój, ale to tylko sprawiło, że Harper jeszcze szybciej ją przejrzała.

– Coś się stało – stwierdziła.

Jej rozmówczyni nawet nie próbowała się wykręcać.

– Można tak powiedzieć – mruknęła niemal takim głosem, jakby lada chwila miała się roześmiać.

– I napisałaś do mnie, bo...

– Bo myślę, że możesz mi pomóc. – Violet wbiła w rozmówczynię badawcze spojrzenie. – Carlisle'owie są jednym z rodów założycielskich, prawda?

Harper z ociąganiem kiwnęła głową, nie wiedząc, czego się spodziewać. Już wcześniej przypuszczała, że Violet ma jakieś pojęcie o swoim dziedzictwie, ale gdyby włączono ją do patroli, wiadomość z pewnością rozeszłaby się po mieście.

– Więc twoja rodzina przechodzi Próby?

Skinęła głową.

– Ty już swoją przeszłaś?

Harper przeniosła wzrok na obłupane, na zawsze znieruchomiałe sylwetki kamiennych golemów po drugiej stronie jeziora, obmywane przez łagodne fale. Za nimi dostrzegała ledwie widoczne mury ojcowskiej pracowni.

– Moje doświadczenie z Próbami... jest raczej skromne.

– To przez tę rękę? – zapytała bez ogródek Violet. – Bo z całą pewnością jesteś w pełni zdolna do...

– Nie chodzi o rękę. – Dziwną przyjemność sprawiło Harper wypowiedzenie na głos tej prawdy, nawet jeśli poszczególne słowa cięły ją w język jak ostrze. – Chodzi o samą Próbę. Obląłam ją.

Violet zdarła pasek lakieru tak gwałtownie, że omal nie urwała sobie paznokcia.

– Chwila. Można oblać Próbę?

– Owszem. Właśnie wtedy straciłam rękę.

Jej rodowa Próba była prosta: należało zanurzyć się w jeziorze i wrócić z garścią czerwono-brunatnej gliny, tak jak półtora wieku temu uczynił to Thomas Carlisle. Mitzi i Seth uzyskali w ten sposób moc zamieniania swoich rąk w kamień, a Maurice Carlisle – rzeźbienia stróżów.

Harper natomiast wynurzyła się z jeziora nie w Czterech Ścieżkach, a w Szarości. A jej lewa ręka, ściskająca garść cennej ziemi, od łokcia w dół zmieniła się w kamień barwy terakoty... i zaraz potem rozsypała.

W pierwszych miesiącach po nieudanej Próbie śmiertelnie bała się jeziora. Jej sny wypełniała mętna woda zaciskająca się wokół kończyn i zgniatająca je na miazgę. W miarę upływu lat strach osłabł. Teraz, wpatrzona w fale liżące brzeg o kilka stóp od niej, czuła jedynie lekkie drżenie lewej ręki, echo bólu fantomowego. Celowo umówiła się z Violet w tym właśnie miejscu, by utrwalić w sobie przekonanie, że najgorsze, co mogło jej się przytrafić w tym mieście, już się przytrafiło. Kończąc opowiadać swoją historię, z dumą odnotowała, że głos prawie jej nie zadrżał.

– Jezu. – Oczu Violet nie wypełniała litość, której obawiała się Harper, lecz coś przypominającego podziw. – Strasznie mi przykro, że cię to spotkało.

Harper wzruszyła ramionami.

– To nie twoja wina.

– Mimo wszystko. – Violet urwała. – Jestem zaszczyczona, że mi to opowiedziałas. Tylko dlaczego? Przecież mnie nie znasz.

– Całe miasto wie, co się wtedy stało – odparła Harper, myśląc o plotkach, które obły jej się o uszy. Jeśli chciała zdobyć zaufanie Violet, musiała się postarać, żeby ta nie wierzyła w kłamstwa na jej temat. – Wolałam, żebyś usłyszała to ode mnie. Poza tym nasze rody kiedyś trzymały się razem.

Violet zaskoczyło, że o tym wspomniała.

– Podobno – przyznała.

Tradycyjne sojusze bardzo straciły na znaczeniu, odkąd Saundersowie się wykruszyli, a większość Sullivanów zniknęła z miasta. Ale korzenie tych sojuszy przetrwały. Ojciec Harper byłby szczęśliwy na wieść, że Violet też tak uważa.

– Skoro nasze rodziny się przyjaźniły – ciągnęła ta ostatnia – może znasz odpowiedź na pewne ważne dla mnie pytanie.

Harper przypominała sobie obietnicę ojca: jeśli zaprzyjaźni się z Violet, dostanie szansę uczestnictwa w obaleniu Hawthorne'ów.

Teraz miała okazję zdobyć zaufanie, na którym tak jej zależało.

– Pytaj.

Violet spojrzała na nią nieufnie.

– A co ty z tego będziesz miała? Tylko nie ściemniaj.

Najwyraźniej Cztery Ścieżki odcisnęły już na niej swoje piętno. Pokazały, że każdy z mieszkańców ma własne plany i że każda pomoc ma cenę. Harper powiedziała więc jedyną rzecz, jaka jeszcze pozostała w jej arsenale: prawdę.

– Zadaniem rodów założycielskich jest zapewnienie mieszkańcom bezpieczeństwa – wyjaśniła. – Zawiodłam ich, gdy nie udało mi się wyjść z jeziora. Od tamtej pory większość ludzi traktuje mnie jak powietrze.

Violet zmarszczyła brwi.

– Bycie niewidzialną w miejscu, w którym każdy, kogo zauważy zły potwór z lasu, ginie straszliwą śmiercią, nie wydaje się takie złe.

Harper zachnęła się w duchu. Tylko ktoś zupełnie niezorientowany mógł powiedzieć coś tak naiwnego.

– Nie mówiłabyś tak, gdybyś mieszkała tu od dziecka. Gdy z dnia na dzień stajesz się przezroczyista... to jakbyś umarła, tyle że nikt po tobie nie płacze. Jesteś niewidzialna, ale sama wszystko widzisz. –

Nie uświadamiała sobie, jak bliska jest płaczu, póki nie załamał jej się głos. – Jeśli ci pomogę, ludzie będą musieli znów mnie zauważyć.

Violet położyła dłoń na oddzielającej je gałęzi. Na jej nadgarstku lśniła gruba srebrna bransoletka.

– Rozumiem. Pytanie brzmi: na czym polega moja Próba? Koniecznie muszę się tego dowiedzieć, ale wygląda na to, że nikt z rodziny mi nie pomoże. Pomyślałam, że może ktoś z was to wie.

Harper zwiesiła ramiona.

Większość rodowych Prób była z grubsza znana. Nie bez powodu dom Carlisle'ów stał nad jeziorem. Hawthorne'owie starali się ukrywać swoje obrzędy, ale wiadomo było, że mają one jakiś związek z tym ich durnym drzewem. Próba Sullivanów obrosła potwornymi plotkami, odkąd inicjacja Isaaca spowodowała katastrofę, która wygnała z miasta żyjących jeszcze członków jego rodu.

Saundersowie natomiast ukrywali swoją Próbę od tak dawna, że nie przetrwały nawet plotki.

– Nie wiem, jaka jest twoja Próba – przyznała. – Ale pomogę ci to odkryć. W archiwum musiała się zachować jakaś wskazówka.

Violet opłotła palcami bransoletkę.

– Dzięki. – Jej twarz się nie zmieniła, ale ochryply głos zdradzał emocje. – Hawthorne'owie też obiecali mi pomoc. Wiem, że za nimi nie przepadasz, ale... może jednak poszłabyś na współpracę?

Niech to szlag.

Jak mogła myśleć, że nie będzie żadnego haczyka?

Skoro Violet zaufała Hawthorne'om, zwróciła się do nich, a oni obiecali jej pomoc, Harper była na straconej pozycji.

Postanowiła wytoczyć ostatnie działo.

– Ostrzegałam cię – powiedziała, patrząc Violet w oczy. – Jeśli chcesz, możesz z nimi współpracować. Ale ja nie będę.

Violet z powagą odwzajemniła jej spojrzenie.

– Dlaczego? Co zaszło między wami?

– Justin był moim najlepszym przyjacielem. – Harper nigdy wcześniej nie opowiadała tej historii i nie bardzo wiedziała, jak ma to zrobić. – A kiedy oblałam Próbę...

Miała wrażenie, że gardło jej płonie. Fantomowy ból ręki znów się odezwał, tym razem silniej, jakby ktoś wbił w jej lewą dłoń sztylet i przekręcił.

Na dnie jeziora coś na nią czekało. Szarość rozwarła się i wciągnęła ją w swoje szorstkie, bezbarwne objęcia. Zmusiła do wędrowania wśród bezlistnych drzew przez coś, co zdawało jej się minutami, lecz okazało się dniami. Z samej Szarości pamiętała niewiele: głównie głos Bestii syczący jej w głowie, gdy skuliła się na ziemi i szlochała. Nie miała ochoty przypominać sobie więcej.

Jej cierpienie nie skończyło się z chwilą powrotu do Czterech Ścieżek. Gdy wyszła ze szpitala, odkryła, że dla Hawthorne'ów przestała istnieć, a własna rodzina nie broni jej dobrego imienia.

Została sama.

– Okazałam się słaba – kończyła swoją opowieść, świadoma, że brzmi jak ktoś, kto użala się nad sobą – więc zaczęli udawać, że nie istnieję. I udają do dziś.

Violet ścisnęła kolana szczupłymi, kształtnymi dłońmi.

– Przykro tego słuchać – powiedziała drżącym głosem.

Harper przełknęła ślinę. A więc nie została osądzona, uznana za pokonaną.

– To nic takiego.

– Jak to nic takiego? Mówiłaś, że przeżyłaś w Szarości kilka dni?

Skinęła głową.

Oczy Violet wypełniła lodowata furia.

– Ja wytrzymałam zaledwie kilka minut. Jeśli ty przeżyłaś tam kilka dni, jesteś silna jak diabli, a każdy, kto twierdzi inaczej, łże jak pies.

Dźwięk, który wyrwał się z gardła Harper, był idealną kombinacją ulgi i niedowierzania. Zwykle bez miecza w dłoni czuła się słaba. Rozpamiętywanie porażki tak ją pochłonęło, że nie potrafiła myśleć o tym, co osiągnęła.

Teraz dostrzegła przeblysk tego, kim mogłaby być, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

– Nie potrzebuję Hawthorne'ów ani Isaaca – oświadczyła Violet, choć w jej głosie brakło pewności. – Nie chcę mieć do czynienia

z kimś, kto tak cię potraktował.

Wyszarpnęła z kieszeni telefon i zaczęła energicznie pisać.

Harper wpadła w popłoch.

– Co ty robisz?

Violet wcisnęła przycisk i podniosła wzrok.

– Informuję Hawthorne'ów, że nie są mi już potrzebni.

Harper przełknęła ślinę.

W życiu by nie pomyślała, że Violet tak zareaguje. Nie była nawet pewna, czy jej uwierzy.

Ona tymczasem kuła żelazo, póki gorące.

– Od czego zaczniemy? Jak możemy znaleźć ewentualne wskazówki?

Harper niedługo się zastanawiała.

– Najwięcej informacji o założycielach jest w ratuszu. Bo tak naprawdę to nie ratusz, tylko muzeum. Najciekawsze dane dotyczące mocy są utajnione, ale na pewno wiele można wyczytać między wierszami dostępnych materiałów. Zajrzyjmy tam.

– Damy radę dzisiaj?

Pomyślała o Bretcie i Norze czekających na nią w domu. Pokręciła głową.

– Muszę się zająć młodszym rodzeństwem. Może jutro?

– Dobra. – Twarz Violet zastygła w ponurym uśmiechu niczym ciało w stężeniu pośmiertnym.

Gdy się rozstawały, Harper starała się sprawiać wrażenie silnej i pozytywnie nastawionej. W głębi duszy wiedziała jednak, że choć wygrała, przyjdzie jej za to zapłacić.

Zadzieranie z Hawthorne'ami nikomu nie uchodziło na sucho.

*

Violet szła główną ulicą, energicznie stukocząc obcasami o bruk. Wiał ciepły, kojący wietrzyk. Drzewa o rdzawo zakończonych liściach pochylały się nad fantazyjnymi kamienicami, a kasztanowe pnie połykiwały w słońcu.

Cztery Ścieżki miały swoje uroki, o ile potrafiło się zignorować fakt, że są jednocześnie więzieniem potwora, z którym podobno ona w wyniku rodzinnych zobowiązań musiała walczyć.

– Najgorsze magiczne przeznaczenie w historii – mruknęła do siebie, deptając wmurowany w chodnik symbol założycieli, a potem wchodząc po stopniach ratusza. Po obu jej stronach wznosiły się czerwonobrazowe kolumny, a sponad nich spoglądały dwa witraże przedstawiające las, bo cóżby innego. Dach zwęzał się w wieżyczkę z wielkim dzwonem pośrodku, przypominającą wieżyczki domu Saundersów.

Violet nie przyszła tu jednak po to, by podziwiać architekturę.

Przyszła szukać wskazówek.

Miała jej towarzyszyć Harper, ale z jakiegoś powodu odwołała swój udział. Trudno – równie dobrze Violet mogła powęszyć w muzeum sama.

Pchnięciem otworzyła drzwi i weszła do rozbrzmiewającego echem kamiennego holu. Witraże nad głową przepuszczały przytłumione światło, malując wnętrze w odcienie brązu i zieleni. Rozejrzała się i przeżyła szok na widok tuzina portretów przedstawiających osoby o surowych twarzach, z burzami kręconych włosów i bacznyimi spojrzeniami.

Jeszcze zanim zerknęła na pierwszą tabliczkę, domyśliła się, że większość tych postaci nosi jej nazwisko. Nagłe spotkanie z tak wyrazistym, uwiecznionym świadectwem nieznanego dotąd dziedzictwa okazało się niewiarygodnie wzruszające. Wokół trupiobladej szyi Helen Saunders wił się wąż pończosznic, którego Violet z uczuciem dziwnej poufałości rozpoznała jako znajomego znad komina w salonie jej obecnego domu. Z kolei na ciemnobrązowej dłoni Cala Saundersa usadowił się nakrapiany sokół zdobiący obecnie frontowy hol.

Kompani. Tak jak Orfeusz.

Okazało się, że portrety upamiętniają burmistrzów. Daty zaczynały się od roku 1848, a Saundersowie rządili nieprzerwanie do 1985, kiedy to Hiram Saunders zastąpił Geoff Sullivan.

Od tamtej pory funkcję burmistrza sprawowali przedstawiciele różnych rodów założycielskich – jakiś Carlisle, potem kolejny Sullivan – póki przed czterema laty nie zaprzysiężono niejakiego Storeya.

– Nie znajdziesz tu swojej Próby. – To nie był głos Harper. – Tylko mnóstwo portretów nieżyjących ludzi. Oraz ludzi, którzy woleliby nie żyć.

– Widzę, że dobrze się bawisz – odparła, gdy Isaac zamykał za sobą drzwi wejściowe. – Justin kazał ci mnie śledzić?

– Nie śledzę ludzi. – Podszedł do niej. Na ramieniu miał zawieszony niedbale plecak, a z tylnej kieszeni dzinsów wystawała sfatygowana książka w miękkiej oprawie. – Nawet jeśli się mnie grzecznie prosi.

– Więc co tu robisz?

– Przyszedłem do domu.

Zmarszczyła brwi.

– Mieszkasz w ratuszu?

Bawił się paskiem plecaka.

– To całkiem przyjemne miejsce.

– Owszem, ale... – Przypomniała sobie zamazaną część mapy podpisaną jako Terytorium Sullivanów i ledwie widoczny pod nią kontur domu. – Mieszkasz tu sam?

– A czemu pytasz? – Uśmiechnął się zawadiacko. – Chcesz dostać zaproszenie na górę?

Zarumieniała się.

– Próbuję się czegoś dowiedzieć, a ty mi przeszkadzasz.

– Cztery Ścieżki mają do zaoferowania znacznie więcej niż tylko stare portrety burmistrzów – odparł pogardliwie. – Naprawdę myślisz, że odpowiedź tak po prostu leży na widoku? Nasza pomoc to nie byle co, a ty ją odrzuciłaś.

Odsunęła się od niego i zacisnęła palce na bransoletce. Wspomnienie Rosie dodawało jej sił. Nie żałowała, że kazała Hawthorne'om się odczepić. Opowieść Harper ukazała jej ich prawdziwe oblicze. Nie chciała mieć do czynienia z nielojalnymi tchórzami. Ani z nikim, kto się z nimi zadawał.

– Nie przypominam sobie, żebyś ty mi pomógł – zauważyła.

– Wydostałem cię z Szarości. To mało?

– Nie mnie, tylko Justina! – Zauważyła łączącą ich więź. Isaac troszczył się o Justina tak, jak o nią już nikt na świecie. Nikomu nie zależało na ratowaniu jej. – Mnie uwolniłeś tylko przy okazji.

– Tak czy owak, żyjesz.

– To twoja definicja pomocy? – fuknęła. – Wystarczy zachować kogoś przy życiu?

Isaac wyduł wargi. Przez moment miała nieprzyjemne wrażenie, że ją przejrzał. Patrzył na nią tak jak w Jadłodajni czy w szkole: jakby czekał, aż na niego naskoczy, i rozkoszował się jej furią.

– Niech ci będzie, że nie pomogłem. – Jego głos dudnił wśród kamiennych ścian niczym pierwszy grzmot nadchodzącej burzy. – Ale w mieście są miejsca, w których mogłabyś znaleźć potrzebne informacje. Tyle tylko, że nie są dostępne dla byle kogo.

– Świetnie – mruknęła z przekąsem. – Dzięki.

– Nie skończyłem. – Pogrzebał w plecaku i wyjął kółko z kluczami.

– Ja nie jestem byle kim.

Czuła pokusę, ale się wahała.

Isaac prychnął i spojrzał na nią z czymś, co nie mogło być litością... choć bardzo ją przypominało.

– Słuchaj, jeśli wpakujesz się w kłopoty i nie wyjdiesz, Justin będzie się zadręczał. – Urwał. – A on staje się nie do zniesienia, kiedy jest smutny.

Wyraźnie silił się na życzliwość. Doszła do wniosku, że skoro jest do tego zdolny, powinna się zgodzić.

W końcu skinęła głową.

Poprowadził ją schodami w górę do drzwi znacznie mniej okazałych niż te frontowe, zamkniętych na mosiężny zamek. Otworzył go kluczem.

– Na tym piętrze znajduje się archiwum miejskie – powiedział, prowadząc ją obskurnym, kiepsko oświetlonym korytarzem. – Są tu wszystkie materiały związane z historią miasta. Justin i May przyprowadziliby cię tu, gdybyś ich śmiertelnie nie uraziła.

Jej słowa zaniepokoiłyby ją bardziej, gdyby nie wypowiedział ich tak rozbawionym tonem.

– Ty nie wyglądasz na obrażonego.

– W pewnym sensie to było zabawne. – Wzruszył ramionami. – Nie co dzień ktoś odmawia Hawthorne’om. Fajnie jest czasem im przypomnieć, że nie są wszechmocni.

W tym korytarzu nie było portretów – tylko lekko zalatująca grzybem tapeta i skrzypiące pod butami deski. Violet nie mogła uwierzyć, że wciąż znajdują się w tym samym budynku. Przeszła za Isaakiem przez kolejne zdezelowane drewniane drzwi i zmarszczyła nos, bo smród grzyba się wzmógł.

W świetle dochodzącym przez okna na przeciwległej ścianie dostrzegła kilka szafek i regałów wypełnionych po brzegi książkami i dokumentami. Po chwili rozbłysnął rząd lampek i pokój wypełnił się chorobliwym zielonym światłem.

Violet zobaczyła przed sobą znajomą twarz.

– Ciocia Daria? – szepnęła i natychmiast się zaczerwieniła, uświadomiwszy sobie, że patrzy na portret, a nie na żywą osobę. Mimo równie mocno zarysowanej szczęki i podobnego kształtu oczu portret przedstawiał nieznaną kobietę w zapiętej po szyję sukni najwyraźniej pochodzącej z innej epoki, z czerwonym medalionem na piersi i owiniętym wokół ramion żywym gronostajem.

Jak na gust Violet obraz wydawał się nieco zbyt żywy: nie mogła się oprzeć wrażeniu, że kobieta lada moment zamruga.

– To prawdziwi założyciele – rzekł ironicznie Isaac. – Kiedyś wisieli na dole, ale ludzie narzekali, że czują się obserwowani.

– Czy kiedykolwiek żył ktoś, kto potrafił obserwować ludzi przez obraz?

– Nie. Ale zwyczajni mieszkańcy o tym nie wiedzą.

– W takim razie co naprawdę o nas wiedzą?

– Że ich uratowaliśmy – odparł chłopak – i że mamy moce. No i wiedzą o istnieniu potwora.

Przeszła przez pokój, omiatając wzrokiem wszystkie cztery portrety. Ten po lewej przedstawiał Thomasa Carlisle’a, krępego mężczyznę o upiętych w kitkę lokach i szerokim, swobodnym

uśmiechu. W zwróconych wnętrzem do góry dłoniach trzymał czerwonobrunatny miecz. Obok niego widniała Hetty Hawthorne – atrakcyjna blondynka o zadufanym obliczu, trzymająca w palcach kartę – a na prawo od niej wisiał portret Richarda Sullivana.

Ten ostatni wzbudził w Violet niepokój. Szczupły, blady, szpakowaty, patrzył gdzieś w bok, chowając pod kamizelką sztylet ze smugą czegoś podejrzenie przypominającego krew.

Najbardziej jednak interesowała ją oczywiście Lydia Saunders.

To ona była źródłem wszystkich problemów dziewczyny. To ona skazała kolejne pokolenia swojej rodziny na ciągłe zmagania i rozterki, i w zamian za co? Za moce, które zdawały się szkodzić w tym samym stopniu co pomagać?

Violet przeniosła wzrok na tabliczki pod portretami i zmarszczyła brwi.

– Wszyscy zmarli w tym samym dniu. – Odwróciła twarz od wykrzywionych w kpiącym uśmiešku ust Lydii. – Domyślam się, że to nie przypadek.

– Podziwiam twoją zdolność dedukcji – mruknął Isaac. – Założyciele poświęcili się, by stworzyć Szarość i przykuć potwora do Czterech Ścieżek. Dlatego do dziś mamy na ich punkcie taką obsesję. Ludzie uwielbiają męczenników.

Ciężko przełknęła ślinę.

– Więc wiedzieli, że zginą?

Wzruszył ramionami.

– Tak przynajmniej sądzą mieszkańcy.

Zrobiła krok w jego stronę.

– A ty? Co o tym myślisz?

Spochmurniał.

– Moim zdaniem nasi przodkowie poszli szukać potwora, ale nie sądzę, by zdawali sobie sprawę z tego, jaką cenę przyjdzie im zapłacić.

Pod czujnym okiem przodków Violet zaczęła przetrząsać szafki i regały, boleśnie świadoma wagi słów Isaaca.

Kiedy tu przyszła, zastanawiała się, dlaczego archiwum – teoretycznie ważne miejsce – wygląda, jakby wszyscy o nim

zapomnieli. Wystarczyło jednak kilka minut przeglądania zakurzonych książek i artykułów, by pojąć przyczynę.

Większość przechowywanych tu informacji była całkowicie bezużyteczna. Ktokolwiek je zgromadził, najwyraźniej uznał, że trzeba zachować dla potomności dosłownie wszystko, począwszy od wyprawek szkolnych i rachunków po wiekowe artykuły o dawno nieżyjących ludziach.

Co gorsza, nie wyglądało na to, by cała ta zbieranina była w jakikolwiek sposób skatalogowana lub uporządkowana. Jak na miasto, które tak się troszczy o swoje korzenie, Cztery Ścieżki okazały się wyjątkowo słabe w ich dokumentowaniu.

– A ty co się tak zaczerwieniłaś? – Zdziwiła się na widok rumieńca na policzkach Isaaca.

Gwałtownie podniósł głowę znad stosu gazet.

– Ja? Coś ty. Po prostu... – Odkaszlnął. – Znalazłem listy miłosne, które pisali do siebie Helene Saunders i Malcolm Carlisle. Zakazana miłość. Potworna obraza moralności.

Uniosła brwi.

– Zakazana? A to dlaczego?

– Potomkowie założycieli nie powinni się łączyć – wyjaśnił. – Ich moce kasują się wzajemnie w następnym pokoleniu. Ponieważ i tak moce dziedziczy tylko jedna gałąź rodu, konkurencja jest duża i nikt nie chce sam doprowadzać do sytuacji, w której jego potomstwo nie będzie miało szans na ich uzyskanie.

– Aha – mruknęła Violet, przysiadając na krześle obok regałów i rzucając na stos u swoich stóp wszystkie przejrzane materiały. Jej wzrok padł na zdjęcie podpisane „Ceremonia Założycieli”, na którym cztery osoby w koronach szczyrzyły się i machały do oklaskującego je tłumu jak na jakimś koszmarnym festynie.

– Czy ta cała ceremonia wciąż się odbywa?

– Niestety. Co roku, podczas Festynu Założycieli. – Isaac szperał w sąsiednim regale. – Jako jedyna członkini rodziny Saundersów, która ma coś wspólnego z mocami, pewnie będziesz musiała brać w niej udział.

Skrzywiła się, choć był do niej odwrócony plecami.

- Czy ja wyglądam na osobę, która bierze w czymkolwiek udział? Wzruszył ramionami.
- Nosisz koronę. Ludzie klaszczą. To podnosi morale.
- Niby dlaczego miałiby klaskać? – prychnęła. – Justin mówił, że w tym roku zginęły już cztery osoby.
- Właśnie dlatego tak ważne jest udawanie, że mamy wszystko pod kontrolą.

Po tych słowach zamilkli na kilka minut.

Zerknęła na Isaaca. Stał bokiem do niej ze ściągniętą w skupieniu twarzą. Górne guziki jego flanelowej koszuli rozpięły się, odsłaniając pas odbarwionej skóry przecinający gardło. Stali tak blisko, że widziała, jak nabrzmiała, cętkowana skóra blizny unosi się i opada z każdym oddechem.

Isaac zauważył jej wzrok i natychmiast, w gorączkowym pośpiechu, w którym wydawał się mieć spore doświadczenie, dopiął koszulę.

- Nie pytaj – rzucił ostro.
- Nie zamierzałam – odparła szczerze. Jego rozszerzone oczy dały jej do zrozumienia, że uwierzył.

Każdy zasługuje na szansę opowiedzenia swojej historii wtedy, kiedy będzie gotów, a nie wtedy, gdy ktoś go do tego zmusza.

Zdjęła z półki zeszyt i uświadomiła sobie, że te, których używała w podstawówce, miały identyczną okładkę w czarno-białe wzorki.

Pamiętnik Stephena Saundersa. 1984 – napisano ręcznie na pierwszej stronie. Przewróciła ją i czytała dalej.

23 marca 1984 r.

Za dziewiętnaście dni moje życie się zmieni.

Postanowiłem założyć ten pamiętnik, żeby móc kiedyś wrócić do początków i przypomnieć sobie, jak to było, kiedy to wszystko dopiero się zaczynało. To wszystko, czyli moje życie.

Nazywam się Stephen Saunders. Jeśli nie jesteś mną, natychmiast przerwij czytanie.

Tak, drogie siostry, to do was. June, wiem o tej butelce w twoim plecaku. Dario, wiem, że wgniecenie w samochodzie taty to twoja sprawka. Jeśli nie chcecie, żeby te informacje się rozniosły, nie czytajcie dalej.

Choć w gruncie rzeczy i tak was nie obchodzi, co robię. W tej rodzinie po prostu nie zauważa się kogoś, kto nie przeszedł jeszcze Próby.

Do szesnastych urodzin zostały mi niecałe trzy tygodnie. Nie mogę się doczekać.

– Hej! – zawołała Violet. – Chyba znalazłam coś sensownego!
I zaczęła czytać na głos.



Rozdział 10

Konsekwencje nadeszły szybciej, niż Harper się spodziewała. Tego samego wieczoru, kilka godzin po rozstaniu z Violet, w kieszeni jej spódnicy zabrzączał telefon.

Jeszcze zanim spojrzała na ekran, wiedziała, co zobaczy.

To ja. Gdzie jesteś? Musimy pogadać w realu.

Najpierw się przestraszyła. Zaraz potem strach ustąpił miejsca złości. Nie od razu odpowiedziała na wiadomość Justina, przez resztę wieczoru zastanawiając się, jaką obrać strategię.

Dopiero teraz sobie o niej przypomniał. Nagle znów stała się przydatna. Znów była kimś. Skoro ona czekała na jego zainteresowanie trzy lata, on mógł poczekać przynajmniej do rana.

Nim wstała na poranny trening, podjęła decyzję. Justin miał rację: musieli się spotkać. Ale na jej ziemi i jej warunkach, bo po raz pierwszy od lat to ona miała więcej do zaoferowania.

Po lekcjach nad jeziorem – odpisała. – Nie kontaktuj się ze mną wcześniej.

Miło było nim dyrygować. Czowała się lepiej, gdy musiał jej słuchać.

Kiedy jednak wysoka, zwinna sylwetka Justina pojawiała się nad brzegiem jeziora, okazało się, że wszystkie przygotowania mentalne

nie uchroniły Harper przed odruchem wymiotnym. Ani przed pragnieniem, by stać się niewidzialną czy po prostu się rozpuścić.

Żadnej z tych rzeczy oczywiście nie zrobiła.

Po prostu położyła dłoń na stojącym obok uśpionym golemie w kształcie owczarka niemieckiego, by dodać sobie sił, i czekała, aż Justin podejdzie.

Nie bez powodu wybrała na miejsce spotkania galerię posągów za warsztatem ojca. W otoczeniu niszczących świadectw potęgi swoich przodków czuła się bezpieczniej: przypominali jej, że Carlisle'owie też są ważni.

Poza tym wiedziała, że golem budzą w innych ludziach niepokój. A niepokój Justina Hawthorne'a był jej bardzo na rękę.

On jednak – wysoki, opalony i irytująco zrelaksowany – wydawał się czuć na ziemi Carlisle'ów jak u siebie.

Nie przeszkadzała mu nawet zdecydowanie wroga postawa Harper.

– Jak rozumiem, uznałaś, że Violet potrzebuje twojej pomocy bardziej niż naszej – powiedział na powitanie, zatrzymując się między na wpół zniszczonym kamiennym szopem a przyczajoną pumą z obnażonymi kłami. – Chyba sobie na to zasłużyliśmy.

Zaklinała w duchu pumę, by ożyła i wbiła zęby w jego szyję. Niestety zwierzę nie raczyło jej posłuchać.

W głosie Justina pobrzmiwała nieznaczną nutką urazy. Był mistrzem w udawaniu rozżalenia.

– Owszem – odparła Harper, z dumą odnotowując swój nieprzejeđnany ton. – Jeśli masz pytania, zadaj je jej. W końcu to nie ja do ciebie napisałam.

– Violet jest tu nowa. Nie rozumie, jak funkcjonuje to miasto.

Justin nerwowo bawił się dekoltem T-shirtu. Harper mimowolnie wpatrywała się w jego przedramię.

– Wiem – odparła, odrywając wzrok od ręki i patrząc chłopakowi w oczy. – Dlatego ją przed tobą ostrzegłam.

Zrobił krok do przodu. Gałęzie otoczyły tył jego głowy niczym poskręcana korona.

– Nie wiesz, jaka jest stawka tej gry, Harper.

Dźwięk jej imienia był jak nóż wbity w brzuch. A Justin zranił ją już zbyt wiele razy.

– Nie powiedziałam Violet, że nie ma ci ufać. Po prostu powiedziałam jej prawdę. Nie moja wina, że zrobiłeś coś, co nie pasuje do wyidealizowanego obrazu twojej osoby.

Wbił wzrok w połyskujący karmazynowo w blasku popołudniowego słońca medalion na nadgarstku.

– Wiem, że nie jestem tym, za kogo mnie uważa większość ludzi w tym mieście. Nigdy nie zdołam spełnić ich oczekiwań. Ale też nigdy nie chciałem się od ciebie odwrócić. To była najtrudniejsza rzecz, jaką musiałem zrobić w życiu.

Wyglądał na modelowo skruszonego. Zbyt modelowo. Im dłużej na niego patrzyła, tym mniej mu wierzyła. I tym większej nabierała ochoty na wydarcie tego kłamstwa z opuszczonego kącika jego ust.

Trzy lata wcześniej, tydzień po tym, jak Hawthorne'owie przestali ją zauważać, zjawiała się przed ich domem. Gdy zadzwoniła, nikt nie otworzył drzwi, choć w oknie sypialni Justina pojawiła się na moment jego twarz. Gdy tylko zobaczył Harper, zaciągnął zasłony.

Wróciła do domu otepiała od tabletek przeciwbólowych i płaczu, porażona świadomością, że od tej pory może liczyć wyłącznie na siebie.

Na widok opuszczonej głowy Justina odżył w niej tamten ból.

– Serio? – zadrwiła. – Przez trzy lata jakoś nie wyglądałeś na zasmuconego.

– Próbuję cię przeprosić.

– Bynajmniej! – Głos jej drżał. Dość miała słuchania tych bredni. – Przestań udawać, że ci przykro. Przyszedłeś tu tylko dlatego, że zabrałam ci coś, czego chciałeś dla siebie. Ale wiesz co? Kiedy ty wyrzuciłeś mnie ze swojego życia, nie miałam nic do powiedzenia. Tak samo jak teraz ty nie masz nic do powiedzenia w sprawie tego, czy Violet życzy sobie twojej pomocy. Dokonałeś wyboru. Ona dokonała swojego. Uszanuj go.

Chciała, żeby zaproteutował. Była gotowa się spierać. Wygrałaby – do diabła, już wygrała!

Zamiast tego Justinowi zrzęda mina. Na jego twarzy nie było już fałszywego żalu. Była pustka.

– Masz rację – powiedział głucho. – Nie mogę nic zrobić.

Przesunęła dłonią po grzbiecie kamiennego psa, starając się ukryć rozczarowanie. Przez chwilę coś zatrzepotało pod jej palcami, posyłając dziwne mrowienie przez całe ciało aż do czaszki. W mgnieniu oka jednak wszystko wróciło do normy.

– Nie zamierzasz mnie namawiać, żebym jej to wyperswadowała?

– A po co? – Justin pokręcił głową. – I tak byś tego nie zrobiła. Ale jeśli chcesz jej pomagać, nie możesz pozwolić, aby moja matka się o tym dowiedziała. My nic jej nie powiedzieliśmy.

Tym razem ją zaskoczył.

Kiedy jeszcze się z nimi przyjaźniła, Justin i May rzadko się buntowali. Augusta kierowała ich życiem niczym zawzięta trenerka, surowa dyrektorka i bezwzględna dyktatorka w jednej osobie.

Sprzeciwienie się jej wymagało odwagi, o którą Harper nie posądzałyby żadnego z rodzeństwa Hawthorne'ów.

– Skoro matka nie pozwala ci pomagać Violet, dlaczego chcesz to robić?

Gdy Justin się odezwał, instynktownie wiedziała, że mówi prawdę.

– Bo sądzę, że od tego zależy przyszłość naszego miasta. Poza tym mam dość wykonywania poleceń matki, jeśli uważam, że może to doprowadzić wyłącznie do czyjejś krzywdy. Tak jak wtedy, kiedy przestałem z tobą rozmawiać.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł. Jego zwinna sylwetka stopniowo zniknęła w świetle zachodzącego słońca.

Harper opłotła palcami ucho kamiennego psa. Odbyła rozmowę, o której od lat marzyła. Wygarnęła Justinowi, co jej zrobił. A mimo to z jakiegoś powodu czuła się winna – i sfrustrowana.

Kiedy ją zostawił, byli jeszcze dziećmi. Może naprawdę wszystkim winna była pani szeryf.

Niezależnie od tego Justin sprawił Harper ból. I z całą pewnością wiedział, że go sprawi, gdy zdecydował się posłuchać matki.

Teraz to Harper posłuchała ojca. Zaprzyjaźniła się z Violet Saunders.

Pozostało tylko odebrać nagrodę.

*

Pierwsze wpisy w dzienniku Stephena były nudne. Violet z zażenowaniem czytała dziecinne rozważania swego wuja, począwszy od tych o „laskach” ze szkoły, które natychmiast zaczęły na niego lecieć, kiedy tylko przejdzie Próbę, po te o muzyce i programach telewizyjnych, o których w życiu nie słyszała i nic jej nie obchodziły. Jedynymi ciekawymi fragmentami były te, w których pisał o grze na fortepianie.

W miarę zbliżania się jego urodzin pamiętnik stawał się jednak coraz ciekawszy.

4 kwietnia 1984 r.

Dziś przy obiedzie ojciec zrobił nam wykład o obowiązkach Saundersów. Babcia zasnęła przy stole, Daria wyszła do kuchni, żeby „zajrzeć do zapiekanki”, i nie wróciła, ale oczywiście ja musiałem zostać. Na końcu wykładu rzucił mi i Juniper to swoje znaczące spojrzenie.

Agata krakała i trzepotała skrzydłami na swoim patyku. Przysięgam, że ona też się na mnie gapiała. Kompani bywają przerażający: czasami wydają się dokładnie wiedzieć, co myślą ich właściciele.

„Pamiętajcie – powiedział ojciec – bezpieczeństwo Czterech Ścieżek zależy od was”.

Zdaniem June stał się taki upierdliwy, bo jest wściekły o to, że to jego brat został burmistrzem, a nie on, ale gdybym mu to powiedział, zanudziłby mnie na śmierć kolejnym kazaniem.

Moje siostry przeszły Próby już dawno temu. Darii wystarczy kogoś dotknąć, żeby zobaczyć jego śmierć. Ale nikomu nie mówi, co widziała, więc nie mam pojęcia, co dobrego może z tego wyniknąć. Zresztą odkąd zdobyła tę moc, nikt tu nie umarł, więc

nawet nie wiadomo, czy jej wizje są prawdziwe. Chociaż... kiedy je ma, wygląda, jakby miała się zaraz porzygać. Nigdy za bardzo się z nikim nie przyjaźniła, ale teraz unika wszystkich, nawet nas.

Chyba nie chciałbym wiedzieć tego co ona.

Nikt nie chce mi powiedzieć, jaką moc ma June. Podśluchałem tylko, jak ojciec i wujek Hiram rozmawiali o tym, że trudno będzie ją przetestować.

To musi być coś innego. Coś wyjątkowego. Trudno się dziwić, skoro June zawsze była pupilką tatusia.

Przewróciła kartkę. Im bliżej urodzin Stephena, tym mniej beztrioskie stawały się wpisy. Wcześniejsza zgrywa ustępowała miejsca konkretnym informacjom o mieście, plotkom o innych rodzinach i wskazówkom dotyczącym zbliżającej się inicjacji.

– Myślisz, że opisze swoją Próbę? – spytał Isaac.

Zmrużyła oczy, z trudem odczytując bazgroły Stephena.

– Mam nadzieję.

9 sierpnia 1984 r.

Za dwa dni skończę szesnaście lat.

Daria nawet na mnie nie patrzy, ale June zachowuje się jeszcze gorzej: wszędzie za mną łązi. Nie spędzała ze mną tyle czasu, odkąd zaczęła się zadawać z Augustą Hawthorne. Augusta to niezła szprycha, ale wszyscy się jej boją. Nawet najsilniejsi kolesie w szkole omijają ją szerokim łukiem.

– Ale przypał – mruknął z niesmakiem Isaac. – Tak pisać o szeryfowej. I matce Justina.

– Mam wrażenie, że nic by mnie nie ominęło, gdybym nigdy w życiu nie napotkała słowa „szprycha” – stwierdziła Violet.

Coraz więcej gram na fortepianie, żeby nie musieć z nikim gadać, ale oni i tak przyłazą, więc dzisiaj po szkole godzinami

szlajalem się po lesie, żeby jak najdłużej być poza domem. Jakimś cudem znalazła mnie Maya Sullivan. Pewnie przypadkiem wszedłem na ich terytorium. Stary zawsze się wścieka, gdy tam chodzimy.

– To o twojej matce? – zapytała Violet, widząc, że Isaac znieruchomiał.

Skinął głową, nie odrywając od niej wzroku.

– Czytaj dalej.

Omiotła wzrokiem następne zdania.

– To nie jest zbyt pochlebne – mruknęła z wahaniem. – Ani dla was, ani dla Hawthorne’ów.

Wzruszył ramionami z wymuszoną nonszalancją.

– Wiem, co ludzie mówią o mojej rodzinie.

Czytała więc dalej.

Mówi, że ich Próba jest nienaturalna i że ich moce są złe. June uważa, że to tylko stare przesady – Sullivanowie i Hawthorne’owie zawsze trzymali się razem, tak jak my z Carlisle’ami, więc ojciec wrzuca ich do jednego wora.

Nigdy nie przepuści okazji, żeby powiedzieć, że Hawthorne’owie wszystkiego nam zazdroszczą.

Stanowiska burmistrza, najlepszego domu i najsilniejszych mocy.

Zerknęła na Isaaca, lecz on trwał nieporuszony.

Ale ja go olewam. Lubię Mayę. Dała mi kremówkę, którą podkrađa z domu, i powiedziała, żebym się nie przejmował urodzinami.

„Twoja rodzina nie pozwoliłaby ci podjąć Próby, gdyby uważała, że nie jesteś gotowy” – powiedziała.

„A jeśli ja tak uważam?” – zapytałem.

Rzuciła mi ten swój specyficzny uśmiech, który wygląda, jakby za chwilę miała się roześmiać lub rozplakać, tylko nie mogła się zdecydować. Nie mogłem na to patrzeć, więc patrzyłem na kremówkę.

„Nikt nigdy nie jest gotów” – powiedziała, odchylając się do tyłu, aż napięły się blizny na jej ramionach. – „Ale jakoś dajemy radę” – dodała, patrząc w korony drzew.

Oby miała rację.

12 kwietnia 1984 r.

Nie mogę uwierzyć, że tak się denerwowałem! Nie wolno mi zdradzać szczegółów, nawet jeśli dobrze ukrywam ten dziennik, bo ojciec by się mnie wyrzekł, gdyby jakimś cudem go znalazł i dowiedział się, że opisałem Próbę. Mogę jedynie powiedzieć, że była dość niesamowita.

Dziś wieczorem idę na swój pierwszy patrol! Jeszcze nie wiem, czy będę bardziej jak tata, Daria czy June, ale czuję się silniejszy. Nie mogę się doczekać chwili, w której poznam swoje moce.

– Jaja sobie robisz? – Violet miała ochotę cisnąć zeszytem o ścianę. Stephen nie napisał ani słowa o szczegółach Próby! Co za palant. – Byłam tak blisko...

– Czytaj dalej – rzucił półgłosem Isaac.

Westchnęła i przewróciła stronę.

Data była o kilka miesięcy późniejsza.

Wystarczyło kilka zdań, by wiedzieć, że wiele się zmieniło. Stephen wydawał się znacznie dojrzałszy. I zmęczony.

5 września 1984 r.

To było długie lato. Po równonocy wiosennej Szarość zwykle trochę przycicha, ale w tym roku jest silniejsza niż zwykle. Dostłownie co parę dni na granicy naszego terytorium robi się

niespokojnie i ojciec z wujkiem Hiramem muszą iść do lasu. Teraz ja mam do nich dołączyć.

Wiem już, kim jestem. Podobnie jak oni, potrafię wskrzeszać umarłych. Ale wciąż nie mam kompana. Tata mówi, żebym się nie spieszył: on dopiero po miesiącu znalazł Agatę, którą potrącił samochód.

Łatwo mu mówić. Kompan to kluczowy element mocy. Dopiero przy nim rośniesz w siłę, jak przy dobrym trenerze.

A ja stoję w miejscu i zaczyna mnie to już drażnić. Rozczarowanie taty, Szarość próbująca mi się wedrzeć do umysłu, gdy patrzę, jak buzuje na skraju miasta.

Zacząłem lunatykować czy coś w tym stylu. Już dwa razy zbudziłem się w lesie.

Może to dlatego wszystko miesza mi się w głowie.

Od dziecka wiedziałem, że związaliśmy się z Bestią, by móc ją uwięzić. Ale czasem, późną nocą, czuję, że coś włazi mi do głowy i podpowiada, że to, co robimy, jest złe.

Violet знаła to uczucie. Wiedziała, jak to jest, gdy budzisz się w dziwnych miejscach i gdy do twojej głowy wdziera się jakiś głos.

– Urywał mu się film – wychrypiała.

Isaac pochylił się ku niej. W ostatniej chwili powstrzymała się przed odruchowym odgarnięciem kosmyka ciemnych włosów, który opadł mu na czoło.

– Nie mówiłaś czasem, że tobie też się to przydarza?

Skinęła głową i odchrząknęła. Starła się nie myśleć o tym, że niespełna rok po tym wpisie Stephen Saunders już nie żył.

– Od czasu naszej rozmowy miałam kolejny epizod.

– To nie może być zbieg okoliczności.

– Zgadza się – odparła z powagą. – Czytajmy dalej.

19 września 1984 r.

To już mnie nie opuszcza. Jakby przez cały czas coś żyło w moim mózgu i czytało mi w myślach. Czasem czuję emocje, które nie są moje. Na przykład siedzę w kuchni i nagle ogarnia mnie potworna wściekłość. Nie rozumiem, skąd się wzięła. Wiem tylko, że to działa mocniej wtedy, gdy używam mocy, ale tata nie pozwala mi przestać.

Las staje się coraz groźniejszy. W zeszłym miesiącu dwóch ludzi, którzy wyszli z baru, wciągnęła Szarość. Znaleźliśmy tylko jedno ciało. Wyglądało potwornie: opuchnięte, z białymi jak kość oczami. Nie mogę spokojnie spać, odkąd ojciec zmusił mnie do patrzenia na nie.

Wujek Hiram chce, żeby młodzież przestała chodzić na patrole, ale szeryf Hawthorne się upiera, że Cztery Ścieżki potrzebują wszelkiej możliwej pomocy.

22 września 1984 r.

Tym miastem nie mieli rządzić założyciele. Teraz to rozumiem.

Violet z bijącym mocno sercem przewróciła stronę, ale dalej nie było nic. Wszystkie dalsze kartki wyrwano, pozostawiając jedynie połówki, postrzępione resztki.



Rozdział 11

Nie mogła przestać myśleć o dzienniku Stephena. Wyniosła go z archiwum i przez ostatnie dni nieustannie wertowała, robiąc notatki i omawiając potem z Harper najróżniejsze teorie.

Tym razem siedziały na rozkładanych krzesłach w ogrodzie za domem Violet. Harper trzymała w rękach otwarty zeszyt i przyglądała się strzępom wydartych stron. Światło popołudniowego słońca malowało na kasztanowo jej ciemne loki. Violet niechętnie wspomniała o roli Isaaca w znalezieniu pamiętnika. Spodziewała się gniewu, lecz Harper tylko się uśmiechnęła.

– Więc nawet najlepszy przyjaciel Justina odwrócił się od niego – skomentowała. – Doskonale.

– Widzę, że naprawdę go nienawidzisz... – mruknęła Violet. Orfeusz poruszył się lekko na jej kolanach i muskał jej dłoń pyszczkiem, póki nie podrapała go między uszami.

– Nie nienawidzę go – sprostowała Harper, odkładając książkę na kolana. – Po prostu chcę mu uświadomić, że wszystkie te gadki o jego rodzinie to kompletne brednie. I chcę, żeby cierpiał z tego powodu.

– Nie można nikogo oceniać na podstawie rodziny – zaproponowała Violet, myśląc o tym, jak niewiele wspólnego ma z własną matką.

– W przypadku Justina Hawthorne’a można. – Harper westchnęła.
– Rodzina jest dla niego wszystkim. On naprawdę uważa, że Hawthorne’owie są stworzeni do rządzenia miastem, bo od dziecka mu to wmawiano. I choćby nie wiem ile osób zginęło, matka i siostra zawsze będą dla niego najważniejsze. Zawsze taki był. Nawet przed Próbą.

Jej głos przepełniony był goryczą. Goryczą i bólem, który nosiła w sobie latami – być może jeszcze zanim oblała Próbę.

Violet wiedziała, co to ból.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Ciemne oczy Harper pojaśniały, jakby ktoś odsłonił okno. Wciąż przepełniał je ból, ale gdzieś pod nim majaczyła nadzieja.

– Jesteś pewna, że chcesz tego słuchać?

Violet przypomniawszy sobie, jak leżała w łóżku obok Rosie i rozmawiała o wszystkich swoich troskach – drobnych zmartwieniach, a także głębokich ranach, o których myślały, że nigdy się całkowicie nie zagoją. Zawsze po takiej rozmowie czuła się lepiej. Może Harper też się tak poczuje.

– Jasne, że chcę. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

– No dobrze – powiedziała cicho Harper. – Pewnie to wszystko wyda ci się żałosne, ale my z Justinem... to, co on zrobił... to było jakby ze mną zerwał, choć nawet nie byliśmy razem.

– Czuliście coś do siebie – zrozumiała Violet. – To nie jest żałosne. Przeciwnie, to wiele wyjaśnia.

Było jej głupio, że wcześniej nie dostrzegła między Justinem a Harper tego uczuciowego bagażu, który teraz stał się oczywisty. Była zbyt zaprzątnięta swoją Próbą i omdleniami, by zwracać uwagę na innych.

Teraz to się zmieniało, choć jednocześnie czuła, że w ten sposób Cztery Ścieżki zaczynają zapuszczać korzenie w jej sercu.

Harper westchnęła.

– Nie zdarzyło ci się nigdy, że byłaś z kimś blisko, choć wiedziałaś, że to zły pomysł?

Cóż. W siódmej klasie Violet miała słabość do Gracie Coors – dopóki ta nie stwierdziła, że miejsce kogoś, kto interesuje się zarówno chłopakami, jak i dziewczynami, jest w piekle. Był też Connor Jak-mu-tam, poznany na imprezie, na którą jakimś cudem zaciągnęła ją Rosie. Całowali się w piwnicy, gdy nagle wpadła tam jego dziewczyna. Żadnego z tych epizodów nie nazwałaby jednak bliskością.

– Czy ja wiem? – mruknęła, głaszcząc Orfeusza. – Właściwie to z nikim się nie spotykałam.

– W takim razie inaczej: czy miałaś kiedyś złamane serce?

To było łatwiejsze. Śmierć Rosie złamała nie tylko serce, ale całe życie Violet.

– Tak.

– W takim razie wiesz, jak to boli. – Harper spojrzała jej w oczy. – Co gorsza, boli jeszcze bardziej przez to, że nigdy nie powinnam była na nic liczyć. Dzieci założycieli nie mają prawa się spotykać. A Justin nigdy nie sprzeciwiłby się rodzinie, nawet gdyby moja Próba w pełni się powiodła.

Violet spoglądała w dół zbocza, ku miejscu, w którym splątane chwasty i przerośnięta trawa zderzały się ze strzelistymi dębami na skraju lasu.

– A ty? Wybrałabyś rodzinę czy jego?

Harper spuściła głowę. Zachodzące za plecami słońce otoczyło jej sylwetkę złotą aureolą.

– A jak myślisz? – szepnęła.

A więc to jest źródło jej gniewu, pomyślała Violet. To, że oczekiwała od Justina więcej, niż on był w stanie jej dać.

– Nie powinnaś się wstydzić łez – powiedziała cicho, myśląc o tym, jak bardzo Harper otworzyła się przed nią i jak źle czuła się ona sama, odkąd nie mogła o wszystkim porozmawiać z Rosie. – Mój tata zmarł, gdy miałam pięć lat. Ponieważ za bardzo go nie pamiętam, przez pewien czas uważałam, że nie ma to większego znaczenia. Że nie mogę czuć żalu po kimś, kogo nie znałam. Ale tracąc go... straciłam jednocześnie jego rodzinę. Myślałam, że przyjazd tutaj coś zmieni, ale rodzina Saundersów mnie rozczarowała, a ja wciąż

myślę o tym, że nie czuję tego, co powinnam. Że jakaś część mnie umarła na zawsze. – Poczowała kluchę w gardle i uświadomiła sobie, jak mało brakowało, by zaczęła mówić o Rosie. A na to absolutnie nie była gotowa. – Chodzi mi o to – ciągnęła szybko – że mam prawo czuć to, co czuję. I ty też.

– Przykro mi z powodu twojego taty – powiedziała cicho Harper. – Ale dzięki.

– Za co?

– Że mnie wysłuchałaś. – Harper odkaszlnęła i wskazała pamiętnik. – A teraz bierzmy się do roboty.

*

Nie udało im się ustalić, jaki jest związek omdleń z Próbą ani gdzie może się znajdować reszta pamiętnika. Mimo to po rozmowie z Harper Violet czuła się lepiej.

Natychmiast po jej wyjściu odruchowo ruszyła do fortepianu z zeszytem w rękę. Orfeusz podreptał za nią. Po lekturze dziennika Stephena przestała się przejmować swoim przywiązaniem do kota: bliskość kompana pomagała jej lepiej zrozumieć swoje magiczne właściwości. Poza tym musiała przyznać, że przy Orfeuszu, nawet jeśli był zmartwychwstałym trupem, czuje się nieco spokojniej i bezpieczniej.

Najpierw przez chwilę patrzyła na fortepian z oddali. Potem podeszła, nacisnęła klawisz i pozwoliła wybrzmieć pojedynczemu dźwiękowi.

Od kilku dni była kłębkim nerwów, ale na szczęście nigdzie nie widziała turkusowych włosów ani nie budziła się w dziwnych miejscach.

Co nie znaczyło, że już nigdy jej się to nie przydarzy.

– Ostatnio nie ćwiczyłaś. – W drzwiach stała Juniper, nieco mniej elegancka niż zwykle: w dżinsach i żakiecie zamiast zwyczajowego kostiumu ze spodniami. Najwyraźniej nie miała dziś wideokonferencji.

– Nie wiedziałam, że zwracasz na to uwagę – odparła Violet, dyskretnie kładąc zeszyt na ławce, by ukryć go przed matką. Nie miała ochoty odpowiadać na żadne pytania.

Juniper uśmiechnęła się smutno.

– Zamierzałam cię poprosić, żebyś zagrała dla Darii. Sama to zaproponowała. Ale jeśli nie chcesz, to trudno.

Jakby na zawołanie za jej plecami pojawiła się Daria.

– Mama mówi, że jesteś świetną pianistką.

Violet przyjrzała im się podejrzliwie. Wcześniej, gdy zobaczyła je siedzące razem na werandzie, uznała to za przypadek. Ale może było inaczej. Może rzeczywiście na nowo uczyły się być siostrami.

Na tę myśl zabolęło ją serce.

Hm, właściwie brakowało jej grania. Poza tym jeśli miałby jej się urwać film w obecności matki i Darii, przynajmniej powstrzymałyby ją, nim zrobiłaby coś niebezpiecznego.

– No dobrze. – Usiadła i przewróciła nuty na *Balladę nr 1 g-moll opus 23* Chopina, jej ulubiony utwór niedoszętego recitalu. – Ale będę się mylić – ostrzegła.

Zgodnie z zapowiedzią jej występ był daleki od ideału. Nie zrobiła rozgrzewki, a od jej ostatniej prawdziwej próby upłynęły tygodnie. Kiedyś największym wyzwaniem w życiu wydawał jej się egzamin na uczelnię muzyczną. Przed śmiercią Rosie i wszystkim, co nastąpiło po niej, Violet sporządziła nawet listę preferowanych szkół: Eastman School of Music, Juilliard, New England Conservatory, Curtis, Oberlin. Teraz cała ta przyszłość przestała istnieć.

Frustracja wypłynęła wraz z muzyką, przepelniając każdy niedoskonały akord i niezborne ruchy. Gdy zapadła cisza, Violet czuła się lżejsza, jakby poprzez grę zdołała wyegzorcyzmować część siebie.

Ciotka Daria nagrodziła ją burzliwymi oklaskami, lecz bardziej zaskoczyła dziewczynę reakcja matki.

W minionych latach to Rosie pilnowała, by jej młodsza siostra chodziła na lekcje i ćwiczyła, a na pierwszy recital zaprowadziła ją

za rękę i dosłownie wciągnęła po schodach, bo Violet bała się, że zwymiotuje.

Juniper wydawała się nie zwracać na to uwagi.

Ale nie dziś. Dziś przyglądała jej się z uśmiechem, jakby ten jeden raz naprawdę była z niej dumna.

Daria mówiła, że to rodzice chcieli, żeby Violet grała – na cześć Stephen’a.

– Brawo – powiedziała cicho Juniper. Nim zdążyła coś dodać, zabręczała jej komórka. Matka spojrzała na ekran, zmarszczyła brwi i pospiesznie opuściła pokój.

Violet udawała przed sobą, że jej to nie dotknęło.

– No dobra – mruknęła, chwytając zeszyt. – Pójdę już.

Ale Daria zastąpiła jej drogę.

– Skąd to masz? – spytała ochryple.

Nie było sensu kłamać. Violet przełknęła ślinę.

– Z archiwum miejskiego. To dziennik Stephen’a.

Daria skinęła głową.

– Wiem.

– A... a czy wiadomo, co się stało z resztą?

Daria zmarszczyła czoło. Potem sięgnęła do kieszeni sukni i wyjęła coś, co ku rozczarowaniu Violet nie było kartkami, lecz ciemnobrązową drewnianą tubą.

– Mogę jedynie służyć tym – odparła z błyskiem w oku. – Po śmierci mojego brata tata chciał się pozbyć dziennika, ale mama zdążyła go ukryć. Część w archiwum miejskim, a część... hm, mama dała mi to i powiedziała, że znajdę tu wskazówkę. Kazała strzec tuby jak oka w głowie. Przez większość czasu nosiłam ją przy sobie, ale teraz... – Wcisnęła tubę w dłonie Violet. – Teraz jest twoja.

Violet wpatrywała się w Darię, przytłoczona odpowiedzialnością.

– Dziękuję – rzekła tylko.

Ciotka skwitowała to uśmiechem.

– Nie ma za co, kosteczko.

– Dario? Violet? – Z drugiego końca domu rozbrzmiał głos Juniper, która najwyraźniej skończyła już rozmawiać. – Co wy tam robicie?

– Lepiej już idź – wychrypiała Daria. – Ona nie zrozumie.

Violet skinęła głową, przycisnęła do piersi tubę oraz pamiętnik Stephen'a i uciekła do swojego pokoju.

Dopiero po zamknięciu drzwi na klucz pozwoliła sobie obejrzeć dziwny prezent od ciotki. Mierzył niemal stopę i sądząc po wadze, wydawał się pusty. W pobliżu jednego końca dostrzegła wgłębienie i przekręciła wieko, które zostało jej w dłoniach, odsłaniając ukryty wewnątrz tuby zwój papieru.

Widniały na nim niezrozumiałe kreski i kropki. Musiało upłynąć dobrych parę sekund, by zrozumiała, na co patrzy. A gdy już to pojęła, jej dezorientacja jeszcze wzrosła.

Był to plan domu Saundersów nakreślony wyblakłym atramentem na pożółkłym papierze. Rozłożyła go na podłodze, przycisnęła książkami i studiowała, ale poza tym, że wyglądał na bardzo stary, nie wydawał się kryć żadnej tajemnicy.

Zwinęła plan w rulon i westchnęła, zachodząc w głowę, dlaczego Daria jej go dała.

Towarzyszący jej Orfeusz miauknął. Podniosła głowę i zobaczyła, że bawi się pożółkłym skrawkiem papieru, który najwyraźniej wypadł z tuby wraz z planem, niezauważony przez Violet. Wyjęła go spomiędzy kocich łapek.

I niemal krzyknęła ze zdumienia. To było zdjęcie!

Przedstawiało troje nastolatków siedzących na werandzie domu Saundersów. Dziewczyna pośrodku miała idealną sylwetkę, a na ustach wystudiowany, ostrożny uśmiech. Jej ciemne oczy patrzyły prosto w obiektyw. Po jej prawej stronie siedziała obrócona twarzą w bok dziewczyna o ustach rozszerzonych w serdecznym śmiechu. Dłonie zaciskała na brzegach zbyt dużego sztormiaka. Jej ciemne kręcone włosy sięgały niemal pasa.

Uwagę Violet przykuł jednak przede wszystkim siedzący po lewej stronie chłopak z czarnymi lokami, ładną, szczupłą twarzą i swobodnym, szerokim uśmiechem.

Odwróciła zdjęcie i przeczytała podpis:

Rodzeństwo Saundersów (od lewej: Stephen, Daria, Juniper), rok 1984.

Ponownie spojrzała na zdjęcie.

Dziewczyna w sztormiaku to Juniper.

Roześmiana, szalona, wolna. Nieobciążona śmiercią brata, męża, córki.

W niczym niepodobna do kobiety, którą znała Violet.

Po raz pierwszy zastanowiła się, w jakim stopniu jej matkę ukształtowała strata ukochanych osób. Ona sama po śmierci Rosie czuła, że zawalił jej się świat. Przeżywanie czegoś takiego trzykrotnie wydawało się nie do zniesienia dla jakiegokolwiek istoty ludzkiej.

Czy ostatnie miesiące stanowiły dla Violet pierwszy krok ku temu, by stać się tak zgorzkniałą i cyniczną jak Juniper?

Aż zadrżała na myśl, że w przyszłości jej własna córka może myśleć o niej tak samo, jak ona o matce.

– Nie takie jest moje przeznaczenie – szepnęła do zdjęcia.

Ale nie wiedziała, czy to prawda.

Może po prostu nikt jej nie powiedział, że kiedy dorastasz, nigdy naprawdę nie stajesz się tym, kim chciałaś być.

Starannie ułożyła zdjęcie w dolnej przegródce szkatułki na biżuterię, po czym wśliznęła się do łóżka i zacisnęła palce na bransoletce Rosie. Orfeusz skulił się obok niej.

Była zdumiona, że jej zbolełe serce wciąż bije.

*

Imprezy w Czterech Ścieżkach z natury były kameralne, nawet kiedy zaprosiło się wszystkich kolegów i koleżanki ze szkoły. Tego wieczoru jednak pogrążona w półmroku stodoła Suzette Langham pękała w szwach. Wszyscy przekrzykiwali ryczącą muzykę i pozowali do zdjęć pod rozwieszonymi na ścianach lampkami choinkowymi. Nad głową Justina unosiła się chmura dymu papierosowego.

Gdyby rzeczywiście wyjechał z Czterech Ścieżek, mógłby chodzić do prawdziwych klubów. Przesiadywać w prawdziwych barach i flirtować z dziewczynami, których nie zna od przedszkola, zamiast

pieczołowicie unikać kontaktu wzrokowego z Seo-Jin, Brittą i innymi, z którymi spotykał się przez dzień, tydzień, miesiąc. Tyle że gdyby ich nie znał, to i one by go nie znały. Przed Próbką uwielbiał momenty, w których wchodził na imprezę i widział, jak wszyscy na niego patrzą. Mógł się przyłączyć do dowolnej grupy i zawsze był przyjmowany z otwartymi ramionami.

Chyba że była w tej grupie Harper Carlisle.

Od tamtych wydarzeń minęły lata, a mimo to wystarczyło kilka sekund zeszlotygodniowej rozmowy, by zawładnęła nim chęć powiedzenia jej prawdy. Wyjawienia, co jej zrobił i co naprawdę stało się tamtego wieczoru, kiedy zniknęła w Szarości.

Harper zawsze umiała go rozbroić bez specjalnych starań, nawet kiedy nie trzymała miecza w dłoni. Nadal tak było i z tego powodu stracił Violet Saunders. A to znaczyło, że stracił wszystko. Ale zasłużył na to.

Nie powiedział May ani Isaacowi, że desperacja skłoniła go do spotkania się z Harper twarzą w twarz. Był dość pijany, by smakowało mu tanie piwo kupione przez czyjegoś starszego brata lub siostrę, lecz nie dość, by przyznać, że przegrał. Nie był pewien, czy kiedykolwiek upije się dostatecznie, by powiedzieć to głośno.

Kręcił się po stodole, przybijając piątkę z Calem Gonzalezem i stukając się plastikowymi kubkami z Suzette i jej dziewczyną Lią, a potem unosząc kubek do ust. Im lepiej go traktowano, tym większą miał świadomość, że na to nie zasługuje. Podziw i szacunek, jakie spotykały go ze strony koleżanek i kolegów, opierały się na fałszywych przesłankach. Jego życie było jednym wielkim kłamstwem.

Miał tego dość. Nieważne, że był sobotni wieczór ani że należało zachować pozory. Wypił z Marissą Czechowicz po kieliszku jakiejś ohydnej wódki i popił resztą piwa. Zamroczony alkoholem, oddalił się chwiejnie, starając się nie myśleć o tym, jak śmiała się Marissa, gdy skrzywił się po wypiciu wódki.

Żadna ilość taniego alkoholu nie była w stanie uciszyć poczucia winy, które odczuwał na myśl o tym, co zrobił Harper.

Za belą siana mignął mu pastelowy róż – ulubiony kolor May. Justin ruszył wężykiem w jej stronę. Zwykle spędzała imprezy samotnie – odpowiadało jej to – ale tym razem rozmawiała z chłopakiem.

Ciemnowłosym, kędzierzawym chłopakiem trzymającym swobodnie papierosa w lewej dłoni. „Zagrożenie bezpieczeństwa publicznego” – głosił napis na jego koszulce.

Seth Carlisle.

Justin nie chciał teraz rozmawiać z żadnym z Carlisle'ów. Już miał się odwrócić, gdy May go dostrzegła.

– Hej! – zawołała. – Przypilnuj Isaaca. Pojedynekował się z Henrikiem Douganem na ilość wypitej whiskey, a wiesz... – Urwała i czknęła. Seth zachichotał i uniósł papierosa do ust. – ...wiesz, jak to się zwykle kończy.

Justin zastanawiał się przez chwilę, czy siostra próbuje się go pozbyć. Nie podobało mu się, że Seth stoi tak blisko niej i patrzy na nią w ten szczególnie sposób.

Ale May wiedziała, jakie zasady obowiązują założycieli. I prędzej by umarła, niż złamała którąś z nich.

Poza tym miała rację.

Kiedy Isaac upijał się na imprezach, miał zwyczaj niszczyć wszystko, co mu się nie podobało. Doszło do tego, że Justin zastanawiał się, czy nie uprzedzać gospodarzy, by pochowali książki pisarzy, których tamten nie znosił. Ponadto po pijaku Isaac lubił wymykać się z każdym, kto akurat wpadł mu w oko, niezależnie od płci. Gdy przyznał się Justinowi, że jest biseksualny, ten zadeklarował, że może być jego swatem. Isaac jednak wyśmiał go i stwierdził, że sam sobie poradzi, więc Justin dał spokój i podczas imprez pozwalał mu włóczyć się samopas.

Tyle że Isaac miał ochotę romansować jedynie wtedy, gdy był w dobrym nastroju, a przez ostatnie tygodnie chodził wiecznie zdenerwowany i naburmuszony. Justin niechętnie przyznał przed sobą, że pijany i wściekły przyjaciel stwarza większe zagrożenie niż to, co mogłoby się wydarzyć między May a Sethem, i ruszył na poszukiwania.

Wkrótce dostrzegł w tłumie na drugim końcu stodoły zwalistą sylwetkę Henrika. Minął jakąś parkę całującą się po kryjomu i szedł w kierunku narastającego gwaru. Isaac opierał się o ścianę z desek, bełkocząc coś, migocząc i strzelając iskrami. Obserwatorzy otoczyli go półkolem.

– Dam radę! Dam radę! – upierał się Isaac.

Justin przepychał się ku niemu, roztrącając ludzi ramionami, deptając im po stopach i przepraszając na prawo i lewo. Przedarł się do kumpla dokładnie w momencie, w którym pusta butelka po whiskey w jego dłoni zmieniała się w popiół. Henrik wydał radosny ryk i klepnął konkurenta w ramię. Isaac zachwiał się niebezpiecznie, po czym z pijackim chichotem znów przywarł do ściany.

– Hej. – Justin ominął grupę gapiów i stanął między uczestnikami pojedynku. Przez alkoholową mgiełkę w jego głowie przedarła się fala adrenaliny. Musiał powstrzymać Isaaca. To było ważniejsze niż uzalanie się nad sobą. – Wszystko OK?

– Jasne, a co? – Isaac zmarszczył brwi. – W ż-ż-życiu nie było lepiej!

– Napijesz się? – Henrik wyciągnął w kierunku Justina kolejną butelkę.

Justin pokręcił głową. Żołądek i bez tego podchodził mu do gardła. Douganowie sami pędzili whiskey. Nikt dokładnie nie wiedział, jak ją robią, ale za to wszyscy wiedzieli, że wystarczy kilka łyków, by zabić kozę. Biorąc pod uwagę fakt, że Isaac ledwie trzymał się na nogach, wypił ilość wystarczającą do zabicia co najmniej słonia.

– Jeszcze jeden! – skandował tłum.

Henrik wyciągnął przed siebie wiązkę siana.

– Dasz radę?

Isaac prychnął.

– Spoko.

Po chwili popiół zasypywał już buty Henrika (w rozmiarze 49). Tym razem jednak kibice klaskali jedynie od niechcienia, a na ich twarzach próżno było szukać podziwu.

Kiedyś, jeszcze przed Próbą, matka ostrzegła Justina, by nie szukał poklasku. „Nasze moce to nie tanie, proste sztuczki – podkreślała. –

To kwestia życia i śmierci. Nigdy o tym nie zapominaj”.

– Tylko tyle? – zapytał dzieciak, w którym Justin z trudem rozpoznał czyjegoś młodszego brata. Nie miał więcej niż czternaście lat, ale wysunął się przed tłum i szczyrzył niepełne uzębienie w beczelnym uśmiechu. W jego ramionach wił się przerażony wychudzony kot o rudym umaszczeniu, ze wszystkich sił starający się zatopić pazury w szyi chłopaka. – Jeśli jesteś tak potężny, jak wszyscy mówią, może i jego załatwisz?

– Hej – zaoponował Justin, ale Isaac zdążył już zrobić chwiejny krok w stronę chłopaka. Na jego pijackiej twarzy malowała się dezorientacja.

– Nie s-s-s-krzywdziłbym cz-cz-czegoś, co na to nie zasłużyło. Jessem... honorowy.

Ostatnie słowo było ledwie zrozumiałe. Justin nie miał wątpliwości, że tak pijanego Isaaca jeszcze nie widział.

– Serio? – zakpił dzieciak. – Bo o twojej rodzinie raczej tego nie mówią.

Dłonie Isaaca zaczęły się trząść. Bliźniacze medaliony na nadgarstkach połyskiwały matowo w przyćmionym świetle.

Na twarzach obserwatorów Justin zobaczył coś, czego nie widział nigdy dotąd: niesmak w stosunku do założycieli.

W pierwszej chwili myślał, że to alkohol tak ich rozzuchwiał. Ale nie, to musiało być coś innego. Alkohol jedynie pozwalał im okazać coś, co od dawna w nich buzowało.

– Właśnie! – wrzasnął ktoś. – Gdzie ten Sullivan, o którym tyle się nasłuchaliśmy?

– Pewnie wcale nie masz takiej mocy – podpuszczali Isaaca inni. – Pewnie twoja rodzina to wszystko pozmyślała, żeby nas wystraszyć.

– Skoro jesteś taki potężny, to czemu Hap Whitley nie żyje?

– I Vanessa? I Carl?

– Czy przypadkiem nie miałeś nas chronić przed tym całym syfem?

Tłum gęstniał. Justin nie miał chwili do stracenia.

– Dość – powiedział, ale dzieciaka tylko to rozzuchwiał.

– Bo co? – burknął, nie patrząc na niego, lecz na Isaaca. – Posiekasz nas, tak jak twoi posiekali się nawza...

– Dość!!! – ryknął Justin, robiąc zamaszysty krok i stając twarzą w twarz z małolatem. Wyjął mu kota z rąk i podał Henrikowi, po czym chwycił dzieciaka za kołnierz i przyciągnął jeszcze bliżej siebie. – Wypad stąd!

– Przecież to nie twoja impreza! – protestował piskliwie dzieciak.

Justin nie miał w zwyczaju nikomu grozić, ale ta sytuacja nie mogła się wymknąć spod kontroli.

– Hawthorne'owie nie zapominają obelg. – Przerwał, by zgromadzeni mogli przyswoić każde słowo i wyczytać z jego twarzy, że nie żartuje. – Sullivanowie też nie. Naprawdę chcecie się narazić założycielom?

Puścił dzieciaka. Ten natychmiast uciekł, a tłum zaczął się rozchodzić, zawiedziony, że nie doszło do bójki.

– Co z kotem? – Isaac rozglądał się nerwowo. – Nic mu nie jest?

Justin obejrzał się przez ramię. Henrik przyciskał zwierzę do piersi, uspokajając je bełkotliwie.

– Nic.

– Uff – stęknął Isaac. – Kurwa. Jestem wśściekły, że musiałeś im grozić.

– Ja też – przyznał Justin.

Jego matka i May rozkoszowały się reakcją zwykłych mieszkańców miasta na swoje nazwisko, ale on sam był zdegustowany faktem, że musiał go użyć jako straszaka. Mdlilo go na wspomnienie twarzy otaczających go przed chwilą ludzi. Hawthorne'owie tracili miasto. Tracili wszystko. A kiedy mieszkańcy się dowiedzą, że Justin nie ma żadnych mocy, sytuacja tylko się pogorszy.

Violet też mu nie pomoże. Namawianie jej na współpracę okazało się kolosalnym błędem.

Tłoczna stodoła była ostatnim miejscem, w jakim miał teraz ochotę przebywać. Alkohol mącił mu wzrok. Chwilowe otrzeźwienie spowodowane koniecznością obrony Isaaca minęło.

– Chodź, stary. – Otoczył kumpla ramieniem. – Spadajmy stąd.

– To było takie łatwe – mamrotał Isaac, gdy Justin prowadził go do wyjścia. – Wystarczyło dotknąć tego szczyła i miałbym go z głowy.

– Nie myśl o tym.

– Mogłem to zrobić.

– Ale nie zrobiłeś.

Byli już prawie przy drzwiach, gdy Isaac nagle spojrzął na niego oczami pustymi jak zdmuchnięte świece. Justin poczuł irracjonalny strach, że przyjaciel widzi jego myśli; że czyta każdy żenujący szczegół jego lęków i klęsk.

Dłoń Isaaca, dotąd zwieszona bezwładnie z ramienia Justina, teraz zacisnęła się na jego nadgarstku.

– Zawsze to robisz. – Już nie bełkotał. – Zjawiasz się, kiedy cię potrzebuję. Jakim cudem?

Justin przyjrzał się jego napiętej twarzy, poplamionej i zniekształconej przez światła choinkowych lampek, i poczuł coś w rodzaju trudnego do ogarnięcia wstydu. Isaac zwykle udawał twardziela. Patrzenie na niego w momencie, w którym wyłączył wszystkie mechanizmy obronne, wydawało się czymś niewłaściwym.

Niespodziewanie gdzieś z boku błysnął róż. Justin puścił Isaaca, w mgnieniu oka zapomniał o całej tej niezręcznej sytuacji i pospieszył do siostry, by jej powiedzieć, że czas wracać do domu.

Ale ona też miała mu coś do powiedzenia.

– Całe szczęście, że jesteś. – Na jej twarzy malował się niepokój. Uniosła komórkę. – Violet wysłała SMS-y do wszystkich. Coś się stało.



Rozdział 12

Harper nie mogła się pozbyć kaca moralnego po rozmowie z Justinem, póki nie opowiedziała o wszystkim ojcu.

Wpadła do jego warsztatu w dawnej obórcie za galerią posągów, by się pochwalić kontaktem z Violet. Przez ostatnie półtora wieku Carlisle'owie wykorzystywali to miejsce do hodowli zupełnie innych stworzeń – kamiennych ożywieńców.

Wystarczył jeden rzut oka na ściągniętą twarz ojca, by Harper wiedziała, że nie jest mile widziana. Odwiedzanie go w warsztacie było niemal świętokradztwem – nawet w stosunku do rodziny.

– Hawthorne'owie namówili Violet na współpracę – powiedziała szybko. – Ale zrezygnowała z nich i jest z nami. Właśnie się z nią spotkałam nad jeziorem.

Oboje mieli takie same czarne włosy i niesforne gęste brwi, które marszczyły się w specyficzny sposób. Z tym większą satysfakcją patrzyła teraz, jak czoło ojca się wygładza.

– Zawsze walczyłaś do końca – stwierdził i poklepał ją po ramieniu. Jego dłoń zostawiła na bluzce plamę gliny, ale Harper na to nie zważała. Była zbyt zajęta powstrzymywaniem łez, które napłynęły jej do oczu pod wpływem ojcowskiej pochwały.

Justin w każdym calu zasłużył sobie na jej wściekłość. Poza tym naprawdę chciała pomóc Violet.

Nie miała najmniejszego powodu, by czuć się winna.

– Czy teraz będę mogła poznać pozostałych? – zapytała.

Maurice oparł się o framugę drzwi, łącząc krzaczaste brwi w grubą krechę. Za jego plecami, ledwie widoczne w przyćmionym świetle warsztatu, zwisały z sufitu dzwonki w najróżniejszych rozmiarach i kształtach. Ojciec mawiał, że glinę łatwiej kształtować, gdy się ją czuje zamiast widzieć. Wtedy lepiej ci komunikuje, jaka chce być.

– Wiesz co? – powiedział. – Zapracowałam sobie na to.

W konsekwencji kilka dni później wymknęła się z sypialni po wieczorze spędzonym na opiece nad Brettem i Norą. Mitzi i Seth byli na jakiejś imprezie, na którą jej nie zaproszono, więc tylko ona mogła pomóc mamie przy dzieciakach. Przemykając w stronę warsztatu, czuła lekkie wyrzuty sumienia z powodu oszukiwania matki, choć nie były sobie zbyt bliskie.

Gdy jednak ojciec uśmiechnął się i wręczył jej zgrabny srebrny sztylet o rękojeści pięknie wyrzeźbionej z ciemnoczerwonego kamienia, wszelkie opory zeszły na dalszy plan.

Maurice Carlisle nie zdradził swej tajemnicy Sethowi ani Mitzi. Nie zdradził go nawet własnej żonie.

Ale jej tak. I to było bezcenne.

Znała las całkiem nieźle, choć wolała nie wchodzić do niego po zmroku, odkąd co kilka miesięcy ginęli ludzie. Większość mieszkańców postępowała podobnie.

Trzy lata temu Bestia omal jej nie zabiła. Harper nie miała najmniejszego zamiaru po raz drugi wpaść w jej sidła. Na razie jednak w lesie nie działo się nic nadzwyczajnego. Jedynymi dźwiękami były ciche szelest liści i od czasu do czasu ćwierkanie wróbli w koronach drzew. Najzwyklejsza w świecie noc w północnej części stanu Nowy Jork, wystarczająco chłodna, by Harper mogła włożyć swoją ulubioną cienką kurtkę z zawiązanym poniżej łokcia rękawem.

Na wszelki wypadek prawą dłoń trzymała na rękojeści sztyletu.

Zatrzymali się za szeregiem budynków przy głównej ulicy, kilka stóp od pustego dziedzińca za biblioteką.

– Proszę. – Maurice wyjął spod płaszcza zgrzebną jutową pelerynę i podał jej. – Włóż to.

W kolorze i dotyku materiał do złudzenia przypominał worek na ziemniaki. Do tego załatywał grzybem. Zmarszczyła nos, ale posłusznie założyła okrycie, poświęcając dodatkową minutę na związanie w supeł lewego rękawa.

Nie przeszkadzało jej, że w ten sposób uwydatnia swoje kalectwo. Skoro ona mogła żyć z połową lewej ręki, ludzie z całą pewnością mogli znieść patrzywanie na jej niedoskonałość.

– Po co to? – zapytała cicho, pomna, że zaledwie przecznicę dalej znajduje się biuro szeryfa.

Maurice tymczasem okrył się taką samą peleryną. Kiedy się do niej odwrócił, twarz miał skrytą pod kapturem.

– Tradycja – odparł po prostu. – W tych skromnych okryciach wszyscy jesteśmy sobie równi: założyciele i zwykli ludzie. Chodź. Na początku musimy zachować całkowitą ciszę.

Harper nigdy nie słyszała o takiej tradycji. Mimo to posłusznie ruszyła za ojcem przez pusty dziedziniec, starając się robić jak najmniej hałasu. Gdyby się sprzeciwiła, odesłałby ją do domu, a ona tak bardzo chciała poznać szczegóły konspiracji. Po tych wszystkich latach bolesnego życia na uboczu rozpaczliwie pragnęła wreszcie w coś uczestniczyć.

Milczała więc, gdy Maurice wyjął z kieszeni płaszcza klucz i zręcznie otworzył tylne drzwi biblioteki. Milczała, gdy wciągnął ją do pogrążonego w mroku wnętrza – póki nie narzucono jej czegoś na głowę i czyjeś ręce nie przytrzymały od tyłu jej ramion.

– Tato! – Materiał stłumił panikę w głosie Harper. Ktokolwiek ją złapał, nie próbował szukać przegubu dłoni, której nie było. Musiał wiedzieć, że to ona. Ból fantomowy przeszył lewą rękę, wywołując drżenia całego ciała. – Co to ma być?

– Proszę się nie obawiać, panno Carlisle – odpowiedział miękki głos, którego nie rozpoznała. – Nikt nie chce pani skrzywdzić. Po

prostu musimy się upewnić co do pani zamiarów, zanim ujawnimy swoje tajemnice.

– To standardowa procedura, Harper – dodał ojciec, tylko odrobinę uspokajając jej oszalałe ze strachu serce. Poprowadzono ją w górę po schodach i posadzono. Nawet po oswobodzeniu ramion bała się poruszyć. Szepty i pomruki docierające do jej uszu świadczyły o tym, że otacza ją sporo osób.

– Panno Carlisle – odezwał się ten sam głos co przedtem – podobno ojciec polecił pani zaprzyjaźnić się z Violet Saunders.

„Kim pani jest?“, chciała zapytać. „Jak pani śmie?“ Powstrzymała się jednak. Ufała ojcu. Musiała wierzyć, że wszystko będzie dobrze.

– Tak – odparła więc tylko.

– I spisała się pani powyżej oczekiwań.

– Owszem.

– Czy zechciałaby nam pani opowiedzieć, jak udało się zdobyć zaufanie dziewczyny, która ledwie panią zna?

Harper nie potrafiła udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Doszła jednak do wniosku, że jej szczerść nie została dobrze przyjęta. Podała więc inną odpowiedź, która też była prawdziwa.

– Okazało się, że mamy wiele wspólnego – powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał pewnie. – Gdy zapewniałam, że chcę jej pomóc, Violet chyba czuła, że mówię prawdę. A Hawthorne'owie... – Zawahała się. Nie było bezpiecznie publicznie ich krytykować, nie mając pojęcia, z kim naprawdę się rozmawia. Niewiele osób w mieście miało do rodziny pani szeryf taki stosunek jak Harper.

– Proszę kontynuować – zachęcił ją głos. – Zapewniamy, że nikt tu nie zaprotestuje, jeśli powie pani o współzałożycielach coś mniej pochlebnego.

– No dobrze. – Przygryzła wargę, przez chwilę zadowolona, że nikt nie widzi jej twarzy. – Hawthorne'owie już jej się narazili. Chyba się domyśliła, że nie mówią całej prawdy.

– Rozumiem. – Czy tylko jej się zdawało, czy w głosie rozmówczyni brzmiał podziw? – Proszę teraz zamknąć oczy.

Posłuchała. Chwilę później zdjęto jej worek z głowy. Z ulgą wciągnęła w płuca haust świeżego powietrza.

– Harper – ojciec ścisnął jej dłoń – możesz już patrzeć.

Otworzyła oczy.

Znajdowali się na strychu biblioteki. Każdy cal dostępnej przestrzeni zajmowały książki, które uznano za zbyt nieciekawe, skandaliczne lub niebezpieczne dla przeciętnego czytelnika, by je udostępniać. Wokół Harper ustawiono krąg składanych krzeseł, na których siedziało około piętnastu osób w zgrzebnych brązowych pelerynach identycznych z tą, którą dał jej ojciec. Mimo naciągniętych na głowy kapturów rozpoznała wszystkie: Pete’a, Theo i Mateczkę Burnham z Jadłodajni, Korrie Lee ze sklepu spożywczego, a nawet garstkę koleżanek i kolegów z klasy.

Jedynymi źródłami światła na strychu były promienie księżycy dochodzące przez lufcik oraz migoczący świecznik pośrodku kręgu. Harper niespokojnym wzrokiem omiotła książki. Wystarczy odrobina rozżarzonego popiołu i to wszystko spłonie.

– Witamy!

A więc ten miękki głos należał do bibliotekarki, pani Moore. No jasne! Jak mogła go nie poznać. Kobieta pozdrowiła ją życzliwym uśmiechem.

– Powitajmy Harper Carlisle w Kościele czterech bóstw.

Wszyscy oprócz niej wstali jak na zawołanie. Pani Moore dołączyła do kręgu. Nie było czasu na pytania, bo zaraz potem zebrani zaintonowali pieśń.

Początkowo Harper sądziła, że to *Kołysanka założycieli*, ale coś w niej było nie tak.

*Pewnego razu łotry małe
W leśne ostępy się wybrały
Zgubiły się i w Szarość wpadły
By nie powrócić więcej.*

*Bogowie nasi kłamią niecznie
O czworgu, co spętali Bestię
Lecz prawda na jaw wyjdzie:*

*Gałęziom i kamieniom, sztyletom i kościom
Za grzech zapłacić przyjdzie.*

Gdy pieśń dobiegła końca, wszyscy usiedli. Nikt nie klaskał. Nikt się nie wiercił. Wyglądali tak uroczyście, że Harper przeszedł dreszcz.

Niewiele wiedziała o Kościele czterech bóstw. Była to bardzo stara, biorąc pod uwagę wiek tego miasta, religia, w której oryginalnych założycieli czczono jako bogów. Kult wygasł wkrótce po ich śmierci i niewiele dziś o nim wiadano, ale i tak Harper była zdezorientowana: jej ojciec twierdził, że bierze udział w spisku zmierzającym do obalenia Hawthorne'ów, co nijak nie dawało się pogodzić z darzeniem ich boską czcią.

Pani Moore, jakby spodziewała się tego pytania, ponownie stanęła wewnątrz kręgu i odkaszlnęła. Jej okulary w rogowej oprawie odbijały migoczące płomyki świec, zmieniając oczy w kule ognia.

– Jak wiadomo większości z was, nasz przywódca ma dziś pilniejsze sprawy, więc wyjaśnieniem naszej działalności zajmę się ja. Pierwotnym celem Kościoła czterech bóstw, założonego w tysiąc osiemset czterdziestym siódmym roku, było poszukiwanie drogi do zbawienia. My wskrzesiliśmy go jako symbol naszych starań: chcemy ratować miasto. Ratować siebie. Ród Hawthorne'ów zaczął tracić kontrolę nad Szarością, co owocuje śmiercią niewinnych ludzi.

Piętnaście osób wbiło w Harper wyczekujące spojrzenia.

– Nie powinniśmy cierpieć za błędy Hawthorne'ów – bąknęła.

Pani Moore najwyraźniej uznała jej słowa za wystarczające, bo kontynuowała.

– Augusta Hawthorne trzyma miasto w żelaznym uścisku. Nasz przywódca obmyślił plan, który ma obalić jej rządy, lecz do jego realizacji potrzebujemy Saundersów. Dlatego tak nam zależy na kontakcie z Violet. Rozumie pani?

Harper skinęła głową.

– Jaki to plan? Chętnie pomogę.

Twarz pani Moore jakby nieco stężała, a jej kolejne słowa wydawały się dobierane z wielką ostrożnością.

– Póki Hawthorne’owie sprawują władzę, są dla nas zagrożeniem. Znaleźliśmy sposób na trwałe odebranie im mocy. Dzięki temu stracą władzę nad miastem, a ich obowiązki przejmą rodziny, które bardziej na to zasługują, i przywrócą nam bezpieczeństwo.

Harper zadrżała.

Hawthorne’owie zasłużyli sobie na to. Na to, by czuć się tak, jak dotąd czuła się ona. Na to, by nie mieć mocy i nie móc na to nic poradzić.

Pozostało tylko jedno pytanie.

– Jak to zrobimy?

Ojciec ponownie ścisnął jej dłoń. Harper poczuła przypływ szalonej dumy.

– Powoli, panno Carlisle. – Pani Moore z leciutkim rozbawieniem hamowała jej zapędy. – Te plany są tak tajne, że nawet większość z nas nie zna wszystkich szczegółów. Na razie proszę trzymać się blisko Violet Saunders. Pomagać jej w okiełznaniu mocy. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, będziemy chcieli zrobić z nich użytek.

– Mogę jej o tym powiedzieć?

Tym razem odpowiedzi udzielił ojciec.

– Wiem, że masz dobre chęci, ale te informacje są zbyt ważne, by je przekazywać osobom, których lojalności nie jesteśmy w stu procentach pewni. Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mogli cię zwolnić z tajemnicy.

Skinęła głową mimo nękającego ją niepokoju.

– Rozumiem.

– Doskonale – stwierdziła pani Moore.

Nagle na strychu rozległ się dźwięk dzwonek wietrznych – natarczywy, uparty i niewątpliwie elektroniczny.

Harper ze zgrozą uświadomiła sobie, że to jej telefon.

– Przepraszam! – jęknęła, wyjmując go z kieszeni kurtki.

Na ekranie widniał numer Violet.

Maurice Carlisle też to zauważył.

– To dziewczyna Saundersów – powiedział i dał znak pozostałym, by zachowali ciszę. – Odbierz.

Harper wcisnęła guzik i uniosła telefon do ucha. Ze zdenerwowania zaschło jej w gardle.

– Halo?

– Harper, przepraszam... – Ledwie rozpoznała rwany i zrozpaczony głos Violet. – Błagam, stało się coś... – Dalsze słowa zdławił szloch. – Mogłabyś do mnie przyjść? Teraz?

Harper wbiła wzrok w ojca.

– Idź – szepnął. – Ufamy ci.

– Jasne – powiedziała do telefonu, choć czuła, że coś w tym wszystkim jest nie tak. Coś, co stresowało ją i przytłaczało zbyt mocno, by mogła jasno myśleć. – Zaraz u ciebie będę.

*

Violet obudziła się nie pod wpływem hałasu, lecz bólu i zawrotów głowy, które przeniknęły do snu i wyrwały ją z niego.

Mdliło ją i była obolała, jakby przebiegła kilkanaście mil. Miała wrażenie, że wyrwano jej część mózgu.

I w dodatku stała. Stała boso u szczytu schodów w rezydencji Saundersów. Nad jej głową wisiał żyrandol, a u stóp rozciągały się pogrążone w półmroku ciemnoczerwone kamienne schody.

Zacisnęła palce na żeliwnej balustradzie i zadrżała z zimna. Światło księżyca tańczyło wśród piór ozdobiącego ścianę wypchanego sokoła i drzemało w zakamarkach żyrandola, upodabniając jego ramiona do kości.

Spojrzała w dół i zadrżała. Jeszcze dwa kroki i sturlałaby się ze schodów. Nigdy w życiu nie lunatykowała, a teraz co chwila budziła się w środku nocy w dziwnych miejscach.

To nie mógł być przypadek. Będzie musiała z samego rana napisać o tym Harper.

Już miała wrócić do pokoju, gdy dobiegło ją miauczenie Orfeusza. Po chwili kot wyłonił się z za rogu, świecąc żółtymi ślepiami.

– Co jest? – Jej szept odbił się od ścian, wywołując pogłos w całym domu. – Czy wskrzeszone koty lubią wychodzić w nocy?

Kot znów miauknął, otarł się łebkiem o jej gołą kostkę, po czym z gracją zszedł o jeden stopień. Kolejne miauknięcia były bardziej gardłowe i natarczywe. Zeskoczył dwa stopnie niżej i odwrócił się, machając ogonem.

Violet poczuła wewnątrz to samo szarpnięcie, które poprzedniego dnia dopadło ją w pokoju. Przywodziło na myśl moc May: jakby coś sięgało jej do głowy.

I kazało dokładniej sprawdzić, co znajduje się u stóp schodów.

Gdy oczy przywykły do półmroku, zauważyła stojącą w holu postać. Zbyt szeroką w ramionach, by być Juniper, i zbyt wysoką, by być Darią.

W popłochu sięgnęła do włącznika światła.

– Halo? Kto tam jest?

Postać ruszyła do drzwi w tym samym momencie, w którym Violet włączyła światło. Żyrandol rozbłysnął. Załamywane przez kryształy promienie wpełzły do korytarza niczym zygzakowate macki. Wzrok dziewczyny szybko namierzył intruza.

Zamiast twarzy miał zmumifikowane ciało przywierające do gnijącej czaszki; zamiast ubrania – podarte łachmany. Zamiast chodzić – powłóczył nogami.

Poczuła w sercu ostre ukłucie paniki, po którym nastąpił nagły odpływ sił.

Miała przed sobą trupa.

I zrozumiała, że mdłości, które ją zbudziły, to więź łącząca ją z tym martwym ciałem, podobna do tej między nią a Orfeuszem, lecz silniejsza.

Co znaczyło, że to ona ożywiła tę istotę.

Tylko kiedy? Jak? I kto to był?

Ruszyła do przodu, ale drzwi wejściowe już się zatrzaśniwały.

Teraz, przy świetle, zauważyła, że gość coś po sobie zostawił.

U stóp schodów spoczywał nieruchomy kształt. Płatanina siwiejących włosów i czerwonej włóczki, spod której wylewało się

na podłogę więcej czerwieni. Bezwładne ciało ciotki Darii o nienaturalnie wykrzywionej, powalanej krwią twarzy.

Nie pamiętała, jak zbiegła ze schodów.

Pamiętała jedynie, jak przyciska palce do szyi ciotki w poszukiwaniu najmniejszego śladu pulsu.

Brudząc telefon krwią, wywołała numer alarmowy, po nim numer Harper, wreszcie, w desperacji, Justina, Isaaca, May.

W końcu osunęła się na podłogę i pozwoliła sobie zapłakać nad zwłokami ciotki.



Rozdział 13

Dom Saundersów świecił z daleka niczym latarnia. Światło dobiegające z górnych okien przedzierało się przez gęstwinę, ułatwiając Harper nocną wędrówkę. Z każdym krokiem na nowo rozbrzmiewały w jej głowie słowa ojca: „Idź. Ufamy ci”.

Od lat nikt się z nią nie liczył, a teraz w ciągu tygodnia zdobyła szacunek dwóch osób – Violet Saunders i własnego ojca.

Nie zamierzała zawieść żadnej z nich.

Gdy dom w całości wyłonił się z za drzew, zamarła. Pośrodku podjazdu stały dwa samochody policyjne, rzucając na frontową ścianę domu czerwono-niebieskie błyski. Obok jednego z radiowozów, z odznaką lśniąca w dobiegającym z wnętrza domu świetle, stała Augusta Hawthorne.

Osoba, którą Harper właśnie poprzysięgła za wszelką cenę zniszczyć.

Osoba, która – jeśli wierzyć Justinowi – odebrała jej najlepszego przyjaciela.

Osoba, której bała się bardziej niż Szarości. Bardziej niż Bestii.

Jej nogi stały się ciężkie jak ołów. Na widok szopy blond włosów potężnej pani szeryf cała odwaga dziewczyny wyparowała.

Harper wiedziała jednak, że jeśli ucieknie, zawiedzie wszystkich.

A co gorsza, udowodni, że Bestia miała rację, nazywając ją zakałą rodziny.

Poklepała ręką kieszeni sztyletu i ostrożnie wyszła z gęstwiny z zamiarem okrążenia domu. Gdyby udało jej się wejść niepostrzeżenie przez tylne drzwi, może znalazłaby Violet i porozmawiała z nią na osobności.

Zdażyła ujść zaledwie parę kroków, gdy z kępy drzew po jej lewej stronie dobiegły jakieś szelesty i wiązanka przekleństw.

Przywarła do najbliższego pnia i próbowała uspokoić oddech. Ktoś tu był. Sądząc z niemilknących przekleństw, ktoś bardzo pijany lub bardzo, bardzo głupi.

– Jaja se robicie? – burknął jakby do siebie głos. – To ja jestem władcą gałęzi! Może b-b-byście mi trochę pomogły zamiast przeszkadzać?

Stęknęła w duchu, patrząc, jak ocean gałęzi po jej lewej stronie się rozstępuje, ukazując rozczochranego i niewątpliwie odurzonego alkoholem Justina Hawthorne'a.

A więc i pijany, i głupi!

Zauważył ją, nim zdążyła uskoczyć za drzewo.

– Hej! – Oskarżycielsko wycelował w nią palec. – Na założycieli, co ty tu robisz?

Zastanawiała się, czyby uwierzył, gdyby mu powiedziała, że jest jego pijacką halucynacją.

– A ty? – zapytała zamiast tego.

Wyglądał na zagubionego.

– Violet poprosiła o pomoc, a Isaac był zbyt pijany, więc May odprowadziła go do domu, a ja p-p-przyszedłem.

Starła się nie dopuszczać do siebie złości wywołanej faktem, że Violet dzwoniła również do Hawthorne'ów. Justin i tak nie miał szans na odzyskanie jej przychylności. Skoro Isaac był w gorszym stanie niż on, musiał być zalany w trupa.

– Powinieneś być iść z nimi – powiedziała. – Jesteś stanowczo zbyt napruty, by w czymkolwiek pomóc.

– Wcale nie!

Nim zdążyła odpowiedzieć, od strony domu dobiegły głosy policjantów.

– Musimy przeszukać las! – mówił jeden.

– Jej zdaniem to nie Bestia?

– Wiesz, jak wyglądają zabici przez Bestię. To musiał być ktoś inny.

Harper zamarła.

Ktoś zginął.

Tym bardziej musiała zadbać o to, by nikt jej tu nie nakrył.

Wiedziała, że Violet jej potrzebuje, ale nie mogła ryzykować.

Była już w połowie drogi do lasu, gdy sobie uświadomiła, że Justin nie ruszył się z miejsca. Stał pośrodku kępy drzew w sąsiedztwie domu i kiwał się z głupią miną.

Łatwo byłoby go tam zostawić na pastwę policji. Zaczęliby go maglować, dając jej aż nadto czasu na ucieczkę.

Wysłuchana w kroki policjantów, przypomniała sobie jednak ostatnie spotkanie z Justinem i szczerłość w jego oczach, gdy zapewniał, że zamierza sprzeciwić się matce.

Wbrew instynktowi samozachowawczemu biegiem wróciła na otwartą przestrzeń.

– Dalej, władco gałęzi – syknęła, ciągnąc go za sobą. – Myślałam, że umiesz biegać.

– Umieć – burknął, wtaczając się za nią w gąszcz. Wpadł na nią, uderzając w ramię i omal nie przewracając, po czym zmienił kierunek i wyrznął w drzewo.

– Totalny dzieciak z ciebie. – Uchyliła się przed gałęzią. Kroki za ich plecami przycichły, lecz nie umilkły. Nie miała pojęcia, jakim cudem można nie wpaść w ręce policjantów, zachowując się jak słoń w składzie porcelany. – Jeśli natychmiast się nie zamkniesz i nie wytrzeźwiejesz, oboje wylądujemy w gabinecie twojej matki.

Justin zachichotał.

– Kurwa. Z-zapomniałem, jaka poważna się stajesz, gdy jesteś wściekła.

– A ja właśnie się dowiaduję, jaki wkurzający się stajesz, gdy jesteś pijany.

W końcu chyba coś do niego dotarło, bo przez długą chwilę słychać było tylko tupot ich kroków. Kiedy Justin ponownie się odezwał, mówił już nieco wyraźniej.

– Nie ma sensu biec. Usłyszają nas. Lepiej się schowajmy i poczekajmy, aż sobie pójda.

Fakt, że się z nim zgadza, rozzłościł ją jeszcze bardziej.

– Tylko gdzie?

– Znam świetną kryjówkę – odparł pewnie. Mogła jedynie się modlić, żeby ta pewność wynikała z czegoś innego niż ilość wypitego alkoholu. – Chodź.

Ruszył dziarsko naprzód. Ona za nim. Gałęzie zahaczały o jej kurtkę i wczepiały się we włosy. Brnęła głębiej w las, potykając się o korzenie. Nie miała pojęcia, jakim zmysłem kieruje się Justin, ale kilka minut później zatrzymał się przed gęstą plątaniną gałęzi, na oko niczym nieróżniącą się od reszty lasu.

– To tu – powiedział. – Właź.

Nie była przekonana, ale dobiegający z oddali odgłos kroków i błyski latarek przekonały ją do rozsunięcia gałęzi. Ustąpiły bez oporu, odsłaniając kępę drzew tak ściśniętych, że pnie splotły się ze sobą.

Weszła między nie i przysiadła na prowizorycznym krzeselku z dwóch krzywych pni. Po chwili dołączył do niej Justin i usiadł naprzeciwko. Gałęzie za jego plecami wróciły na swoje miejsce, ukrywając zbiegów.

Kryjówka ledwie mieściła ich oboje. Harper podciągnęła kolana pod brodę, starając się nie myśleć o tym, jak mało brakuje, by zetknęli się nogami.

– Skąd znasz to miejsce? – spytała szeptem, patrząc na skrawki nieba przedzierające się przez kokon drzew. Błade światło pełnego niemal księżycy przefiltrowane przez liście malowało wszystko na delikatną zielen.

Justin wzruszył ramionami.

– Jakoś tak... no... Po prostu czasem tu przychodzę – mruknął wymijająco.

Spojrzała na niego i zdumiona zauważyła, że na policzki wypełza mu rumieniec.

O rany. On się spieszył. A to znaczyło, że albo nigdy jeszcze nikogo tu nie przyprowadził, albo...

– O Jezu! – jęknęła. – Nie mów mi, że przychodzisz tu z dziewczynami.

Spuścił głowę. To wystarczyło jej za całą odpowiedź.

– Jaja sobie robisz? – Zdegustowana wyprostowała się jak struna. – Zabrałeś mnie do swojego miejsca schadzek?

Przez całe lata próbowała udawać, że nie słyszy plotek o podbojach Justina, a teraz potrafiła jedynie myśleć o tym, ile dziewczyn przed nią odgarniało te gałęzie. Ile ich siedziało w tym samym miejscu co ona teraz.

Albo i leżało. Nie nastrajało to Harper zbyt pozytywnie.

– To nie jest żadne miejsce schadzek! – Justin podniósł się i stał chwiejnie, zajmując niemal całą dostępną przestrzeń. Opierał się o pnie drzew, prawie dotykając jej palców, a jego zarumieniona wciąż twarz patrzyła na nią z góry. – Przyprowadziłem cię tu, bo potrzebowaliśmy kryjówki, jasne?

– Wolałabym trafić na komisariat. – Na wpół upokorzona, na wpół wściekła, starała się uspokoić rozszalały puls.

Nie powinna była wracać po Justina. On nie należał już do niej. Tak naprawdę nigdy do niej nie należał, ale teraz uświadomiła to sobie bardziej dobitnie niż kiedykolwiek przedtem.

Nie wiedziała, skąd wzięły się jej następne słowa. Miała wrażenie, że podpowiedziało je coś niecnego żyjącego wewnątrz niej.

– Nie mam pojęcia, co robiłeś pod domem Saundersów. Może Violet poprosiła cię o pomoc, ale ty nie jesteś w stanie pomóc nikomu.

Justin zareagował ponurym śmiechem, a na jego twarzy pojawiła się emocja znana jej już z poprzedniego spotkania: poczucie winy.

– Fakt – odparł jakimś ochryplym, strasznym głosem. – Ale nawet trzeźwy na nic bym się jej nie przydał.

Uniósł rękę, a Harper zamarła.

Trzymał w palcach niezgrabny kamienny wisiołek na sznurku, identyczny z tym zawieszonym na jej szyi.

Jak to? Założyciele po przejściu Próby nie nosili przecież kamieni, lecz szklane ozdoby – znak, że sami potrafią stawić czoło Bestii.

– Nie rozumiem – powiedziała cicho. – Po co ci on?

Uniósł kąciki ust w czymś, co nie było uśmiechem. W świetle księżyca jego sylwetka wydawała się popielata, jakby wyszła z Szarości.

– Bo go potrzebuję. Tak jak ty.

Wtedy zrozumiała.

Zrozumiała, dlaczego tak mu zależało na przychylności Violet. Dlaczego Mitzi po powrocie z patroli opowiadała, że to May nimi dowodziła, a nie jej brat. Dlaczego postanowił odwrócić się od własnej matki.

Z jej gardła wydobył się zdławiony jęk.

– Oblałeś Próbę.

Justin puścił kamień, który zawisł na jego szyi niczym biała flaga.

– Owszem.

Uwierzyła mu. Hawthorne'owie byli tak dumni, że z pewnością woleli okłamywać całe miasto niż przyznać, że coś im się nie udało.

– Nie jesteś lepszy ode mnie! – zaszydziła.

Spuścił głowę. Teraz widziała, kogo naprawdę ma przed sobą. Króla bez korony, smutnego chłopca bawiącego się w kogoś, kim nigdy nie będzie w prawdziwym życiu.

– Wiem – przyznał. – Już to zrozumiałem, a przynajmniej próbuję.

– Nie – odpowiedziała. – Niczego nie zrozumiałeś.

On nadal miał wszystko, a ona nie miała nic. I żadna Próba nie mogła tego zmienić.

Zacisnęła palce na rękojeści schowanego w kieszeni sztyletu, walcząc z pokusą zatopienia ostrza w szyi Justina.

Można było go zranić inaczej. Bardziej.

Podeszła do niego.

– Spójrz na mnie.

Przechylił głowę. W jego orzechowych oczach odbijały się gałęzie.

Harper stanęła na palcach, by dorównać mu wzrostem. Nie poruszył się nawet, gdy czubkiem nosa musnęła jego ucho.

Parę minut wcześniej taka bliskość oszołomiłaby ją. Teraz zabrakło jej tchu, lecz nie z pożądania – z wściekłości.

– To nigdy nie przestanie boleć – szepnęła mu do ucha. – I wiesz co? Ten ból ci się należy.

Odwróciła się, odgarnęła gałęzie i wyszła z kryjówki.

Chciała wrócić do posiadłości Saundersów, ale wciąż kręciła się tam policja i nie wyglądało na to, że wkrótce odjedzie. Harper napisała więc do Violet SMS z przeprosinami i ruszyła do domu.

Z każdym krokiem jej wściekłość narastała. Hawthorne'owie skazali ją na niebyt, a Justinowi wybaczyli brak mocy, bo było im na rękę, by miasto wierzyło, że on jest silny, a ona słaba.

Zasługiwali na to, by stracić władzę.

Wszelkie wątpliwości, jakie mogły się jeszcze tlić w jej sercu, zastąpiła wszechogarniająca żądza zemsty.

*

W poniedziałek Violet nie przyszła do szkoły.

Justin wysłał jej kilka SMS-ów, ale nie odpowiedziała. Poprzedni wieczór zlał się w jego głowie w jedną wielką plamę, a dzień, podobnie jak w przypadku większości klasy, minął głównie na heroicznej walce z kacem.

Nie wszystko jednak uciekło Justinowi z pamięci.

Pamiętał powściąganą wściekłość w oczach uczestników imprezy.

Pamiętał paniczne SMS-y Violet pisane do niego i May.

I wreszcie – pamiętał spotkanie z Harper.

Do ostatniej chwili nie był świadom, że pęka. Wystarczył alkohol i poczucie winy wywołane przez spojrzenia rówieśników, by wylały się z niego wszystkie tajemnice.

Wciąż czuł dotyk warg Harper na swoim uchu i ciepło, jakie rozlało się po całym jego ciele na moment przed tym, nim jej słowa dobiły go i pozostawiły w lesie sam na sam z wyrzutami sumienia.

Nie pamiętał, jak wrócił do domu, ale jakimś cudem ocknął się we własnym łóżku z bólem głowy wielkim jak galaktyka.

Po raz pierwszy w życiu Justin Hawthorne żałował, że zapamiętał aż tyle.

Pod każdym względem zrobił z siebie idiotę. Przez alkohol zmarnował szansę na pogodzenie się z Violet. Przez to, że powiedział prawdę, Harper znienawidziła go jeszcze bardziej. Chciał dać jej do zrozumienia, że nie jest osamotniona w cierpieniu, ale minęło zbyt wiele czasu, by mógł odkupić swoje winy. Zamiast tego na nowo rozjątrzył zadane jej przed laty rany.

Spodziewał się wściekłości May, ale zaskoczyła go reakcja Isaaca. Zimna pogarda, którą przyjaciel okazywał mu przez cały następny dzień, w równym stopniu go zraniła, co zdeorientowała.

Dlaczego Isaaca miałyby obchodzić, że jego kumpel zdecydował się powiedzieć komuś prawdę o oblanej Próbie?

Justin bardzo chciał spotkać się z Harper i poważnie, na trzeźwo ją przeprosić. W ciągu ostatnich lat dziewczyna opanowała jednak do perfekcji sztukę znikania: podczas przerw nie można jej było spotkać ani w szkolnej stołówce, ani na boisku.

To jego wina. To on sprawił, że stała się mała i zastraszona. To on uczynił z niej obcą we własnym mieście.

Zasługiwał na jej pogardę. Na jej niesmak. Odwrócił się od niej, gdy go potrzebowała. Teraz ona miała pełne prawo zrobić to samo jemu.

Co nie znaczyło, że on ma do końca dnia się umartwiać.

Po lekcjach, zamiast iść na trening, przeszedł przez parking, omijając z daleka miejsce, w którym May siłowała się z kluczykami ich wspólnego pikapa.

Ledwie zdążył wyjść na główną drogę, złapał go Isaac.

– Idziesz do Violet – stwierdził, w zamyśleniu pocierając czarny zarost na podbródku.

– Owszem. – Justin szykował się na dyskusję. Rano w szkole dowiedzieli się o śmierci Darii Saunders. To dlatego Violet nie przyszła do szkoły i nie odpowiadała na wiadomości. Zawiódł ją, gdy go potrzebowała. Musiała być na niego rozzalona, ale bardzo chciał

osobiście ją przeprosić i zapewnić, że nie musi cierpieć w samotności. – Skąd...

– Idę z tobą.

– Co?

Isaac troszczył się w życiu o trzy sprawy: swoje książki, Justina i May – dokładnie w tej kolejności. Po jakie лихо miałyby chcieć uczestniczyć w rozmowie z Violet? Cóż. Justin musiał przyznać, że ostatnimi czasy jego przyjaciel często zachowuje się niezrozumiale. Jedynym plusem całej tej sytuacji było to, że najwyraźniej jego złość trochę osłabła, nawet jeśli teraz maszerował obok niego z przesadną egzaltacją, mocno tupiąc wysokimi traperami.

– Wszystkie dzieci założycieli wychowują się z bagażem oczekiwań. – Krzywe gałęzie za Isaakiem wyciągały się ku nim jak źle zrósnięte kończyny. Justin nie wiedział, czy to złudzenie optyczne, czy też w tej części lasu coś się wydarzyło. – Trudno, żeby było inaczej, skoro odziedziczyliśmy w spadku po przodkach potwora do pilnowania. Tyle tylko, że niektórzy z nas stracili przez to więcej niż ty.

Powstrzymał się od odpowiedzi. Nie chciał wdawać się w spór, który z nich więcej wycierpiał.

Głównie dlatego, że nie mógłby go wygrać.

– Chcesz powiedzieć, że strata ciotki była dla Violet tak dotkliwa?

Isaac spojrział na niego w sposób dający do zrozumienia, że Justin jest jeszcze głupszy, niż sam sądzi.

– Trochę pogooglowałem. Miała siostrę. Rosie Saunders, osiemnaście lat. Pojechała kupić suknię na bal absolwentów i w drodze powrotnej zginęła w wypadku. Widziałem jej zdjęcie. To samo złowrogie spojrzenie.

– Takie, przy którym czujesz się winny, że w ogóle żyjesz?

Isaac przytaknął.

– Dokładnie. W każdym razie nie chodzi o żalobę po ciotce.

To miało sens. Justin przypomniał sobie dziwne zachowanie Violet podczas czytania kart i rozpacz na wieść o tym, że nie może opuścić miasta. A także to, jak ona i Isaac okrążali się niczym dwa

wilki po przejściach, obwąchujące się ostrożnie w poszukiwaniu swoich słabych punktów.

Ciekawe, że Isaac zainteresował się Violet do tego stopnia, by szukać w Internecie informacji o niej. Gdyby to był ktoś inny, Justin ochoczo by mu to wytknął, ale w tym wypadku chodziło o kogoś, kto doskonale rozpoznaje ból, bo sam go zaznał.

Gdy dotarli do stóp wzgórza wiodącego do domu Saundersów, z ukłuciem paniki rozpoznał stojącego obok porsche srebrnego pikapa.

– Zdziwieni? – May z furią zatrzasnęła drzwi auta i poprawiła opaskę na głowie. Na jej bladych zwykle policzkach malował się gniewny rumieniec. – Chcieliście iść do Violet beze mnie?

– Myślałem, że nie będziesz chciała. – Ruszył w jej stronę przez zwirowy podjazd. Isaac za nim. – Miałem wrażenie, że za nią nie przepadasz.

– Po prostu nie lubię okłamywać mamy! – Wycelowała w niego szpiczasto zakończony różowy paznokiec. – Do mnie Violet też pisała. Nieważne, że wcześniej wystawiła nas do wiatru. Przeżyła coś strasznego, a my zostawiliśmy ją z tym samą. Musimy przeprosić.

– Chciałaś pójść do niej bez nas – zauważył rzeczowo Isaac.

Zmarszczyła brwi.

– To nie ma nic do rzeczy.

– Przeciwnie. To obala cały twój wywód.

– Przestańcie. – Justin stanął między nimi. – Skoro już tu jesteśmy, to po prostu chodźmy do niej.

Po chwili wszyscy troje z uroczystymi minami stali na werandzie. Justin zastukał mosiężną kołatką.

Przez długą chwilę nic się nie działo. Już miał zastukać ponownie, gdy w końcu drzwi się otworzyły i stanęła w nich kobieta. Wyglądała dziwnie znajomo. Gdy odchrząknęła i odgarnęła z czoła pukiel jasnych włosów, Justin uświadomił sobie, skąd ją zna.

W głębi szafy jego matki znajdowało się całe pudło zdjęć i listów związanych z tą osobą. Odkrył je dawno temu, choć oczywiście nie przyznał się Auguście do tego.

Juniper Saunders.

Jej była dziewczyna.

Justin nie miał ochoty myśleć o życiu uczuciowym swojej matki więcej, niż było konieczne. Kilka lat temu wyjaśniła jemu i May, że w młodości spotykała się z mężczyznami i kobietami, ale po przejściach z ojcem swoich dzieci straciła ochotę na wiązanie się z kimkolwiek.

– Tylko wy się liczycie – oznajmiła rzeczowo tonem, który w jej wypadku można było uznać za czuły. – Jesteście całą rodziną, jakiej mi trzeba.

Ojciec, Ezra Bishop, zostawił ich, gdy Justin miał osiem, a May siedem lat. Od tamtej pory go nie widzieli.

I nie chcieli widzieć.

Augusta pozbyła się wszystkich pamiątek po nim, ale czasem, gdy Justin próbował spać, dostrzegał pod powiekami jego bezwzględną twarz.

W dniu, w którym odszedł, Cztery Ścieżki pozbyły się jednego ze swych potworów.

– Dzień dobry – zwrócił się do kobiety. – Czy mam przyjemność z mamą Violet?

– Owszem – odparła. Na pierwszy rzut oka zupełnie nie przypominała córki, ale gdy się odezwała, dostrzegł pomiędzy nimi wyraźne podobieństwo: to od niej Violet nauczyła się zmieniać każde słowo w wyzwanie i stać odrobinę zbyt prosto, jakby zawsze miała coś do udowodnienia. – Jesteście jej przyjaciółmi?

Wyrzekła te słowa z ewidentnym sceptycyzmem. Ponadto wydawała się irytująco opanowana jak na kogoś, kto właśnie stracił siostrę.

– Tak. – Justin wiedział, że Violet stanowczo zaprotestowałyby przeciwko temu określeniu. – Nie było jej dzisiaj w szkole, więc przynieśliśmy jej zadania domowe. Moglibyśmy do niej wejść?

Juniper zmrużyła groźnie oczy.

– Jedna koleżanka już tam jest. Nie możecie po prostu wysłać jej wszystkiego mailem?

May zastygła w bezruchu, a Isaac skrzywił się i wbił wzrok w ziemię.

Tą koleżanką musiała być Harper. Jeśli wejdą do domu, będą musieli się z nią spotkać.

Justin nie był z tego zadowolony. Jednak dotarł aż do drzwi i naprawdę mu zależało na tym, by przeprosić Violet. Przywołał na pomoc to, co jeszcze pozostało z jego siły perswazji, i kontynuował dzielnie:

– Są tam pewne niuanse, które łatwiej będzie wyjaśnić osobiście.

– Hmm... No dobrze – mruknęła z ociąganiem pani Saunders. – Ale jeśli was wyrzuci, nie mówcie, że nie ostrzegałam. Na górze, trzecie drzwi na prawo od schodów.

Posiadłość Saundersów była zimna i nieprzyjemna. Nadgryzione przez mole czerwonożłote dywany uzupełniała kolekcja wypchanych zwierząt bardziej pasująca do muzeum niż do miejsca, w którym żyją ludzie. Fragment podłogi u stóp schodów ogrodzono taśmą. Justin starał się omijać wzrokiem widniejące na drewnianej podłodze ciemne plamy.

Był niemal pewien, że z miejsca świeżej zbrodni powinno się ewakuować mieszkańców.

Poznawszy jednak Violet, a teraz także jej matkę, rozumiał, że niełatwo byłoby je zmusić do opuszczenia domu.

May wskazała żyrandol nad ich głowami.

– Wygląda, jakby był zrobiony z kości, co?

Justin przyjrzał mu się. W słabym, rozkołysanym świetle konstrukcja rzeczywiście przypominała szkielet.

– Widać nie tylko my chwalimy się znakiem firmowym swojej rodziny – odparł, starając się mówić cicho, póki Juniper nie zniknęła w jednym z pokoi na parterze.

Gdy weszli na piętro, przydreptał do nich kot z owiniętym wokół ucha czerwonym sznurkiem. Justin ze zgrozą uświadomił sobie, że to ten sam zwierzak, którego Violet wskrzesiła na jego oczach kilka dni wcześniej.

Poruszał się jak kot. Miauczał jak kot.

Gdy jednak chłopak pochylił się, by go pogłaskać, ciało futrzaka okazało się stanowczo za zimne.

Cofnął dłoń. Serce mocno trzepotało mu w piersi.

Miał przed sobą niezbity dowód na to, że talent Violet jest prawdziwy, potężny i bardzo, bardzo dziwny.

Zapukali do drzwi pokoju. Nikt nie odpowiedział, więc Isaac w końcu się zniecierpliwił i otworzył je.

W środku było ciemno. Violet zaciągnęła zasłony i zamknęła okiennice. W snopie światła, który wdarł się za nimi z korytarza, widać było stojący pod przeciwległą ścianą stos kartonów z napisem „Rosie”.

Siedząca na skraju łóżka Harper zrobiła wielkie oczy, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo spod kołdry wyłoniły się potargane włosy i wściekła blada twarz Violet.

– Nie ważcie się tu wchodzić! Jezu, wszystkich was przyniosło? – jęknęła. – Kto was wpuścił?

– Twoja mama – odparł Isaac. – Urocza kobieta. Odziedziczyłaś po niej wdzięk.

– Przykro nam z powodu śmierci twojej cioci. – Ból, który wykrzywił twarz dziewczyny, szybko przekonał Justina, że nie powinien był tego mówić.

– Żadne z was nie zjawilo się tu wczoraj, kiedy prosiłam! – Narzuciła kołdrę na ramiona jak płaszcz. – Więc po cholere przychodzicie dzisiaj?

– Harper wpuściłaś – zauważył Isaac.

Harper spojrzała na niego spode łba.

– Bo mnie naprawdę było przykro.

– A nam nie? – wykrzyknęła May.

– Dość! – rozbrzmiał wściekły, rozedrgany głos Violet. – Wynoście się stąd. Ty też, Harper. Idźcie się kłócić gdzie indziej.

Mimo bardzo niewyraźnej miny Harper posłusznie zsunęła się z łóżka.

– Rozumiem.

I rzuciła Justinowi spojrzenie, po którym mógł jedynie się cieszyć, że nie powiedziała na głos tego, co pomyślała.

Najpewniej byłoby to okropne.

I prawdziwe.

Zatrzasnęła za sobą drzwi. Justin zrobił niepewny krok do tyłu. Musiał przyznać rację Isaacowi: nie był w stanie zrozumieć takiego bólu.

Nie wiedział, co robić. Jak pomóc Violet. Nagle poczuł przemożną chęć ucieczki. Pragnął zbiec po schodach i uciec jak najdalej – od Harper i od tego straszego, pustego domu.

Nim zdążył się ruszyć, Isaac położył mu dłoń na ramieniu.

– Ja to załatwię – powiedział i otworzył drzwi, po czym przestąpił próg pokoju.



Rozdział 14

Od czasu znaleziska u stóp schodów i widoku wskrzeszonego ciała życie Violet toczyło się we mgle otępienia.

Pamiętała tylko fragmenty: zwłoki Darii wnoszone do karetki, ratowników kręcących głowami, twarz matki pomarszczoną jak zmięta kartka papieru.

Miedziane plamy zaschniętej krwi Darii na rękach.

Ulgę, która odmalowała się na twarzy Augusty Hawthorne na widok stojącej obok schodów Juniper.

I wreszcie to, jak usiadły z matką obok siebie na łóżku, samotne jak nigdy przedtem, a Orfeusz skulił się u ich stóp, żałośnie spoglądając na drzwi żółtymi ślepiami.

Matka w wielkim szlafroku frotté i włożonych w pośpiechu sfatygowanych tenisówek wydawała się drobniejsza niż zwykle. Bawiła się kawałkiem czerwonej wełny, który musiał jej zostać w rękę, gdy karetka zabrała Darię, i stał się dla niej tym, czym dla Violet bransoletka z różą.

– Wiesz – powiedziała Juniper – wróciłam tu ze względu na ciebie.

Spojrzała na matkę. Bez makijażu wydawała się młodsza, bardziej podobna do dziewczyny ze zdjęcia.

– Jak to?

– Gdy na ciebie patrzyłam... po tym wszystkim... przypomniałam sobie, jak bardzo dotknęła mnie strata Stephena. I zrozumiałam, jak bardzo będę żałować, jeśli nigdy więcej nie zobaczę Darii. – Potrząsnęła głową. – Nie zniosłabym tego.

– „Po tym wszystkim”? – zachnęła się Violet. – To znaczy po śmierci Rosie? Możesz mówić wprost, mamó. Nie rozsypię się.

– Ty nie – odparła cicho Juniper, a jej oczy nagle przepełnił żal, którego Violet szukała tam przez ostatnich pięć miesięcy. – Ale ja bym mogła.

To w żadnym razie nie wystarczało, by odbudować więź między nimi, ale była zbyt przerażona i zmęczona, by się kłócić. Pozwoliła więc matce wziąć się za rękę i długo tak siedziały.

Następnego ranka Juniper znów była idealnie opanowana i prowadziła pierwszą wideokonferencję, jakby w nocy nic się nie wydarzyło.

Violet wiedziała, że nie ma sensu o tym rozmawiać. Tylko przysporzyłoby to cierpienia im obu.

Musiały się z tym zmagać w jedyny sposób, jaki znały: każda na własną rękę.

Tego ranka przez kilka godzin przyglądała się swoim dłoniom w poszukiwaniu jakiegokolwiek oznaki, że to ona zepchnęła Darię ze schodów, a nie trup, którego zobaczyła w drzwiach.

A jeśli zrobił to trup, którego ona wskrzesiła, to czy nie była równie winna?

Nikt nie powinien kontemplować takich myśli w samotności. Dlatego wpuściła Harper.

Ledwie jednak zobaczyła Justina, May i Isaaca, wiedziała, że popełniła błąd.

Nie miała ochoty wysłuchiwać ich wzajemnych pretensji. Wiedziała, jak to się skończy: każde z nich będzie się upierać, że to ono najbardziej się o nią troszczy, podczas gdy w rzeczywistości będzie jedynie chciało udowodnić, że to jego rodzina jest lepsza.

Dość miała ich małostkowości.

Wolała cierpieć samotnie.

Teraz jednak Isaac stał przy kartonach z rzeczami Rosie, rozpinając guziki kołnierza.

– Kazałam ci stąd iść – zacisnęła palce na kołdrze – a nie wchodzić tu i się rozbierać.

– Miałem trzech braci – odparł z niezmaconym spokojem, rozsuwając kołnierz i ukazując szyję. – Dwóch wujów. Matkę, ciotkę, kuzynów. Ale żadnego z nich już tu nie ma, a ci, którzy zginęli, sprawili mi mniej bólu niż ci, którzy wyjechali.

– A ta blizna? – zapytała, patrząc na grubą krechę, która w dochodzącym zza szyby w drzwiach bladym świetle przybrała srebrzystoszary odcień. Wyglądała jak dodatkowy cień pełznący przez gardło.

– Dorobiłem się jej tamtego dnia.

– Jak?

Miała nadzieję, że Isaac przestanie mówić. Ale on zrobił krok w jej stronę.

– Niektórzy Sullivanowie potrafią niszczyć, inni naprawiać. Nie pozostał jednak nikt, kto chciałby naprawić mnie.

Violet opuściła kołdrę na wysokość talii. Miała mglistą świadomość faktu, że nie zatroszczyła się dzisiaj o to, by wyglądać jak człowiek, ale w takiej chwili rozciągnięta koszulka i brak makijażu niespecjalnie ją obchodziły.

– Jak mieli na imię twoi bracia? – zapytała cicho.

Zacisnął palce na kolumnie łóżka.

– Caleb. Isaiah. – Zawahał się. – I Gabriel.

– Gabriel to ten, który wyjechał?

Skinął ponuro głową.

– Skąd wiedziałaś?

– Mówiłeś, że ci, którzy wyjechali, bardziej cię zranili. A jego imię wymieniał z największym wysiłkiem.

Zrzuciła z siebie kołdrę, splotła dłonie na legginsach i spojrzała Isaacowi w oczy.

– Przykro mi z powodu twojej ciotki – powiedział cicho. – I siostry.

– Skąd o niej wiesz?

– Wygooglowałem cię.

– Mogłeś po prostu zapytać – mruknęła, choć w jej sercu zamigotało coś na kształt ulgi. Ktoś widział jej cierpienie i znalazł jego przyczynę. Wiedział, że kiedyś miała bliską osobę, a teraz została sama. – Ale jeśli chcesz o niej rozmawiać, nazywaj ją Rosie.

Skinął głową.

– Wedle życzenia.

– Mnie też przykro z powodu twojej rodziny. Z powodu wszystkiego, co się stało. To... to niesprawiedliwe. – Na ostatnim słowie załamał jej się głos i ze zgrozą odkryła, że powstrzymywane dotąd łzy spływają jej po policzkach.

Poryczała się przy chłopaku, którego prawie nie знаła.

Chłopaku, który właśnie opowiedział jej o najgorszych chwilach swojego życia jedynie po to, żeby nie czuła się osamotniona w cierpieniu.

A teraz patrzył na nią nie z litością czy strachem, lecz ze zrozumieniem.

– Masz rację – powiedział, z wahaniem wyciągając rękę i ocierając łzy z jej twarzy. – To niesprawiedliwe. Ale nie możesz przywrócić im życia.

– Nic nie rozumiesz – zaproponowała ochryple, myśląc o żywym trupie i więzi, jaką z nim czuła. – Wiele wskazuje na to, że mogę.

Cofnął dłoń.

– Potrafisz...?

Teraz się przestraszył.

Prychnęła i niecierpliwie otarła resztę łez.

– Taką mam moc, rozumiesz? Wskrzeszam umarłych. Myślałam, że jeśli udałoby mi się przywieźć tu Rosie, mogłabym ją ożywić. Ale nie chcę tego robić. Już nie. Ci, których ożywiam... nie są już tacy jak przedtem, a ja nie chcę... nie chcę, żeby ona była...

– Taka jak twój kot? – zapytał Isaac, a Orfeusz jakby na komendę wyłonił się spod łóżka.

Zawahała się. Zbyt długo jednak dusiła wszystko w sobie.

– Powiedz im, że mogą przestać podsłuchiwać, bo nie mam wątpliwości, że to robią. Niech wejdą. Albo czekaj – zmieniła zdanie. – Najpierw chcę pogadać z Hawthorne'ami.

Isaac otworzył drzwi, za którymi wciąż stali Justin, May i Harper.

– Chciałaś z nami pogadać? – zapytał entuzjastycznie Justin.

Westchnęła.

– Nie traktuj tego jako komplementu. Po prostu mam do was parę pytań.

Gestem wykurzyła Isaaca, a oboje Hawthorne'ów zaprosiła do środka. Przepelniało ją poczucie siły.

May weszła do pokoju, włączając po drodze światło.

– Bez urazy – mruknęła. – Po prostu ta ciemność była strasznie depresyjna.

Violet przeczesła palcami splątane włosy.

– Może akurat mi to odpowiadało?

May wzruszyła ramionami.

– Kiedy Isaac za bardzo się dołuje, zjawiamy się i za szmaty wyciągamy go z domu. Jeśli będzie trzeba, z tobą zrobimy to samo.

Violet z trudem stłumiła śmiech.

– Harper twierdzi, że nie przeszedłeś Próby – powiedziała, wbijając wzrok w Justina. – Wyjaśnij mi to.

– To prawda – odparł cicho. – Przepraszam.

W gruncie rzeczy Violet nie obchodziło, czy Justin ma jakąś moc. I rozumiała, dlaczego wolał nie chwalić się jej brakiem.

Ale też doskonale rozumiała, że jest ktoś, kogo to naprawdę zraniło.

– Nie mnie powinieneś przeproszać.

O ile wcześniej wydawał się zniecierpliwiony, teraz był ewidentnie wystraszony.

– Wiem... Po prostu... z Harper... to skomplikowana sytuacja...

May skubała sobie paznokcie, wydymając umalowane na koralowo wargi.

– Raczej totalna kaszana – prychnęła.

Violet nie była pewna, czy chce się zagłębiać w smętne perypetie życiowe Harper i Justina. Musiała natomiast wiedzieć, czy Hawthorne'om można ufać.

– Mówiła, że gdy sama oblała Próbę, oboje przestaliście ją zauważać. To prawda?

Odkąd zjawiała się w Czterech Ścieżkach, Justin zawsze był dla niej życzliwy. Trudno jej było pogodzić własne doświadczenia z obrazem chłopaka, który odwrócił się od kogoś, gdy ten ktoś okazał się pozbawiony mocy, a jeszcze trudniej pojąć, że zrobił to człowiek, który skrzętnie ukrywał własną niemoc.

– Matka nas do tego zmusiła – rzekł ochryplym od powściąganym emocji głosem. – Powiedziała, żebyśmy nie zawracali sobie głowy kimś, kto nie może nam pomóc w ochronie miasta. Byliśmy bardzo młodzi. Uważałem, że matka jest alfą i omegą. I bałem się.

– Czego?

May podniosła wzrok znad paznokci. W jej niebieskich oczach malowała się śmiertelna powaga.

– Nigdy nie widziałas wścieklej Augusty.

– Moja Próba przypadała dopiero w zeszłym roku – wyjaśnił Justin. – Do tamtej pory nie wiedziałem, że nie mam mocy. Większość ludzi nadal tego nie wie.

Opowiadał dalej. Kiedy mówił o tym, że matka poprosiła go o wyjazd z Czterech Ścieżek, a on bardzo chce zostać, May wierciła się niespokojnie.

Violet doskonale rozumiała pobrzmiewającą w jego głosie gorycz. Wiedziała, jak to jest mieć matkę, która jest ci kompletnie obca, odległa o lata świetlne, i niezależnie od tego, jak bardzo cierpią przez to jej dzieci, zawsze stawia na pierwszym miejscu siebie.

Przełknęła ślinę.

– Więc przestałeś jej ufać.

Justin przytaknął.

– Zawsze przyznawałem jej rację, ale im jestem starszy, tym bardziej widzę, że nawet jej zdarzają się błędy. Nie mogę naprawić krzywdy, którą wyrządziłem Harper. Mam jednak nadzieję, że mogę pomóc tobie.

– Ja też – dodała cicho May.

Violet uwierzyła w ich szczerość.

– Dzięki – powiedziała, zdumiona własnym entuzjazmem. – Teraz możemy rozmawiać.

Gdy pozostali weszli do pokoju, ze wszystkich sił starała się przybrać groźną minę.

– Możecie tu zostać tylko pod warunkiem, że obiecacie nie pozabijać się wzajemnie w mojej obecności.

– Postaram się – westchnęła Harper, siadając na łóżku.

– OK – mruknął Justin.

Violet przyjrzała się wszystkim po kolei – May wpatrzony we własne paznokcie, Isaacowi opartemu o ścianę, Harper i Justinowi udającym, że wcale na siebie nie patrzą – i uświadomiła sobie, że czuje coś, czego nie czuła od śmierci Rosie.

Komuś na niej zależało. Na tyle, by przy niej trwać nawet wtedy, gdy ciskała gromy. Nawet wtedy, gdy nie było to łatwe.

– Chyba zrobiłam coś strasznego – wyznała.

I opowiedziała im wszystko. O trupie, z którym odczuwała dziwną więź. O tym, co się stało z Darią.

O tym, jak bezradna i przerażona się czuje.

A kiedy skończyła, nie gapili się na nią w milczeniu ani nie odeszli.

Zacząli mówić – wszyscy jednocześnie, przekrzykując się, i wszyscy z tą samą pasją.

– Chcę zobaczyć ten dziennik. – May szarpała medalion na swojej szyi. – Na pewno nie masz żadnego pomysłu, gdzie szukać drugiej części?

– Jeśli jeszcze raz film ci się urwie, powiedz nam o tym – poprosiła łagodnie Harper, ściskając dłoń Violet. Orfeusz przysiadł obok niej, połyskując złotymi ślepiami.

– Albo jak znowu zobaczysz jakiegoś wskrzeszonego trupa. – Isaac zmarszczył brwi. – Justin, myślisz, że w raportach z patroli może coś być na ten temat?

– W Czterech Ścieżkach niełatwo o zwłoki – zauważył Justin, a Violet przypomniawszy sobie mauzoleum z urnami. No jasne! Miasto, w którym żyją ludzie potrafiący wskrzeszać zmarłych, musiało znaleźć na to sposób. – Ale jeśli w raportach coś jest, znajdziemy to.

– Poradzimy sobie – dodała Harper, wspierając się o ramię Violet, która uśmiechnęła się wbrew wszystkiemu.

*

Piątek przed równonocą zaczął się pochmurno i mgliście. Justin wśród gwaru rozmów kolegów z drużyny powoli zmierzał na start biegu. Miał wrażenie, że mgła przenika do jego wnętrza. Czubki drzew w oddali zniknęły za jej kłębam, podsuwając niechciany obraz Szarości.

Ostatnie dni zdawały się spokojne i zwyczajne. Nie miał jednak wątpliwości, że to cisza przed burzą. Kłopoty wisiały w powietrzu niczym zastygłe maczugi do żonglowania, które lada chwila zaczną spadać.

Nie chodziło tylko o Próbę Violet. Musieli odnaleźć wskrzeszone ciało. Dowiedzieć się, co się z nim teraz dzieje. Być może Augusta już to wiedziała, ale Justin nie miał pojęcia, jak ją o to zapytać, nie zdradzając, że współpracuje z Violet.

Do tego dochodziła Harper, która przez ostatnich kilka dni traktowała go jak powietrze.

Jakby tego było mało, następnego dnia przypadał Festyn Założycieli, a wraz z nim równonoc jesienna, jedna z najniebezpieczniejszych nocy w roku. Justin przechadzał się nerwowo po linii startu, starając się zagłuszyć w sobie świadomość faktu, że nijak nie może pomóc miastu w walce z nacierającą Szarością.

Na lokalne zawody przyjechało paru skautów z uczelnianych klubów, co nie zdarzało się często. Próbowali już łapać Justina, ale on tylko kiwał głową i spławiał ich niezobowiązującym uśmiechem.

Poprzedniego wieczoru matka wręczyła mu wypełniony formularz podania na studia.

– To szansa – powiedziała. – Wiesz, ilu młodych ludzi dałoby wszystko, by się stąd wyrwać?

Podanie wciąż leżało na nocnym stoliku w jego sypialni.

Jeśli dziś dobrze pobiegnie, zwiększy swoje szanse na otrzymanie stypendium. Tyle że nie był pewien, czy chce je otrzymać.

– Przygotować się do biegu!

Gdy podchodził do linii startu, pozostali zawodnicy przepuścili go z respektem, mamrocząc coś za jego plecami. Cóż. Był Hawthorne'em, a to oznaczało, że szybko biega, nie wychyla się i potrafi doskonale udawać, że wszystko jest w porządku.

Westchnął i usiłował skupić się na biegu. Niespodziewanie z tłumu kibiców wyskoczyła jakaś różowa plama i zatopila w jego przedramieniu wypielęgowane paznokcie.

– Justin! – Próbowano wyciągnąć go z tłumu zawodników.

– Co? – Gapił się na siostrę, świadom rozbrzmiewającego wokół gwaru.

– Justin – powtórzyła. Jej dłoń drżała. Wyciągnął drugą rękę i złapał May za nadgarstek. – Chodzi o Isaaca.

Pociągnęła go za sobą przez trawnik w stronę drzew.

Obejrzał się za siebie. Sędzia właśnie unosił pistolet startowy. Mógł zostać, pobiec i być może wywalczyć sobie wyjazd z miasta. Albo mógł ruszyć z odsieczą Isaacowi.

Decyzja była oczywista.

Odwrócił wzrok od bieżni, od pistoletu, który właśnie dał sygnał do startu, od ruszających zawodników i zaskoczonego, oskarżycielskiego spojrzenia trenera Lowella.

To było jego miasto. I jego przyjaciel. Nikt nie mógł go zmusić do wyjazdu.

– Co się stało?

– Zagotował się w pracy. Ktoś zadzwonił po Mateczkę Burnham. Musisz go uspokoić, nim ona się tam zjawi.

*

Przed Jadłodajnią powitało ich morze zdenerwowanych twarzy. Nim May zaparkowała pikapa, nie dbając o to, że staje w poprzek dwóch miejsc, Justin otworzył drzwi i usłyszał gwar przestraszonych głosów.

Podszedł do zebranych z pozornym spokojem, który kosztował go wiele wysiłku, i miną oscylującą między neutralną a lekko

zaniepokojoną. Jeśli zdoła przekonać pozostałych, że to tylko drobna niedogodność, irytująca, lecz niegroźna, wezmą z niego przykład i połowa niebezpieczeństwa zostanie zażegnana. Próbował zajrzeć do wnętrza Jadłodajni, lecz było tam ciemno, a szyby okienne pokrywała pajęczyna pęknięć.

– Spodziewałam się szeryfowej. – Twarz Mateczki Burnham przybrała popielatą barwę. Ze skaleczonego policzka spływała strużka krwi. Żadna z tych rzeczy nie martwiła jednak Justina tak, jak brzmiąca w głosie Mateczki złość i malujący się w jej oczach niesmak.

Znał to spojrzenie. Tak patrzyła na niego Harper. Było to spojrzenie kogoś, kto zawiódł się na tobie tak bardzo, że nigdy nie zdołasz odkupić swoich win.

– Mama zaraz przyjedzie. – Ledwie zauważał krople deszczu, które zrosiły jego ramiona i szyję. Musiał się skupić na zadaniu. – Opowie mi pani, co się stało?

– Tak jakby twoją rodzinę to obchodziło! – wykrzyknął jakiś głos z tłumu. Chwilę później do Justina przedarł się ten sam chłopak, który poprzedniego wieczoru podpuszczał Isaaca.

Justin wciąż nie pamiętał jego imienia, ale szpara w zębach i grzywka opadająca na krzaczaste brwi kogoś mu przypominały.

– Mnie obchodzi – zapewnił. – Przyjechałem tu, bo chcę, żebyście byli bezpieczni.

– Mój brat zginął podczas waszego patrolu! – Justin zamarł. Wreszcie dotarło do niego, kogo przypomina mu chłopak: Hapa Whitleya ze zdjęć w „Głosie Czterech Ścieżek”. – A ty nie przyjechałeś tu ze względu na nas, tylko na swojego kumpla!

Wycelował kciukiem w popękane szyby. Z tłumu dobiegły potakujące pomruki. Justin zawsze rozkoszował się swoją umiejętnością przyciągania uwagi, ale dziś po raz pierwszy w życiu wolałby jej uniknąć.

Brat Hapa miał rację. Zrezygnował z biegu nie dlatego, że bał się o miasto, tylko dlatego, że bał się o Isaaca.

Odsunął się od tłumu. Serce trzepotało mu w piersi.

May wystąpiła naprzód i stanęła obok brata.

– Oczywiście, że się martwimy o Isaaca – powiedziała, zwracając się nie do chłopaka, lecz do wszystkich zebranych. – W końcu to nasz przyjaciel. Ale rozumiemy, jaka odpowiedzialność spoczywa na naszym rodzie. – Przeniosła wzrok na chłopca. – Jesteś Brian, prawda? Brian Whitley?

Skinął głową.

– Bardzo mi przykro z powodu twojego brata. – Jej głos brzmiał odrobinę zbyt gładko i oficjalnie, a ręce zbyt mocno przyciskała do brzegów sztruksowej spódnicy. Z każdym słowem nabierała jednak pewności. Justin zauważył, że zebrani słuchają jej z uwagą. – Przysięgam, że ubolewamy nad każdą śmiercią. Ale jeśli nie pozwolisz Mateczce Burnham wyjaśnić, co się dzieje, ktoś znów może ucierpieć. Chciałbyś tego?

Brian wyglądał na zbitego z tropu.

– Raczej nie – mruknął.

– Dziękuję – powiedziała niemal łagodnie May, po czym zwróciła się do Mateczki: – Proszę nam wszystko opowiedzieć.

– To się zaczęło od niego. – Mateczka wycelowała palcem w Briana. – Powiedział coś o Sullivanach. Nie wiem dokładnie co, ale Isaac dostał szau i nagle wszędzie wokół było pełno szkła i wszyscy krzyczeli.

– Rozumiem – rzekł Justin. A więc jak zwykle chodziło o rodzinę Isaaca. – Ktoś został w środku?

Pokiwała głową. Strużka krwi spłynęła jej na brodę. Justin stłumił przekleństwo.

– Moi chłopcy nie chcą wyjść. Ostrzegałam ich, ale powiedzieli, że Isaac musi zapłacić za szkody.

– Szkoda, że pani nie posłuchali – rzekł Justin, modląc się w duchu o to, by Burnhamom nic się nie stało. Potem odwrócił się i rzucił zebranyom pokrzepiający uśmiech.

– Przepraszamy za kłopot – wsparła go May. – Obiecuję, że wszystko się dobrze skończy.

Justin nie rozumiał, jak może jednocześnie być dumny z siostry, czuć ulgę, że wiedziała, co powiedzieć, i zazdrościć jej opanowania.

Ale najwyraźniej mógł.

Jedynymi mocami, jakimi wciąż władał, były urok osobisty i umiejętność wzbudzania szacunku. Teraz May pokazała, że i ona to potrafi.

Musiał wykorzystać swoją szansę. Pokazać, że wciąż jest coś wart.

– Wchodzę – powiedział i tłumiąc pragnienie ucieczki, pchnął drzwi, by wejść do spowitej mrokiem restauracji.

Po dobrze mu znanych przytulnych stolikach i delikatnych światłach nie było śladu. Znalazł się w ciemnej pieczarze zaśmieconej żółtą pianką i poprzewracanymi krzesłami. Pod wygaszonym neonem stały dwie osoby, a przed nimi siedział wciśnięty w ścianę Isaac ze zwieszonymi smętnie ramionami.

*

Próby zawsze były trudne i miały swoją cenę. Justin wiedział, że za to, iż głóg mu się nie pokłonił, prawdopodobnie przyjdzie mu zapłacić życiem.

Ale Richard Sullivan wybrał inną drogę do władzy. W miasteczku uwielbiano szeptać o mrocznej, skomplikowanej historii jego rodziny, trapionej wypadkami i zniknięciami. Justin nie zwracał uwagi na te opowieści, póki przed trzema laty nie obudził się w środku nocy ze smakiem krwi w gardle i niezachwianą pewnością, że z Isaakiem dzieje się coś złego.

Posłuchał intuicji i ruszył przez las.

To, co zobaczył, zmieniło go na zawsze.

*

– Isaac? – Adidasy Justina chrzęściły na rozbitych talerzach. – Nic ci nie jest?

Isaac trwał nieporuszony.

– Hej! – rzuciła jedna ze stojących nad nim postaci. – Wstawaj!

– I zjeżdżaj stąd! – dodał drugi z Burnhamów.

W ich głosach brakowało jednak przekonania. Byli jak padlinożercy skubiący ciężko rannego tygrysa.

– Powinniście stąd iść. – Justin starał się mówić jak najspokojniej. Musiał wydostać Isaaca, zanim Augusta zjawi się tu i zajmie się nim w ten sam sposób, w jaki zajęła się Harper i w jaki zajęłaby się Violet, gdyby wiedziała, co ona potrafi.

– Kawaleria przybyła – zakpił ten po prawej, krzyżując ręce na piersi. Wpadające przez okno światło zatańczyło na jego łysinie. A więc to Pete. – Księżę z bajki na białym koniu chce uratować świat.

– Trochę się spóźniłeś – dodał Theo, prężąc mięśnie. Bracia byli niemal identyczni: różniło ich wyłącznie to, że Pete golił się na łyso, a Theo nosił długie spięte w tłustą kitkę włosy. – Ten palant zniszczył nasz lokal i musi za to zapłacić.

– Naprawdę myślicie, że warto? – Justin próbował naśladować ich przeciągłą, niedbałą mowę. – Przecież on spokojnie tu siedzi.

– Doprowadził Mateczkę do łez. – Pete wykrzywił twarz. – Tak się nie robi.

– Dobrze gada! – wrzasnął Theo. – Daliśmy mu robotę, a on tak się odpłaca? Myślicie, że możecie pomiać całym miastem tylko dlatego, że jesteście założycielami? Dość tego.

– Dobrze wiecie, że założyciele są tu po to, żeby was chronić – odparł z udawanym spokojem Justin.

– Serio? – zadrwił Theo. – No to patrz, co twój ziom tu odwalił. Może to przed wami trzeba nas chronić?

– Może czas wziąć sprawy w swoje ręce. – Pete podszedł do Isaaca i lekko kopnął go w nogę.

Justin zamarł, ale Isaac się nie poruszył. „Gałęziom i kamieniom, sztyletom i kościom za grzech zapłacić przyjdzie” – rozbrzmiały w głowie Justina słowa ze znalezionej przez Violet pamiętnika.

– Przestańcie – powiedział.

Nie posłuchali. Co więcej, do brata dołączył Theo.

– Ty. Głupi. Szczyłu. – Po każdym słowie następował kolejny kopniak, każdy nieco mocniejszy od poprzedniego. Z każdym z nich gniew Justina kipiał coraz mocniej, ale Isaac pozostawał bezwładny jak szmaciana lalka.

*

Tamtej nocy znalazł go w lesie nieprzytomnego, przykutego do ziemi za ręce i nogi. Przeszedł po zwęglonych fragmentach kości i ukląkł w popiele obok niego, dławiąc się łzami. W zagłębieniach szyi przyjaciela zebrała się krew zmieszana z popiołem. Justin myślał, że się spóźnił. Że Isaaca już nie ma. Ale kiedy położył mu dłoń na ramieniu, ranny się poruszył.

W końcu znalazła ich Augusta – powiadomiona przez sąsiadów, którzy słyszeli krzyki – i zajęła się oboma. Palce Justina były już pokrwawione od prób uwolnienia Isaaca z łańcuchów.

Matka wyjaśniła mu później, że inicjacja Sullivanów polega na upuszczaniu krwi. Jeśli przejdą tę próbę sił i wytrzymałości, otrzymują moc. W przypadku Isaaca coś poszło nie tak. Zginęło czworo Sullivanów, w tym dwaj jego bracia. Pozostały z nich tylko zwęglone kości i popiół. A matka chłopaka zapadła w śpiączkę.

W ciągu kilku tygodni reszta Sullivanów wyjechała z miasta, zostawiając Isaaca pod opieką Augusty.

Justin zaakceptował wyjaśnienie matki. Blizna na szyi Isaaca i wszystko, co widział tamtej strasznej nocy, opowiadały jednak inną historię.

Pozostali Sullivanowie mieli blizny na ramionach, piersiach lub plecach.

Jeśli chcesz sprawdzić czyjaś wytrzymałość, nie przeciągasz mu ostrzem po gardle.

*

– Zostawcie go. – Wkroczył między Pete’a a Theo.

Isaac osunął się na ziemię obok niego. Czyżby zemdłał?

– To nas mieliście chronić! – syknął wściekle Pete. – Dziwne, bo odnoszę wrażenie, że interesuje cię tylko on!

Gdy zamierzył się na niego pięścią, Justin ponieważ zrozumiął, że tym razem status założyciela, zamiast uratować, tylko

mu zaszkodził.

Cios trafił go w szczękę. Głowa odskoczyła mu do tyłu, a przed oczami pojawiły się mroczki. Dopiero gdy zatoczył się na ścianę, Isaac otworzył oczy.

– Zły pomysł – mruknął i uśmiechnął się krzywo.

Bracia rozszerzonymi oczami patrzyli, jak rośnie: jego kończyny rozciągały się we wszystkich kierunkach niczym strużki atramentu na płótnie. Wciąż miał na sobie fartuch.

– Uciekajcie! – zawołał Justin.

Ale oni stali jak wryci. Powietrze wokół dłoni Isaaca zaczęło migotać. Chwilę później cała restauracja mieniła się promieniami czerwieni, błękitu i fioletu, które odbijały się od pobitych talerzy, tworząc szalone, poszatkowane wzory. Isaac stanął przed Justinem, zasłaniając go rozwartymi ramionami. Bracia wymienili nerwowe spojrzenia i przenieśli wzrok na drzwi.

– Głusi jesteście? – wrzasnął Justin. – Jazda stąd!!!

Ale było za późno. Isaac zacisnął palce na nadgarstkach braci. Sekundę później obaj zaczęli przeraźliwie krzyczeć i osunęli się na kolana – najpierw Pete, a zaraz po nim Theo.

Justin nie mógł od nich oderwać przerażonych oczu.

Wiedział, że gadanie nic tu nie pomoże. W głowie wciąż rozbrzmiewały mu słowa Theo: „Może to przed wami trzeba nas chronić?”.

Musiał coś zrobić.

Ominął rozciągnięte ręce Isaaca, wzdrygnął się na widok naskórka odpadającego z dłoni braci i wszedł w sam środek rozedrganego powietrza.

– Co ty, kurwa, robisz? – warknął Isaac, ledwie słyszalny poprzez krzyki Burnhamów.

Justin wyciągnął rękę i zacisnął palce na jego nagim przedramieniu.

Pierwsze wrażenie było fajne, jakby wylegiwał się na słońcu. Szybko jednak nos i policzki zaczęły go parzyć. Nie cofnął ręki. Stał bez ruchu, patrząc Isaacowi w oczy, aż ten odwrócił wzrok, a w pomieszczeniu gwałtownie zaległa ciemność.

Isaac prędeż by umarł, niż go skrzywdził. Było to dla Justina równie oczywiste jak jego własne nazwisko czy umiejętność oddychania.

Pete i Theo osunęli się na ziemię, wyjąc z bólu. Nadgarstki mieli poszarpane i pokrwawione, lecz wystarczył rzut oka, by ocenić, że rany są powierzchowne i nie sięgają mięśni.

Justin w końcu puścił rękę Isaaca i cofnął się. Isaac popatrzył na własną rękę, a potem na niego. W jego oczach malowało się coś na kształt rozczarowania.

– Wynocha – rzucił do Burnhamów.

Niezdarnie pozbiali się z ziemi i rzucili do wyjścia. Po spodniach Theo ściekał mocz.

Justin i Isaac zostali sami w ruinie. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Nazwał cię księciem z bajki – mruknął Isaac, gdy cisza stała się zbyt uciążliwa.

– Co?

– Ten z tłustą kitką. Księciem z bajki. Ciebie. Czy to nie ciekawe, że uważają cię za tego, który zawsze ratuje wszystkim tyłki?

Justin kopnął odłamek szkła.

– A nie jest tak?

Isaac wyjął z kieszeni książkę, którą wszędzie ze sobą nosił, i pokręcił głową na widok nadpalonych kartek.

– Nie jestem jakimś popaprańcem z tragiczną historią, którego musisz cały czas pilnować – powiedział, wymachując książką jak bronią.

– A ja nie jestem jakimś słabeuszem, którym musisz się opiekować.

– Nigdy nie mówiłem...

– Ja też nie.

Tak wyglądały ich wzajemne stosunki od czasu nieudanej Próby Justina. Nieustannie spierali się o to, kto jest zbawcą, a kto zbawianym, i raz wygrywał jeden, a raz drugi. Ilekroć zamieniali się rolami, Justin miał coraz mniejszą ochotę na ratowanie Isaaca znad przepaści.

– No dobra. – Isaac schował książkę i zdarł z siebie fartuch. – Wyleciałem z roboty, co?

– Na sto procent – przytaknął Justin, otrząsając się z zadumy. – I zapewne dostałeś wilczy bilet.

Wyszli tylnymi drzwiami. Na dworze lało. Szum deszczu zagłuszał ich kroki.

– Nie wiem, dlaczego wciąż ratujesz mi dupę – odezwał się Isaac. – O wiele łatwiej byłoby odpuścić.

Justin odwrócił się do niego. Krople deszczu ściekały z ciemnych włosów Isaaca na mostek nosa.

– Odpuszczę, kiedy ty odpuścisz – odparł.

Kąciaki ust Isaaca poruszyły się dziwnie. Czyżby zapomniał, jak to jest się uśmiechać? – zastanawiał się Justin.

On i Isaac rozpaczliwie próbowali wspierać się wzajemnie, bo to dodawało im sił. W jakimś stopniu Justin podświadomie pragnął, by Isaac tracił nad sobą kontrolę, bo wtedy potrzebował kogoś, kto go uspokoi. A część Isaaca cieszyła się, że Justin nie przeszedł Próby, bo dzięki temu miał kogo chronić.

Justin nienawidził tej części Isaaca równie mocno jak odpowiadającej jej części siebie.

Isaac szturchnął go ramieniem, jakby próbował się oprzeć, lecz się rozmyślił. Ruszyli przez parking, czekając, aż zauważą ich policjanci.

*

Do rana zdążyło się wypadać i wszystko wskazywało na to, że podczas Festynu Założycieli pogoda dopisze. Zamiast jednak cieszyć się słońcem, Justin siedział w gabinecie matki, patrząc na nią ponuro poprzez biurko z polerowanego drewna.

Drżał przed tą rozmową od chwili wyjścia ze zrujnowanej Jadłodajni. Poprzedniego wieczoru Augusta była zbyt zajęta likwidacją szkód i przygotowaniem do festynu, by wezwać go na dywanik, ale nie łudził się, że czas ją udobrucha. W jej przypadku czas tylko podsycił gniew.

– Chcę wiedzieć, co tym razem masz do powiedzenia w obronie Isaaca – powiedziała. – Każda jego demolka i każda wściekła matka, która przychodzi ze skargą, coraz bardziej mnie przekonują, że nie powinniśmy mu pozwalać chodzić samopas.

Justin nie kłamał, gdy mówił Violet, że to brak zaufania ze strony matki. W rzeczywistości jednak kryzys zaczął się dużo wcześniej. Odkąd Augusta spacyfikowała Harper, nie przestawał się bać, że zrobi to samo z Isaakiem. Początkowo traktowała go życzliwie. Rozmawiała z nim, pozwalała mu mieszkać w ratuszu. Ale Justin wiedział, że chodzi jej wyłącznie o zdobycie lojalności Isaaca. Podobnie jak wszyscy inni, był jej potrzebny tylko wtedy, gdy miała z niego pożytek.

Teraz stawał się bardziej niebezpieczny niż przydatny.

– To jedyny Sullivan w Czterech Ścieżkach – zauważył Justin.

– Pozostali wrócą – odparła pewnie. – Prędzej czy później. Każdy wraca.

– I jak myślisz, ile potrwa, zanim zdobędziesz ich zaufanie? – zapytał. – Isaac zawdzięcza ci wszystko. Nie twierdzą, że jest bez winy. Ale nigdy nie skrzywdził niewinnej osoby i nigdy tego nie robi.

– Burnhamowie raczej mieliby odmienne zdanie.

– Sprowokowali go – rzekł. – To, co mówili do niego i do mnie...

– ...nie uzasadnia tego, co im zrobił!

– Mamo, oni już wyzdrowieli!

Theo i Pete rzeczywiście mieli się świetnie. W przychodni obandażowano im nadgarstki i wypuszczono ich do domu. W drodze do biura szeryfa Justin widział, jak opowiadają swoją wersję wypadków każdej napotkanej dziewczynie. Próbowali tej sztuczki nawet z Violet, ale bardzo szybko miny tak im zrzedły, że musiał się uśmiechnąć.

Nic jednak nie zmieniało faktu, że Isaac ich zranił.

– Rozważają wniesienie pozwu. – Augusta przechyliła się przez stół. – Chcą go oskarżyć o wandalizm i pobicie.

– Co za bzdura! Sami do tego doprowadzili.

Rozprostowała palce na biurku.

– Nie dostrzegasz pełnego obrazu sytuacji. Miasto jest na nas wściekłe i potrzebuje kozła ofiarnego, a Isaac stanowi łatwy cel.

Już miał odpowiedzieć, że owszem, zauważył złość mieszkańców, ale się powstrzymał. Nie chciał jeszcze bardziej rozgniewać matki.

– W takim razie przekonaj Burnhamów, żeby nie składali pozwu – rzekł. – Wiesz, jak to zrobić.

– A co będę musiała robić następnym razem?

– Nie będzie następnego razu.

– Po incydencie w spożywczym też to mówiłeś.

Justin wiedział, że musi się z nią targować. W przypadku Augusty wszystko było targiem.

– Następnym razem będzie inaczej – zapewnił. – A jeśli to się powtórzy, będziesz mogła użyć na nim swojej mocy.

Rzadko udawało mu się zaskoczyć matkę, ale teraz wyraźnie widział, jak jej ciało na moment zastyga, by szybko się odprężyć.

– Dobrze – powiedziała w końcu. – Powiedz mu, że weźmie udział w ceremonii założycieli, ale noc spędzi w domu. Niestabilny uczestnik patrolu podczas równonocy stanowi śmiertelne zagrożenie.

– Już jest nas zbyt mało. – Justin pochylił się w jej stronę. – Jeśli i jego wycofasz, może dojść do tragedii!

– Wiem. – Spojrzała mu w oczy. – Dlatego przywracam cię. Powiedzmy, że chcę w ten sposób sprawdzić, jak sobie radzisz.

– Hm. – Nie udało mu się stłumić uczucia dumy. Ani wywołanego przez nie poczucia winy. – Dziękuję. Nie zawiodę cię.

– No myślę. I jeszcze jedno...

– Tak, mam?

– To, co przed chwilą ustaliliśmy, oznacza, że nie wolno ci niczego żałować, jak w przypadku Harper Carlisle. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Zmusił się do uśmiechu.

– Rozumiem.

Chwilę później nieznany mu policjant zaprowadził go do jedynej w mieście celi.

Rozparty na ławce Isaac wyglądał lepiej, niż Justin się spodziewał. Zadane przez Burnhamów rany opatrzone w ambulatorium.

– Przyszedłeś wyciągnąć mnie z pierdła? – zadrwił.

– Nie – mruknął Justin. – Chciałem tylko ponabijać się z więźnia.

– I nawet nie przyniosłeś owoców, żeby we mnie porzucić? Dno.

Policjant wklepał kod na panelu. Isaac wstał, ziewnął i przeciągnął się widowiskowo.

– Czy ty wiesz, że nie pozwalają nam tu czytać? – poskarżył się, gdy zasuwę z czerwonego kamienia poszły w górę. – To niehumanitarne!

– Macie medytować nad swoimi uczynkami – wyjaśnił policjant.

Justin kompletnie go nie kojarzył. Po śmierci Andersa najwyraźniej matce brakowało personelu.

– Wyglądam na kogoś, kto medytuje? – Isaac przeszedł przez próg.

Policjant gniewnie zmarszczył brwi. Justin pogonił kolegę gestem.

– Chodźmy stąd, zanim znów cię zamkną.



Rozdział 15

Gdy wyszli z komisariatu, główna ulica skąpana była w słońcu. Ludzie gawędzili na chodniku i kręcili się wokół stoisk miejscowych przedsiębiorców, którzy wystawiali wzdłuż ulicy swoje wyroby. Justin wyczuwał jednak spiętrzone pod fasadą świątecznej atmosfery napięcie. Zbliżała się jedna z najniebezpieczniejszych nocy w roku – noc, która zacierała granice między miastem a Szarością.

Dlatego właśnie nie było lepszego momentu na Festyn Założycieli, który miał podnieść morale mieszkańców i wzmocnić ich zaufanie do rodów założycielskich – nawet teraz, gdy te były w rozsypce.

Świetny pomysł. Justin był pewien, że wpadł na niego któryś z Hawthorne'ów.

Kulminacyjny punkt święta stanowiła ceremonia założycieli – symbol ich poświęcenia dla miasta. Podczas ceremonii na rynku burmistrz wkładał wybranemu przedstawicielowi każdego rodu na głowę symboliczną koronę, którą ten umieszczał następnie na herbie miasta.

Przez ostatnie trzy lata w imieniu Hawthorne'ów występował Justin – obok obojętnej Darii Saunders, Isaaca i jednego z rodzeństwa Carlisle'ów.

Ale Daria nie żyła, a dla Justina był to pierwszy festyn od czasu feralnej Próby. Myśl o włożeniu korony i uśmiechaniu się do tłumu wzbudzała w nim dziś zupełnie inne uczucia.

Wszystko, co kiedyś było łatwe, teraz powoli stawało się niemożliwe. Nie było mu z tym dobrze.

– Wyrzuciła mnie z patrolu? – zapytał Isaac, gdy mijali stragan z prosiakami pana Moore’a. Podczas święta ludzie czasem dali się skusić na zakup zwierzaka, a kilka dni później rozpaczliwie próbowali go oddać.

– Tak – odparł Justin. – W jej planach na równonoc nie było miejsca na nadprogramowe zagrożenia.

– Więc uważa, że stanowią zagrożenie dla siebie i innych?

– Owszem.

– Jakim cudem dotąd tego nie dostrzegała?

Justin z ponurym śmiechem ominął grupkę dzieciaków próbujących trafić kólkami w drewniany palik.

– Ale z ceremonii cię nie zwolniła.

– Serio? – Isaacowi opadły ręce. – Dopiero co zdewastowałem restaurację. Twoja matka naprawdę sądzi, że pokazanie mnie na ceremonii pomoże ugłaskać tych wszystkich ludzi?

– Na razie chyba powinienes się skupić na tym, by ugłaskać moją matkę.

Przewrócił oczami. Bez protestu jednak pozwolił się zaprowadzić przed ratusz, gdzie przy wbudowanym w chodnik ogromnym symbolu założycieli zgromadził się już spory tłum.

– Bardziej nie mogliście się grzebać? – ofuknęła ich May. W obu dłoniach trzymała drewnianą koronę Hawthorne’ów, filigranową konstrukcję z misternie splecionych gałązek wykonaną niemal osiemdziesiąt lat wcześniej przez prababcię rodzeństwa, Millie Hawthorne. Twórczyni zadbała o odpowiednią konserwację drewna, a mimo to, biorąc koronę z rąk siostry i ozdabiając ją swoją blond czupryną, Justin bał się, że może ją złamać.

May spojrzała na niego, a potem na koronę. W jej beznamiętnych zwykle oczach zamigotała tęsknota. Poczul ukłucie winy.

– Pytałaś mamę, czy możesz w tym roku mnie zastąpić? – zapytał, nim zdążył ugryźć się w język.

Jej zaciśnięte zęby wystarczyły za całą odpowiedź.

– Może za rok – powiedziała po chwili, nazbyt starannie wymawiając każde słowo. – Jak pojedziesz na studia.

– Aha.

– No.

Niezręczną sytuację przerwało nadejście Isaaca ze szpiczastą stalową koroną Sullivanów na głowie. Nawet nie zauważyli, że poszedł po nią do ratusza.

– Już byś chciał paradować przed wielbicielami, co?

– Spadaj, Sullivan – burknął Justin.

Isaac wyszczerzył się nieprzekonująco. Widać było, że boi się reakcji tłumu na swój udział w ceremonii.

Prawdę powiedziawszy, Justin też nie czuł się zbyt pewnie. Jego zdaniem organizowanie ceremonii w tym dniu nie było najlepszym pomysłem, ale rezygnacja z niej byłaby jeszcze gorsza.

– Witam wszystkich! – Burmistrz Storey stał na stopniach ratusza z mikrofonem w dłoni i wystudiowanym uśmiechem na ciemnym obliczu.

Gdy Sullivanowie opuścili miasto, Augusta wyperswadowała kandydowanie na urząd burmistrza wszystkim członkom rodów założycielskich, by w ten sposób okazać wsparcie mieszkańcom. Wybory wygrał w cuglach powszechnie szanowany pan Storey, były dyrektor liceum.

– Dziękuję za przybycie na Festyn Założycieli!

Odpowiedziały mu anemiczne oklaski. Justin zlustrował wzrokiem tłum, z niepokojem odnotowując, że na każdą uśmiechniętą twarz przypada jedna obojętna.

Na obrzeżach tłumu rozstawionych było kilku policjantów, a sama pani szeryf stała u stóp ratuszowych schodów, lustrując zebranych badawczym spojrzeniem. A więc mówiła o zmieniających się nastrojach w mieście nie tylko po to, by udowodnić swoją rację. Rzeczywiście zauważyła, co się święci.

– Jak wam wiadomo – kontynuował niezrażony chłodnym przyjęciem pan Storey – rody założycielskie Czterech Ścieżek łączy z tym miastem szczególna więź. Od półtora wieku dokładają wszelkich starań, by zapewnić nam bezpieczeństwo, zdrowie i dobrobyt. Jesteśmy zaszczyceni ich uczestnictwem w dzisiejszej ceremonii! Przywitajmy brawami tegorocznych ochotników!

Matka odnalazła Justina wzrokiem, a on ze zgrozą uświadomił sobie, że kolej na niego.

Przeszedł przez symbol założycieli, przykląkł na linii przecinającej go od południa i położył koronę na herbie. W poprzednich latach ta chwila przypominała rundę honorową – w drodze do kręgu Justin mrugał do dziewczyn i machał do tłumu. W tym roku jednak aplauz był wyraźnie wymuszony.

Mitzi Carlisle w koronie z czerwonobłękitnego kamienia na kasztanowych włosach lekkim krokiem podeszła do kręgu. Uśmiechnęła się do Justina, przykląkla na wschodniej linii i położyła koronę na herbie.

Odpowiedział wymuszonym uśmiechem.

Następna była Violet. Ze zniecierpliwioną miną i gąszczem wieżyczek barwy kości słoniowej na atramentowoczarnych włosach przykląkla po północnej stronie. Tego ranka w SMS-ie zapytała Justina, czy naprawdę musi brać udział w ceremonii. Był pod wrażeniem faktu, że w końcu się na to zdecydowała.

Jako ostatni podszedł do herbu Isaac.

Justin wstrzymał oddech.

Zgodnie z jego obawami w tłumie rozległo się tylko kilka powolnych oklasków, po których nastąpiła cisza. Nie wiedział, co zrobiłby na miejscu Isaaca, ale podziwiał jego opanowanie. Ostatni z Sullivanów w ciszy przeszedł przez plac, miarowo stukając obcasami, i z kamienną twarzą przykląkł po zachodniej stronie symbolu.

Zdjął stalową koronę i zamasztył gestem umieścił na herbie.

Drżenie jego dłoni uświadomiło Justinowi, że to publiczne upokorzenie rani Isaaca bardziej, niż to okazuje.

Na placu rozległy się pojedyncze oklaski. Isaac gwałtownie spojrzął na Justina. Ale to nie on klaskał.

To Violet. Wciąż klęczała na skraju kręgu, rzucając wyzwanie milczącemu tłumowi.

Justin dołączył do niej. Po nim burmistrz, May, Augusta i przynajmniej połowa ludzi zebranych na placu. Isaac rozglądał się zdumiony.

Gdy pan Storey znów sięgnął po mikrofon, Justin odetchnął z ulgą. Zaraz potem napotkał ciskający gromy wzrok matki.

– Dziękuję wszystkim – powiedział szybko pan Storey. – Jak wam wiadomo, w roku tysiąc osiemset czterdziestym siódmym grupa osadników wybrała to miejsce na swój nowy dom. Podczas dzisiejszego święta wspominamy jej przywódców: Thomasa Carlisle’a, Lydię Saunders, Richarda Sullivana i Hetty Hawthorne. Dziś ich potomkowie ze wszystkich sił starają się zapewnić miastu bezpieczne i zdrowe funkcjonowanie i pomagają mu się rozwijać, tak jak to robiły wcześniejsze pokolenia. Na znak poświęcenia dla miasta składają na herbie swoje korony.

Przez tłum przeszedł pomruk. Stojący na lewo od Justina Cal Gonzalez pochylił się i szepnął coś do Suzette Langham. Oboje wyglądali na zniecierpliwionych.

– Ogłaszam zakończenie ceremonii założycieli. – Ciemna dłoń pana Storeya nieco zbyt kurczowo ścisnęła mikrofon. – A teraz bawcie się dobrze!

Jakie to sztuczne, pomyślał Justin. Te wszystkie kłamstwa! Miał ochotę wykrzyknąć całemu miastu w twarz prawdę, wyznać, że jest taki sam jak każdy inny. Że nie może nikogo chronić.

Gdy tłum się rozchodził, wzrok Justina padł na trawnik obok placu. Jakieś dzieciaki, zamiast brać udział w ceremonii, postanowiły pobawić się przed mauzoleum. Kilkoro przepychało się nad pudłem pełnym drewnianych mieczy. Dwie znajome postacie, jedna znacznie wyższa od drugiej, ze śmiechem imitowały walkę.

Patrzył, jak włosy Harper połyskują w słońcu. Gdy zręcznie uchyliła się przed ciosem Nory, odezwała się w nim tęsknota, jakby ktoś pociągnął za strunę harfy.

I choć perspektywa podejścia do niej przerażała go bardziej niż wejście do Jadłodajni, w której szalał Isaac, oddał siostrze koronę Hawthorne'ów i ruszył w tamtą stronę.

*

Harper nienawidziła ceremonii założycieli. Uważała ją za pokaz tego, co w Czterech Ścieżkach najgorsze: arogancji Augusty Hawthorne, pychy paradującej w koronie Mitzi, chorego zachwytu całego miasta nad Justinem.

Nie chciała brać udziału w tej farsie, więc kiedy Nora zażądała, żeby poszły się bawić, z radością jej posłuchała. Poza tym musiała sobie przemyśleć parę spraw.

Śmierć Darii Saunders wszystko przetasowała. Hawthorne'owie znów pokumali się z Violet, więc Harper musiała udawać, że ich lubi – i to zaraz po tym, jak Justin okazał się jeszcze mniej wiarygodny, niż dotąd sądziła.

Opowiedziała Kościołowi czterech bóstw wszystko, co mogła. Martwiła się, że jego zwierzchnicy zganią ją za kontakty z Hawthorne'ami, ale powiedzieli tylko, żeby trzymała się blisko Violet.

Martwiło ją, że wciąż nie poznała ich tajemniczego przywódcy ani szczegółów planu. Ojciec milczał jak grób. Obiecał jedynie, że „w swoim czasie” Harper dowie się więcej.

Chciała mu ufać. Wyglądało natomiast na to, że mimo tego, co zrobiła, on wciąż nie ufa jej.

– Będę wojowniczką! – zawołała Nora, atakując drewnianym mieczem kolana Harper, jakby wyrzuciły jej jakąś zniewagę. – Jak Brett spróbuje mi dokuczać, to go zdzielę i przestanie być wredny!

– Nie jestem pewna, czy zmieni się od tego, że go uderzysz – mruknęła Harper, wracając do rzeczywistości.

Nora wydeła usta.

– Mogę poćwiczyć na tobie?

Harper wbiła wzrok w skrzynkę z mieczami. Co z tego, że były z drewna – i tak miała ochotę powalczyć. Poza tym Nora była dwa razy niższa od większości dzieciaków, z którymi mogłaby tu stanąć do walki. Miała dopiero sześć lat. Owszem, drewniane miecze były tępe, wciąż jednak mogły nabić solidnego siniaka. A ona nie zamierzała pozwolić, żeby ktoś zrobił krzywdę jej siostrzyczce.

– Dobra. – Uśmiechnęła się. – Zrobię z ciebie wojowniczkę.

Wybrała dla siebie miecz o spłowiałej niebieskiej rękojeści i przyklękała na trawie. Początkowo próbowała tłumaczyć siostrze podstawy fechtunku, ale Nory nie obchodziło, czym jest parada czy riposta. Chciała jedynie skakać, wymachiwać mieczem i wydawać okrzyki bojowe. W końcu Harper ustąpiła. Odruchowo odpychała ataki dziewczynki, od czasu do czasu pozwalając uderzyć się stępionym ostrzem w kolano czy przedramię.

– Wygrałam! – darła się po każdym udanym ataku Nora.

Mogłyby się tak bawić w nieskończoność, gdyby w pewnym momencie obok nich nie pojawił się Justin Hawthorne.

– Mogę przeszkodzić? – Ostre słońce za plecami zmieniło go w wielką, onieśmiałającą sylwetę przysyłającą cały świat.

Harper znieruchomiała. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Nora, na odmianę, z radością powitała kolejną potencjalną ofiarę.

– Nie wygrasz ze mną! – wykrzyknęła i tak długo uderzała go mieczem w kolana, aż ze śmiechem osunął się na trawę i legł na wznak.

– Pokonałaś mnie. – Jasne włosy zakryły mu czoło, a usta rozszerzył uśmiech, od którego na policzkach utworzyły się dołki. – Jestem najbardziej nieżywym trupem na tym polu.

– Trupy nie mówią – poinformowała go niewzruszona.

– Więc? – Justin odwrócił głowę w kierunku Harper.

Jego beztroski uśmiech rozgrzał ją do czerwoności. Udawała przed sobą, że to złość.

– Po co tu przyszedłeś?

Uśmiech zniknął. Justin wsparł się na łokciach. Koszulka z krótkim rękawem rozciągnęła się na jego szerokich ramionach.

– Żeby cię przeprosić. Jeśli mi na to pozwolisz.

Czekała na te przeprosiny od lat, choć przez cały ten czas czuła w kościach, że nie wystarczą. Zgarbiła się. Nie potrafiła stawić mu czoła mimo kipiącej pod skórą furii i świadomości jego potwornej hipokryzji.

Zacisnęła dłoń na rękojeści miecza... po czym w nagłym olśnieniu uniosła go i wymierzyła czubek w pierś Justina.

– Wybierz sobie broń – powiedziała spokojnie.

Jego orzechowe oczy rozszerzyły się w zdumieniu.

– Co?

– Dobrze słyszysz. Chcesz przeproszać? Nic z tego. Ja chcę walczyć.

Gwałtownie zaczerpnął tchu, lecz nie protestował. Wstał, podszedł do skrzyni i wziął ostatni miecz, jaki jeszcze w niej pozostał, barwy poplamionego żółtawego brązu przypominającego wymiociny, co Harper przyjęła ze złośliwą satysfakcją.

– Chyba mi się należało – mruknął.

– Tylko nie próbuj dawać mi forów – ostrzegła.

I zaczęli.

Już po paru sekundach stało się jasne, że jej potajemne nocne treningi nie poszły na marne. Nieważne, że Justin był od niej wyższy o głowę i miał o pół ręki więcej. Jej mięśnie reagowały instynktownie. Sparowała cios i zaatakowała, niemal trafiając go w lewą rękę. W ostatniej chwili zrobił unik. Skrzyżowali miecze.

– Trenowałaś! – zaświtało mu.

Z szelestem spódnicy o kolana zrobiła krok naprzód i zatrzymała ostrze o włos od piersi chłopaka, żałując nagle, że nie trzyma w ręku prawdziwego miecza.

– Przestań gadać.

Kiedy wznowili walkę, Harper czuła, że Justin już jej nie oszczędza. Parowali ciosy i okrążali się wzajemnie jak za dawnych czasów. W ciągu ostatnich trzech lat smukła sylwetka chłopaka nabrała kształtów. Każde jego pchnięcie zdradzało siłę, a muskularne ramiona odpierały ataki z łatwością kogoś nawykłego do wygrywania.

Harper szybko przypomniała sobie znajome ruchy partnera, z którym trenowała od dziecka. Znała każdy zwód, każdą słabość.

Justin dorósł, lecz jego technika się nie zmieniła. Tymczasem ona walczyła dziś inaczej niż przed Próbą. Po utracie ręki musiała zmienić balans ciałem i pracę nóg, wymyślić nowe sposoby atakowania i obrony.

Już jej nie znał. Dlatego musiał przegrać. Jego pewność wyparowywała. Pierś unosiła się i opadała z każdym szybkim oddechem, a na skronie wystąpił pot. Harper też zaczynała odczuwać zmęczenie. Walka z tak silnym przeciwnikiem zmuszała jej mięśnie do najwyższego wysiłku. Justin podchodził coraz bliżej; gdy w idealnym momencie sparowała jego kolejny cios, dzieliły ich od siebie zaledwie cale. Odskoczyła, lecz nie dość szybko, by nie zdążyć poczuć jego zapachu: znajomej kombinacji woni mydła i drewna.

Wyprostowała się i zaatakowała. Tym razem trafiła w rękojeść miecza Justina z taką siłą, że ten wyleciał mu z ręki.

Obolała zrobiła krok naprzód i przytknęła czubek swojej broni do szyi chłopaka.

– Przegrałeś.

Nie odwrócił wzroku, choć wyglądał na spłoszonego.

– Przepraszam.

– Zamknij się.

– Harper – kontynuował zachrypniętym nagle głosem – pozwól mi wytłumaczyć...

– A ty pozwalałeś mi coś wytłumaczyć po tym, jak oblałam Próbę?

– Przesunęła ostrze wyżej, ponad jabłko Adama. – Nigdy nie dałeś mi szansy. Teraz wiesz, jakie to uczucie.

Rozwarł szeroko oczy i unióśł ręce nad głowę na znak poddania.

– Jeśli cię to pocieszy – rzekł cicho – czuję się jak szmata.

Jak przez mgłę uświadomiła sobie, że jej dłoń, a wraz z nią czubek miecza na szyi Justina, zaczyna drżeć.

Chciała, żeby cierpiał tak jak ona. Miała ochotę okładać go tym drewnianym mieczem za ostatnie trzy lata swego życia, za wszystko, co jej zrobił, za spustoszenie, jakie spowodował.

A jednocześnie była aż nadto świadoma bliskości jego ciała.

Wystarczyłoby pół kroku, żeby objęły ją jego silne ramiona, a jej głowa spoczęła na jego piersi.

Po tym wszystkim Harper wciąż pragnęła jego dotyku.

Opuściła miecz zde gustowana sobą.

– Idź stąd – powiedziała. – Proszę.

Tym razem posłuchał. Przyglądała się, jak z opuszczonymi ramionami idzie z powrotem w stronę świętujących, porzuciwszy w trawie miecz.

*

Za oknem sypialni Violet, wyciągając ku drzewom szare szpony, gromadziły się chmury.

Przyglądała im się w zadumie. Denerwowało ją, że matka nic nie wie o dziedzictwie Saundersów – jedynym wyjątkiem była ceremonia założycieli. Tego ranka po przebudzeniu Violet znalazła na toalecie koronę i kartkę informującą, że Augusta prosi ją o uczestnictwo w uroczystości i że spędzenie czasu z przyjaciółmi na pewno dobrze jej zrobi.

Była niemal pewna, że koronę wykonano z prawdziwych kości. Nie miała jednak okazji dokładniej jej zbadać, bo zaraz po ceremonii Augusta Hawthorne ją zabrała i odniosła do ratusza.

Coś wisiało w powietrzu. Już podczas festynu Violet czuła mrowienie w koniuszkach palców, jakby przepływał przez nie lekki prąd. Teraz ta osobliwa pulsująca energia, którą zwykle odczuwała w pobliżu Orfeusza, powróciła – Violet wiedziała jednak, że tym razem jej źródłem nie jest kot siedzący na poduszce i maltretujący sztuczną mysz. To było coś silniejszego niż więź między nimi, silniejszego nawet niż to, co czuła w stosunku do ożywieńca, który odwiedził ich dom.

To była moc. Jej moc. Przenikała ją całą, buzowała we krwi, przerażała i fascynowała zarazem.

Hawthorne'owie wspominali, że równonoc jesienna i wiosenna to czas, w którym ściany więzienia Bestii są najsłabsze, ona zaś

najsilniejsza. Dziś Justin przypomniał Violet o tym. Poprosił, żeby opuściła rolety burzowe i nie wychodziła z domu do rana. Ale ona nie czuła strachu – czuła moc. Była silniejsza niż kiedykolwiek od chwili przyjazdu do miasta. I miała nieodparte wrażenie, że potrafi więcej, niż dotąd odkryła.

Na kolanach miała folder z nutami, które w jej głowie układały się we frazy zbyt proste, zbyt banalne. Westchnęła. Mogłaby je zmienić samą siłą woli. Pod wpływem impulsu pochyliła się nad *Wariacjami Abegg opus 1* i nakreśliła na marginesie dodatkowy pasaż. Zastanawiała się, jakby to było zacząć od zera, improwizując na pustej kartce. Tworzyć muzykę, tak jak Rosie tworzyła obrazy na pustym płótnie.

W tym momencie w drzwiach stanęła Juniper, przepędzając wszystkie myśli.

Od poranka po śmierci Darii obie zachowywały się, jakby ta nigdy nie istniała, choć jej obecność między nimi była aż nadto namacalna. Stały obok siebie, gdy prochy ciotki wsuwano do przegródki w mauzoleum obok prochów Stephena. Jeden pogrzeb mniej, jeden więcej. Violet chciała porozmawiać z matką – o Darii, Rosie, Stephenie. I wreszcie o ojcu. Ale nie wiedziała nawet, od czego zacząć.

Dziennik Stephena sprawił, że abstrakcyjna dotąd postać wuja nabrała w jej oczach realnych kształtów. Od czasu znalezienia w archiwum czytała te stronicie wielokrotnie i z każdą lekturą czuła w sercu coraz większą żalobę po chłopaku, którego nie miała okazji poznać.

– Burza idzie – powiedziała Juniper.

– Zauważyłam. – Violet wskazała kciukiem okno, za którym chmury przysłoniły zachodzące słońce, a na skraju lasu zaczynała się gromadzić rzadka mgiełka, której widok przyprawił ją o dreszcz.

Juniper zmarszczyła brwi.

– Grad. Wichura. Ulewa. Nie wychodź z domu.

– Czy ja kiedykolwiek gdzieś wychodzę? Tylko jeśli mnie zmuszasz, tak jak na tę żalowaną ceremonię.

Matka westchnęła.

– Pomóż mi spuścić rolety burzowe.

Spuściły korbką starusieńskie, zgrzytające rolety w każdym oknie. Wszystkie słowa, których nie wypowiedziała, kotłowały się w umyśle Violet tym bardziej, im dłużej przebywała w obecności matki. Wciąż jednak milczała.

Bo i po co miałyby się odzywać?

Kiedy ostatnio naprawdę rozmawiały o tym, jak się czują?

Wiatr przybierał na sile. Metalowe rolety jęczały pod jego naporem niczym skomlące dziecko. Ledwie skończyła opuszczać ostatnią z nich, musiała odskoczyć, bo ta zaczęła bębnić jak szalona o okno salonu.

Może to przez te niestabilne okiennice coś przestawiło jej się w głowie, bo nagle obróciła się do Juniper, czując, że nie potrafi dłużej wstrzymać słów.

Słów, które chciała wypowiedzieć od pięciu miesięcy.

– Tęsknisz czasem za nimi?

Juniper stanęła jak wryta.

– Tęsknię? Za kim?

– Za wszystkimi, których straciłaś. Nie rozumiem, jak możesz tak po prostu dalej żyć. Nie rozumiesz, że ich już nie ma?

Pokój oświetlały jedynie lampki nad kominkiem, okalając mdłym światłem bujną fryzurę Juniper.

Trudno było Violet patrzeć na matkę, bo dostrzegała łączące je podobieństwo. Podobną postawę. Podobne nerwowe ruchy długich, zgrabnych palców. I wreszcie, przede wszystkim, podobną rozpacz wypisaną na twarzy.

– Myślisz, że nie tęsknię? – zapytała cicho Juniper. – Nie ma dnia, w którym nie tęskniłabym za bratem i siostrą albo za twoim ojcem. I nie ma sekundy, w której nie tęskniłabym za Rosie. – Z jej trzewi wyrwał się szcątkowy, w porę stłumiony szloch. – Ale ty potrzebujesz matki, która się nie rozsypuje. Więc trzymam się w kupie.

Violet nagle doznała olśnienia. Zrozumiała, kto ją nauczył ukrywać własne emocje. Maskować ból fasadą siły lub obojętności.

Nie dlatego, że go nie czujesz, tylko dlatego, że jeśli go uwolnisz, nie będziesz w stanie się spod niego wygrzebać.

Ona jednak w ostatnich tygodniach zaczęła się otwierać. I ból nie stał się przez to silniejszy – przeciwnie, poczuła się lepiej. Zobaczyła, że nie jest sama.

– Przeciwnie. Rozsypałaś się. – Smutek Violet nagle przeszedł w gniew. – Od śmierci taty nigdy się nami nie interesowałaś. Nigdy nam nie opowiadałaś o swojej rodzinie. Nie pozwalałaś nam poznać rodziny taty, choć o to prosiłyśmy. Odcięłaś mnie od mnóstwa osób, które mogły mnie kochać. To nie jest trzymanie się w kupie, mamó. To ucieczka.

Juniper sposepniała.

– Byłam dla was najlepszą matką, jaką potrafiłam być. I owszem, interesowałam się tobą i Rosie po śmierci taty.

Dziwne. Violet pamiętała co innego.

Odwróciła się na pięcie i pobiegła do sypialni. Położyła się i próbowała przeglądać nuty, ale nie mogła już się skupić na muzyce.

Wpatrywała się w sufit i myślała o ojcu, przywołując nieliczne związane z nim szczegóły, których nie zapomniała – szeroki uśmiech, życzliwe spojrzenie...

A potem pozwoliła sobie na wspomnienie bólu po jego śmierci. Czyjeś ręce przykrywające ją kołdrą i głaszczące po włosach, póki nie usnęła, podające jej rano pięknie spakowane drugie śniadanie i przewracające kartki, gdy ćwiczyła grę na fortepianie.

W jej wspomnieniach te ręce zawsze należały do Rosie – ale Rosie miała zaledwie sześć lat, gdy odszedł ich ojciec, a Violet ze zdumieniem odkryła, że we wspomnieniach dłonie te były szczupłe i eleganckie, podobne do jej własnych.

Przypomniała sobie swój pierwszy recital, tyle że tym razem to nie Rosie ciągnęła do fortepianu stremowaną małą Violet.

„Interesowałam się tobą i Rosie po śmierci taty”.

Zdławiła szloch.

Owszem, jej matka popełniała błędy. Raniła swoje córki. Nie pozwalała im spotykać się z krewnymi, ukrywała fakty, kłamała.

Ale Violet też siebie okłamywała.

Chciała pamiętać Rosie jako cudowną siostrę. I uważać Juniper za beznadziejną matkę. Bo łatwo idealizować kogoś, kto nie żyje. A o wiele trudniej przepracować złożoną relację z matką, która się o ciebie troszczy, lecz nie jest doskonała. Która jest samolubna, lecz da się ją z tego wyleczyć.

Ludzie czasami ranią się nawzajem, choć wcale nie są potworami. Potrafią też się kochać, nie będąc świętymi.

Będzie musiała nauczyć się z tym żyć.

Przewróciła się na bok i podciągnęła kołdrę pod szyję, wsłuchana w uderzenia gradu o rolety.

I nagle z przerażeniem uświadomiła sobie, że słyszy nie tylko grad. Ktoś stukał w metalowe osłony po drugiej stronie okna!



Rozdział 16

Wstała i gapiła się w okno. Rolety nie przestawały grzechotać.

Doświadczenia ostatnich dwóch tygodni zdawały się wskazywać, że cokolwiek znajduje się za oknem, prawdopodobnie chce jej śmierci.

Ale Orfeusz leżał spokojnie na skraju łóżka, zwinięty w kłębek. Otworzył żółte ślepie, spojrział na okno, uniósł głowę, machnął ogonem i... ziewnął.

Cokolwiek tam było, nie wzbudzało w nim niepokoju. I Violet w głębi duszy czuła, że może mu zaufać.

Pukanie rozległo się ponownie i tym razem towarzyszył mu inny, cichszy dźwięk, zbyt głęboki, by być wyciem wiatru.

Ktoś nawoływał! Spuściła nogi na podłogę, podeszła do okna i nasłuchiwała. Poryw wiatru zagrzechotał roletami, a głos – znajomy głos! – za oknem wypuścił wiązaną przkleństw.

Pokręciła korbką, rolety się uniosły i rzeczywiście – przy oknie na daszku werandy kucał Isaac Sullivan. Jego twarz pod kapturem kurtki wydawała się ciemna i kanciasta. Na szerokich ramionach osiadły kulki gradu.

Jego widok sprawił jej niespodziewaną przyjemność. Zapalił iskrę, którą nie do końca rozumiała. Odblokowała okno i podniosła je

lekko. Wzdrygnęła się, gdy zimny wiatr wdarł się do pokoju, a Isaac z kocią gracją prześliznął się w ślad za nim.

Wyprostował się, zdjął kaptur i zatrzasnął okno.

– Co ty tu robisz? – zapytała, gdy ponownie spuściła rolety. – Nie powinieneś być na patrolu?

We włosach też miał kuleczki gradu. Patrzyła, jak się topią i wsiąkają w czarne loki, pozostawiając połyskujące lekko w przyćmionym świetle kropelki wody.

– Nie słyszałaś o moim wczorajszym niefortunnym wypadku? – mruknął z goryczą.

Owszem, słyszała. Trudno było podczas festynu nie zauważyć rozbitych szyb na frontowej ścianie Jadłodajni, a jeszcze trudniej przeoczyć wymowny brak aplauzu, którym powitano Isaaca na ceremonii.

Skinęła głową.

– Tak myślałem. No więc szeryfowa odesłała mnie do rezerwy na czas równonocy.

Równonoc. Jasne.

Cieszyła się, że podczas ceremonii zdecydowała się oklaskiwać Isaaca.

– Przykro mi. Ale to nie wyjaśnia twojej obecności tutaj.

Westchnął.

– OK. Justin uznał, że nie powinnaś spędzać tej nocy sama, bo, cytuję, jesteś magnesem przyciągającym katastrofy i on doprawdy nie wie, jakim cudem codziennie docierasz do szkoły i nikt nie próbuje cię po drodze zabić.

Dopiero co zapalała do niego nagłą sympatią, a wystarczyło jedno zdanie, by ją z tej sympatii wyleczyć. Powinna była wiedzieć, że Isaac mógł tu przyjść jedynie za namową Justina. Jak mogła pomylić jedną wywołaną poczuciem winy wizytę z autentyczną troską?

– Nie potrzebuję niańki.

Zdjął kurtkę. Bliznę na jego szyi przykrywał wąski skórzany pasek z trzema karmazynowymi koralikami wiszącymi w zagłębieniu poniżej gardła niczym krople krwi. Musiały stanowić komplet z medalionami na nadgarstkach.

– Wiem, wiem. Jesteś całkowicie samowystarczalna – mruknął przeciągle. – Nie odbyłaś Próby, co rusz lądujesz w Szarości i nie pamiętasz, jak ożywiłaś trupa.

– A mimo to uniknęłam wandalizmu i napaści.

Ledwie wyrzekła te słowa, wiedziała, że popełniła błąd. Pierś Isaaca się zapadła, a oczy zabłyśły jak migoczące na wietrze płomyki świec.

– Przepraszam. – Zrobiła krok ku niemu. Nawet nie próbowała ukrywać zawstydzenia. – To było wstrętne.

Isaac nerwowo poruszał szczęką. Żyły na jego lewej ręce się napięły. Wbił paznokcie we wnętrze dłoni. Popękany medalion wrzynał się w nadgarstek.

– Nie ma sprawy – powiedział tonem wskazującym na coś przeciwnego. – Słyszałem już gorsze rzeczy.

– Od Burnhamów?

Wykrzywił usta w uśmiechu przypominającym szczelinę w betonie. Pochylił się w jej stronę, a ona odruchowo odpowiedziała tym samym.

– Nie. Od brata.

– Tego, który wyjechał?

Skinął głową. Zauważyła, że jego zaciśnięta pięść drży.

– Moja szyja... to, co się stało... to jego robota. Coś w rodzaju pamiętki.

Przypomniała sobie dotyk jego palców na policzku i łagodność, z jaką na nią patrzył, gdy była w otchłani.

Mogła to odwzajemnić. Okazać zrozumienie zamiast pustych słów pociechy. Oboje byli poranieni. Nieważne, że nie знаła szczegółów jego historii. Cierpiał równie mocno jak ona.

Sięgnęła po jego dłoń. Ledwie jej dotknęła, rozluźnił palce, a ona ujęła jego dłoń w obie swoje, łagodnie gładząc kciukiem wnętrze, póki nie przestał drżeć.

– On nie może cię skrzywdzić – powiedziała z naciskiem, nagle przekonana, że jeśli ktokolwiek spróbuje, ona pierwsza rzuci się na niego. – Już nie.

Rozchylił lekko usta. W jego oczach majaczyło coś, co nie było już wściekłością, ale z jakiegoś powodu przerażało ją bardziej.

I właśnie wtedy rozległo się dudnienie tak głośne, że Violet dosłownie podskoczyła. Puściła Isaaca.

– Co to? – syknęła. – Przyszedłeś z obstawą czy jak?

Pokręcił głową. Wyglądał na równie przestraszonego jak ona.

Dudnienie nie ustawało. Dochodziło z dołu. Violet wstała i ruszyła do drzwi. Wciąż byli skrępowani wcześniejszą rozmową, ale w obliczu nowego zagrożenia napięcie między nimi z każdą chwilą słabło.

– Nie powinnaś otwierać drzwi w taką noc! – przestrzegł ją Isaac.

Miała jednak dość słuchania, co powinna, a czego nie powinna robić.

– Okna też nie powinnam otwierać? – zadrwiła i zanim zdołał ją powstrzymać, już była na schodach.

Przez chwilę się bała, że Juniper ich nakryje, ale w sypialni matki było ciemno. Isaac szedł za Violet, marudząc pod nosem coś o jej niesubordynacji, co uznała za dość bezczelne, zważywszy, że przed chwilą nieproszony zjawiał się pod jej oknem.

Odgłosy bez wątpienia dochodziły od strony frontowych drzwi. Gdy je odryglowywała, Isaac uniósł migoczące dłonie. Z porywistym wiatrem i zacinającym gradem do domu wtoczyła się postać z kaskadą ciemnych włosów i padła na podłogę. Nim Violet zdążyła wyrzucić na zewnątrz, Isaac zatrzasnął drzwi i zaczął je ryglować.

– Harper! – Przyklękła przy koleżance. – Co ci jest?

Harper usiadła powoli. Warkocz jej się rozsypał, a luźne dżinsy były przemoczone. W ręce trzymała miecz koloru gliny.

– Musisz mi pomóc – wychrypiała, biorąc miecz na kolana. Jakby głaskała niemowlę, pomyślała Violet, czując się trochę nieswojo.

– Co się stało?

– Nora – wyrzuciła z siebie Harper. – Nie mogę jej znaleźć, a Brett mówi, że wyszła w czasie burzy. Któreś z dzieciaków rzuciło jej wyzwanie, żeby poszła do ratusza. Ona ma dopiero sześć lat. Nie rozumie... – zakaszłała i wypluła włos – ...jakie to niebezpieczne. Musisz mi pomóc ją znaleźć!

Mimo swetra cała się trzęsa.

– Pewnie, że pomogę – odparła bez namysłu Violet, bo cóż innego mogłaby powiedzieć? Wiedziała, jak to jest stracić siostrę, i nikomu tego nie życzyła.

– Dzięki. – Oczy Harper zaślniły. – Byłam pewna, że mogę na ciebie liczyć.

Potem obróciła gwałtownie głowę i zmarszczyła brwi.

– Co Sullivan robi w twoim domu?

– Justin uznał, że potrzebuję ochroniarza. – Violet pomachała ironicznie do stojącego za jej plecami Isaaca. – Jakby nie wiedział, że jeśli będę potrzebować ochrony, sama mogę o nią kogoś poprosić.

– Jesteś na to stanowczo zbyt uparta – wychrypiała Harper. Isaac zachichotał.

– Udam, że tego nie słyszałam – burknęła Violet. – OK. Jeśli mamy wyjść w tę pogodę, potrzebujemy jakichś peleryn.

– Hm – mruknął Isaac. Violet obróciła się ku niemu.

– Niech zgadnę. – Starła się nie myśleć o ich splecionych dłoniach. Nie była pewna, co konkretnie wtedy zaszło, ale cokolwiek to było, już minęło. – Chcesz mi powiedzieć, że nie mogę wyjść? Zaczynam żałować, że nie zepchnęłam cię z tego daszku.

– Pohamuj się na moment i pomyśl. Żadna z was nie powinna teraz przebywać na dworze. Harper jest bezużyteczna, a ty możesz tylko zaszkodzić. Ja poszukam Nory.

– To moja siostra. – Harper pozbierała się z podłogi. Violet stanęła obok niej, zaskoczona, jak potężna wydaje się nagle jej sylwetka. – I nie jestem bezużyteczna.

– Zdecydowanie nie – poparła ją Violet, patrząc na miecz, którym tamta wymachiwała w kierunku Isaaca. – A ja nie pozwolę jej wyjść w równonoc beze mnie. Jeśli chcesz, możesz iść z nami.

Isaac jęknął i przytknął dłoń do czoła.

– Wygląda na to, że wybieranie się na niemal pewną śmierć jest zaraźliwe – wymamrotał, jakby mówił do własnego nadgarstka. – Ale skoro już musicie, lepiej pojechać samochodem.

– Samochodem? – zdziwiła się Violet. – Przy takiej widoczności?

– Na drogach nie będzie innych aut, a do ratusza mamy tylko kilka mil – odparł Isaac. – Raz-dwa będziemy na miejscu. To o wiele bezpieczniejsze niż spacer przy takiej pogodzie.

– Dobra – skapitulowała Violet – ale ty prowadzisz.

– Tak się składa, że nie umiem. – Isaac spuścił głowę.

– Harper?

– Nie mam prawka.

Violet wbiła wzrok w kluczyki od auta Juniper, wiszące na kołku przy drzwiach niczym obietnica bez pokrycia. Isaac i Harper patrzyli na nią wyczekująco. Miała ochotę uciec na górę i skulić się pod kołdrą w pozycji embrionalnej, ale było już za późno.

– W takim razie ja poprowadzę. – Obracając w spoconej dłoni brelok z kluczami, gładki i chłodny, potrafiła myśleć wyłącznie o Rosie siedzącej za kółkiem z rozwianymi turkusowymi włosami i o tym, jak jej oczy okrągłej na widok pędzącego prosto na nią ciągnika siodłowego.

Ale życie Nory było w niebezpieczeństwie, a przyjaciółka poprosiła Violet o pomoc. Ta nie miała więc innego wyjścia, jak tylko ruszyć ku drzwiom z sercem trzepoczącym w klatce piersiowej niczym złapany w sieć koliber.

*

Kwadrans spędzony na tylnym siedzeniu porsche Saundersów, wokół którego szalała zawierucha, był jedną z najgorszych chwil w życiu Harper. W każdym niepewnym, nerwowym ruchu Violet wyczuwała strach – głęboki, namacalny, tak materialny, że mogłaby wyciągnąć rękę i objąć go palcami. Strach, który przyspieszał jej puls i dudnił w uszach.

Nora była gdzieś w tym lesie, samotna i zagubiona, w jedną z najniebezpieczniejszych nocy w roku. A ponieważ jej ojciec i reszta rodzeństwa udali się na patrol, zadanie ratowania siostry przypadło w udziale Harper.

Gdy w końcu zajęchali na parking przed ratuszem, kompulsywnie przesuwała palcami w tę i z powrotem po płazie miecza, by się uspokoić. Otworzyła drzwiczki. Wielki płaszcz przeciwdeszczowy, który dostała od Violet, tylko odrobinę złagodził uderzenia wichru i gradu. Obeszli dookoła zamknięty ratusz, lecz nigdzie nie było śladu Nory.

– Masz klucze? – zapytała Violet.

– Owszem – odparł Isaac. – Ale kiedy wychodziłem, w środku nie było żadnych dzieciaków, a bez kluczy nie dostałaby się do środka.

Ruszyli więc w stronę lasu. Każdy krok wiązał się z wielkim wysiłkiem – grad zdawał się padać ze wszystkich stron, uderzając boleśnie o ramiona.

Tej nocy Cztery Ścieżki przypominały Szarość. Szkieletowate drzewa wyginały się pod naporem wiatru. Nagle pnie wokół Harper nabrały popielatej barwy. Zadrżała, ale to tylko przebijające przez korony szare niebo wywołało ten efekt. Harper niemal przytuliła się do Violet, a Isaac zacisnął zęby i szedł przodem.

Lasem wstrząsnął grzmot, a świat rozbłysnął kolorami. Zamarła.

Była pewna, że w odległości kilku zaledwie stóp dostrzegła dwie zakapturzone postacie.

Ale nie. To musiało być złudzenie. Po co Kościół czterech bóstw miałby wysyłać swoich ludzi do lasu w taką noc?

Wpatrywała się w gąszcz, ale postacie zniknęły.

Chwilę później powietrze przeszył krzyk Isaaca. Harper odwróciła się gwałtownie. Chłopak klęczał obok małej figurki skulonej u dołu pnia o kilka stóp od nich.

Kilka stóp! A mimo to przez tę zawieruchę mogłaby jej nie zauważyć.

– Nora? – Podbiegła, z narastającym przerażeniem zauważając, że jej siostra się nie rusza, a korzenie drzewa oplatają ją niczym zachłanne palce. Ale na dźwięk jej głosu dziewczynka natychmiast podniosła głowę.

– Harper! – wykrzyknęła i rozłożyła ramiona. Harper upuściła miecz, przyklęła i objęła drżącą Norę.

– Nic ci nie jest? – szepnęła, całując jej kasztanowe włosy.

Nora pokiwała przecząco główką i przytuliła twarz do ramienia siostry.

– Powiedzieli, że po mnie przyjdiesz, ale strasznie długo cię nie było. Bałam się.

Harper odsunęła się od niej z niepokojem. Jej lewą rękę przeszył fantomowy ból.

– Powiedzieli? Kto?

– Tata. – Żołądek Harper niemal fiknął koziółka. Przyjrzała się piegowatej twarzy Nory w poszukiwaniu oznak, że mała kłamie, lecz jej policzki barwił rumieniec strachu, nie wstydu.

Harper robiła, co w jej mocy, by nie okazywać trwogi.

– Co dokładnie mówił?

– Że mam siedzieć i czekać, aż przyprowadzisz dziewczynę od Saundersów. Powiedział, że chce, żeby ona przyszła dziś do lasu, a ty na pewno to załatwisz. – Czknęła. – Harper, możemy już iść do domu?

– Oczywiście – odpowiedziała odruchowo Harper, przytulając siostrę i szukając wzrokiem miecza.

A więc te zakapturzone postacie wcale jej się nie przywidziały.

Maurice Carlisle użył własnej córki jako przynęty na Violet.

Co znaczyło, że wszyscy są w niebezpieczeństwie, bo skoro ojciec był gotów zaryzykować życie Nory, trudno było przypuszczać, że zależy mu na dobru kogokolwiek z nich.

– Violet! – zawołała Harper, podnosząc się z Norą w ramionach. – Wiejmy stąd!

*

Las był przytłaczający, lecz nie z powodu pogody.

Od chwili wyjścia z domu Violet czuła, że jej moc wzrasta. Im dłużej znajdowała się w lesie, tym była silniejsza: koniuszki jej palców naelektryzowały się jak małe błyskawice, a skóra kipiała energią.

Trudno się na czymś skupić, gdy czujesz się tak świetnie.

Masz siłę.

Masz moc.

Patrzyła, jak Harper przytula siostrzyczkę, ale duchem była o lata świetlne od nich. Serce trzepotało jej w piersi, dłonie drżały.

Zachwiała się i oparła o najbliższy pień.

– Wszystko OK? – Isaac przyglądał jej się z troską.

W tym samym momencie dobiegło ich wołanie Harper.

Niebo przeszła biała błyskawica, a przez Violet przepłynął kolejny strumień mocy. Otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Próbowała poruszyć ręką, nogą, palcem, z narastającą zgrozą odkrywając, że ciało przestało jej słuchać.

Nie mogła wezwać pomocy ani zapanować nad swoimi ruchami. Ze świdrującym bólem głowa odskoczyła jej w tył, a oczy znalazły miejsce, w którym czerń lasu ustępowała bladym nieruchomym chmurom Szarości. Usta Violet wygięły się w uśmiechu.

– Tak – powiedziało coś, co nie było nią. – Chodźmy.

A potem urwał jej się film.

*

W lesie panowała zaskakująca cisza. Pamiętając o potwornościach ostatnich tygodni, Justin wyruszał na patrol z najgorszymi obawami. Choć jednak wiatr i grad dawały w kość, poza nimi jego zastęp nie napotkał żadnych problemów.

Rozejrzał się po członkach grupy, starając się wyprzeć irytującą myśl, że Augusta przydzieliła im najbezpieczniejszą trasę. Mitzi Carlisle jak gdyby nigdy nic wyjęła komórkę i pisała SMS-y, krzywiąc się na widok uderzającego w ekran gradu, a jej brat Seth bawił się sznurkami bluzy.

– Nudy na pudy – mruknął.

Mitzi pokiwała głową.

– To dobrze – zauważył Justin, choć nie był pewien, czy sam sobie wierzy. – Mitzi, czy mogłabyś traktować naszą misję poważnie?

– Zacznę ją traktować poważnie, gdy będziemy mieli z czym walczyć – odparła, ale posłusznie schowała komórkę do kieszeni.

Gdyby był z nimi Isaac, pewnie powiedziałby coś o priorytetach Mitzi albo zaproponował, że skoro tak się pali do walki, może walczyć z nim.

Ale go tam nie było, więc odtąd zastęp szedł przez zawieruchę w milczeniu.

Wiatr przybierał na sile, grad bił po głowach, a Mitzi i Seth sposobili się do boju – ich ciała zmieniały kształt i obracały się w kamień od ramion w dół. Uśmiechnęli się do siebie i uderzyli ceglastymi pięściami, a potem splekli kamienne palce w głupkowskim, lecz wzruszającym uścisku.

Na widok ich bitewnych gestów Justin powrócił pamięcią do minionego popołudnia.

Do Harper.

To wspomnienie wymagało ostrożności. Wiedział, że jeśli zbyt długo pozwoli mu się tlić we wnętrzu, poparzy się. Mimo to nie potrafił przestać odtwarzać w kółko tamtych chwil. Prędzej zapomniałby, jak się nazywa, niż pozbył się z pamięci dotyku czubka miecza na gardle i furii malującej się w oczach dziewczyny.

Dziewczyny, która bez wątpienia miała go dość po wsze czasy. On jednak mimo tego, co zrobiła Harper jego matka, i mimo kilkuletniego udawania, że jest inaczej, wciąż coś do niej czuł.

Nie miało sensu rozmawiać o tym ani z Isaakiem, ani z May. Ale duszenie tego w środku wywoływało w jego żołądku gorąco i mdłości, jakby zbyt długo przebywał na słońcu.

– To nie jest normalne, co? – zapytała Setha Mitzi, gwałtownie budząc Justina z zadumy. Seth pokręcił głową, a jego ręce znów stały się ludzkie.

– Co się dzieje? – zwrócił się do Justina, który dopiero teraz zauważył niepokój rodzeństwa.

Grad padał coraz wolniej, a wicher w ciągu kilku sekund zmienił się w leciutką, szumiącą cichutko bryzę. Pojaśniało i z niebytu wyłoniły się wyraźnie zarysowane na tle nocy pnie.

Justina ogarnął niepokój. W tej nagłej zmianie pogody wyczuwał zapowiedź katastrofy, jak wtedy, gdy woda cofa się z plaży przed tsunami.

– Nie wiem – powiedział, omiatając okolicę blaskiem latarki. Ani śladu Szarości. Świat po prostu znieruchomiał.

I wtedy gdzieś przed nimi rozbrzmiał przeszywający krzyk.

Ściśnięte gardło uniemożliwiło Justinowi wydobyć głosu. To krzyk dziecka!

Nawet jeśli podejrzewali pułapkę, nie mogli ryzykować, że w tę najniebezpieczniejszą noc roku jakaś bezbronna mała istota wpadnie w szpony Szarości.

– Jazda! – wykrztusił wreszcie Justin.

Tratując leżące na ziemi gałązki, pognali w kierunku, z którego dobiegał krzyk. Robili więcej hałasu niż stado spłoszonych słoń, ale on myślał jedynie o tym, by jak najszybciej dotrzeć do celu. Wpadli na niewielką przecinkę i zamarli.

O kilka stóp od nich stali Isaac i Harper przyciskająca do piersi płaczącą wniebogłosy Norę. Isaac trzymał rozpostarte ramiona, a jego dłonie migotały. Wyglądał, jakby własnym ciałem zasłaniał dziewczęta przed Violet, która, także rozpostarwszy ramiona, stała po drugiej stronie polanki. Drzewa za jej plecami to były zwykłym lasem, to Szarością – w mgnieniu oka z zielonych przechodziły w szare, szkieletowe kształty, a następnie znów w zielen.

Justin był niemal pewien, że dostrzega stojącą za Violet postać, a może nawet dwie postacie w kapturach. Wystarczyło jednak mrugnąć, by zniknęły.

– Harper? – wyjąkała Mitzi i pobiegła w kierunku siostry. Seth ruszył za nią. – Co wy tu robicie?

– Uciekajcie! – zawołała Harper. Twarz miała bladą jak kreda. – Już!

– Och, przepraszam – odezwała się Violet. – Czyżbym nie była mile widziana?

Wtedy Justin zrozumiał, że coś jest bardzo, ale to bardzo nie tak.

Rozpoznawał nieco ochrypły, lecz przyjemny głos dziewczyny, lecz sposób wypowiedzania przez nią słów był dziwny – zbyt

wyraźny i oficjalny. A każde pstryknięcie jej rozczapierzonych palców wywoływało wokół błysk Szarości.

– Justin. – Isaac mówił cichym, opanowanym głosem. – Zabierz stąd Harper i małą. Z resztą sobie poradzę.

– Co się dzieje? – pytał nerwowo Justin. – Dlaczego ona to robi?

Po drugiej stronie przecinki Violet ziewnęła.

– Młody Hawthorne szuka guza – wycedziła chłodnym, rozmyślnie złośliwym tonem bez śladu rozbawienia. – Wypuszczenie jej z domu w równonoc było głupotą, ale czego innego można się po was spodziewać?

Dopiero teraz pojawił, z kim ma do czynienia. To nie była Violet. Jej ciałem zawładnęło coś innego. Coś, co bardzo chciało się uwolnić.

– Ty jesteś... jesteś nim, prawda? – wychrypiał.

– Tak dawno nie miałem dostępu do żywej istoty ludzkiej – odparł potwór, prostując rękę i z mechaniczną precyzją poruszając po kolei palcami. W świetle latarki Justin widział, jak tracą kolor, a paznokcie z karmazynowych stają się szare. – Silne. Pewnie od dziecka grała na fortepianie.

Machnął palcami Violet w bok i do lasu wdarła się Szarość, wygryzając w nim dziurę niczym szerokie odrażające usta.

Justin słyszał zza pleców wołanie drzew. Poczul nieodparte pragnienie oddania się Szarości, zjednoczenia z nią...

Ale właśnie wtedy Isaac rzucił się w jej kierunku z migoczącymi dłońmi, zamknął Violet w bijącym od nich kolorowym blasku i zacisnął palce na jej nadgarstkach.

Z trzewi istoty, która zawładnęła ciałem dziewczyny, wyrwał się przerażający ryk. Wygięła plecy i szarpała się, lecz on nie puszczał. Jego moc płonęła jasnym, nieprzerwanym światłem niczym latarnia chroniąca świat przed nacierającym zza pleców Violet szeregiem powyginanych chorobliwie drzew.

Justin z sercem w gardle patrzył, jak Szarość słabnie i rozmywa się na brzegach. Gdy w końcu zamigotała i znikła, Violet osunęła się nieprzytomna na ziemię.

Isaac osunął się wraz z nią, wciąż trzymając ją za jeden z nadgarstków. Drugą ręką zdążył objąć dziewczynę, nim uderzyła

o podłozie.

Był silny, lecz nie wszechmocny. Gdy łagodnie ułożył Violet i legł obok niej, ręce mu drżały, a całe ciało wyglądało na doszczętnie wyczerpane.

Ale nagle jego oczy rozbłysły. Panicznym ruchem brody wskazał coś za plecami Justina.

Zawsze dostrzegał wszystko o sekundę wcześniej niż on. Justin podążył za jego spojrzeniem. Zobaczył May z włosami potarganymi od wichury i twarzą niemal przezroczystą z przerażenia. Nie poświęcił jej wiele uwagi, bo obok stała matka z obliczem zmienionym w maskę zimnej, okrutnej furii.

*

Violet uchyliła powieki i natychmiast zmrużyła je w obronie przed ostrym światłem. Musiała zasnąć na boku, z głową zwróconą prosto ku dochodzącym zza okna promieniom słońca.

Ale przecież w oknach powinny być rolety!

Tyle że to nie był jej pokój. Znajdowała się w jakiejś sterylnej białej przestrzeni przywodzącej na myśl szpital. Leżała na składanym łóżku, wciąż w tym samym ubraniu, które miała na sobie poprzedniego wieczoru. Pamiętała, że siedziała z Isaakiem w pokoju, a potem przybiegła Harper z prośbą o pomoc. Pamiętała drzewa, grad i poczucie, że jest silna, tak silna...

– Co się stało? – wyszeptała.

– Czy to nie jest jasne? – zapytał jakiś głos z drugiego końca sali. – Znów straciłaś przytomność.

Skuliła się, jakby dzięki temu mogła sprawić, że turkusowowłosa postać zniknie. Zakręciło jej się w głowie, lecz Rosie – w podartych dzinsach i artystycznie poplamionej farbą bluzce – wciąż patrzyła na nią z pogardliwym uśmieszkiem.

– Musiałam doznać wstrząsu mózgu – powiedziała Violet, walcząc z histerią, gdy siostra ruszyła w jej stronę. – Jesteś omamem stworzonym przez chorobliwe poczucie humoru mojego umysłu.

– Czyżby? – Cień Rosie płynął po podłodze jak peleryna. Jego krańce wiły się i wykręcały. – A może w końcu zaczynasz dostawać to, o co prosisz?

Na zewnątrz zadudniło, jakby ktoś rzucił czymś o drzwi. Violet uświadomiła sobie mgliście, że z korytarza dochodzą głosy.

– Do zobaczenia wkrótce. – Rosie zerknęła na drzwi, a potem przeniosła wzrok na skuloną w kącie łóżka siostrę. Jej głos był niemal łagodny, lecz pobrzmiewała w nim chłodna kalkulacja, na dźwięk której Violet ogarniały mdłości. – Nie bój się, siostrzyczko. Nie tęsknisz za mną?

Zniknęła. Głosy z korytarza brzmiały teraz wyraźniej, jakby wcześniej coś je blokowało.

– Nie! – krzyczał ktoś. – Przysięgam, mogę wszystko wyjaś...

– Nie zamierzam tego słuchać – odpowiedział niski, chłodny głos. – Zostajesz na zewnątrz.

Drzwi otworzyły się i natychmiast zamknęły. Srebrna tarcza na golfie Augusty Hawthorne lśniła w blasku porannego słońca.

Violet wreszcie pojęła: jest na komisariacie! Nie wiedziała tylko dlaczego.

– Witaj ponownie – rzekła spokojnie pani szeryf. – Jak się czujesz?

Violet zmarszczyła brwi.

– Chyba dobrze. Co się stało?

Augusta wygięła wargi w czymś, co u innej osoby byłoby uśmiechem. U niej wyglądało jak rysa w posągu, efekt nieuwagi rzeźbiarza.

– Zgubiłaś się w zamieci. – Ruszyła w stronę łóżka. – Nie martw się, wkrótce wszystko będzie dobrze.

Wyciągnęła rękę w stronę Violet, która w momencie nagłego, przesywającego olśnienia uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie widziała Augusty bez rękawiczek.

Zaraz potem pani szeryf złapała ją za przegub dłoni i umysł Violet przestał należeć do niej. Zimne, szorstkie, niechciane palce penetrowały jej czaszkę i wdierały się w mózg jak noże, sortując myśli.

Wspomnienia przemykały przed oczami jak na projektorze. Ona i Rosie zaśmiewające się na podłodze pracowni w starym domu. Płaskie białe chmury Szarości. Isaac uśmiechający się do niej z topniejącymi grudkami gradu we włosach. A potem grunt usunął jej się spod nóg i spadła w ciemność, tracąc kontakt z własnym umysłem.



CZEŚĆ TRZECIA
SZKIELET



Rozdział 17

Gdy jeszcze żył dziadek Justina, jego gabinet był miejscem ciepłym i przyjaznym, z kominkiem, dywanami w kolorach ziemi i szeroko otwartymi oknami. Potem jednak do pomieszczenia wprowadziła się Augusta. Zamurowała kominek i na stałe zasłoniła okna roletami zewnętrznymi. Wygodne skórzane fotele zastąpiła sztywnymi krzesłami o twardych oparciach, przez które Justin musiał siedzieć prosto jak struna, wpatrzony w surowe oblicza spoglądające na niego z wiszących na ścianie za biurkiem matki zdjęć.

Nawet w tym czarno-białym ujęciu Hawthorne'owie wydawali się monumentalni, sumienni i nieszczęśliwi. Choć kolor ich skóry wahał się od bladego po ciemnobrązowy, a fryzury i stroje należały do różnych epok, na wszystkich twarzach malowało się to samo przesłanie: „My wiemy najlepiej”. Zastanawiał się, czy na tej ścianie zawiśnie kiedyś zdjęcie przedstawiające jego samego spoglądającego władczo na swych potomków.

Na razie zanosilo się raczej na to, że matka spali jego zdjęcie, niż że je gdziekolwiek powiesi.

Augusta zostawiła ich w swoim domowym gabinecie, a sama pojechała na komisariat pozałatwiać sprawy. Justin wiedział, że

czekanie ma być dla nich karą, a jednak posłusznie siedział na krześle.

– Jak mogłaś jej powiedzieć? – wybuchnął pod adresem siostry, która siedziała na sąsiednim krześle, jakby połknęła kij.

– A ty jak mogłeś milczeć? – zapytała. – Justin, Bestia zawładnęła Violet! Zmusiła ją do wskrzeszenia trupa. Otworzyła Szarość. Trzeba było coś z tym zrobić!

Drugi zastęp patrolu przybiegł na miejsce z tego samego powodu co grupa Justina: usłyszał krzyki. Gdy tylko May domyśliła się, na co patrzy, natychmiast pękła i po powrocie na komisariat wyśpiewała matce wszystko jak na spowiedzi. Był zbyt wstrząśnięty jej zdradą, by zdobyć się na coś więcej niż tylko wątłe protesty, kiedy siostra relacjonowała Augustynie wydarzenia ostatnich tygodni, podkreślając, że od samego początku była przeciwna jej oszukiwaniu.

Starał się nie myśleć o głosie dobiegającym z ciała Violet ani o kolorze odpływającym z jej palców.

– Wiedziałaś, co mama jej robi.

– Wiedziałam – odparła May. – Naprawi ją.

Justin stłumił okropny chichot, który wzbierał w jego gardle.

– Nasza matka niczego nie naprawia. Dobrze wiesz, że po prostu odbiera ludziom te fragmenty ich życia, które jej nie pasują.

Od czasu wizyty w ambulatorium, w którym kilka godzin temu umieszczono Violet, Augusta nie dopuszczała go w pobliże dziewczyny. Justin widział jednak swoją matkę w akcji dość razy, by wiedzieć, co będzie dalej. Za kilka godzin Violet obudzi się, pamiętając Cztery Ścieżki jako zwykłe miasteczko, w którym nie dzieje się nic wyjątkowego. Jej mózg sam wypełni powstałe luki.

Zapomni, że kiedykolwiek miała moc – tak jak Harper zapomniała o swojej.

– Odczekaj parę tygodni. – May położyła bladą dłoń na jego kolanie. – Zapewniam cię, że wtedy to wszystko będzie dla ciebie znaczyło o wiele mniej.

– Bestia wciąż jest groźna, a miasto odwraca się od nas. – Zastanawiał się, jakim cudem jego siostra nie pojmuje, co zrobiła. – I co z tym kimś, kogo wskrzesiła Violet?

– Jedynym dowodem, że on w ogóle istnieje, są jej słowa. Pewnie zmyślała.

Zawsze wiedział, że jego siostra świetnie sobie radzi z ignorowaniem najbardziej nieprzyjemnych aspektów ich świata. Ale w tej chwili jej zarozumiała, lekceważąca mina zraniła go bardziej, niż się spodziewał.

– Ta istota zabiła Darię Saunders.

– To mógł być wypadek – odparła May chłodnym, protekcjonalnym tonem.

– Robisz dokładnie to, co matka. Udajesz, że problemy nie istnieją.

– Przynajmniej nie próbuję rozwiązywać tych, które są nierozwiązywalne. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że wszyscy musieliśmy coś poświęcić, by znaleźć się tu, gdzie jesteśmy? Że skoro to dla ciebie takie trudne, to może Cztery Ścieżki cię nie potrzebują?

Wtedy zrozumiał: wszystko, co robił od czasu nieudanej Próby, było walką z wiatrakami. W dniu, w którym głóg mu się nie pokłonił, Justin utracił szacunek rodziny i nie było takiej siły, która pomogłaby mu kiedykolwiek go odzyskać.

Przycisnął czerwony medalion do poręczy krzesła.

– Wiem, że mogę pomóc miastu. I ty też to wiesz. Karty ci powiedziały.

Spodziewał się, że siostra zareaguje współczuciem. Że okaże jakieś emocje. Ale jej twarz ledwie drgnęła. Nigdy jej takiej nie widział: przejrzystej jak szkło i twardej jak stal.

– Nie. Nie możesz. – Wyraźnie cedziła słowo po słowie. – I czas przestać udawać, że jest inaczej. Bo kiedy gromadzisz wokół siebie poranionych ludzi, by poczuć się lepiej, wszyscy wychodzą z tego w jeszcze gorszym stanie.

– O czym ty mówisz?

Spazmatycznie zacisnęła palce na poręczach krzesła i pochyliła się w stronę brata.

– Uwielbiałeś sprzątać bałagan po Harper, nim mama się nią zajęła, bo byłeś dla niej bohaterem. Nie przeszkadza ci, że Isaac zachowuje się, jakby to, że słońce codziennie wschodzi, było twoją zasługą. A sprawa Violet tak cię martwi nie z powodu tego, co mama

jej zrobiła, tylko dlatego, że pozbawiła cię pretekstu do pozostania tutaj.

Coś dziwnego działo się ze ścianami. Wyginały się do wewnątrz, napierały. Poczul ostry ból w piersi, jakby ktoś włożył mu rękę pod żebra i wypychał je przez skórę.

Szczekanie psów zasygnalizowało powrót matki. Justin siedział w milczeniu, wstrząśnięty, kontemplując wszystkie swoje porażki niczym talię kart, których nigdy nie będzie umiał odczytać.

Augusta wmaszerowała do studia z lodowatą energią sztormu. May zapadła się w swoim krześle. Justin starał się udawać obojętnego, by nie okazywać matce tak przez nią upragnionej czolobitności.

– Nigdy nie wierzyłam w te idiotyzmy o dzieciach, które czują potrzebę okłamywania rodziców. – Augusta złączyła pod brodą odziane w rękawiczki dłonie. – Miejsce zbuntowanych dzieci jest w miastach, w których największe niebezpieczeństwo stanowią pijani kierowcy. Was jednak wychowano w świadomości zagrożeń, z jakimi każdego dnia przychodzi nam się borykać. A to oznacza, że wiecie, jak bardzo jesteście mi winni przeprosiny.

– Przepraszam, mamó. – May spuściła głowę. Włosy opadły jej na twarz, odsłaniając rzadkie jasne kępki na karku. – Powinnam była od razu powiedzieć ci o Violet.

– Dość! – warknęła Augusta. May się skuliła. – Mielicie przeprosić, a nie leżeć u moich stóp i skomleć jak psy. Nikt nigdy nie będzie cię szanował, jeśli nie weźmiesz odpowiedzialności za swoje czyny.

– Przepraszam! – powtórzyła gorączkowo May. – Masz rację. Zawiniłam, teraz to wiem. Proszę, nie... – Umilkła.

Matka spojrzała na nią kątem oka.

– Nie co?

May mocno splotła na kolanach dłonie.

– Nie wymazuj Isaacowi pamięci.

Justin wybałuszył oczy. Jej wyznanie nie usprawiedliwiała żadnego z tych okropnych słów, które do niego wypowiedziała i które wciąż kołatały w jego udręczonej głowie. Dopiero teraz

jednak uświadomił sobie, że May panicznie się boi. Isaac był jedną z nielicznych osób, które nie tylko ją tolerowały, ale naprawdę lubiły.

– Nie zamierzam karać Isaaca Sullivana – oświadczyła Augusta. – A przynajmniej nie za to.

May z ulgi omal nie osunęła się na biurko.

– Dziękuję.

Oni dwoje byli odporni na moc matki. W ich żyłach płynęła ta sama krew, więc jej dotyk nie działał na nich tak, jak na pozostałych mieszkańców Czterech Ścieżek. Tylko oni wiedzieli, jakim sposobem utrzymywała się na stanowisku szeryfa. Tylko oni wiedzieli, ilu ludzi chodzi po tym mieście z dziurami w pamięci.

– Dość. – Augusta wyglądała na lekko zniecierpliwioną. – A ty, Justin? Co masz mi do powiedzenia?

Najprościej byłoby pójść w ślady May i się pokajać. Ale nie potrafił.

Nie chodziło już tylko o Violet.

Augusta nigdy nie przeprosiła za Harper. Za grożenie Isaacowi. Za odsunięcie się od Justina po jego oblanej Próbie. Nie rozumiał, dlaczego miałby okazywać jej szacunek, którego ona nigdy nie okazywała jemu.

– Nie przepraszam.

Marmurowe rysy Augusty wykrzywił karykaturalny uśmiech.

– Spodziewałam się, że to powiesz. May, możesz nas zostawić. Czas, żebym poważnie porozmawiała z twoim bratem.

May wysliznęła się z pokoju niczym pokorna myszka. Justin podrapał paznokciem miniaturowy symbol założycieli wyryty na poręczy krzesła.

– Więc uważasz, że nie jesteś mi winien przeprosin? – zaczęła matka.

Skinął głową.

– Chcesz, żebym wyliczyła, co zrobiłeś źle?

– Nic.

– Justin – kontynuowała belferskim tonem Augusta – naraziłeś to miasto na potworne niebezpieczeństwo dla dziewczyny, którą znasz mniej niż miesiąc. I okłamałeś mnie. Wiem, że lubisz udawać

lokalnego bohatera, ale nawet ty nie możesz naprawdę sądzić, że twoje postępowanie było usprawiedliwione.

– Zrobiłbym to jeszcze raz – odparł cicho – byle tylko ją przed tobą uchronić.

Augusta stęknęła i przyłożyła do skroni dłoń w rękawiczkach.

– Wiesz, że nie używam swojego talentu bez namysłu. To ostateczność. Ale miasto jest bezpieczniejsze, gdy ona nie ma dostępu do drzemiących w niej mocy. Które, jak sam się przekonałeś, stanowią idealny punkt zaczepienia dla Bestii.

Zastanawiał się, czy to prawda. Może Harper, Isaac i Violet naprawdę byli zbyt niebezpieczni, by móc w pełni korzystać ze swoich mocy. Może dla miasta było lepiej, jeśli nie mieli do nich dostępu.

Łatwo byłoby się kajać jak May i czekać, aż całe miasto zacznie się zachowywać, jakby to wszystko nigdy się nie wydarzyło.

Ale uwagi mieszkańców nie uszedł fakt, że pozostało już tak niewielu potomków założycieli. Byłoby znacznie lepiej dbać o moce tych, którzy wciąż tu żyli, zamiast je wygaszać. Gdy Justin otworzył usta, by odpowiedzieć, oczami duszy widział wściekłość w oczach Harper przyciskającej mu do gardła czubek drewnianego miecza. Wściekłość, której nawet ona sama nie mogła w pełni rozumieć, bo nie wiedziała, co zabrała jej Augusta. Nie miała pojęcia o mocach, których ją pozbawiono.

On sam zbyt długo rozpamiętywał to, czego nie mógł mieć. Ale przynajmniej wiedział, co stracił.

Harper wierzyła, że nie posiada mocy. Violet już też. A on nijak nie mógł im pomóc.

Wiedział jednak, co zrobiłyby obie, gdyby to one siedziały teraz naprzeciw Augusty Hawthorne.

Walczyłyby.

Musiał dowieść, że ich strata czegoś go nauczyła. Był im to winien.

Wstał.

– Nie odebrałaś Harper i Violet wspomnień dlatego, że były niebezpieczne dla miasta – powiedział. Ich wściekłość kipiała teraz w nim, wypełniała miejsce opuszczone przez May. Dodawała mu siłę,

póki nie zrozumiał, co musi powiedzieć. – Miasto rozpaczliwie potrzebuje silnych założycieli. One zagrażały tobie, więc sprowadziłaś na nie amnezję. Isaac wyrządził więcej szkód niż one dwie razem wzięte, ale zostawiłaś go w spokoju, bo nas słucha. Nad Harper i Violet nie miałaś władzy, więc je załatwiłaś. A teraz próbujesz załatwić mnie.

Ten jeden raz Augusta Hawthorne milczała. Na jej bladą twarz wystąpił ledwie widoczny rumieniec. Dłonie zastygły przy skroniach. Matka i syn patrzyli na siebie w milczeniu. Justin zrobił krok w tył.

– Być założycielem to się poświęcać – wysyczała wreszcie nienawistnie Augusta. – Jeśli nie umiesz się nauczyć przedkładać bezpieczeństwa miasta nad własne emocje, to całe szczęście, że nie przeszedłeś Próby. Nie jesteś godzien, by służyć temu miastu.

Nie powiedział nic więcej. Nie mrugnął, nie odetchnął. Wymacał klamkę i popędził korytarzem ku drzwiom wyjściowym, przez które wybiegł na zewnątrz.

Dobiegł dalej niż kiedykolwiek przedtem. Gnał, póki świat wokół niego nie stał się szeroki, rozmyty i dziwny, a ciała nie ogarnął palący ból. A gdy wreszcie się zatrzymał – godziny, dni, a może lata później – stał przed drzwiami mieszkania Isaaca.

– Nie mogę wrócić do domu – powiedział, a zaraz potem wrzasnął, waląc pięścią w popękane, odpadające płatom drewno, jakby dzięki temu słowa mogły mniej boleć. Gdy drzwi się otworzyły, rozedrgany i wyczerpany Justin ledwie trzymał się na nogach.

– Nie mogę wrócić do domu – powtórzył, a wargi Isaaca wykrzywiły się w tym samym wyrazie co przedtem w Jadłodajni: ni to radości, ni smutku.

– To nie wracaj – burknął jego przyjaciel, uchylając drzwi na tyle, by Justin mógł się przecisnąć.

Przywykł do tego, że to Isaac chodzi za nim jak cień, ale tego wieczoru cieszył się, że to on podąży za szerokimi barkami i czarnymi lokami tamtego w stronę kanapy, na której wreszcie, szczęśliwie, mógł odpocząć.

*

Harper miała serdecznie dość obojętności wszystkich wokół. Gdy na polanie zjawiała się Augusta Hawthorne, Mitzi i Seth zaprowadzili siostry do domu. Próbowwała rozmawiać z ojcem o Norze, on jednak się upierał, że cała sytuacja była zwykłym wypadkiem.

Nie wierzyła mu, ale nie miała dowodów.

W ciągu następnych dni nic się nie działo.

Justin, Isaac, May i Violet nie pojawiali się w szkole. Violet nie odbierała telefonu, a Harper nie potrafiła się zdobyć na to, by zadzwonić do Justina. Kiedy więc kilka dni później weszła do klasy i zobaczyła siedzącą na swoim zwykłym miejscu Violet, na oko wypoczętą i spokojną, była co najmniej zdezorientowana.

Chwilę później w tylnym rzędzie zameldowali się Justin i Isaac. Harper czekała na jakiś znak, potwierdzenie rzeczy, które widzieli, wspomnienie potwora w ciele Violet. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Violet z zagadkowym półuśmiechem wpatrywała się w panią Langham, nie zamieniając z nikim słowa.

Podobnie było na historii i biologii – kiedy więc przed przerwą na lunch zauważyła Violet siłującą się ze swoją szafką, zebrała się na odwagę i podeszła. W równonoc tamta nazwała ją przyjaciółką, a teraz... Może wciąż próbowała przetrwać wydarzenia sprzed kilku dni.

– Pomóc ci otworzyć?

– Powinnam pamiętać kombinację, ale mam zaćmienie. – Violet zmarszczyła brwi. – Trochę wstyd, nie?

– Chodzę do tej szkoły od lat i wciąż zdarza mi się mylić – odparła Harper.

Violet zachichotała.

– Dzięki, że pomagasz mi lepiej się poczuć. Jak masz na imię?

Harper opadła szczęka.

– Słucham? Violet, to nie było zabawne!

– Przepraszam... znamy się? – Na twarzy dziewczyny wciąż błąkał się ten dziwny półuśmiech. – Faktycznie wyglądasz znajomo. Hailey?

Holly?

Nie mogła znieść sposobu, w jaki przyjaciółka na nią patrzy – tego samego obojętnego, apatycznego spojrzenia, które przed trzema laty rzucił jej Justin. I choć wiedziała, że musiało się wydarzyć coś szczególnego – że Violet nie zapomniaby o niej tak po prostu – nie mogła pohamować narastającej w sercu paniki.

– Muszę iść. – Obróciła się i uciekła do salki prób muzycznych, gdzie zwykle w samotności zjadała lunch. Usiadła i podciągnęła kolana pod brodę.

Coś było nie tak z Violet. Chyba że celowo ją ignorowała.

Ale nie. To byłoby zbyt okrutne. Nie zrobiłaby jej tego, wiedząc, jak potraktował ją Justin. Musiała rozumieć, że drugi raz Harper tego nie zniesie.

Jedyna osoba, z którą mogłaby porozmawiać o tym, jak jej ojciec postąpił z Norą, właśnie przestała wchodzić w grę.

Harper była zagubiona, przestraszona, smutna i po raz kolejny samotna.

Jej lewą rękę przeszył fantomowy ból. Zadrżała i otoczyła kikut prawą dłonią.

Trzy lata temu poddała się panice. Posłuszna woli Hawthorne'ów stała się tym, kogo z niej zrobili – małym, zaszczytnym, zapomnianym stworzonkiem. Teraz jednak wiedziała, że jest kimś więcej.

Zatknęła włosy za uszy i wytarła oczy. Gdy jej tętno poczęło zwalniać, a ból słabnąć, ktoś zapukał do drzwi.

– Zajęte! – zawołała.

– Harper, to ty?

Podniosła głowę, czując nagły przyływ adrenaliny.

– Justin?

– Mogę wejść?

Chciała odmówić.

Ale jeśli miała się dowiedzieć, co się stało Violet, potrzebowała pomocy. I nie za bardzo miała w kim wybierać.

Przełknęła resztkę łez, wstała i otworzyła drzwi.

Justin wyglądał na jeszcze bardziej roztrzęsionego niż wtedy, gdy przyznawał jej się do braku mocy. Był jakiś wymizerowany, a jego

spojrzenie miało w sobie dozę szaleństwa, którego nie zauważyła podczas równonocy.

– Wiem, że nie chcesz ze mną rozmawiać – powiedział – ale czy mógłbym się przysiąc? Chyba nie potrafię spojrzeć dziś w oczy całej szkole.

Była tak zdziwiona, że tylko skinęła głową i przesunęła się, z gigantycznym niedowierzaniem patrząc, jak chłopak ostrożnie wieszka plecak na stojaku do nut i opada na krzesło. Drzwi zatrzasnęły się za nim. Harper wróciła na swoje krzesło, aż nadto świadoma ciasnoty panującej w maleńkiej salce.

Choć przyciskali plecy do przeciwległych ścian, niemal dotykali się kolanami.

– Gdzie Isaac? – zapytała.

Justin przeczesał palcami burzę jasnych włosów, przywołując z pamięci Harper niechciane wspomnienie: jej dłoń na jego karku, kosmyki włosów błyszczące między palcami jak złota nitka.

Wypchnęła ten obraz, choć nie zdołała powstrzymać drżenia palców.

– Siedzi z May – odparł Justin. – Próbują udawać, że wciąż się lubią.

– Udawać? Jak to?

– Matka wyrzuciła mnie z domu – wyjaśnił. – No, niezupełnie. Uciekłem. Ale gdyby nie to, pewnie by mnie wyrzuciła.

– Co? Dlaczego?

– Miałem dość. Według matki dobrze się stało, że nie przeszedłem Próby. I zaczynam przyznawać jej rację. Bo dzięki temu zacząłem dostrzegać szkody, jakie wyrządza miastu moja rodzina. – Wypuścił długi, drżący oddech. – Nikt nie zasługuje na to, by być traktowany tak, jak ja traktowałem ciebie.

Od dawna pragnęła usłyszeć z jego ust te słowa. Teraz, gdy rozbrzmiewały echem w sali i jej głowie, nie czuła jednak ulgi. Czuła wyłącznie pustkę.

– W pewnym momencie to przestaje mieć znaczenie – mruknęła, w pierwszej chwili nieświadoma, że mówi na głos. Ale gdy już to sobie uświadomiła, nie chciała przestać. – Nie wystarczy parę słów,

by wymazać trzyletnie winy. I nie wystarczy przypelznąć do mnie, gdy masz na to ochotę.

– Wiem. Nie naprawię swojego okrucieństwa ani nie odejmę ci bólu. Powinienem był sprzeciwić się rodzinie. Powinienem był ci pomóc. Wszystko, co zrobiłem dla Isaaca i Violet, wynikało z faktu, że nie mogłem tego zrobić dla ciebie.

Nie wiedziała, czy Justin mówi szczerze, ale bardzo pragnęła, by tak było.

Zdławiła w gardle szloch.

– Nie przebaczam ci.

– Wiem.

– Nie mogę ci przebaczyć.

– Nieważne.

Jego postawa ujęła ją za serce. To był Justin, którego znała. Życzliwy, uczciwy, wierny do bólu.

W wieczór poprzedzający jej Próbę wymknęli się nad jezioro i patrzyli, jak ciemne fale liżą błotnisty brzeg.

– A jeśli stąd nie wyjdę? – zapytała, a on oplótł jej palce swoimi i uśmiechnął się z niezachwianą pewnością.

– Wyjdiesz.

Kochała tamtego Justina, więc mu uwierzyła.

Może wciąż go kochała.

Sądziła jednak, że miłość jest czymś, co powinno z czasem przybierać na sile, a nie gnić od środka. Cokolwiek między nimi pozostało, było kłębowskiem pożądania, złości i żalu, które jątrzyły się w niej tak długo, że nie wiedziała już, kim byłaby bez nich.

Nie potrafiła zapomnieć, że Justin ochoczo ją ignorował, gdy wierzył, że sam posiada moc. Do maksimum wykorzystywał wszystkie okazje, jakie otwierał przed nim status Hawthorne'a: dziewczyny, przyjaciół, niekwestionowany szacunek mieszkańców miasta.

Do niej zwrócił się dopiero, kiedy życie go złamało. Bo ona też była złamana.

Nie zamierzała pomylić jego desperacji z czułością. Otworzyła usta nie po to, by dać mu nadzieję na pojednanie, lecz by uzyskać

odpowiedzi.

– Violet jest jakaś dziwna – powiedziała.

Nawet nie udawał zaskoczenia.

– Wiem. Moja matka ją załatwiła.

– Załatwiła? Jak to?

– To jej moc – wyjaśnił. – Odbiera ludziom wspomnienia, gdy uważa, że stanowią zagrożenie. Odtąd nie mają dostępu do swoich mocy, bo nie pamiętają o ich istnieniu.

Zamiast być wstrząśnięta, Harper doznała olśnienia. No jasne! Hawthorne'owie musieli mieć coś w zanadrzu. Coś, czym się nie dzielili.

Kolejne tajemnice. Kolejne kłamstwa.

Im więcej rozumiała, tym większa rozpacz chwyciła ją za gardło. Violet jej nie pamiętała. Dziewczyna, którą znała i która się o nią troszczyła, przestała istnieć.

– Straciła wspomnienia? Czy kiedykolwiek będzie mogła je odzyskać?

– Nie sądzę – odparł ochryplym, nabrzmiąłym od emocji głosem.

Violet musiała dla niego dużo znaczyć, jeśli naprawdę postanowił sprzeciwić się matce i opuścić dom.

– Chyba... – Urwał. – Chyba przyszedłem tu po to, żeby ci powiedzieć, że moim zdaniem nadciąga coś złego. Moja rodzina pewnie na to zasłużyła. Ale reszta miasta nie. Więc trzymaj się z dala od lasu, dobra?

I nagle Harper dostrzegła szansę.

Przez wiele lat traktowała swoje życie jako opowieść. Opowieść o dziewczynie, która pragnie jedynie miłości, mocy i rodziny, ale oblewa próbę odwagi, a nikczemni Hawthorne'owie skazują ją na samotną i nieszczęśliwą wegetację, wykorzystując swój czar do ukrycia ohydy, która się pod nim czai.

Ojciec podsunął jej proste zakończenie – zakończenie, w którym oboje zostają bohaterami.

Teraz, patrząc na Justina Hawthorne'a, w głębi duszy rozumiała, że to kłamstwa.

Myślała o bohaterach i nikczemnikach, o legendach i potworach. I uznała, że ten, kto opowiada historię, jest potężniejszy od nich wszystkich.

Nigdy więcej nie zamierzała pozwolić, by jej historię opowiadał ktoś inny.

Może Violet nie pamiętała, co jej zrobiono, ale Harper wciąż chciała ją uratować.

– Nie jestem pewna, czy twoja rodzina jest jedyną w tym mieście, która coś knuje – powiedziała powoli, nie mogąc uwierzyć, że te słowa naprawdę wydobywają się z jej ust. – Justin... muszę ci o czymś powiedzieć.



Rozdział 18

Westchnęła, wpatrzona w klawisze fortepianu pod swoimi dłońmi. Od rana czuła się jakoś dziwnie. Myślała, że jeśli poćwiczy, odzyska koncentrację, ale ilekroć dotykała klawiszy, żołądek ścisnął jej się ze strachu. Z tym fortepianem było coś nie tak.

Dodatkowo przeszkadzał jej Orfeusz, który przechadzał się w tę i z powrotem za jej plecami, miaucząc tak rozdzierająco, że jego głos niósł się po całym domu jak ryk silnika. Musiał tęsknić za swoją panią. Ale ciotki Darii już z nimi nie było.

Kot znów zamiauczał. Tym razem w duecie z miarowym, ostrożnym stukotem obcasów.

Violet obróciła się zdziwiona. Wiedziała, że matki nie ma w domu.

I rzeczywiście – pośrodku saloniku stała nie Juniper, lecz wysoka blondynka o prostych, gładkich włosach i niepokojąco symetrycznych rysach.

Spod jej uprzejmego uśmiechu wyzierała jakaś desperacja, a policzki zdawały się niepokojąco zapadnięte i wymizerowane. Spoglądała na Violet tak samo, jak kilka godzin wcześniej Harper: jakby łączyła je jakaś tajemnica, choć Violet nigdy wcześniej jej nie widziała.

A przynajmniej tak jej się zdawało. Chwilę później w jej głowie pojawiło się imię, choć nie miała pojęcia, skąd je zna.

– Jesteś May, prawda? – Dziewczyna przytaknęła. – Co tu robisz?

May wzruszyła ramionami pod zwiewną kremową bluzką.

– Zaprosiłaś mnie. Pukałam, ale nie było odzewu. Nacisnęłam klamkę i weszłam. Świetnie grasz.

– Nie tak jak kiedyś – odparła Violet. – Nie pamiętam, żebym cię zapraszała.

Szczerze mówiąc, nie pamiętała wielu rzeczy. Całe jej życie po śmierci Rosie zmieniło się w wielką plamę, a kiedy próbowała sobie przypomnieć swoje pierwsze tygodnie w Czterech Ścieżkach, sytuacja tylko się pogarszała.

Na szczęście May nie wydawała się zbyt przejęta jej dezorientacją.

– Robimy razem zadanie z historii miasta – powiedziała i wyjęła z torby drewniane pudełko. – Powiedziałaś, żebym po szkole do ciebie wpadła. To jak, dokończymy projekt?

Violet jak przez mgłę pamiętała, że zbierała jakieś informacje o Czterech Ścieżkach. Oczyma duszy widziała pomieszczenie z poobijanymi metalowymi szafkami i portretami na ścianach. To chyba było coś ważnego.

– Jasne. Chodź. Pracowaaliśmy nad...

– Nad tym. – May otworzyła pudełko i wyjęła talię kart. – To talia omenów. Należy do lokalnego folkloru. Coś w rodzaju tarota, ale wymyślonego w naszym mieście. – Znów wykrzywiła usta w tym dziwnym uśmiechu. – Miałam odczytać ci karty. Coś ty dzisiaj taka rozkojarzona?

Violet poczuła się nieswojo.

– Nie wiem. Chyba mam zły dzień.

– Jeśli nie czujesz się na siłach, przełożymy to na kiedy indziej.

Skoro jednak May już tu przyszła, głupio było odmawiać.

– Nie – powiedziała Violet. – Miejmy to z głowy.

Blondynka uparła się, żeby usiadły na podłodze. Violet zawsze uważała się za osobę, która nie słucha bezkrytycznie cudzych poleceń, ale była zbyt zmęczona, by protestować. Od rana czuła się

dziwnie, a z chwilą pojawienia się May to uczucie jeszcze się spotęgowało: kiedy przymknęła oczy, mogłaby przysiąc, że zobaczyła coś przypominającego wyciągające się w jej stronę gałęzie.

Widok May zwinnie tasującej karty wydał jej się dziwnie znajomy. Jak gdyby już kiedyś siedziały tak razem... ale przecież musiałyby to pamiętać!

Talia stopniowo stawała się coraz cieńsza. To musiało być złudzenie optyczne.

A jednak nie: drewniane karty znikwały jedna po drugiej, aż w ręku dziewczyny pozostało ich tylko kilka. Gdzie się podziały pozostałe?

– Teraz musimy się chwycić za ręce. – May wykrzywiła usta. – Wiem, że to obciach, ale tak każe zwyczaj.

Po raz kolejny Violet miała poczucie, że słyszała już coś podobnego.

– Bo ja wiem...?

Ale May już sięgała po jej dłonie. Skórę miała chłodną i spoconą, a palce zaskakująco silne. Violet szamotała się... póki coś nie wdarło jej się do głowy.

To było jak korzenie przedzierające się przez czaszkę – wąskie, uparte macki zmieniające wszystko, czego dotknęły, wydobywające z mroku i wyostrzające każde wspomnienie, jakby przywracały kolor wyblakłemu krajobrazowi. Stęknęła, przytłoczona ich siłą. Prawda rozwijała się przed nią jak dywan, umysł May zrywał wszystkie więzy, jakimi spętano pamięć Violet, wydarzenia ostatnich tygodni wracały falą.

Roztrzęsiona, w pierwszej chwili potrafiła jedynie wpatrywać się w siedzącą naprzeciw niej dziewczynę. Wkrótce jednak chaotyczne myśli skryształizowały się w bolesną, bulwersującą prawdę.

– Twoja matka – syknęła.

Błada, śmiertelnie poważna May tylko pokiwała głową.

– Więc pamiętasz?

– Tak.

– I jesteś zła.

– Trudno, żebym nie była. Czego się spodziewałaś?

A więc to dlatego Hawthorne'owie okłamali matkę. Dlatego całe miasto było w nich tak zapatrzone. Jak mogło być inaczej, skoro wymazywano im z pamięci wszystkie potknięcia tej uroczej rodzinie?

Nic dziwnego, że Juniper nie pamiętała nic na temat Czterech Ścieżek. Ani że stosunki Harper z Hawthorne'ami były tak skomplikowane.

To wszystko wina Augusty.

Ile osób spotkało to co Violet? Ile spraw na zawsze zniknęło z pamięci miasta?

– Odbiera ludziom wspomnienia – rzuciła z furją. – Ale ty potrafisz je zwracać. I tego nie robisz.

May spuściła głowę.

– Dopiero pół roku temu przeszłam Próbę – wyjaśniła cicho. – Nigdy dotąd nie robiłam czegoś takiego i nie miałam nawet pewności, czy potrafię.

– Teraz wiesz – odparła Violet. – Więc musisz...

– Nie! – Nigdy jeszcze nie słyszała, by May tak podniosła głos. Z przerażenia cała się trzęsła. Wybałuszyła oczy i błagalnie wyciągnęła rękę. – Nie mogę. A jeśli komukolwiek powiesz, co zrobiłam, wyprę się.

– Dlaczego? – zapytała cicho Violet. Wciąż była zła, ale doceniała fakt, że ta denerwująca, spłoszona dziewczyna wydobyła ją z otchłani zapomnienia. Nie chciała jej straszyć.

May przełknęła ślinę.

– Jeśli matka się dowie, wpadnie w szal. Nigdy mi nie przebaczy.

– W takim razie dlaczego postanowiłaś mi pomóc?

May wierciła się niespokojnie, popatrując to tu, to tam. Violet czekała niecierpliwie. W końcu dziewczyna uniosła dłoń do głowy. Promień późnopołudniowego słońca zatańczył na jej skórze. W uchu miała mały kolczyk w kształcie listka.

– Nie wiem – wyznała w końcu. Bez cienia wątpliwości mówiła prawdę. – Po prostu nie mogłam się pogodzić z tym, co mama ci zrobiła. – Wstała, nim Violet zdążyła się upewnić, że widzi w kącikach jej oczu łzy. Odkaszlnęła.

– Pójdę już. – Przycisnęła do piersi szkatułkę z talią omenów. – Nie mogę cię zmusić, ale proszę, nie mów nikomu.

Szybko ruszyła do drzwi, cicho stukocząc sandałami o parkiet.

Violet pozbierała się z podłogi.

– Czeka!

Była pewna, że May jej nie posłucha. Ta jednak zatrzymała się w drzwiach.

Violet nie miała pojęcia, co powiedzieć. Nie wiedziała nawet, czy wciąż się gniewa.

– Dzięki – wykrztusiła w końcu.

May odpowiedziała szybkim skinieniem głowy. Chwilę później drzwi domu Saundersów się zatrzasnęły. Wstrząśnięta Violet stała w złotym blasku zachodzącego słońca.

Najchętniej zadzwoniłaby do Justina i Isaaca i nakrzyczała na nich za to, że ją okłamywali. Ale nie chciała zawieść zaufania zalęknionej May. Jeśli miała poznać odpowiedzi, musiała poszukać ich sama.

Musiała znaleźć brakujące ogniwo, które wyjaśni jej omdlenia i podpowie, na czym polega Próba jej rodu.

Pobiegła do sypialni i energicznie zabrała się do przeglądania wszystkiego, co mogło ją przybliżyć do prawdy – zdjęcia rodzeństwa Saundersów, zrobionych komórką zdjęć wiersza wiszącego na ścianie czytelni Hawthorne'ów, i wreszcie dziennika Stephena, a raczej jego połowy.

Kiedy tak siedziała wpatrzona w te artefakty, zastanawiając się, jak powiązać je w jedną całość, o jej kostki otarło się coś miękkiego i futrzastego.

– Ty chyba też jesteś dowodem. – Poglaskała kota między uszami, a on zamiauczał jak piła łańcuchowa i uderzył łebkiem o coś ukrytego pod swetrem na podłodze.

Serce zabiło jej mocniej na widok brązowej tuby, którą dostała od Darii.

– Może jednak zginęła dlatego, że coś wiedziała – mruknęła do siebie, wyciągając tubę spod swetra i wstając. Odkręciła pokrywę,

ale nim zdążyła wyjąć plany, jej wzrok wypatrzył coś na ścianie pojemnika.

W pewnym miejscu drewno wydawało się bledsze, a jego faktura jakby się zmieniała. Violet uniosła tubę do najbliższej lampy i zmrużyła oczy, po czym uśmiechnęła się od ucha do ucha na widok wyżłobionego w drewnie wąziutkiego okręgu przeciętego czterema kreskami, prawie niezauważalnie wystającego ponad resztę ścianki.

Przycisnęła kciuk do środka symbolu, a on z cichym trzaskiem wcisnął się do wewnątrz. Okazało się, że to, co brała za jedną tubę, w rzeczywistości było dwiema!

Obróciła pojemnik do góry dnem i mniejsza z tub wypadła jej na rękę, ukazując kartkę papieru owiniętą wokół ścianki większej.

Kolejny plan, tym razem jednego pomieszczenia. W rogu kartki wyblakłym, rozmazanym atramentem narysowano symbol założycieli, pod nim zaś nakreślono jedno słowo: „wieża”.

*

– No jasne – powiedziała do kota, wpatrzona w cienki kwadrat kamienia wycięty w suficie nad jej głową. – Musi tu być jakiś makabryczny strychn, bo moja rodzina nie może po prostu trzymać tajemnic w szafie jak normalni ludzie.

Dom Saundersów miał trzy wieżyczki, ale na widok planu od razu wiedziała, o którą z nich chodzi.

O tę środkową, wznoszącą się bezpośrednio nad głównym holem. Tę, którą Violet zobaczyła, gdy tkwiła w obmierzłych objęciach Szarości – jedyną istniejącą od stu pięćdziesięciu lat.

I rzeczywiście, bez trudu namierzyła fragment ciemnoczerwonego sufitu niepasujący do reszty.

Weszła na krzesło, by lepiej mu się przyjrzeć. Nie musiała się obawiać, że zostanie nakryta, bo Juniper pojechała do kawiarni popracować. Właz wydawał się zamykany na coś w rodzaju rygła sprężynowego, ale nie dało się go ruszyć. Wcisnęła palce w szczelinę

na skraju płyty i pchała, póki zardzewiały mechanizm nie stęknął i wąż nie zaczął się przesuwać w bok.

Nad głową miała jakieś metalowe sztaby. Rozpoznała rozkładane schody przytwierdzone do sufitu kłódką z zamkiem szyfrowym, brudną, lecz chyba niezbyt starą. Zmarszczyła brwi i pociągnęła kłódkę. Rozpoznała markę, której używano w szkolnych szafkach w gimnazjum.

Sama kłódka wydawała się dość solidna, ale pałak, na którym ją założono, był niemal doszczętnie przerdzewiały. Pociągnęła za niego jeszcze raz, ale nie ustępował, więc wyjęła młotek ze stojącej w szafce starej skrzynki na narzędzia i waliła nim w pałak, póki nie ustąpił.

Kłódka z hukiem spadła na podłogę, strzelając pomarańczowymi odłamkami na czarne dżinsy dziewczyny, która na wszelki wypadek schowała młotek do tylnej kieszeni, wsunęła palce pod metalowe krańce schodów i pociągnęła.

Schody ruszyły z ogłuszającym zgrzytem. Ściągnęła je tak daleko, jak się dało, i rozkaszała się, gdy do jej nozdrzy dotarł powiew stęchłego powietrza.

Podniosła wzrok, ale wewnątrz wieży spowijał nieprzenikniony mrok. Włączyła latarkę w telefonie i wyciągnęła rękę w górę. Pochyły sufit strychu nie miał w sobie nic niepokojącego, a otwór był zbyt mały, by dało się przezeń zobaczyć większość ścian. W końcu Violet schowała komórkę do kieszeni i z nieco zbyt mocno bijącym sercem weszła po schodkach.

Nigdy dotąd nie była tak boleśnie świadoma faktu, że jeśli coś się stanie, nikt nie przyjdzie jej z odsieczą. Justin, Isaac i Harper sądzili, że na dobre utraciła wspomnienia. May kazała jej trzymać w tajemnicy fakt, że jest inaczej. A Rosie... cóż, nie żyła.

Wnętrze wieży było bardziej obszerne, niż można by przypuszczać – większe niż jej garderoba w Ossining, tyle że ze ścianami tworzącymi idealny okrąg i sufitem zwężającym się w szpic. Część ścian zakrywały czarne aksamitne kotary, za którymi dostrzegła obrys okna. Ruszyła w jego stronę, lecz nim zdążyła odciągnąć kotarę, jakiś czarny kształt ugryzł ją w kostkę.

Jęknęła i zatoczyła się do tyłu. Ale to był tylko Orfeusz. Spojrzała na syczącego kota i zauważyła, że fragment kamiennej podłogi jest usunięty, a w jego miejscu widnieje pomalowana na biało okrągła drewniana płyta.

Próbowała ominąć Orfeusza, on jednak zastąpił jej drogę, uniósł w górę ogon i spojrzał jej w oczy rozświetlonymi żółtymi ślepiami.

Widziała w życiu dość horrorów, by rozumieć, że kiedy zwierzę chce ci coś powiedzieć, dobrze jest go posłuchać. Poza tym na widok zakurzonego kawałka drewna czuła w środku jakieś pulsowanie – takie samo jak podczas równonocy.

– Nie mam wchodzić do kręgu. – Odsunęła się o krok od białej farby. – Rozumiem.

Poza tym na strychu nie było nic ciekawego: regał z różnymi szpargałami, tępa klinga kamiennego miecza, mały, obłupany dzwoneczek, pusta ozdobna szkatułka podobna do tej, w której May trzymała karty.

Już traciła nadzieję na znalezienie czegoś wartościowego, gdy jej wzrok padł na coś leżącego na dolnej półce.

Spod okładki książki w skórzanej oprawie wystawał plik kartek z zeszytu w linię.

Zdjęła książkę z półki i otworzyła. Był to tomik poezji, w którym byle jak, zapewne w pośpiechu, upchnięto kartki.

Jeden rzut oka na pismo wystarczył, by wiedziała, na co patrzy.

– Bingo – szepnęła.

W końcu znalazła brakującą część pamiętnika Stephena Saundersa.

*

Jezioro Carlisle otwierało się przed Harper niczym żarłoczne usta.

Stojący obok niej Justin wyglądał, jakby za chwilę miał się pochorować. Przyjął plan dziewczyny z wyraźnym niepokojem, ale to jej nie powstrzymało. Nie było już siły, która mogłaby to zrobić.

– Wygląda, jakby wsysało światło – powiedział cicho, wpatrzony w zamuloną wodę.

Harper przeniosła wzrok z tafli jeziora na poblądlą twarz Justina. Rzeczywiście światło słoneczne w tym miejscu wydawało się bledsze, a kamienne zwierzęta za ich plecami spowijał cień.

Minęły zaledwie dwa tygodnie od poprzedniej rozmowy w tym miejscu, a jednak zmieniło się wszystko.

On okłamywał ją w sprawie swoich mocy.

Ona jego – w sprawie Kościoła czterech bóstw.

Ale w sali muzycznej Harper wyznała Justinowi prawdę. Powiedziała, że należy do nowej frakcji Kościoła, która zawiązała spisek w celu odebrania władzy jego rodzinie, i że niemal na pewno spiskowcy są zamieszani w to, co spotkało Violet.

Oraz że potrzebuje jego pomocy.

Justin przyjął to bardzo spokojnie – nieco zbyt spokojnie, lecz Harper nie miała czasu się zastanawiać, dlaczego zareagował na jej rewelacje zrozumieniem zamiast gniewem.

Przynajmniej nie mieli już przed sobą tajemnic. Równowaga się została przywrócona.

Razem wymyślili, jak sprawdzić, co naprawdę dzieje się w mieście. Zaraz po szkole przyszli nad jezioro, by poznać odpowiedzi na kilka pytań.

Harper wbiła wzrok w budę za galerią posągów i przygotowała się psychicznie na spełnienie obietnicy.

Mitzi i Seta nie było w domu. Mama pojechała do mieszkającej w pobliskim mieście siostry, zabierając ze sobą Olly'ego, a Justin zgodził się zająć Brettem i Norą, twierdząc, że w opiece nad dziećmi nie ma sobie równych.

To była jedyna w swoim rodzaju okazja, by Harper mogła porozmawiać z ojcem na osobności.

– Jestem gotowa – powiedziała.

Gdy Justin na nią spojrział, przypomniała sobie, jak stali na brzegu tego jeziora przed trzema laty. Ich splecione dłonie, jego uśmiech i wiara w nią...

Tym razem się nie uśmiechał. Nie dotykał jej. Ale w jego głosie nie było cienia wątpliwości.

– Wiem.

Gdy szła w kierunku ojcowskiego warsztatu, była mu za to wdzięczna.

Tę bitwę musiała jednak stoczyć sama.



Rozdział 19

Data na pierwszej stronie wskazywała, że tekst powstał następnego dnia po ostatnim wpisie w znanej Violet części pamiętnika.

Choć jednak zapisano go niewątpliwie pismem Stephena, nie był to zwykły wpis. Jego tytuł brzmiał:

Nowe credo Kościoła czterech bóstw, 23 września 1984 r.

Kościół czterech bóstw!

To ta religia, o której opowiadał Justin. Kult założycieli.

Violet nie za bardzo wiedziała, co oni wszyscy mają z tym wspólnego, ale nie przeszkadzało jej to w dalszej lekturze.

Przysięgam na swoją rodzinę, swój honor i swoją nieśmiertelną duszę nie ujawniać treści niniejszego credo nikomu oprócz moich najwierniejszych uczniów.

Sto czterdzieści lat temu ludność Czterech Ścieżek w przekonaniu, że założyciele miasta chronią je przed potworem, dla oddania im czci utworzyła Kościół czterech bóstw.

Ja jednak wiem, że to przekonanie było błędne. Założyciele nie zamierzali nikogo chronić – chcieli wykorzystać niewinną istotę

i przywłaszczyć sobie jej moce, a potem z zimną krwią ją zabić, by pozbyć się dowodu swojej winy.

Nie udało im się. Istota wciąż żyje w piekielnej niewoli, a miasto czci jej oprawców, nie wiedząc, że to oni sami, przez swoją arogancję i chciwość, sprowadzili na nie cierpienie.

Kościół czterech bóstw powołano jako drogę do zbawienia. Przejmuję jego założenia, by zastosować je do prawdy. Wiem, co zrobili twórcy tego miasta, i pokazano mi sposób na uwolnienie nas od tego.

Obalę fałszywych założycieli.

Zrealizuję swoje powołanie. I spotka mnie za to sowita nagroda.

Gałęziom i kamieniom, sztyletom i kościom za grzech zapłacić przyjdzie.

Trawnik przed warsztatem był zavalony rzeźbami. Ojciec Harper posłusznie dostarczał Auguście stróżów do pilnowania granic miasta, a mieszkańcom – do wieszania ich nad drzwiami. Ale tworzył też inne rzeźby – dziwne, powykręcane stwory zrobione z gliny wydobywanej z dna jeziora.

Wiedziała, że ojciec próbuje stworzyć golema. Na razie jednak jego posągi zamiast silniejsze, stawały się dziwniejsze. Lis z ogonem pełnym oczu, ohydna przysadzista żaba z ludzką ręką wystrzelającą z pyska zamiast języka i inne rzeźby nie przypominały ani ludzi, ani zwierząt, lecz eklektyczne zlepki różnych części ciała.

Ich milcząca świadomość przyprawiała ją o dreszcz. Nie potrafiły się poruszać, ale obserwowały. Harper starała się nie wzdrygać, kiedy wszystkie te niewydarzone istoty wbijały w nią wzrok i śledziły każdy ruch. Weszła do warsztatu.

Maurice Carlisle siedział przy stole roboczym, strugając blok gliny i pomrukując coś do siebie. Za jego plecami wisiały trzy stalowe miecze. Posągi i dzwonki niczym publiczność podpierały ściany, zwisały z sufitu i tłoczyły się na półkach.

– O co chodzi, Harper? – Zmarszczył brwi, nawet nie podnosząc wzroku. – Potrzebujesz czegoś?

– Mam pytanie. – Nie wiedziała, czy zdoła go przekonać, ale skoro Justin Hawthorne znalazł w sobie siłę, by powiedzieć prawdę, z pewnością jej ojciec też mógł to zrobić. – Tato, czego naprawdę chce Kościół czterech bóstw?

Teraz Maurice uniósł głowę.

– Już ci mówiłem. Chcemy odsunąć Hawthorne'ów od władzy.

Ona jednak wiedziała, że chodzi o coś więcej.

Widziała Bestię w skórze Violet. Strach w oczach Nory. I czuła, że skoro prosili ją o zdobycie zaufania Violet, nie wyjaśniając jednocześnie, do czego jej potrzebują, muszą coś ukrywać.

Miała już dość usprawiedliwiania ojca.

– Może próbujesz mnie chronić – kontynuowała – ale jestem twoją córką. Poradzę sobie z tym, uwierz.

– Niby z czym? – Maurice Carlisle zmarszczył czoło w wyrazie fałszywej troski. – Co, ręka znów boli? Naprawdę nie musisz tak dramatyzować. Jeśli jest bardzo źle, pojedziemy do szpitala.

Ręka. To był cios poniżej pasa, obliczony na zmuszenie jej do milczenia. Na to, by poczuła się mała.

– Rozpoznaję, kiedy kłamiesz, tato – odparła cicho. – Tylko dlaczego to robisz?

Twarz Maurice'a stężała.

– Harper – powiedział i wstał. W jego głosie pobrzmiwała nutka popłochu. – Proszę, nie naciskaj na mnie w tej sprawie.

– Zabrałeś mnie na spotkanie. – Nie ustępowała. – Podstępem skłoniłeś do wyciągnięcia Violet z domu w równonoc...

– Obiecuję ci – powiedział nerwowo – że jeśli będziesz siedzieć cicho i wykonywać polecenia, nic ci się nie stanie.

Wtedy do niej dotarło, że ją wykorzystują.

Dokładnie tak, jak według niej Hawthorne'owie chcieli wykorzystać Violet.

Po wszystkim, co ją spotkało, wciąż się nie nauczyła, że nie może nikomu ufać.

– Tylko to cię obchodzi? – zapytała. – Wykonywanie poleceń? Bezpieczeństwo? Naprawdę myślisz, że będę w nieskończoność robić, co mi każesz, i o nic nie pytać?

Spojrzał jej w oczy.

– Do tej pory nie miałaś z tym problemu. Słyszałaś tylko to, co chciałaś słyszeć. Nie kłamię w sprawie Hawthorne’ów. Pomyśl o tym, jak traktuje cię Augusta. Jak traktuje każdego, kto nie ma mocy.

– Ale ty ją masz, tato!

– Zbyt słabą – odparł z goryczą, rozkładając ręce i obejmując gestem warsztat. – Nasza rodzina jest słaba, Harper. I choćbym się dwoił i troił, ci stróże nigdy nie dorównają golemom mojej matki. – Jego oczy płonęły taką gorączką, że Harper poczuła ucisk w żołądku. – Uwięzienie Bestii było potwornym błędem, który skazał kolejne pokolenia na niezgodę i chaos. Czas, żebym naprawił ten błąd.

Od tego miejsca każdy wpis kończył się tym samym zdaniem. Ilekroć Violet je czytała, przechodził ją dreszcz.

20 listopada 1985 r.

Pierwsze spotkanie poszło świetnie. Początkowo niektórzy byli sceptyczni, ale kiedy przedstawiłem nasz plan, dali się przekonać. Wszyscy poprzysięgli dyskrecję. Jeśli złamię przysięgę, osobiście zadbam o wymierzenie im kary.

Ojciec jest zadowolony, że w lesie panuje spokój. Chciałbym móc mu powiedzieć, że ja to załatwiłem, żeby Bestia mogła nabrać sił, ale na razie nie mogę.

Do równonocy wiosennej zostały tylko cztery miesiące. Mamy wiele do zrobienia, ale wiem, że cel jest tego wart. Mam pełne zaufanie do potęgi naszego Kościoła.

Gałęziom i kamieniom, sztyletom i kościom za grzech zapłacić przyjdzie.

– Tato – zapytała Harper, powoli cedząc słowa – co to znaczy, że zamierzasz „naprawić ten błąd”?

Maurice się zawahał.

– Przywódca nie pozwala nam tego mówić.

Zrozumiała, że jeśli ma uzyskać jakąś szczerą odpowiedź, musi się uciec do kłamstwa. Sięgnęła więc po zasoby furii, która zawsze bulgotała jej pod skórą.

– Przyjąłeś mnie, bo jestem wojowniczką – powiedziała. – Chcę walczyć za Kościół. Prawdziwy Kościół. Ale nie mogę, jeśli mi nie mówisz, co naprawdę robimy.

Być może zabrzmiało to nieco zbyt patetycznie, ale najwyraźniej zadziało. Strach w oczach ojca ustąpił miejsca triumfalnej ekscytacji.

– Jesteś pewna? – zapytał cicho, ujmując jej dłoń w obie swoje. – Bo jeśli ci to powiem, nie będzie odwrotu. Nasza misja jest zbyt ważna.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę. Pomyślała o Justinie opiekującym się jej rodzeństwem. O przerażonej Norze w lesie. O utraconych wspomnieniach Violet. O Darii Saunders.

– Rozumiem – powiedziała. – Opowiedz mi o misji Kościoła.

Mdłe światło wydobyło z cienia uśmiech ojca.

– W gruncie rzeczy to dziecinnie proste. Założyciele uwięzili Bestię, bo pożądali jej mocy. Więc my musimy ją uwolnić.

Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała się przed żywiołową reakcją.

Bestia wciąż zabijała. Założyciele ją uwięzili, bo była niebezpieczna, i zapłacili za to życiem. Każdy znał tę historię. Jeśli jej ojciec, założyciel, upierał się, że poświęcenie przodków było błędem, popełniał przerażające świętokradztwo.

– Uwolnić Bestię – mruknęła. – Rozumiem. A jak konkretnie chcecie to zrobić?

Nie kłamała już tak dobrze jak przedtem. Głos jej zadrżał i ojciec nabrał podejrzeń. Mocniej ścisnął jej dłoń, po raz pierwszy budząc w swojej córce autentyczny strach.

Po raz pierwszy zobaczyła w nim nie ojca, lecz przeciwnika. Przeciwnika, który miał obie ręce i ważył niemal osiemdziesiąt funtów więcej.

I był tak fanatycznym wyznawcą Kościoła czterech bóstw, że nie zawahał się przed wysłaniem Nory nocą do lasu.

Nie miała pojęcia, do czego jest zdolny. Wcale go nie знаła.

– Harper – zapytał z nutą czegoś upiornego w głosie – czy ty wątpisz w naszą misję?

Pokręciła głową.

– Nie, po prostu... po prostu próbuję zrozumieć...

– Gdybyś naprawdę wierzyła, że założyciele postąpili źle – mówił powoli – rozumiałabyś.

– Oczywiście rozumiem! – poprawiła się szybko. – Tylko to wszystko jest dla mnie taką nowością. Próbuję to sobie ułożyć w głowie. Ty na pewno też miałeś jakieś pytania, prawda?

– Oczywiście – rzekł Maurice. – Chętnie odpowiem na twoje.

Zaschło jej w gardle. Musiała przekonać ojca, że to, co robi, nie prowadzi do niczego dobrego.

– Co będziesz z tego miał, tato? – zapytała. – Co masz nadzieję osiągnąć z chwilą uwolnienia Bestii?

Oczy zaszklily mu się lekko.

– Przekazała naszemu przywódcy, że nas wynagrodzi – wyszeptał. – Mocą, prawdziwą mocą, o jakiej założyciele nawet nie marzyli. Nie pragniesz jej, Harper?

Ulżyło jej. Podejrzenia ojca osłabły.

Odtąd wszystko mogło pójść jak po maśle... a raczej mogłoby, gdyby w tej właśnie chwili zza drzwi warsztatu nie dobiegł głośny, zagniewany głos Isaaca Sullivana.

– Gdzie ty znowu się szlajasz bez mnie? Nie wiesz, że to niebez... – Gwałtownie ściszył głos, lecz było za późno.

– Nie przyszłaś tu po to, by poprzysiąc wierność sprawie – wycedził z furią w oczach Maurice Carlisle, zaciskając palce na dłoni Harper tak, że sprawiał jej ból. – Zdradziłaś nas.

Wciąż trzymał ją jedną ręką. Druga gdzieś powędrowała. Nim Harper ujrzała znajomy błysk stali, zrozumiała, po co sięga ojciec.

– Tato – jęknęła z trwogą, usiłując wyrwać rękę – co ty wyprawiasz?

– Zbyt wiele ci powiedziałem – syknął. Dyszał lekko, a dłoń mu drżała. Mimo to skierował w jej stronę błyszczące złowrogo ostrze sztyletu. – Hawthorne’owie nie mogą wiedzieć. Nie teraz, gdy zwycięstwo jest o krok.

Przerażająca była ta zmiana w jego zachowaniu, jakby wstąpiła w niego jakaś obca siła. Nie przypominało to jednak sytuacji z Violet, którą zawładnęła Bestia.

Harper wciąż rozpoznawała postawę, język ciała, sposób poruszania się Maurice’a.

To był jej ojciec. A mimo to zamierzał ją skrzywdzić, może nawet zabić.

W ostatniej chwili zdołała się wyrwać. Instynktownie doskoczyła do ściany, chwyciła jeden z mieczów i obróciła się w stronę ojca.

Długość ostrza wystarczała, by powstrzymać atak, ale nie na długo.

– Harper, zastanów się, co robisz – rzekł Maurice. – To nie zabawka.

Nie wiedziała, czy jej dłoń trzęsie się bardziej ze strachu czy z gniewu. Lewe ramię przeszył ból.

– Podobnie jak twój sztylet.

To wszystko wydawało się nierzeczywiste: słabo oświetlone wnętrze warsztatu, obserwujące ich oczy stróżów, wykrzywiona karykaturalną wściekłością twarz ojca.

– Proszę – wyszeptała dziewczyna – nie zbliżaj się.

Przekrzywił głowę.

– Naprawdę mi grozisz?

I wtedy zaatakował na dobre.

Ciało Harper natychmiast przypomniało sobie lata ćwiczeń. Zanurkowała pod ręką ojca, obróciła się i celnym uderzeniem miecza wytrąciła mu z ręki sztylet, który z błyskiem stali potoczył się po ziemi.

Maurice rzucił się po niego, lecz Harper zatrzymała go precyzyjnym ruchem miecza, który oderwał z koszuli pasek materiału, odsłaniając nagą pierś. Rozedrgane ostrze zatrzymało się przy skórze.

Omali nie zraniła własnego ojca.

Z wysiłkiem zaczerpnęła tchu. Chciało jej się wymiotować.

– Co ty wyprawiasz, do diabła? – syknął Maurice, z niedowierzaniem dotykając rozdartej koszuli. – Chyba postradałaś zmysły.

– Bronię się. – Głos dziewczyny drżał, a oczy zaszyły łzami. – Ratuje przyjaciółkę. Ratuje miasto. I jeśli spróbujesz mnie skrzywdzić, przysięgam, że ponownie użyję miecza. A teraz mów, jak ten twój Kościół zamierza uwolnić Bestię.

*

Począwszy od grudnia, wpisy w pamiętniku stały się monotonne i niejasne. Brak szczegółów potwornie frustrował Violet, która mimo to czytała dalej, starając się wyłapywać wszelkie poszlaki mogące jej wyjaśnić, co konkretnie planował Stephen.

1 marca 1985 r.

Rozmawiałem dziś z Juniper. Narzekła, że się zmieniłem. Że nie jestem już taki jak dawniej. Powiedziałem, że dojrzewam. Staje się coraz silniejszy. Odpowiedziała, że to dobrze, bo potrzebujemy silnych wojowników.

Chciałbym móc sam dać Bestii to, czego potrzebuje, ale nawet nie mam kompana. To Juniper jest silna, nie ja.

Gałęziom i kamieniom, sztyletom i kościom za grzech zapłacić przyjdzie.

19 marca 1985 r.

Do naprawienia świata zostały dwa dni.

Początkowo nie chciałem tego robić, ale Bestia mi pokazała, że Juniper to właściwy wybór. Gdy połączą się w błogosławioną jedność, świat pokłoni się przed nimi.

Przygotowałem krąg z kości.

Już prawie czas.

Gałęziom i kamieniom, sztyletom i kościom za grzech zapłacić przyjdzie.

– Ciało Bestii jest uwięzione w Szarości – powiedział Maurice Carlisle, oparty plecami o ścianę warsztatu. – Ale można ją uwolnić, przenosząc jej świadomość do nowego ciała.

Harper wciąż się trzęsła. Starła się nie myśleć o tym, jak będzie wyglądało jej życie po tym wszystkim. O granicy, którą przekroczył ojciec w chwili, gdy ją zaatakował. O granicy, którą przekroczyła ona, broniąc się przed nim.

– Na przykład do Violet? – zapytała, oczyma pamięci widząc szarzące palce przyjaciółki.

Obojętnie wzruszył ramionami.

– To tylko tymczasowe wyjście. Dziewczyna nie jest dość silna, by długo wytrzymać. Istnieje idealne medium i Bestia pragnie go od wielu lat.

– Kto? – zapytała Harper.

Wyszczrzył zęby w kiepskiej podróbce uśmiechu.

– A jak myślisz? Oczywiście Juniper Saunders. Osoba, której nie można zabić.

Rzucił się na nią i kopniakiem w kolano powalił na ziemię.

*

Z boleśnie trzepoczącym sercem przewróciła ostatnią kartkę, lecz na odwrocie nie było nic.

A więc Stephen nie pozostawił więcej wpisów.

Co spotkało jej matkę podczas równonocy wiosennej? Czy to dlatego zginął? Siostra była mu do czegoś potrzebna, a czymkolwiek była owa „błogosławiona jedność” z Bestią, nie brzmiało to optymistycznie.

Sfrustrowana Violet odłożyła kartki na kolana. Na skraju jej pola widzenia zamajaczył turkus. Obróciła gwałtownie głowę. Obok niej zmaterializowała się Rosie siedząca pośrodku namalowanego białą farbą kręgu.

Tym razem Violet dostrzegła w jej ciemnych oczach pustkę.

I nagle wszystko stało się jasne.

Bestia dostała się do jej głowy, tak jak przed laty do głowy Stephena. Jak to możliwe, że do tej pory tego nie dostrzegała? Że potrzebowała tyle czasu, by zrozumieć, dlaczego ją w to wciągnięto?

Pozwoliła Bestii – i Kościołowi – na nowo rozpocząć zarzucone wcześniej dzieło.

– Nie jesteś moją siostrą – wychrypiała.

Usta nie-Rosie wykrzywił okrutny uśmiech.

– Ale dałam ci moc przywrócenia jej życia – powiedziała Bestia, wciąż posługując się głosem jej siostry. – Czy nie tego pragnęłaś?

*

Ojciec przycisnął Harper do podłogi, usiłując wyrwać jej z ręki miecz. Odcięty pukiel włosów dziewczyny poleciał w bok po deskach; chwilę później ostrze drasnęło ją w ramię, upuszczając krwi.

Maurice nie był olbrzymem, ale znacznie przewyższał ją siłą, a ponadto miał obie ręce. Wytrącił jej miecz, odkopnął go w dal i usiadł na niej okrakiem. W sękatych dłoniach ścisnął kępki wyrwanych włosów. Harper ze zgrozą wpatrywała się w jego twarz.

Z ogromnym smutkiem w oczach Maurice Carlisle zacisnął ręce na szyi swojej córki.

– Nigdy tego nie chciałem. – Wbił palce w jej gardło. – Wierz mi, Harper, gdyby istniała inna możliwość... ale Bestia żąda od nas przede wszystkim dyskrecji, nie bacząc na to, co musimy dla niej poświęcić.

Wcisnęła paznokcie w jego rękę, ale nic to nie dało. Chciała wzywać pomocy, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Jej płuca

zdawała się wypełniać ciemna, błotnista woda, a ciało było zimne i bezwładne, jak gdyby spadało w głąb jeziora. Utkwiła mętniejący wzrok w zawieszonych na suficie stróżach.

Nagle drzwi warsztatu z hukiem uderzyły o ścianę.

– Puszczaj ją! – rozległ się głos Justina. Ktoś oderwał rękę ojca od jej szyi. Rozkaszła się, spazmatycznie łapiąc powietrze.

Z jękiem przeturlała się na bok, ledwie dostrzegając przykucającą obok niewyraźną sylwetkę Justina.

– Harper. – Patrzyła na nią przerażona twarz. – Harper, wszystko OK? Błagam, powiedz, że nic ci nie jest.

Odkaszlnęła, wsparła się ręką o podłogę i usiadła, nie troszcząc się o to, że w dłoń wbijają jej się odłamki czerwonego kamienia.

– OK – wydyszała.

Byli tak blisko, że dostrzegała piegi na jego nosie i słyszała każdy rwany oddech.

Wyciągnął rękę i przesunął palcami po obolałej szyi Harper, która była zbyt oszołomiona, by go powstrzymać.

– Czy on... – Justin kilkakrotnie poruszył szczęką, jakby nie potrafił się zmusić do wypowiedzenia tych słów. – Czy on chciał cię zabić?

Wydawało się słuszne, że dotyka tej części jej ciała, która boli najbardziej.

Harper próbowała odczuwać coś, co choćby w przybliżeniu przypominało smutek, odrazę czy żal. Ale znajdowała w sobie tylko pustkę. Była wydrążona, wyprana, pusta.

– Chyba tak.

Palce miał chłodne i delikatne. Gdy spojrzała mu w oczy, cofnął dłoń.

Za jego plecami Isaac spokojnie, metodycznie przywiązywał Maurice'a Carlisle'a do stołu roboczego.

– Proszę się nie szamotać – mówił. – Wie pan, co potrafię. Jeśli będzie pan coś kombinował, obaj tego pożałujemy.

– Nie poszedłeś do Bretta i Nory – stwierdziła Harper. – Czekales na zewnątrz. Ubezpieczałeś mnie.

Powinna być zła, że Justin nie miał zaufania do jej umiejętności. Ale jego obawy okazały się słuszne.

Nie była zła, nie była przestraszona, nie była wdzięczna. Nie było w niej nic. Nie miała nawet pewności, czy jest człowiekiem.

Wstała ze wzrokiem wbitym w mężczyzną przywiązanego do stołu.

Wciąż był to ktoś, kto ją wychował. Ale nie był jej ojcem. Już nie.

Próbował ją udusić. I prawie mu się udało.

Świadomość tego sprawiła ją w ponure otępienie.

W tym mieście nie było miejsca dla kogoś takiego jak ona: zdradzona i zdrajczyni, niczyja córka, niczyja przyjaciółka.

– Powinnaś oskarżyć go o napaść – stwierdził Isaac.

Harper wiedziała, że Isaac Sullivan jej nie lubi. Nawet teraz dostrzegała to w jego ruchach. Pomógł jej, ale tylko dlatego, że była w śmiertelnym niebezpieczeństwie. A przyszedł tu wyłącznie z troski o Justina.

Jego wzrok był jednak dziwnie wyrozumiały.

Rozpoznaje ból ten, kto sam go zaznał.

Miał rację: to, co zrobił jej ojciec, było napaścią. Ale w Czterech Ścieżkach obowiązywało tylko jedno prawdziwe prawo: założyciele sami rozwiązywali swoje problemy, a wszyscy inni udawali, że nie widzą zła czynionego w imię opieki nad miastem.

Sprawiedliwość nie nastanie, jeśli Harper sama jej nie wymierzy.

– Mam to gdzieś – wydyszała. – Chcę poznać plany Kościoła.

– Jesteś pewna? – Justin z jeszcze większą troską w oczach ujął ją za rękę i pomógł wstać.

Zmusiła obolałe gardło do przełknięcia śliny, by następne słowo rozbrzmiało wyraźnie.

– Całkowicie.

Nazywała się Harper Carlisle. Poradziła sobie z utratą ręki, dobrego imienia i przyjaciół, a teraz z faktem, że własny ojciec próbował ją zabić. Przez całe życie uciszała tę ciemną rzecz, która leżała zwinięta w kłębek w jej piersi; tłumiała falującą pod skórą furie.

Dlaczego tak bardzo starała się ignorować samą siebie?

Dlaczego przed laty uznała, że gniewanie się, gdy ktoś cię rani, jest czymś złym?

– Opowiadaj, co planujecie – zażądała, wbijając wzrok w ojca, który siedział wstrząśnięty, wyraźnie nie pojmując, jakim cudem troje nastolatków pokonało go i przywiązało do stołu. – Po co wam Juniper. Po co Bestii Violet.

– Potrzebujemy jej, by wskrzesić naszego przywódcę – wyrecytował monotonnym, mechanicznym głosem.

– Waszego przywódcę? – zapytała. – Czyli kogo?

– Stephen Saunders – odparł Maurice Carlisle.

*

Stała przed nią nie-Rosie: matowooka, posępna, martwa. Zawsze martwa. Choć Violet wiedziała, że siostra nie jest rzeczywista, na jej widok zawsze myślała o tym, o ile łatwiej radziła sobie z problemami rodzinnymi, gdy miała ją obok. Były jak dwuosobowa rodzina: cokolwiek się działo, zawsze trzymały się razem.

Tylko Rosie zrozumiałaby jej spór z matką. A teraz ten twór, który nią nie był, w okrutny sposób przypominał jej, że nigdy nie odzyska siostry, i szydził z faktu, że akceptuje tę karykaturalną wersję, bo nie potrafi się pogodzić z odejściem Rosie.

– Nie mogę ciebie... jej... wskrzesić – wysyczała, przyciskając pamiętnik do piersi. – I nie chcę. Skoro zagładasz mi do głowy, wiesz, że nigdy bym się na to nie zgodziła.

– Niewdzięcznica. – W spokojny, wysoki głos nie-Rosie wdarła się nuta frustracji. – Przyjechałaś do tego miasta z otwartym umysłem, pełna nieograniczonego potencjału, a ja wyrzeźbiłem z ciebie coś wyjątkowego. – Nagle zaczęła mówić w rodzaju męskim.

– Wykorzystałeś mnie. – Violet rzuciła się w kierunku widma, lecz ono jedynie zachichotało i pojawiło się po jej drugiej stronie.

– Pozwoliłaś się wykorzystać – powiedziało. – Sama wpakowałaś się w pułapkę. Ja tylko pokazywałem ci to, co chciałaś widzieć.

Pomyślała o wszystkich chwilach, w których pragnęła odzyskać Rosie. O tym, jak tęskniła za jej towarzystwem i jak radosna, niemal odurzona się czuła, gdy Rosie rzeczywiście pojawiła się przed nią. Nie przyszło jej do głowy, że ktoś celowo pogłębia jej słabość.

Sama wpakowała się w ręce Bestii, a teraz całe miasto będzie musiało ponieść karę.

Za jej plecami Orfeusz syknął na istotę, która przyoblekła się w ciało siostry i mówiła jej głosem.

Nie-Rosie przewróciła matowymi oczami.

– Nie jęcz – powiedziała do kota. – Gdyby nie ja, w ogóle byś nie istniał. Wiedziałaś, że moc nie działa odpowiednio, jeśli się nie ma kompana? – zwróciła się do Violet. – Popełniłem ten błąd ze Stephenem.

Żółć wezbrała w gardle dziewczyny na myśl o tym, jak podstępnie podsunięto jej Orfeusza.

Bestia go zabiła, by Violet mogła używać swoich mocy. By rosła w siłę.

– Spierdalaj z mojej głowy – powiedziała.

Musiał istnieć sposób, by to wszystko naprawić. By podjąć walkę.

Nie-Rosie przechyliła głowę.

– Za późno.

Orfeusz syknął. Violet spojrzała w dół. Jej dłoń przekroczyła granicę białego kręgu.

Ostatnią rzeczą, jaką ujrzała, nim spadła w ciemność, były ciemne, matowe oczy Rosie.



Rozdział 20

Budziła się powoli. Mętne myśli dryfowały bez celu jak liść na powierzchni stawu.

Głowa bolała, jakby ktoś przepołowił jej czaszkę. Spróbowała nią poruszyć, ale to tylko wzmagало ból. Ręce miała związane na plecach opartych o jakąś chropawą powierzchnię, a siedziała na miękkiej, gliniastej ziemi. Otworzyła oczy i zamrugła, usiłując dociec, gdzie się znajduje.

Przyjechała do lasu, żeby odnaleźć Norę.

Nie. Siedziała w domu z May i odzyskiwała wspomnienia.

Też nie. Była na strychu i czytała pamiętnik Stephena.

Wciąż czegoś brakowało, bo nie miała pojęcia, skąd się tu wzięła. Nie wiedziała dokładnie, co to za miejsce, ale było duszne i przytłaczająco ciemne.

Z dreszczem uświadomiła sobie, dlaczego wszystko wydaje się takie jednorodne i pachnie pleśnią oraz niemytym ciałem. Miała na głowie worek!

Ogarnęła ją trwoga – ale przynajmniej była to jej trwoga. Ta ohydna istota, Bestia, wreszcie wyniosła się z jej głowy, choć nie wiadomo, na jak długo.

Violet wzdrygnęła się na myśl o tym, do czego mógłby ją zmusić ten potwór. Do czego już ją zmusił.

– Ocknęła się.

Podskoczyła nerwowo. Wokół niej rozbrzmiał chór głosów.

– Zdjąć jej kaptur?

– Dopiero po rozpoczęciu ceremonii.

– A jeśli nie może oddychać?

– To nie będzie mogła nas denerwować.

– Chyba ma dość rozumu, by milczeć?

– Gadała z Hawthorne'ami. I tak już powiedziała za dużo.

Na pewno znajdzie jakieś wyjście. Po prostu musiała się skupić. Tyle że głowa jej pękała, ręce bolały, a serce rozsadzała panika. „Umrzesz w czepku” – przypomniała jej się przepowiednia ciotki. Czyżby chodziło o ten kaptur?

– Dość – rozbrzmiał miękki, słodki głos przywodzący na myśl uroczą babcię trzymającą w ręku szklanekę mrożonej herbaty z dodatkiem alkoholu. To pewnie mózg pękał Violet sztuczki, po trosze w wyniku działań Bestii, po trosze z braku tlenu.

Zerwano jej kaptur. Zachłysnęła się powietrzem. Przed nią stała kobieta poznana w salonie domu Saundersów – pani Moore.

– Tak lepiej, moja droga? – zapytała z radosnym uśmiechem, jakby to był piknik, a nie porwanie.

Violet rozejrzała się wokół. Znajdowała się w głębi lasu, pod płątaniną przypominających kraty konarów. Jak na ironię, nocne niebo było czyste i usiane gwiazdami.

Na drzewach nad jej głową wisiały dzwonki podobne do tych, które widziała pod okapami domów i na wieży ratusza. Ale kręcące się wokół postacie w pelerynach odwiązywały je i zdejmowały.

– Jesteście Kościołem czterech bóstw, prawda? – szepnęła.

Pani Moore odpowiedziała uśmiechem.

– W rzeczy samej.

Violet wrzasnęła.

Twarz pani Moore wykrzywiła się w wyrazie rozczarowania.

– Ależ kochanie! Teraz będziemy musieli cię zakneblować!

W jej wypielęgnowanej dłoni zaślśniła szpulka szerokiej taśmy klejącej. Pani Moore oderwała kawałek i zakleiła nim usta dziewczyny.

Skoro odebrano jej głos, mogła już tylko rozglądać się po twarzach członków Kościoła, starając się jak najwięcej z nich zapamiętać. Byli to głównie dorośli, ale kilka osób rozpoznawała ze szkoły. Najwyraźniej Kościół czterech bóstw rekrutował świeżą krew.

– Nadchodzi! – zawołał głęboki męski głos.

Postacie w pelerynach ustawiały się pośpiesznie. Po chwili spomiędzy drzew wyłoniła się ta sama postać, którą Violet poprzednio widziała stojącą u stóp schodów nad ciałem Darii.

Peleryna z kapturem i rękawiczki zakrywały większość ciała, ale nic nie było w stanie ukryć słodkiego, mdlącego zapachu zgnilizny.

Członkowie Kościoła rozstąpili się przed nadchodzącym – może z szacunku, a może ze strachu. Cuchnąca istota szła w stronę Violet, która mogła jedynie przywrzeć plecami do pnia i próbować się nie udusić.

– Pozyskaliśmy dziewczynę – powiedziała druga postać, idąca koło pierwszej niczym sługa.

Tajemniczy przybysz zatrzymał się przed dziewczyną, po czym powoli, jakby rozkoszował się tym gestem, unióśł ręce do kaptura i zdjął go.

Patrzyły na nią puste oczodoły, nad którymi wznosiło się na wpół przegniłe czoło i czaszka z rozmieszczonymi tu i ówdzie kępami kręconych czarnych włosów.

Mimo to Violet natychmiast rozpoznała tę twarz.

Wyglądał jak odbicie w krzywym zwierciadle chłopaka ze zdjęcia. Chłopaka, który pisał pamiętnik i umarł, opętany przez Bestię.

Stephena Saundersa.

Trup był niepokojąco młody, szczupłej budowy, z na wpół przegniłą twarzą chłopca, który na zawsze miał pozostać szesnastolatkiem.

Gdy pochylił się ku niej i zdjął rękawiczkę, z jego dłoni odpadły płatki skóry.

Stęknęła pod taśmą, gdy wyciągnął kościsty palec i przesunął nim po jej policzku. Nozdrza Violet zaatakował smród zgnilizny, a w gardle wezbrała żółć. Całe jej jestestwo domagało się ucieczki.

Nagle szarpnęła nią niewidzialna smycz podobna do tej, która łączyła ją z Orfeuszem. Tyle że nic między nią a jej kompanem była słaba, przyjazna, i wymagała osobistego zaangażowania... a teraz Violet czuła się, jakby siłą wydarto jej coś z piersi, pozbawiając ją tchu i mieszając w głowie.

Próbowała się opierać, zerwać smycz, ale jej obolałe ręce ogarnął paraliż. Otaczające gałęzie się zamazywały, a obraz na skraju pola widzenia ciemniał, nim Stephen wreszcie cofnął rękę, po czym wstał powoli, pozostawiając ją oszołomioną, lecz z poczuciem ulgi.

Gdy jej wzrok znów się wyostrzył, zauważyła, że zebrani sprawiają wrażenie nieco zdezorientowanych. Kilka osób szeptało coś między sobą. Wreszcie jedna z nich podeszła do pani Moore. Violet wyteńczyła słuch.

– ...spóźnia?

– Powinien już...

– ...zacząć bez...?

– Nie możemy dłużej czekać. – Wszyscy spojrzeli na panią Moore.
– Zaczynajmy.

Na drzewach nie było już ani jednego dzwonka – wszystkie leżały porzucone na skraju polany. Członkowie Kościoła utworzyli krąg przy granicy miasta. Dostrzegła na ziemi symbol założycieli ułożony z kości zbyt małych, by mogły być ludzkie, co tylko odrobinę ją pocieszyło. Wcześniej go tam nie było. Najwyraźniej zgromadzeni zbudowali go w karykaturalnym hołdzie dla koloru symbolizującego jej ród w talii omenów.

Za drzew wyłoniły się dwie zakapturzone postacie niosące bezwładne ciało Juniper. Widok całkowicie bezwolnej matki przeraził Violet znacznie bardziej niż żywy trup Stephena. Próbowała krzyczeć, lecz taśma ją zagłuszała. Żadna z zakapturzonych postaci nawet nie drgnęła.

Wciągnęły Juniper do wnętrza kręgu i ułożyły w poprzek między liniami z kości. Po chwili dołączył do niej brat. Uniósł ręce ku niebu

i kongregacja zaintonowała pieśń.

*Pewnego razu łotry małe
W leśne ostępy się wybrały...*

Okropny to był widok. Opuszczone kaptury odsłoniły pełne uwielbienia twarze. Ci ludzie przyzywali potwora – potwora, który miał zabrać jej matkę. Powietrze wokół nich skwierczało, zacierając granicę między Czterema Ścieżkami a Szarością.

Umrą obie.

Po policzkach Violet coraz obficiej płynęły łzy. Nawet nie zdążyła przeprosić matki.

Szarość wdzierała się do świata. Granitowe chmury przesączały się przez wąską szczelinę w nocnym niebie. Drzewa wokół stawały się ciemne i karłowate. Ich kora pulsowała w rytm pieśni.

I nagle krępujące Violet więzy rozluźniły się i zsunęły w okolice talii. Ostrożnie poruszyła palcami, zerkając w bok.

Zza najbliższego drzewa wyglądała znajoma jasnowłosa głowa. Po chwili dołączyła do niej burza czarnych loków i zmarszczone brwi.

Łzy w jej oczach były teraz łzami ulgi.

Isaac i Justin przyszli jej z odsieczą, niemal odkupując swoje kłamstwa.

– Nie ruszaj rękami – szepnął Isaac. – Udawaj, że wciąż jesteś związana.

– I nie bój się – dodał Justin. – Jesteśmy przyjaciółmi. Nie wiem, ile pamiętasz.

Nie posłuchała Isaaca. Zerwała taśmę z ust, zdzierając naskórek. Nieważne.

– Co ja mówiłem? – syknął chłopak.

– Wiem, kim jesteście. – Z poranionych warg ciekła jej krew. – Odzyskałam pamięć.

Nie zamierzała wsypywać May, ale to nie znaczyło, że ma udawać amnezję. Stawką było życie jej matki.

Twarz Isaaca rozbłysła taką radością, że Violet z trudem powstrzymała uśmiech.

Później przyjdzie czas na rozmowę o ich oszustwie. Teraz były ważniejsze sprawy.

– Tam jest moja matka. – Wskazała gestem krąg, w którym opętańcze śpiewy osiągnęły kulminację.

– Wiem – rzekł Justin. – Jesteśmy przygotowani.

– Obie wyjdziecie z tego żywe. – Isaac spojrzał jej w oczy. – Przysięgam, uratujemy ją.

Uwierzyła mu – przynajmniej jeśli sądzić po fali ciepła, która zalała jej serce.

Było ich jednak troje przeciwko kilkunastu członkom Kościoła. Nie miała pojęcia, jak mogą wygrać.

Wtedy na drugim końcu polany dostrzegła błysk stali wyłaniającej się spod płaszcza zakapturzonej postaci.

Chwilę później stojący najbliżej niej członek Kościoła zawył z bólu i zatoczył się w tył.

Kaptur postaci opadł, odsłaniając długie, poplątane ciemne włosy i twarz przepełnioną morderczą furią.

No jasne! To mogła być tylko Harper.

Violet uśmiechnęła się mimowolnie.

Co z tego, że nie cierpieli się nawzajem? Kiedy było trzeba, połączyli siły, by ją ratować.

Skoro May sprzeciwiła się matce i przywróciła jej pamięć, a Harper, Justin i Isaac zapomnieli o latach niesnasek i przyszli jej z pomocą, to znaczyło, że jest dla nich ważna. Nie była już sama.

Krąg zafalował niespokojnie, pieśń przycichła. Isaac wykorzystał to wahanie i rzucił się do przodu z rozczapierzonymi rękami, które zaczynały już emitować światło.

– Hej, frajerzy! – zawołał. – Złapcie mnie!

Violet zrzuciła liny.

– Bestia chce czegoś od mojej mamy – szepnęła do Justina.

– Wiem. – Pomógł jej wstać. Prawie nie czuła zdrętwiałych kończyn. – Chce nią zawładnąć na zawsze, by móc uciec z Szarości.

Przeraziła się.

– Tak jak władała mną?

Przytaknął.

– Więc wiesz.

– Wiem.

Za ich plecami rozległ się krzyk. Isaacowi udało się odwrócić uwagę zebranych. Po drugiej stronie polany błysnął miecz Harper i dwie kolejne postacie upadły na ziemię, rycząc z bólu.

Pieśń całkowicie umilkła, ustępując miejsca krzykom i chaosowi. Ale wokół Stephena i Juniper krąg z kości wciąż trwał nietknięty.

Nie było nic ważniejszego.

Violet dostrzegła za plecami Justina błysk stali.

– Uważaj!

Odskoczył i znalazł się twarzą w twarz z nieznanym chłopakiem trzymającym w ręku nóż.

– Justin Hawthorne – syknął z furią chłopak. – Miałem nadzieję, że się zjawisz.

– Brian Whitley – mruknął z rezygnacją Justin. – Mylisz się, sądząc, że w ten sposób się zemścisz.

Nie wiedziała, skąd się znają, ale gdy chłopak zamierzył się nożem, jej przyjaciel sprawiał wrażenie, jakby już przegrał.

– Zostaw ich! – rozległ się głos z drugiego końca polany.

Podbiegła do nich Harper. Brian umknął w gąszcz.

– Zdrajczyń! – zawołał na odchodnym.

– Zdrajczyń? – zdziwiła się Violet.

Harper wymieniła z Justinem ponure spojrzenia.

– Później ci to wyjaśnię – powiedziała cicho. – Musisz się przedostać do mamy.

Violet spojrzała w stronę kręgu. Była śmiertelnie przerażona, ale wiedziała, że nie może się poddać. Stephen klęczał nad Juniper. Czas na emocje przyjdzie później; teraz trzeba działać.

– Może nie będzie trzeba – rzekł Justin, dotykając jej ramienia.

Wskazał Isaaca biegnącego w stronę kręgu. Odetchnęła z ulgą. Gdy jednak chłopak spróbował przekroczyć granicę kości, coś błysnęło niczym fajerwerk, odrzucając go w tył.

– Nie mogę przejść! – krzyknął z rozpaczą.

Stephen sięgnął pod pelerynę i wyjął nóż wystrugany z wyblakłej kości.

Cały świat Violet zmniejszył się do rozmiarów ostrza przytkniętego do szyi jej matki.

Szarość nikogo nie przepuszczała. A to znaczyło, że nie ma sposobu na powstrzymanie Stephena.

Chyba że... chyba że twój umysł jest w pewien sposób połączony z umysłem żyjącego po drugiej stronie kręgu potwora.

Pognała tam, odpychając kogoś, kto próbował zaatakować ją nożem. Być może Justin protestował. On i Isaac. Ale nie obchodziło jej to.

Juniper była jej matką. I Violet musiała zrobić wszystko, by ją ratować.

Przeskoczyła granicę kręgu. Tak jak przypuszczała – i jak się obawiała – kości nie stawiały oporu.

*

Znalazła się w Szarości.

Wokół niej ciągnęły się garbate drzewa o pulsujących popielatych pniach. Nad głową miała nieruchome niebo. W piersi buzował prąd. Brakowało tchu. Wyznawcy Bestii i przyjaciele zniknęli.

Juniper leżała na ziemi, wciąż otoczona kośćmi. Stephen Saunders klęczał nad nią z kościstym nożem, równie bezbarwnym i przerażającym jak otaczająca ich sceneria.

Violet rzuciła się na nóż i bez trudu wyrwała go wujowi. Dotyk trupich dłoni przyprowadził ją o dreszcz. Przyklękła przy Juniper i gorączkowo szukała pulsu na jej szyi. Słabe, nierówne bicie było dla niej jak najpiękniejsza muzyka.

Podniosła wzrok na Stephena i wyciągnęła przed siebie nóż, który jeszcze przed chwilą był w jego rękach.

– Zostaw nas. – Wzdrygnęła się na dźwięk własnych słów rozbrzmiewających wśród ponurego krajobrazu z sekundowym opóźnieniem. Łącząca ich niewidzialna smycz znów zaczęła ciągnąć,

ale Violet ją zignorowała, unosząc matkę w ramionach i na wpół niosąc, na wpół wlokąc ku granicy kręgu.

Stephen zamarł w bezruchu. Nawet nie próbował atakować.

– To ci się nie uda – rozległ się nagle głos Rosie.

Bestia uczepiła się skraju jej umysłu, oblepiając czaszkę niczym druga skóra.

Violet zatrzymała się, miażdżąc butami kości.

Dokąd miałyby uciec? Była w więzieniu Bestii, zdana na jej łaskę.

– Nie wyciągniesz jej stąd tak łatwo – oznajmiła zblazowanym głosem nie-Rosie, materializując się. Jej ciało nie było już przezroczyste, a cień przepływał przez granicę kręgu, wyginając się i wijąc niczym gałęzie za plecami widma.

Jeśli nie liczyć niehumanoidalnej obojętności na twarzy, była prawie idealną kopią jej siostry.

Violet trzymała się Juniper jak koła ratunkowego. Całe szczęście, że matka była nieprzytomna.

– Nie ma mowy, żebyście mi ją odebrali.

Zdecydowanie wolała mieć nieidealną matkę niż pozostać bez żadnej rodziny.

Nie chciała, żeby ostatnim wspomnieniem Juniper, jakie zachowa, było wspomnienie kłótni z nią.

– Nie odbierzemy – odparła beznamiętnie Bestia. – Ona po prostu będzie martwa, a ja... – Nie-Rosie wygięła usta w szerokim, obłąkańczym uśmiechu, zupełnie niepasującym do osoby, w którą się wcieliła. – Ja odzyskam wolność. A twoi chciwi przodkowie sami będą sobie winni.

– Chciwi? – wyrwało się Violet.

– Dzieciaku! – mruknęła protekcjonalnie Bestia. – Chyba nie myślisz, że zamknęli mnie tu z powodu altruizmu? Chcieli ukraść moją moc. I ukradli. Dopóki jestem uwięziony w tym wstrętnym miejscu, nie mogę temu zaradzić. Powinnaś się cieszyć, że masz okazję mnie uwolnić. Założyciele nigdy mnie nie rozumieli, ale odkąd Stephen wpuścił mnie do swojej głowy, wiedziałem, że jest inny.

Nagle zrozumiała. Myśl, która zaczęła się formować w jej umyśle jeszcze przed równonocą, nabrała kształtów.

Zrozumiała, dlaczego urywał jej się film. Po co Bestia grzebała jej w głowie i dlaczego Stephen był dla niej tak łatwym celem. Każdy członek rodu Saundersów musiał udowodnić, że potrafi panować nad swoją mocą. A jakiż sposób może być na to lepszy niż wpuszczenie Bestii do swojej głowy, by potem ją wyrzucić?

To cementowało łączącą ich więź.

I pokazywało, że są silniejsi niż potwór, z którym się połączyli.

Na tym musiała polegać ich Próba. A to znaczyło, że Violet wciąż może uratować sytuację.

Położyła matkę na ziemi i stanęła na drżących nogach.

– A może... – zaczęła. Bestia w przebraniu Rosie przechyliła na bok głowę. – ...może zamiast niej, weźmiesz mnie? Wiem, że uwielbiasz mi włączyć do głowy.

– Nie jesteś nawet w przybliżeniu równie silna – prychnęła Bestia.

– Ale jestem chętna – zauważyła Violet. – Czy Stephen był chętny? Bo moim zdaniem po prostu wyprałeś mu mózg. Nie sądzę, żeby w ogóle życzył sobie twojej obecności w głowie.

– Stephen był słaby. – Ostatnie słowo zawisło w powietrzu między nimi i zawibrowało wśród drzew. – Tak jak ty. Wzywałeś mnie, odkąd zjawiał się w tym mieście. Odkąd zasiadłaś do fortepianu. Osłabiona żalobą, miłością i smutkiem. Jedynie moc twojej matki jest dość silna, by mnie utrzymać.

– Przypuszczałam, że to powiesz. – Violet przygotowała się na realizację swego planu. Wiedziała, że jest kiepski, ale innego nie miała. – Jak mogłam oczekiwać, że się zgodzisz?

Rzuciła się na nie-Rosie i zacisnęła palce na jej nadgarstkach. Sprawiały wrażenie materialnych. Gdy spojrzała nie-siostrze w twarz, w czarnych oczach zamajaczył głód.

– Przesstań! – syknęła Bestia.

Kształt Rosie zamigotał.

– Przestań! – jęknęła Bestia. – Przestań, a pozwolę ci ją wskrzesić. Naprawdę. Tego przecież chcesz, prawda?

I nagle Rosie stała się jeszcze bardziej realistyczna niż dotąd. Jej skóra była żywa i promieniała zdrowiem, a turkusowe włosy lśniły w szarej imitacji światła słonecznego.

– Wiesz, że potrafisz tego dokonać – powiedziała i uśmiechnęła się szeroko. – Z Orfeuszem ci się udało.

Wtedy Violet zobaczyła ją w swojej głowie.

Zobaczyła siebie ustępującą, oddającą Bestii Juniper w zamian za możliwość wyjazdu z miasta i moc pozwalającą nie tylko na ożywienie, lecz także uleczenie Rosie.

Siostra za matkę. Życie za życie.

– Jestem dla ciebie wszystkim – szepnęło widmo siostry. – Nikt oprócz mnie nigdy cię nie kochał. Naprawdę jesteś gotowa się mnie pozbyć?

Odwrócenie się od Rosie było najtrudniejszą rzeczą w dotychczasowym życiu Violet. A jednak to zrobiła.

Przeniosła wzrok na leżącą na ziemi Juniper, która wydawała się jednocześnie starsza i młodsza niż do tej pory.

– Naprawdę myślisz – znów spojrzała na istotę, która była Bestią niezależnie od tego, w czyją przyoblekła się postać – że zgodzę się na zamordowanie matki? To ty tu jesteś potworem, nie ja.

Nie-Rosie syknęła z niezadowoleniem.

– Zobacz, co mi zrobiłaś – rzuciła.

I nagle jej skóra zaczęła się marszczyć, oczy czernieć i gnić, ręce usychać. Po chwili Violet trzymała w palcach już tylko płatki złuszczonej skóry, spod których wystawały żółte kości.

Za pustymi oczodołami siostry wiły się robaki, a jej usta rozszerzyły się w uśmiechu – czy może w milczącym krzyku?

– Nie jesteś prawdziwa – jęknęła Violet i zamknęła oczy, ale wciąż trzymała w dłoniach martwe ręce Rosie.

I czuła słodki, piżmowy zapach zgnilizny.

Zakrztusiła się, ale ścisnęła jeszcze mocniej. Wtedy, niczym noże wbijane w czaszkę, rozbrzmiał w niej głos Bestii – tym razem prawdziwy, syczący coś w niezrozumiałym języku.

Choć instynkt nakazywał jej się bronić, Violet postąpiła wbrew niemu, z wielkim wysiłkiem pokonując strach. Zamiast wypychać,

wciągnęła Bestię głębiej. Lodowate ręce wpiły się w jej mózg. Zadrżała mimowolnie, tracąc czucie w palcach nóg, stopach, kostkach.

Do otwarcia oczu zmusiły ją łzy. Kleiste i gęste, w niczym niepodobne do wody. Szarość pochłonęła jej dłonie i pełzła coraz wyżej, do ramion, klatki piersiowej, serca. Dziewczyna czuła się, jakby tonęła w gęstym czarnym jeziorze. Wstrzymała dech, wiedząc, że w końcu będzie musiała otworzyć usta i wciągnąć w płuca haust melasy.

Bestia była już w niej – i podobnie jak podczas równonocy, odbierała jej władzę nad ciałem.

Violet nie pamiętała, dlaczego sądziła, że zdoła ją pokonać. Dlaczego wpuściła ją w siebie. Ale to już nie miało znaczenia.

Nie pozostało jej nic innego, jak tylko się poddać. To byłoby takie proste.

I gdy tak patrzyła w posepny, bezbarwny świat Szarości, stopniowo tracąc świadomość, zobaczyła Rosie.

W pierwszej chwili sądziła, że to kolejna podła sztuczka Bestii. Ta Rosie miała jednak błyszczące brązowe oczy z domalowaną w kącikach złotą kreską. I nie była ubrana w ten sam strój co w dniu śmierci, tylko w powłóczytą czarną suknię kupioną na bal absolwentów, odważną i elegancką w idealnych proporcjach, a na jej szyi lśnił masywny złoty naszyjnik.

Nigdzie z wyjątkiem przebieralni nie miała okazji zaprezentować się w tym stroju.

– Chyba żartujesz, że spędzę wieczność w takim miejscu. – Zmarszczyła brwi. – Co, suknia się nie podoba? Jasne. Prędzej ci język kołkiem stanie, niż przestaniesz się mnie czepiać.

– Rosie? – Violet nie była pewna, czy wypowiada imię siostry na głos, czy w myślach. Wiedziała tylko, że tym razem nie ma do czynienia z podsuniętym przez Bestię widmem. Ta Rosie była równie autentyczna jak jej obrazy. – Jesteś prawdziwa?

Bestia wryła się w jej umysł tak głęboko, że nawet Szarość poczęła migotać, a skraj pola widzenia zmienił się w czarną plamę.

– Prawdziwa, sprawdzona – burknęła Rosie. – Kocham cię, ale nie życzę sobie towarzystwa. Jeszcze przez długi czas.

– Ja też cię kocham – szepnęła Violet.

Rosie rzuciła jej smutnawy uśmiech.

– Przepraszam, że cię opuściłam.

I zniknęła, pozostawiając po sobie tylko ciemność.

W dniu śmierci siostry coś w Violet pękło. W jej sercu powstał wrzód, a w czaszce wielka czarna dziura.

Idealne miejsce dla zalęgania się złych myśli.

To rozpacz Violet pozwoliła potworowi wnikać w jej umysł. Ale ta sama rozpacz pozwalała jej pozostać sobą.

I była narzędziem do pokonania Bestii.

Otworzyła się na ból i smutek ostatnich miesięcy, pozwoliła im płynąć rwącym nurtem. Ból wynikał z miłości – to było coś, czego potwór nie mógł zrozumieć. Violet odzyskiwała swój umysł, nurzała się w rozpacz, obejmowała ją. To, co w niej zagubione i złamane, dotychczasowy wróg, teraz stało się jej zbawcą.

– Nie wrócisz – powiedziała do Rosie i do siebie. Do dziewczyny, którą była przedtem. Bo teraz była już inna, złamana i złożona na nowo.

Już zawsze miała nosić w sobie ten smutek. Ale to nic – on po prostu był jej częścią. Gdy wyzwalała się spod władzy potwora z trzaskiem przywodzącym na myśl przełamywaną na pół kość, wiedziała, że i on w jakimś stopniu pozostanie w niej na zawsze.

To była cena, jaką Saundersowie musieli płacić za swą moc.

Otworzyła oczy.

Szarość zniknęła. Violet stała znów na polanie, otoczona lasem. Zza kręgu kości dobiegał gwar.

Jej skóra z powrotem nabierała koloru. Szarość spływała z rąk, nadgarstków, zaciśniętych na srebrnej bransoletce palców.

Stephen Saunders wciąż stał na skraju kręgu. Może to było złudzenie, ale w jego pustych oczodołach widziała strach.

Wzięła głęboki oddech. Chłodne nocne powietrze wypełniło jej płuca zapachem ziemi i lasu.

Przeszła przez krąg, miażdżąc zwierzęce kości, i zatrzymała się przed Stephenem.

Znów szarpnęła nią ta straszna, obrzydliwa smycz, która wcześniej pętała jej umysł.

Violet pomyślała o chłopcu z pamiętnika. Nie zasługiwał na taki los – na los gnijącej kupy kości w łachmanach, utrzymywanej w całości przez groteskową magię.

Zasługiwał na odpoczynek.

Wyciągnęła rękę i powtarzając jego wcześniejszy ruch, dotknęła zakrwawionym palcem jego policzka.

– Oboje wiemy, że nie powinno cię tu być – szepnęła. – Mam nadzieję, że tam, dokąd pójdziesz, nie jest tak źle. Może kiedyś się spotkamy.

Sięgnęła po tę samą część siebie, która pozwoliła jej uwolnić umysł z uścisku Bestii. Zalała ją fala mocy – dzikiej, cudownej i nareszcie całkowicie własnej.

Na przegniłej twarzy zamigotało coś, co mogło być ulgą. Smycz pękła i Stephen Saunders osunął się na ziemię.

Violet wytarła dłonie o dzinsy.

Ku jej zdumieniu z Kościołem walczyło teraz znacznie więcej osób. Większość z nich wyglądała na starszych i lepiej wyćwiczonych od jej rówieśników, co mogło oznaczać tylko jedno: pani szeryf przybyła z odsieczą.

Violet przeciągnęła Juniper przez barierę kręgu, z każdym krokiem słysząc chrzęst kości pod butami. Potem uklękła przy matce i odgarnęła kosmyk włosów z jej bezwładnej twarzy.

– Obudź się, mamó – powiedziała cicho. – Już po wszystkim.

Obok niej klękła jasnowłosa, kanciasta, jakby wycięta z marmuru postać.

– Nic jej nie jest? – zapytała ze strachem.

Violet odskoczyła.

– Tylko bez sztuczek!

Augusta uniosła dłonie w rękawiczkach.

– Spokojnie.

Ku zaskoczeniu dziewczyny wpatrywała się w nieruchome ciało Juniper z taką samą trwogą, jaka przepełniała jej własne serce.

W tle prowadzono już do radiowozów zakute w kajdanki postacie w brązowych pelerynach. Kilku policjantów przykucnęło obok kościanego kręgu, zabierając odłamki do plastikowych woreczków.

– Violet?

Obróciła się gwałtownie. W jej stronę biegli Justin i Isaac, a w ślad za nimi Harper. Możliwe, że na dźwięk znajomego głosu Justina łyżypiekły ją w oczach, ale to nieważne, skoro w ciemnościach nikt nie mógł tego zauważyć.

– Masz krew na twarzy – zaniepokoił się Isaac.

– Mnie nic nie jest. To mama potrzebuje pomocy.

– Trzeba ją zawieźć do lekarza – powiedziała Augusta. – Może mieć wstrząs mózgu. Albo być odurzona. Na posterunku jest ambulatorium.

– Tylko jeśli cały czas będę przy niej. – Violet postawiła sprawę jasno. – I jeśli pani nie zdejmie rękawiczek.

Zatroskana wciąż twarz Augusty pokryła się zmarszczkami.

– Pamiętasz.

Violet odpowiedziała uśmiechem.

– Owszem, pamiętam. I naślę na panią armię trupów, jeśli jeszcze raz tknie pani którąś z nas.

Augusta uniosła brwi, ale groźba chyba podziałała.

Juniper ułożono na noszach, a przyjaciele otoczyli Violet.

– Nie musieliście tego robić – mruknęła, wodząc spojrzeniem między powalonymi ziemią włosami Justina, zakrwawioną książką wystającą z kieszeni Isaaca i mieczem lśniącym w dłoni Harper.

– Czego? – zapytał Justin.

– Daj spokój. Dobrze wiesz.

– Chcę to usłyszeć.

Uniosła ręce ku niebu w geście zniecierpliwienia, podzwaniając bransoletką Rosie.

– Ratować mnie. – Słowa te przeszły jej przez gardło z wielkim trudem, bo były szczerze. – A jednak to zrobiliście. Dzięki.

Harper opuściła głowę. Isaac otarł brud z nosa, starając się ukryć drżenie ust.

– Masz u mnie trójkę z plusem – mruknął.

– Postaram się zasłużyć na więcej, kiedy znów będę uwięziona w innym wymiarze z potworem, który mną zawładnął.

Jego oczy błysnęły wesoło, a ją ogarnęła nagle jakaś słabość.

– Nic ci nie jest? – zaniepokoił się Justin.

– Chyba nie – odparła. – Odkryłam, na czym polega moja Próba.

Uśmiechnął się szeroko, błyskając białymi zębami jak latarnia morska.

Nie miała pojęcia, jakim cudem wciąż potrafił wyglądać tak radośnie, ale była mu za to wdzięczna. Była wdzięczna im wszystkim i widziała na ich twarzach, że o tym wiedzą. Cała czwórka promieniowała ulgą. Byli żywi, byli bezpieczni!

– Skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać? – zapytała, idąc przez polanę w towarzystwie Harper. Błyskające światła radiowozów barwiły drzewa na czerwono i niebiesko.

– Mój ojciec... – odparła z wahaniem Harper. – Violet... teraz, gdy odzyskałaś pamięć, muszę ci coś wyznać. – Policyjna latarka wydobyła z mroku szyję Harper, ujawniając sińce na jej gardle, podejrzenie przypominające ślady palców.

Violet z niebotycznym zdumieniem przypomniała sobie, że jej przyjaciółka pojawiła się na polanie w takiej samej pelerynie jak członkowie Kościoła.

– Co się stało?

Harper zerknęła podejrzliwie na Augustę Hawthorne.

– Pogadamy później.

Jej głos brzmiał inaczej niż przedtem. Był pewniejszy. Silniejszy.

Violet chciała zadać przyjaciółom wiele pytań, ale wszystkie one musiały poczekać. Torowała sobie drogę do radiowozu, w którym była Juniper. Zapracowała sobie na drugą szansę u matki i nie zamierzała jej zmarnować. Dojrzała do nowego rozdania.



Rozdział 21

Posterunek szeryfa w Czterech Ścieżkach był zimny i sterylny. Justin miał wrażenie, że Augusta zrobiła, co w jej mocy, by maksymalnie skontrastować swoją siedzibę z otaczającym ją bujnym dębowym lasem. Ostatnią godzinę, od momentu przywiezienia do ambulatorium Violet i jej matki, spędził na kontemplacji białych kafelków i jarzeniówek w poczekalni.

Najpierw personel medyczny uparł się przy opatrzeniu wszystkich niegroźnych obrażeń Violet. Pielęgniarka schwyciła ją mocno za ramię lateksową rękawiczką, jakby miała do czynienia z dzieckiem, które w każdej chwili może uciec.

W drzwiach Violet obróciła się i rzuciła mu porozumiewawczy uśmiech. Na jej powalanej ziemi i krwią twarzy malowało się zdziwienie, że znalazła prawdziwych przyjaciół.

Szczerze mówiąc, dla niego też było nowością, że dziewczyna, z którą nie jest spokrewniony, interesuje go jedynie w kontekście przyjaźni.

Nie miał pojęcia, jak udało jej się odzyskać wspomnienia. Po części bał się pytać, bo to oznaczało, że istnieje wyjście. Nie tylko dla niej, ale i dla Harper. Ale on nie potrafił jej go dać.

Wrócił pamięcią do nocy nad jeziorem. Do krzyków Harper na widok Augusty zbliżającej się do niej w towarzystwie mastifów.

W warsztacie pana Carlisle'a nie zdołał się powstrzymać przed jej dotknięciem. Z wielkim trudem cofnął dłoń, nim przesunął ją z szyi na policzek Harper.

Miał ochotę ją pocałować, ale wiedział, że mu nie wolno. Z mocami czy bez nich – oboje byli dziećmi założycieli.

Poza tym okłamali się nawzajem.

Ale nie byli kwita.

Wszystko, co teraz o nim myślała, wynikało z nieświadomości tego, co naprawdę jej się przydarzyło. W takiej sytuacji próba zbliżenia się do niej byłaby ze strony Justina samolubna.

Musiał albo pogodzić się z jej odejściem, albo znaleźć sposób na uświadomienie jej, co się stało tamtej nocy, kiedy straciła rękę.

Ocknął się z zadumy i zobaczył, że przed nim stoi May.

Miała na sobie białą bluzkę z falbankami związaną u szyi zgrabną kokardką i nieskazitelną plisowaną spódniczkę. On jednak dawno nauczył się rozpoznawać u siostry drobne oznaki wewnętrznego nieładu: zaczerwienione oczy, obłupany lakier na paznokciach.

Była zdenerwowana.

To dobrze.

– Mama chce z tobą rozmawiać. – Splotła palce rąk na tle wzorzystej spódnicy niczym szukające oparcia blade korzenie. – Ale mówi, że jeśli nie chcesz przychodzić, to nie musisz.

– Cóż za wspaniałomyślność!

May wbiła wzrok w porysowane linoleum.

– Przepraszam. To, co ci powiedziałam, było niepotrzebne i okrutne.

Wtedy zrozumiał, że moce siostry bynajmniej jej nie pomagały. Przeciwnie – szkodziły. Miała wszystko, czego pragnęła, więc nie znajdowała powodu do kwestionowania sposobu, w jaki Augusta rządziła Czterema Ścieżkami.

Myślał, że kiedy spotkają się ponownie, będzie na nią zły, ale czuł jedynie litość. Kiedy to on był oczkiem w głowie Augusty, zawsze wstawiał się za siostrą. Potem, gdy okazało się, że to ona ma moc,

May zniszczyła łączącą ich więź. A on po raz pierwszy w życiu nie miał ochoty naprawiać czegoś, co zostało zniszczone.

– Nie obchodziło cię, że jesteś okrutna – powiedział. – Chciałaś mnie zranić.

Jej twarz przybrała nieodgadniony wyraz.

– Nieprawda.

– Serio? – zapytał. – Violet mogła zginąć. Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa.

Odwrócił się i ruszył w kierunku gabinetu matki. Słyszał, że siostra idzie za nim. Nie odwrócił się.

Wokół biurka Augusty stłoczyło się kilku policjantów. Gdy tylko Justin stanął w drzwiach, odprawiła ich gestem.

– A więc zdecydowałaś się do mnie dołączyć – powiedziała miękko, ostrożnym głosem, jakby bardzo starannie dobierała każde słowo.

– Zdecydowałem się cię wysłuchać – poprawił i zamknął drzwi przed nosem May. Tę sprawę musiał załatwić z matką w cztery oczy. – Nie jestem taki jak ty. Nie uznaję, że ktoś jest bezużyteczny, bez dania mu szansy na przeprosiny.

Szerokie ramiona Augusty drgnęły.

– Wiem, że byłam wobec ciebie surowa. Powinnam poważnie potraktować twoje obawy o to, że miasto planuje odebrać nam władzę.

– A Violet? – zapytał. – Zamierzasz przeprosić za to, co jej zrobiłaś?

Wiedział, że nie ma sensu pytać o Harper ani o pozostałych mieszkańców miasta, których życie Augusta starannie przemodelowała.

Ale nie mógł tak po prostu wyjść.

Nigdy nie umiał rezygnować nawet z przegranych spraw. Zwłaszcza wtedy, gdy ktoś go potrzebował.

– Zrobiłam to, co w świetle dostarczonych dowodów uznałam za właściwe – odparła. – Gdybyś wcześniej opowiedział mi o swoich podejrzeniach, może byłabym bardziej wyrozumiała. Nie zaufałeś mi jednak dostatecznie, by powiedzieć prawdę.

– Winisz mnie za to?

Opuściła kąciki ust.

– Nie. Ale mam coś, co może nam pomóc odbudować relacje. To pomysł May.

Wyjęła z biurka plik kartek i podała mu.

Spojrzał. Matka wydrukowała dla niego podania do wszystkich college'ów w odległości nie więcej niż trzydziestu minut drogi od Czterech Ścieżek oraz broszurę miejscowej szkoły pomaturalnej. Przełknął ślinę.

– Chcesz, żebym został.

Spojrzała mu w oczy.

– Udowodniłeś swoją przydatność dla miasta w nieoczekiwany dla mnie sposób. Być może myliłam się, uważając, że powinienes wyjechać. Tak, chcę, żebyś został.

Niczego więcej nie pragnął.

Tyle że pozostanie w mieście na warunkach Augusty oznaczałoby zamknięcie oczu na prawdę o dziedzictwie jego rodu. Oznaczałoby, że się poddał.

Pomyślał o kartach, które rozłożyła przed nim May. Teraz miał szansę wpłynąć na losy miasta, tak jak mu przepowiedziała.

Oblana Próba postawiła go w wyjątkowej sytuacji. Nie miał mocy, ale wychowywał się wśród założycieli. Mógł być jedyną osobą, która naprawdę rozumie obie strony konfliktu w Czterech Ścieżkach. Nie taką przyszłość dla siebie planował, ale przynajmniej była to przyszłość, która pozwoli mu spędzić życie tam, gdzie pragnął je spędzić: w rodzinnym mieście.

Odłożył plik na biurko. Potem odpiął z nadgarstka medalion i zamknął go w dłoni.

– Jeśli zostanę w Czterech Ścieżkach – powiedział – nie zamierzam dalej ukrywać, kim jestem. Opowiem wszystkim prawdę o swoich mocach. A raczej o ich braku. I nie pozwolę ci jej wymazać.

Augusta zbladła jak ściana.

– Stracisz ich szacunek.

– Może. Ale przynajmniej przestanę kłamać. – Upuścił medalion na biurko. Czerwone szkło lśniło jak zachodzące słońce. – I jeszcze jedno. Musisz mi obiecać, że przestaniesz używać mocy wobec ludzi.

Prychnęła.

– Bez żartów.

Był na to przygotowany.

– W takim razie Isaac wypowie ci posłuszeństwo. Violet nigdy nie będzie ci posłuszna po tym, co jej zrobiłaś. Kto będzie chodził na patrole?

Jej nozdrza zafalowały lekko. Trafił w czuły punkt.

– Moja moc jest kluczowa dla bezpieczeństwa tego miasta – oświadczyła po chwili Augusta. – W areszcie przebywa teraz czternaścioro członków Kościoła czterech bóstw. Wolisz, żebym ich odesłała do sądu hrabstwa, gdzie czeka ich proces o próbę zabójstwa, czy żebym wymazała im pamięć i pozwoliła spokojnie żyć? Usunięcie wspomnień likwiduje zagrożenie z ich strony. Jest skuteczne i ludzkie.

Milczał. Choć trudno mu było to przyznać, matka miała rację. Musiał jednak istnieć jakiś sposób na to, by uratować członków Kościoła, nie krzywdząc osób pokroju Violet.

– Daj im wybór – rzekł w końcu. – Zapytaj, czy wolą iść do więzienia, czy stracić pamięć. I obiecaj mi, że nigdy więcej nie tkniesz dziecka założycieli.

W gabinecie zaległa cisza. Twarz Augusty znieruchomiała w zamyśleniu. Potem pani szeryf wyciągnęła odzianą w rękawiczkę dłoń.

– Wrócisz do domu? – zapytała z czymś w rodzaju szacunku.

To był sprawiedliwy układ. Ustępstwo w zamian za możliwość zmiany. Za miasto, w którym nazwisko „Hawthorne” będzie oznaczało coś więcej niż tylko strach.

Podał matce rękę.

*

Pielęgniarki ubrały Violet w jakiś obmierzły papierowy kitel i zmusiły ją do siedzenia bez ruchu, żeby mogły opatrzyć każde najdrobniejsze skaleczenie czy zadrapanie. Zdołała jedynie

zachować bransoletkę Rosie, wyszorowaną i zamkniętą w plastikowym woreczku, który teraz trzymała na kolanach, patrząc, jak personel krząta się wokół jej nieprzytomnej matki, leżącej na sąsiednim składanym łóżku.

Wyglądało na to, że członkowie Kościoła nafaszerowali Juniper narkotykiem. Oprócz tego nie odniosła żadnych obrażeń, ale Violet i tak przeżywała katusze, widząc ją w tym stanie.

Kłóciła się właśnie z szefową pielęgniarek o swój telefon, gdy do salki wparowała Augusta i kompletnie ignorując jej obecność, podbiegła do łóżka Juniper, wyrzucając po drodze serię pytań w kierunku personelu.

– Wyjdzie z tego. Trzeba poczekać, aż organizm wypłucze narkotyki. Nie, nie powinien wyrządzić trwałych szkód.

– Minęły godziny! – Augusta zmarszczyła czoło. – Powinna się już obudzić!

– Obudzi się, pani szeryf. – Pielęgniarka z wahaniem położyła jej rękę na ramieniu. – Cierpliwości.

– Co to za sztuczki? – zapytała ostro Violet. – Chce jej pani na wszelki wypadek wymazać pamięć?

Augusta spojrzała na nią i skrzyżowała ręce na piersi. Violet poczuła się w szpitalnej koszuli niezgrabna i prawie naga, ale nie odwróciła wzroku.

– Wiem o wszystkim – kontynuowała. – Kiedy mama postanowiła wyjechać z miasta, wymazała pani z jej głowy całą wiedzę o Czterech Ścieżkach. Prawdziwych Czterech Ścieżkach. I pewnie w głowie Darii też pani grzebała.

– W życiu nie tknęłam Darii – odparła cicho Augusta. – A jeśli chodzi o twoją matkę... cóż, to złożona sprawa.

Violet zacisnęła palce na brzegach łóżka.

– Wiem o Stephenie. Trzydzieści lat temu próbował zabić mamę, ale mu się nie udało. I nagle miastem zaczęła rządzić pani rodzina zamiast mojej. Co się wtedy stało? Co pani ukrywa?

Pielęgniarki w milczeniu wodziły wzrokiem od Augusty do Violet, jakby oglądały mecz tenisa.

– Proszę nas zostawić – powiedziała do nich pani szeryf. – Musimy porozmawiać na osobności.

Siostra przełożona nerwowo przełknęła ślinę.

– Powinniśmy być przy pacjentce.

– Sama pani powiedziała, że w końcu się zbudzi – fuknęła Augusta. – Nie macie tu nic ważnego do roboty. Proszę wyjść.

Pielęgniarki wysliznęły się z salki, choć Violet była niemal pewna, że będą podsłuchiwać pod drzwiami.

– Czy to znaczy, że odpowie pani na moje pytania? – Denerwowała się. Miała już kontrolę nad swoimi mocami, ale wskrzeszanie zmarłych nie obroniłoby jej przed Augustą. – Czy też zamierza pani znów odebrać mi wspomnienia?

Augusta nawet nie próbowała zdjąć rękawiczek.

– Przeszłaś Próbę. Nie stanowisz już zagrożenia dla miasta, więc nie mam powodu, żeby cię unieszkodliwić. Choć bardzo mnie ciekawi, jak odzyskałaś pamięć.

Violet starała się nie okazywać ulgi.

– Nigdy pani tego nie powiem.

– Może dobijemy targu? – zapytała lodowatym tonem Augusta. – Ja ci opowiem wszystko, czego nie wiesz o równonocy wiosennej osiemdziesiątego piątego roku, a ty mi powiesz, jak odzyskałaś pamięć.

Violet zastanawiała się przez chwilę. Jeśli kiedykolwiek miała poznać prawdę, Augusta Hawthorne była jej najlepszym źródłem. Ale o mdłości przyprawiała ją myśl o ujawnieniu kobiecie, która omal nie doprowadziła do jej śmierci, tajemnicy May.

– Bez żartów – powiedziała. – W życiu nie zdradziłaby mi pani prawdziwego powodu wymazania wspomnień mojej mamy.

Z sąsiedniego łóżka dobiegł głos – wyraźnie wymawiający każde słowo i przywodzący na myśl syk żmii szykującej się do ataku.

– Odpowiedź jest prosta. Wymazała mi pamięć, bo ją o to poprosiłam.

Augusta gwałtownie obróciła się do Juniper, a Violet zeskoczyła z łóżka i podbiegła do matki, zapominając o zażenowaniu ohydną koszulą.

Juniper wciąż leżała bez ruchu, lecz oczy miała otwarte.

– Mamo? – odezwała się dziewczyna, lecz matka patrzyła na Augustę.

Atmosfera w sali nagle zgęstniała. To spojrzenie opowiadało historię. Historię prawdy, bólu i wspólnych przeżyć.

– Augusta?

– June? – zapytała z wahaniem pani szeryf. – Czy... czy ty...?

Juniper przytaknęła, a wtedy Augusta objęła ją mocno, nie przejmując się jej szpitalną koszulą. Na tle potężnej pani szeryf matka wydawała się małeńka jak lalka.

Wspominała, że były przyjaciółkami, ale teraz Violet dostrzegła między nimi czułość, która przywodziła na myśl zupełnie inną relację.

Patrzyły na siebie w ten sam sposób co Justin i Harper.

Uświadomiła sobie, że choć sporo się dowiedziała na temat swojej matki, pozostało jeszcze między nimi mnóstwo białych plam. I pierwszy raz w życiu naprawdę miała ochotę je zapełnić.

Wiedziała, że nie będzie to łatwe. Pomyślała jednak o swoich nowych przyjaciółach, którzy ryzykowali życie, by ratować je obie, i postanowiła spróbować.

– Jakim cudem? – wyszeptała pani szeryf, gdy Juniper wreszcie wyrwała się z jej objęć i ułożyła z powrotem na poduszce w aureoli niesfornych włosów.

– To była część inicjacji Violet – wyjaśniła. – Biorąc pod uwagę, jak bardzo intelektualna jest nasza Próba, nic dziwnego, że zawiera w sobie element oczyszczenia. – Uśmiechnęła się po ludzku, szczerze, odsłaniając krzywy ząb trzonowy. – Violet, przepraszam, że musiałaś sobie z tym wszystkim radzić sama.

– Więc już wiesz? – Wzruszenie ścisnęło gardło dziewczyny. – O naszej rodzinie? O mocach?

Juniper przytaknęła.

– Wszystko wróciło.

Violet przełknęła ślinę.

– Powiesz mi, co spotkało Stephena?

Matka wyraźnie sposepniała. Nerwowym gestem uniosła rękę do włosów i próbowała je sobie zatknąć za ucho.

– Nie musisz teraz nic mówić – zapewniła ją Augusta łagodnym, wciąż drżącym głosem.

– Ale chcę – odparła Juniper. – Ona już dość się naczekała. Ma prawo usłyszeć to ode mnie.

Z tym zdeterminowanym tonem przypominała już tę matkę, którą do niedawna znała Violet.

Juniper splotła dłonie na kolanach i rozpoczęła opowieść.

– Stephen był najmłodszy z rodzeństwa. Gdy skończył czternaście lat, my z Darią miałyśmy już Próby za sobą. – Przeniosła wzrok na panią szeryf. – Będę teraz omawiać naszą Próbę. Augusto, znasz zasady.

Augusta westchnęła, ale posłusznie pokiwała głową. Juniper gestem nakazała Violet przybliżyć się jeszcze bardziej.

– To trochę głupkowate – szepnęła jej do ucha – ale trzymamy szczegóły naszych Prób w tajemnicy przed innymi rodami. W szesnaste urodziny każdy z Saundersów idzie do pokoju w wieży, wchodzi do wnętrza wymalowanego na podłodze symbolu założycieli i wpuszcza do swojej głowy potwora. Przenosimy się do Szarości i siłujemy z nim. Żeby zrozumieć śmierć, musisz się do niej bardzo zbliżyć. Kiedy udało ci się wygnać Bestię z głowy i wrócić z Szarości, przeszłaś Próbę, choć w znacznie niebezpieczniejszych okolicznościach niż większość z nas. Niestety przy Próbie Stephena coś zawiodło. Bestia weszła mu do głowy, ale on nie zdołał nad nią zapanować. Zmieniała go powoli. Wpływała na jego myśli, nastroje, a w końcu i czyny. Ale Stephen zawsze był trochę nieprzewidywalny, a Bestia wykorzystwała tę cechę jego charakteru, by utrzymać w tajemnicy „reformę” Kościoła, która tak naprawdę była herezją.

– Więc nie wiedzieliście, że potwór wciąż siedzi w jego głowie? – zapytała Violet.

Juniper uśmiechnęła się smutno i odsunęła głowę od ucha córki.

– Ja nie miałam pojęcia.

– Rozumiem, że omówiłyście już wszystkie rodzinne tajemnice – mruknęła Augusta, obracając się.

Uśmiech Juniper stał się odrobinę weselszy.

– Zawsze byłaś niecierpliwa.

Pani szeryf prychnęła, ale powstrzymała się od odpowiedzi. Podeszła bliżej.

– Jak już mówiłam – kontynuowała Juniper – nie wiedziałam, co się przydarzyło mojemu bratu. Aż do równonocy, kiedy to, grożąc nożem, wywlókł mnie z łóżka do lasu z zamiarem oddania Bestii, żeby mogła przywdziać fizyczny kształt i uwolnić się z Szarości. Początkowo chciał poświęcić własne ciało, ale nie był dość silny. Moja moc... wyjątkowo odpowiadała potrzebom Bestii. Tyle że... – Uniosła rękę ku twarzy, lecz zatrzymała ją w powietrzu na wysokości ramienia. – Nie wiedział... – wyszeptała.

I rozplakała się. Nie płakała po śmierci męża, Darii, Rosie. A tu nagle łzy wezbrały jej w kącikach oczu, gotowe spłynąć po policzkach.

– June, nie musisz jej mówić – wtrąciła znów Augusta.

– Muszę – odparła drżącym głosem Juniper. – Stephen nie wiedział, na czym dokładnie polega moja moc. Utrzymywaliśmy to w tajemnicy, bo trudno było dowieść jej działania. Ale każda moc w rodzie Saundersów wiąże się ze śmiercią. Daria ją widziała. Stephen ożywiał martwych. A ja... – Juniper siłą woli powstrzymała dłoń od drżenia i powoli opuściła ją na kolana. – Można powiedzieć, że pokonałam śmierć.

Violet wpatrywała się w nią jak sroka w gnat.

– Pokonałaś? W sensie, że nie możesz umrzeć?

– No nie, nie jestem nieśmiertelna – odparła Juniper, z jakiegoś powodu wywołując widoczne zdenerwowanie Augusty. – Wciąż się starzeję. Jak widziałaś, można mnie odurzyć narkotykami. Na większość rzeczy jestem jednak odporna. Kilka tygodni po Próbie spadłam z dachu naszego domu i wyszłam z tego bez draśnięcia. Nie choruję. A kiedy ktoś chce mnie zranić, sam zostaje ranny. Dlatego Bestia chciała zawładnąć moim ciałem. Zniszczenie jej stałoby się wówczas prawie niemożliwe, przynajmniej przez długi czas.

Na samą myśl o tym Violet zadrżała.

– Byłabyś idealną nosicielką.

Matka przytaknęła.

– Właśnie. Ale kiedy próbował ugodzić mnie nożem...

Nie musiała kończyć. Violet natychmiast pojęła, co się wtedy stało. Ogarnęły ją mdłości.

To dlatego Kościół potrzebował wskrzeszenia Stephen'a. Tylko ktoś, kto powrócił z martwych, mógł być odporny na moc Juniper.

Matka wyjęła chusteczkę ze stojącego na stoliczku pudełka i energicznie otarła oczy.

– Po śmierci ciało Stephen'a zniknęło. Jego krypta w mauzoleum jest pusta. Ale Saundersowie utrzymywali całą tę tragedię w tajemnicy. W końcu, nie mogąc znieść poczucia winy i wstydu, poprosiłam Augustę, żeby wymazała mi wspomnienia. Myślałam, że nie pamiętając o rozpaczy, łatwiej poradzę sobie z życiem. Ale to była z mojej strony słabość. Gdy uciekałam, rodzina się rozpadła. I choć jestem wdzięczna losowi, że poznałam waszego ojca i mogłam urodzić ciebie i Rosie – rzuciła córce smutny uśmiech – nie taki los był mi pisany. Zawsze miałam wrażenie, że przed czymś uciekam. I w końcu to coś mnie dopadło. Chyba zawsze tak jest.

Violet z trudem powstrzymywała łzy.

Po raz pierwszy w życiu rozumiała matkę. Juniper nie była niewrażliwa ani tępa – w ten sposób radziła sobie z ogromną stratą, większą niż jej córka była w stanie sobie wyobrazić.

Podobnie jak ona, Juniper nie miała recepty na życie po stracie. Raniła ludzi, także najbliższych. Violet doskonale wiedziała, jakie to uczucie.

– Przepraszam – powiedziała. – Za to, co powiedziałam o tobie i o Rosie.

Matka ujęła ją za rękę.

– Ja też przepraszam. Zostawiłam cię z tym wszystkim samą. Nawet sobie nie wyobrażam, jakie to musiało być trudne. Jest tyle rzeczy, które chciałabym ci pokazać i których chciałabym cię nauczyć.

– Na temat Czterech Ścieżek?

Juniper uśmiechnęła się.

– To też. Ale miałaś rację, gdy mówiłaś o rodzinie ojca. Zaslugujesz na to, by ją poznać, a ona zasługuje na poznanie ciebie. Jeśli tylko nadal tego chcesz, obiecuję: koniec z tajemnicami i kłamstwami.

Violet pozwoliła jej się objąć.

*

Główny hol domu Hawthorne'ów wyglądał tak samo jak zawsze. Justin przesunął palcami po betonowej ścianie, wdychając chłodne, duszne powietrze. Powykręcany konar głogu opierał się o okno niczym przywołująca gestem ręka.

Prawda o oblanej Próbie Justina zataczała w mieście coraz szersze kręgi. Noszenie kamiennego wisiorka zamiast medalionu było jednak niczym wobec szeptów na szkolnych korytarzach, nieprzyjemnych spojrzeń w klasie i zaciętych twarzy życzliwych niegdyś ludzi mijających go na ulicy.

Bolało. Bolało jak diabli.

Ale był to przyjemny rodzaj bólu, jak zakwasy po długim biegu.

– Dzięki za gościnę – rzekł do Isaaca, który odprowadził go do domu.

Ale Isaac ociągał się z odejściem. Przesunął palcem po skraju ozdobnej ramy obrazu. Twarz miał posępną i zaniepokojoną. Justin wiedział, że przyjaciel ciężko pracuje przy remoncie Jadłodajni, mimo iż Augusta pokryła spowodowane przez niego straty.

Miał wrażenie, że od tamtego zdarzenia minęły wieki, choć w rzeczywistości był to zaledwie tydzień. Tydzień, w którym tyle się zmieniło.

Isaac spojrział na niego i wszystkie jego dziwne zachowania z ostatnich dni odżyły jednocześnie. Stał z wysuniętymi do przodu ramionami, jakby szykował się do bitwy, choć poza nimi dwoma w holu nie było nikogo.

– Skoro zdecydowałeś się wrócić do domu, muszę ci coś powiedzieć – zaczął ostrożnie. – Od tej pory nie licz na mnie.

Justin był niemal pewien, że się przesłyszał.

– Jak to?

Isaac wbił wzrok w coś ponad jego głowę.

– Nigdy nie zauważyłeś, że zawsze jestem do usług? Ciągłe mnie prosisz o pomoc. A to z Violet, a to z Harper. – Ostatnie imię wymówił z wyraźnym wstrętem. – Nigdy ci nie odmawiałem, ale mam już dość.

Justin sądził, że w jego życiu nie będzie już nic straszniejszego niż oblana Próba. To, co teraz wzbierało w jego piersi, było jednak gorsze.

– Nie rozumiem. Gniewasz się na mnie?

Twarcz Isaaca wykrzywiła udręka.

– Nigdy się na ciebie nie gniewam. W tym właśnie problem. – W jego głosie pobrzmiwał jakiś dziwny ton. Jakaś czułość, która nijak się miała do urażonej miny.

I nagle, w jednej chwili, zrozumienie uderzyło w Justina, jakby ktoś wylał mu na głowę wiadro zimnej wody.

Dłoń Isaaca zaciśnięta na jego nadgarstku podczas imprezy w stodole. Isaac wyłaniający się z popiołów Jadłodajni, by ratować nie siebie, lecz Justina. Jego wyraźna niechęć do Harper. Nie w pełni zrozumiały półuśmiech, który zawsze rzucał jemu, tylko jemu.

A przecież wiedział, że Isaac interesuje się także chłopakami. Że teoretycznie...

– Aha – wychrypiał.

Isaac zacisnął pięść. Nic jednak się nie wydarzyło – żadnych iskier, żadnego migotania.

– Właśnie.

– Od jak dawna...?

Zadrzały mu wargi.

– A jak sądzisz?

Justin zwiesił ramiona.

– Powinienem był się domyślić – mruknął z rezygnacją.

Prawda była taka, że bronił się przed tą wiedzą. Nie dopuszczał jej do siebie, bo wiedział, że nie może odwzajemnić uczuć Isaaca. I Isaac też to wiedział.

– Myślę, że nie chciałeś. A ja myślałem, że może mi przejdzie i nie będziemy musieli nigdy o tym rozmawiać. – Isaac przerwał i poruszył nerwowo szczęką. – Wiem, że nie jesteś... Nigdy na nic nie liczyłem. Niech to szlag! Nie chciałem cię stawiać w niezręcznej sytuacji, ale chyba nie miałem wyjścia.

– Nie stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji – odpowiedział bez przekonania Justin.

Zmusił się do spojrzenia w oczy przyjaciela, ale nie znalazł tam bólu, którego się obawiał. Zamiast niego zobaczył rezygnację, która w pewnym sensie wydała mu się gorsza.

To wszystko było tak okrutnie, beznadziejnie niesprawiedliwe.

– Nigdy wcześniej mnie nie okłamałeś – zauważył Isaac.

– No dobra – przyznał Justin z desperacją w głosie. – Sytuacja jest trochę niezręczna, ale to nie znaczy, że nie możemy się dalej przyjaźnić.

– Owszem, znaczy – stwierdził Isaac nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Jestem twoją własnością, nawet jeśli dotąd tego nie dostrzegałeś. Robię, co zechcesz, bo twoje szczęście ma większą wartość niż moje nieszczęście. Więc nie, nie możemy już się przyjaźnić. Muszę wreszcie zrobić coś dla siebie. A po wszystkim, co zrobiłem dla ciebie, nie masz prawa mnie powstrzymywać.

Isaac pomógł Justinowi, gdy odwróciła się od niego rodzina. Jego niezachwiana lojalność dała Justinowi odwagę, by sprzeciwić się Auguście i wyznać prawdę mieszkańcom Czterech Ścieżek.

Potrzebował Isaaca – ale po raz pierwszy to nie wystarczało, by go skłonić do pozostania.

Czuł wściekłość i rozpacz na myśl o tym, jak bardzo będzie mu go brakować, ale dalszy protest byłby niewyobrażalnym egoizmem.

Isaac podjął decyzję i Justin musiał się jej podporządkować. Był mu to winien. Patrzył więc bez słowa, jak jego najlepszy przyjaciel ostrożnym, miarowym krokiem opuszcza dom.



Rozdział 22

Zapis nutowy nad fortepianem był daleki od doskonałości. Połowę Violet pokreśliła, a możliwe warianty zapisywała w każdym wolnym miejscu. Powoli przedzierała się przez to, co pozostało, przerywając grę, by dodać nowe zapiski, nowe możliwości.

Próba komponowania trochę ją przerażała. Pusty arkusz nutowy wydawał się z niej kpić, gdy pierwszy raz nad nim zasiadła. Gdy jednak fala zwątpienia minęła, trudno było przestać. Oczywiście Violet mogła grać cudze utwory, ale tworzenie czegoś nowego wywoływało szczególny dreszczyk emocji.

Napisała prostą, toporną wręcz piosenkę. Nie potrafiła dopasować do siebie współbrzmiących melodii. Może kiedyś uda jej się napisać coś, co inni będą chcieli grać.

Nie robiła tego dla Rosie. Ale wiedziała, że siostra byłaby z niej dumna.

Juniper powoli się otwierała. Opowiadała nie tylko o Czterech Ścieżkach, lecz także o ojcu i jego rodzinie. Kiedy przekazała jej kontakt do Caulfieldów, Violet omal się nie rozplakała. Pododawała ich wszystkich do znajomych w mediach społecznościowych, ale wciąż zbierała się na odwagę, żeby napisać wiadomość.

Rozmowy z matką nie zawsze były udane. Czasem składały się głównie z poszatkowanych słów i niezręcznych momentów. Zawsze jednak był to jakiś początek. Uczyły się współpracować jak dwie igły zaplątane w kłębku karmazynowej włóczki.

Z zamyślenia wytrącił ją sygnał SMS-a. Spojrzała na ekran, uśmiechnęła się i schowały nuty. Orfeusz podążył za nią do drzwi.

W progu stał Justin z rękami w kieszeniach kurtki. Do Czterech Ścieżek z nagłym podmuchem zimnego wiatru i pomarańczowych liści zawitała jesień.

– Chciałaś się ze mną spotkać? – zapytał.

Rozumiała jego zdziwienie faktem, że zaprosiła go samego. Ale tę sprawę chciała z nim obgadać na osobności.

– Mam parę pytań – zaczęła ostrożnie, wpuszczając go.

– Pytań?

– O Harper.

Światło wpadające do holu stało się nagle zbyt jasne, a powietrze wokół nich duszne i gorące. Dłoń Justina zastygła na zamku kurtki.

– To nie twoja sprawa.

Violet spojrzała mu w oczy.

– Wiem, że nie jesteś złym człowiekiem. Przeciwnie, wiele razy widziałam, jak wstawiasz się za osobami, które niekoniecznie na to zasługują. Ze mną włącznie. Więc dlaczego, do jasnej cholery, odwróciłeś się od Harper Carlisle?

Harper opowiedziała jej o Kościele czterech bóstw. Słuchając jej, Violet doszła do wniosku, że nie ma sensu dłużej się na nią gniewać. Sprawa z ojcem była wystarczającą nauką.

Łatwo wybaczyć komuś, kto dokonał właściwego wyboru, nim było za późno.

– Nic ci do tego – rzekł Justin.

– Przeciwnie – odparła Violet. – Jeśli mam ci ufać, muszę zrozumieć, dlaczego w ten sposób ją potraktowałeś.

Justin powoli, sztywno, niczym robot wymagający reperacji złącza, pochylił głowę.

– Dobrze. – Nic już nie pozostało z wyluzowanego chłopaka, który przed chwilą stał w progu. – Powiem ci.

Zaprowadziła go do swojego pokoju. Nie mogła się pozbyć myśli o Isaacu przykucniętym za oknem. Zdecydowanie wolałaby, żeby to on siedział teraz na jej łóżku, a nie spięty Justin, który nawet nie zdjął kurtki.

– Prawda jest taka... – Urwał, by po chwili wypalić: – Harper jest najpotężniejszą osobą w Czterech Ścieżkach.

– Co? – zdumiała się Violet. Podejrzewała, że Augusta wymazała dziewczynie wspomnienia, ale nigdy nie sądziła, że powodem mogą być jej moce. – Więc nie oblała Próby – skonstatowała.

– Nie. Pewnie już zauważyłaś, że moce działają przez dotyk. Twój wskrzesza umarłych, Augusty odbiera ludziom wspomnienia. Dlatego nosi rękawiczki. Żeby uniknąć wypadków.

Violet skinęła głową.

– Jaką moc ma Harper?

Na twarzy Justina malowały się jednocześnie ból i pragnienie.

– Jej dotyk zmienia cię w kamień. I daje jej władzę nad tobą.

Przypomniała sobie posągi rozsiane w pobliżu domu Carlisle'ów. Dzwonki, miecze, stróżów.

– Władzę?

– Pierwszy z Carlisle'ów zmieniał stworzenia w kamień, a potem dowodził nimi niczym kamienną armią – wyjaśnił zafrasowany Justin. – Miasto nazywało je golemami.

– I ona też to potrafi.

Justin przytaknął.

– O ja cię. – Pokręciła głową. – To budzi strach.

– Tak właśnie uważała moja matka – mruknął ponuro. – Carlisle'owie odbywają swoje Próby w samotności i wracają do rodziny, gdy już odkryli, na czym polega ich moc. Nie mają pojęcia, że odkąd pamiętam, moja matka śledzi każdego z nich, by się upewnić, czy jego moc nie stanowi zagrożenia. Była nad jeziorem, gdy Harper do niego wchodziła. I gdy wychodziła. – Urwał na moment. – Ja też tam byłem. Śledziłem matkę.

– Wyobrażam sobie, że nie była z tego zadowolona.

– Bynajmniej – mruknął. – Kiedy odkryła, że za nią przyszedłem, zmusiła mnie, żebym stał tam z nią. Powiedziała, że jeśli mam

przejąć dziedzictwo Hawthorne'ów, muszę się nauczyć dokonywać trudnych wyborów. Kiedy Harper wyszła z jeziora, Augusta zażądała od niej zademonstrowania zdobytej mocy. Zaskoczyła ją. Harper nie była na to przygotowana. Wpadła w panikę i chwyciła Augustę za przedramię. Zobaczyłem... – Potrząsnął głową. – Ręka matki zaczęła się zmieniać w kamień. Wiedziałem, że Harper nie przestanie. Była zbyt przerażona.

– I co zrobiłeś?

Dalsze słowa Justin wypowiedział zawstydzonym głosem, tak cichym, że Violet ledwie go rozumiała.

– Nie mogłem jej pozwolić zabić mojej matki, więc ją odepchnąłem. Zepchnąłem do jeziora. Myślałem, że nic jej się nie stanie. Chciałem tylko, żeby przestała, ale... – Umilkł.

– Ale co? – zapytała cicho Violet.

Pokręcił głową, wpatrzony w rozkołysane gałęzie za oknem. Violet udawała, że nie widzi, jak niezdarnie ociera oczy.

– Zniknęła w Szarości. Na kilka dni. Gdy się wyłoniła, brakowało jej połowy ręki. W szpitalu Augusta wymazała jej wspomnienia, zanim rodzina Harper zdążyła poznać prawdę.

Rzadko się zdarzało, by Violet otwierała usta i nie znajdowała słów. Nie dziwiło jej, że Justin czuje się winny. Popełnił błąd nie do naprawienia.

– Teraz rozumiesz? – zapytał. – Ona nie pamięta, że ją zdradziłem. Nie pamięta, że była niebezpieczna.

I wtedy Violet olśniło. Wiedziała, co trzeba powiedzieć. I co zrobić.

– A gdybyś mógł – zapytała – zwrócićbyś jej pamięć?

Odwrócił wzrok od okna. Twarz miał szarą jak popiół.

– Bez wahania.

Jego uczucia do Harper były widoczne jak na dłoni. Nie było mowy, by się ich wyparł.

Violet mogłaby sama spróbować to załatwić. Biorąc jednak pod uwagę to, ile Justin dla niej zrobił i jakie poczucie winy w nim tkwiło, zasługiwał na szansę poprawy. A jeśli z niej nie skorzysta... wtedy ona weźmie sprawy w swoje ręce. I będzie miała pewność, że

to, co Harper powiedziała o Hawthorne'ach, jest prawdą: zawsze stawiają siebie na pierwszym miejscu.

Nie powiedziała mu o May. Ale powiedziała tyle, ile trzeba.

*

Po jego wyjściu udała się na roгатki i stanęła przed znajomym znakiem „Witamy w Czterech Ścieżkach”.

Miesiąc wcześniej wraz z matką wjeżdżała tędy do miasta. Teraz, z chrzęstem żwiru pod butami, przeszła pod znakiem. Myślała, że coś poczuje – odpływ mocy, może nawet szorstkie objęcia Szarości – ale tak się nie stało.

Znak zakołysał się w powietrzu.

Była na zewnątrz. Wydostała się z miasta.

Obróciła się plecami do Czterech Ścieżek i wpatrywała w wijącą się przed nią drogę. Wróciła do świata bez Prób, bez założycieli, bez mocy.

Znów się odwróciła.

Pomyślała o Harper, Justinie, Isaacu, May. O ludziach, którym przysporzyła tylu kłopotów, a oni mimo to uznali, że warto o nią walczyć.

Czas, by i ona zawałczyła o każdego z nich.

Wróciła w liściaste objęcia wielkich dębów stłoczonych przy drodze i przyjaźnie wyciągających do niej gałęzie. Gdy znak witający w mieście znów rozkołysał się nad jej głową, determinacja zadudniła w sercu Violet niczym dodatkowy puls.

Była gotowa, by raz na zawsze wszystko wyprostować. I wiedziała, od czego zacząć.

*

Wnętrze Jadłodajni przypominało pole bitwy. Plastikowe obudowy potrzaskanych jarzeniówek leżały na podłodze wśród ceramiki

i szkła. Violet spodziewała się, że ktoś będzie próbował ją zatrzymać, ale w zniszczonej restauracji nie było żywego ducha.

Nie licząc Isaaca zmiatającego te wszystkie śmieci na wielką stertę w kącie. Wiedziała, że choć stracił pracę, uparł się pomóc w remoncie Jadłodajni. Przewrócone stoły wokół niego przypominały porzucone zabawki olbrzymia, a rozbity szyld nad głową wydawał się kpić z aktualnego stanu restauracji.

Przez chwilę patrzyła, jak wpadające przez wielkie okna lokalu światło słoneczne rzuca na szyję i ramiona chłopaka poszatkowane cienie. Już nie próbował ukrywać blizny. Ani tu, ani w szkole. I nie reagował na spojrzenia. Była z niego dumna.

Gdy się obrócił, światło padło mu na twarz, tworząc idealną linię biegnącą w poprzek od lewej brwi poprzez usta do szyi.

– Co ty tu robisz? – zapytał.

– Szukam cię.

Zmarszczył brwi.

– Skąd...?

Wzruszyła ramionami.

– Należysz do osób, które lubią po sobie sprzątać.

Uśmiechnął się ironicznie.

– Tak, w tym mam spore doświadczenie.

Pod ścianą za jego plecami stał równy rząd wypełnionych worków na śmieci – dowód na to, że Isaac spędził na tej pokucie już wiele godzin.

Violet nie знаła szczegółów jego Próby, ale dowiedziała się dość, by rozumieć, że przydarzyło mu się coś strasznego.

Bestia zniszczyła go w ten sam sposób co jej rodzinę. W ten sam, w który zniszczyła Harper.

– Zastanawiałam się – zaczęła – co my wszyscy tu robimy. Dlaczego naprawdę założyciele uwięzili Bestię.

– Bo była niebezpieczna – odparł odruchowo, jakby recytował wyuczoną sentencję.

Violet jednak nie mogła zapomnieć słów, które usłyszała w Szarości od potwora przemawiającego ustami Rosie: „Chyba nie

myślisz, że zamknęli mnie tu z powodu altruizmu? Chcieli ukraść moją moc. I ukradli”.

– A my? – zapytała. – Pomyśl, Isaacu. My też jesteśmy niebezpieczni.

Po raz pierwszy wypowiedziała na głos jego imię. Podobało jej się jego brzmienie w jej ustach. I to, że gdy je usłyszał, jego oczy lekko się zaokrągliły.

Jakby faktycznie usłyszał. Jakby słuchał.

Przełknęła ślinę i kontynuowała.

– Jestem tu nowa, więc wielu rzeczy nie wiem. Ta niewiedza omal mnie nie zabiła. Ale jednocześnie dzięki temu potrafię na to wszystko spojrzeć z zewnątrz. Na wszystkie święta, ceremonie, patrole. I widzę, ile szkód wyrządziło nam to miasto. Przodkowie związali naszą krew z czymś potwornym i uwięzili nas tu wraz z nim. Czy naprawdę tak chcesz żyć?

Isaac zamarł w bezruchu.

– Przecież możesz już wyjechać, prawda? Nie jesteś uwięziona.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Spojrzał na miotłę w swoich rękach, a potem na przewrócone stoliki.

– Nie. Nie chcę tak żyć.

Violet powoli wypuściła powietrze.

– To świetnie. Bo zamierzam znaleźć sposób na zabicie tego czegoś, co siedzi w Szarości. I w mojej głowie. Mogłabym spróbować sama, ale potrzebuję kogoś, kto wie, do czego naprawdę zdolna jest Bestia. Czyli ciebie.

– A dlaczego nie Harper? – odwrócił kota ogonem Isaac.

Uśmiechnęła się smutno.

– Bo Harper nic nie pamięta. Justin mi powiedział. Poza tym potrzebuję trochę czasu, zanim stanę z nią twarzą w twarz, wiedząc to, co wiem. – Przerwała. – On ją kocha, prawda?

Jej słowa zabrzmiały w spustoszonej restauracji głośniejszy, niżby chciała. Przez twarz Isaaca przemknął jakiś okropny cień, który powiedział jej, że miała rację.

Ale nie tylko. Ten cień połączył wszystkie jej spostrzeżenia na temat tego, jak Isaac traktował Justina. Świadomość, co i do kogo czuje stojący przed nią chłopak, przyprawiła ją o zawrót głowy.

Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego w ogóle miałyby ją to obchodzić. Pozwoliła niewypowiedzianej prawdzie rozwinąć się jak kwiatu... a potem ją odepchnęła.

Nie mogła teraz o tym myśleć. Nie mogła się zastanawiać, jaki wpływ na to, by się zwrócić do Isaaca, miały jej uczucia.

– Chcesz zabić Bestię? – zapytał ochryple chłopak. – Wchodzę w to.

Skinęła głową. Jej radość ze zwycięstwa była jednak przytłumiona uczuciem zawodu.

Wyszła z Jadłodajni i ruszyła wzdłuż głównej ulicy. Szła wysypaną żwirem drogą, aż w końcu całe miasto zostało z tyłu. Była tylko ona i czerwonozłote liście nad jej głową.

*

Nie miała pojęcia, skąd wzięła się ta zwinięta kartka. Po prostu wypadła jej z kieszeni podczas zdejmowania kurtki w salonie i spadła na podłogę niczym ptak, który zbyt wcześnie wyfrunął z gniazda. Harper schyliła się po nią.

Rozwinęła kartkę. Widniejące na niej słowa nie miały sensu.

To musiał być okrutny żart.

Przez resztę wieczoru nie mogła jednak o nich zapomnieć. Kołatały się w jej głowie, gdy kładła Norę spać i układała wszystkie jej pluszowe zwierzątka w odpowiednich pozycjach. Gdy mówiła „dobranoc” ojcu, któremu nie potrafiła już spojrzeć w oczy. Ojcu, który nie pamiętał, co jej zrobił.

Dopiero kiedy stała w łazience w koronkowej koszuli nocnej, pozwoliła sobie po cichu wypowiedzieć słowa z kartki.

„Zrób Próbę jeszcze raz”.

Spojrzała w lustro. Bandaże okalały jej szyję niczym przedwczesny kostium na Halloween. Przypomniała sobie czytane

w dzieciństwie opowiadanie o dziewczynce, która wiązała na szyi czerwoną wstążkę, żeby głowa jej nie odpadła, i zadrżała.

Violet i jej matka zaprosiły ją do siebie. Mówiły, że może tam zostać tak długo, jak tylko chce, ale jeszcze nie podjęła decyzji.

Jej domem zawsze był dom Carlisle'ów. Poza tym nie chciała zostawiać Bretta i Nory.

Ale musiała przyznać przed sobą, że już nie czuje się tu bezpieczna.

Zdjęła bandażę i przyglądała się sinym odciskom palców na szyi. Trzy lata wcześniej oblała Próbę. Jezioro uznało ją za zbyt słabą. Szarość połknęła ją w całości.

Nie było od tego odwrotu.

„Zrób Próbę jeszcze raz”.

Owładnęło nią niepohamowane pragnienie, by krzyczeć, śpiewać, wymachiwać mieczem.

„Zrób Próbę jeszcze raz”.

Otworzyła drzwi łazienki i podreptała korytarzem. Zawahała się w drzwiach sypialni, patrząc na twarz śpiącej Mitzi oświetloną wpadającymi przez okno promieniami księżycy, ale słowa z kartki już nie wydawały jej się żartem.

Czuła, że mają sens.

Chwilę później była przy tylnych drzwiach domu.

Jej biała koszula lśniła na trawiastym zboczu, którym Harper zdążyła w stronę lasu. Noce były coraz zimniejsze, ale chłodne powietrze jej nie przeszkadzało – dzięki niemu czuła się bardziej żywa. Bose stopy bezdźwięcznie deptały po liściach. Nie spuszczała z oka przemierzanej wielokrotnie ścieżki, choć równie dobrze mogłaby iść po omacku.

Spojrzała w ciemną taflę jeziora, pochłaniającego światło, zamiast je odbijać. Ją też chciało wchłonąć. Czuła, że liżące brzeg fale przyciągają ją jak magnes.

Pamiętała, jak mętna woda zalała ją całą. Pamiętała swoją czerwoną jak glina rękę, która została na dnie.

Weszła do jeziora.

Bose palce zapadły się w muł, a spód koszuli przyklejał się do ciała. Ostre kamyki wbijały się w podeszwy stóp, lecz Harper niezrążona szła dalej. Woda była chłodna i aksamitnie miękka. Wkrótce sięgała jej do podbródka. Włosy unosiły się na powierzchni jak wodorosty.

Uniosła głowę. Gwiazdy otaczały księżyc niczym piegi rozsiane wokół przymkniętej powieki.

Zaczerpnęła tchu, zamknęła oczy i zanurzyła się.

Pod powierzchnią nie było światła. Czuła się jak niemowlę w łonie matki. Ciemność zapraszała ją w głąb. Objęła kolana rękami, ściskając kikut prawą dłońią, i pozwoliła prądowi ściągnąć się na dno.

Gdy jej przedramię otarło się o kamień, uklękła na dnie, wypuszczając z płuc bąbelki powietrza, by podążyły ku powierzchni.

Wyciągnęła przed siebie rękę i zagarnęła garść gliny.

Zanurzając stopy w gąbczastym mule, podnosiła się z wolna, by w końcu stanąć na dnie. Włosy falowały jej wokół ramion i talii, splatając się z koronką koszuli. Po raz pierwszy od lat była całkowicie, absolutnie spokojna.

Czekała.

Przemieszczająca się woda huczała jej w uszach. I nagle coś pękło. Jakby w jej głowie otworzyły się drzwi, o których istnieniu nie miała pojęcia.

Wróciło. Wszystko wróciło.

Odbiła się i popłynęła w górę. Gлина oplatała jej palce niczym taśmą klejącą. Po kilku sekundach Harper wynurzyła się na powierzchnię, rozbryzgując wodę, i wzięła głęboki oddech.

Uniosła wzrok na zmrużone oko księżycy i zawyła wściekle.

*

Justin miał na głowie miedzianą koronę z liści. Teraz, gdy zmieniały kolor, nie mógł się powstrzymać od zabrania kilku ze sobą, ilekroć

wracał z porannej przebieżki. Gdy zza drzwi rozległ się głos May, pospiesznie zdjął koronę.

– Chodź! – wołała siostra. – Błagam! Muszę ci pokazać coś ważnego.

Nie słuchał jej. Owszem, wrócił do domu, ale potrzebował mnóstwa czasu, by przestać się przejmować słowami, które od niej usłyszał.

Zastanawiał się, czy przyjdzie taka chwila, w której nie będzie już ani trochę w nie wierzył.

W głosie May pobrzmiwała nuta paniki.

– Mama już to widziała. Proszę. To pilne.

Wbrew sobie czuł coraz większą ciekawość.

Nie chciał jednak dłużej chronić siostry, która wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie ma zamiaru chronić jego. Gdy zrezygnował z noszenia medalionu, stał się innym człowiekiem.

Głos May stał się wysoki i przenikliwy. Tak zdenerwowana nie była od miesięcy, nawet w gabinecie matki.

– Otwórz przynajmniej okno!

Nie wytrzymał. Podniósł mleczną szybę i jego wzrok padł prosto na ciemny rozłożysty głóg.

O rany!

Całe drzewo, od korzeni po czubek, zmieniło się w czerwono-brunatny kamień.

Z martwego pnia wyrastały spetryfikowane gałęzie. Zdezorientowane ptaki siedziały na zastygłych w połowie drogi do ziemi liściach i ćwierkały nerwowo.

Justin uśmiechnął się szeroko. Nie potrzebował lepszego dowodu, że Harper dostała jego liścik, uwierzyła mu i posłuchała.



Epilog

Krótko przed świtem Isaac Sullivan dotarł do ruin.

Nietrudno było je znaleźć. Musiał tylko zawierzyć instynktownej pamięci, która sprowadziła go z głównej drogi i krętą ścieżką między drzewami pozwoliła dotrzeć do resztek tego, co niegdyś było jego domem.

Zatrzymał się w miejscu, w którym kończyła się trawa, a zaczynała lej wypełniony spaloną ziemią. Trzy lata wcześniej stał tam dom Sullivanów – wysoki, dumny, pełen życia.

Pozostały z niego niezgrabne fundamenty zbudowane z poczerniałej cegły i resztek drewna.

Osobiście uważał, że tak jest lepiej.

Przez chwilę podziwiał swoje dzieło, powściągając impuls wyobrażenia sobie w tym miejscu dawnego domu z witrażem nad drzwiami i wielkimi kolumnami podtrzymującymi szczyty niczym zgarbione ramiona.

Ileokroć tu przychodził, mniej pamiętał dom, który kiedyś tu stał, a bardziej – stertę gruzu, w którą się zmienił.

Dlatego bywał tu tak często. I dlatego w ogóle zniszczył posiadłość Sullivanów.

Chciał o niej zapomnieć.

A ponieważ przychodził tu, by zapominać, było to odpowiednie, idealne wręcz miejsce także na to, by pozbyć się wszystkiego, co przypominało mu o Justinie Hawthornie.

Przyniósł ze sobą trzy ważne ślady ich przyjaźni: *Po tej stronie raj* – jedyną książkę, jaka podobała się im obu – otrzymane w prezencie od Justina adidas, których prawie nie nosił, i małą srebrną figurkę w kształcie drzewa, którą w chwili złości Justin ukradł matce i przechowywał u niego w mieszkaniu.

Najpierw zniszczył figurkę. Koncentrował się na niej całym swoim umysłem, póki srebro nie zmieniło się w popiół. Potem unicestwił buty.

Nad książką się zawahał. Nie lubił ranić książek. Gdy jednak otworzył ją na pierwszej stronie i zobaczył imię Justina nabazgrane jego charakterystycznym pismem, poczuł taki ból, że ręce same mu zapłonęły.

Jego lojalność wobec Justina przerodziła się w nieumiejętność stawiania na pierwszym miejscu siebie. Mówienia „nie”. Długo wydawało mu się, że to miłość.

Mylił się. Ale świadomość tego nie umniejszała cierpienia.

Uniósł ręce w powietrze i pozwolił szczątkom książki opaść na ziemię, po czym rozproszył je na cztery wiatry.

Przez wznieconą przez siebie chmurę popiołu dostrzegł po drugiej stronie krateru jakąś postać.

Rozpoznał duże dłonie gotowe do zaciśnięcia się w pięści, tatuaże biegnące od nadgarstków po ramiona, wreszcie twarz, która w ciągu tych kilku lat, odkąd widział ją po raz ostatni, stała się jeszcze bardziej wyrazista i okrutna.

Blizna na szyi Isaaca zaczęła pulsować w rytmie serca, gdy Gabriel Sullivan podnosił na niego wzrok.

– Tęskniłeś za mną, braciszku? – Jego głos zawibrował w lesie, a Isaac po raz pierwszy od swoich czternastych urodzin poczuł strach.

Podziękowania

Pomysł na tę książkę przyszedł mi do głowy, gdy studiowałam za granicą. Pojechałam do Europy w nadziei na znalezienie tam natchnienia i odkryłam, że tak naprawdę chcę pisać o lasach na północy rodzinnego stanu Nowy Jork. Nie wiedziałam jeszcze, że ta powieść zmieni moje życie. Nie wiedziałam nawet, czy uda mi się ją napisać. Wiedziałam tylko, że zakochałam się w Violet, Harper i Justinie, i że muszę opowiedzieć ich historię.

Jestem szczęśliwa, że to zrobiłam.

Żadna książka nie jest dziełem jednej osoby. Ta również nie byłaby taka, jaka jest, gdyby nie cały krąg ludzi, którym chcę teraz podziękować.

Mojej agentce, Kelly Sonnack, wdzięczna jestem za to, że nigdy się nie zmęczyła udzielaniem mi rad, oraz za jej mądrość, wnikliwość i doskonały zmysł redaktorski. Od samego początku rozumiała moją powieść na poziomie, o jakim ja sama mogłam tylko pomarzyć, a do tego rozumiała też mnie! Jestem szczęśliwa, że znalazła się w moim sztabie, i niezmiernie wdzięczna za wszystko, co zrobiła dla mnie i mojej leśnej książki.

Moim redaktorkom, Hannah Allman i Emily Meehan, dziękuję za przeczytanie tej książki mnóstwo razy i za to, że od początku rozumiały moją wizję całej dylogii. Jesteście wymarzoną ekipą i należy się wam dozgonna wdzięczność za to, że zdecydowałyście się wkroczyć w Szarość razem ze mną. Hannah – dziękuję, że pokochałaś moje postacie równie mocno jak ja, za aluzje do musicalu *Hamilton*, za zarażenie się moim entuzjazmem i imponująco szybkie odpisywanie na maile.

Dziękuję całemu zespołowi wydawnictwa Hyperion, który wspierał mnie na każdym etapie procesu wydawniczego, a w szczególności Mary Ann Naples, Dinie Sherman, Holly Nagel, Elke Villi, Andrew Sansone'owi, Guyowi Cunninghamowi, Cassie McGinty, Jody Corbett i Tylerowi Nevinsowi.

Amando Foody – zjawiał się w moim życiu, gdy byłem bliska rezygnacji z tej książki, i pokazałaś mi, jak ją ocalić. Jesteś moją pierwszą linią obrony, drugą połową mózgu, moją największą orędowniczką i najszczerzym krytykiem. Czasem naprawdę mam wrażenie, że umiesz czytać mi w myślach. Dziękuję ci za to, że zawsze dokładnie wiesz, jak mi pomóc, za bycie jedną z nielicznych osób, od których niżej podpisana introwertyczka nigdy nie musi odpoczywać, za niezliczone późnowieczorne olśnienia, burze mózgów i żarty, których nikt oprócz nas nie rozumie. Jestem zachwycona twoim talentem, twoją etyką pracy i doskonałym wyczuciem stylu. Nie ma drugiej osoby, którą tak bardzo chciałabym mieć przy sobie na każdym etapie dalszej kariery pisarskiej. Nie znajduję słów na opisanie, kim dla mnie jesteś, więc „najlepsza przyjaciółka” musi wystarczyć.

Nie pisałabym tych słów, gdyby nie moja niesamowita grupa recenzentek, których opinia, zachęta i przyjaźń wiele dla mnie znaczą. Kat Cho, Katy Rose Pool, Claribel Ortega i Joan He, niezwykle debiutantki z roku 2019: jestem dumna, że wydaję pierwszą książkę w tym samym roku co wy. Dziękuję Amandzie Haas za to, że jest najlepszą w świecie słuchaczką i przybraną starszą siostrą, Elli Dyson, Janelli Angeles i Erin Bay za czytanie wczesnych wersji książki, Meg Kohlman za to, że domagała się więcej wątków miłosnych, Marze Fitzgerald, mojej towarzyszce w gniewie, Axie Oh, Akshai Raman, Tarze Sim, Melody Simpson, Maddy Colis, Ashley Burdin i Alexis Castellanos. Mnóstwo się nauczyłam od każdej z was i jestem niezmiernie dumna, że mogę być częścią waszego zbiorowego talentu. Jesteście najlepszą sektą pod słońcem.

Rory Power, moja leśna siostró, dziękuję ci za przełomowe uświadomienie, że publikowanie książek jest jak program *Dance Moms* dla dorosłych. Emily Duncan, moja gotycka królowo, dzięki za

wielogodzinne dyskusje nad postaciami i za solidarność w decyzji o sequelach. Dziękuję wam obu za to, że pozwoliłyście mi wparować w wasze życie jak maskotce Kool-Aid, za napisanie dwóch spośród moich ulubionych książek, za to, że poznawszy mnie z dobrej i złej strony, mimo wszystko mnie pokochałyście, za znoszenie mojej złośliwości nawet kiedy ja sama nie mogłam jej znieść, i wreszcie za to, że nie prześwieciłyście mnie za te wszystkie GIF-y z oposami. Wasza twórczość bardzo pozytywnie na mnie wpłynęła – podobnie jak wasza przyjaźń.

Dziękuję Claire Wenzel, niekwestionowanej cesarzowej projektowania graficznego i dowcipnych cytatów nie na temat, Swati Teerdhali i Isabel Sterling – siostronom w debiucie i doskonałym doradczyniom – Deebie Zargarpur i podróży autobusem o szóstej rano, która zmieniła moje życie, Paige Cober, mojej współmorderczynie, i wspaniałej, niezwykle utalentowanej Nicole Deal. Dziękuję Claire Legrand, przyjaciółce i wzorowi do naśladowania, która nigdy nie miała mi za złe długich emocjonalnych SMS-ów. Kati Gardner, bardzo ci dziękuję za wnikliwe uwagi. Sheo Centore – dzięki za wspaniałe ilustracje.

Laurze Lashley, Annie Birch, Emily Neal i Rachel Griffin dziękuję za to, że od czasu Pitch Wars 2016 nie przestają być moimi kołami ratunkowymi. Sierro Elmore, tobie dziękuję za wszystkie zdjęcia kotków o północy i za przypomnienie mi, że żadna książka nie jest kompletna bez towarzyszących jej memów.

Shelby, Ian i Sam – dzięki, że jesteście przyjaciółmi, dla których chce mi się opuszczać moją pisarską pustelnię.

Brigid, jesteś przy mnie jak Kelly przy Holly i nie wąż się o tym zapominać. Dzięki, że rozumiesz mnie w piśmie i poza nim.

Dziękuję rodzicom, którzy zachęcali mnie do opowiadania historii i przez osiemnaście lat wozili po świecie wszystkie czterdzieści kartonów z moimi książkami z dzieciństwa. Jestem wam wdzięczna za całe wsparcie.

Dziękuję babci Barbarze i dziadkowi Markowi za to, że zawsze słuchali moich opowieści. Nanny i Poppy, dzięki za to, że

pozwoliliście mi pisać większość drugiej wersji tej książki w swoim salonie i karmiliście mnie najlepszym włoskim jedzeniem.

Nova, jako kot nie umiesz czytać (a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo), ale mimo to umieszczam cię w tej sekcji. Dzięki za chodzenie mi po klawiaturze, gryzienie w palce nóg o czwartej nad ranem i naukę pokory.

Ostatnie słowa kieruję do Trevora: dzięki za to, że kochasz mnie dokładnie taką, jaka jestem, za wiele lat czytania moich brudnopisów i słuchanie mojego gadania.



foto: Julia Byers

Christine Lynn Herman

urodzona w Nowym Jorku, ale wychowana w Japonii i Hongkongu jest zwolenniczką filozofii, że twój dom jest tam, gdzie są twoje książki. Wróciła do Stanów Zjednoczonych, by studiować na Uniwersytecie Rochester, gdzie ukończyła z wyróżnieniem anglistykę. Obecnie mieszka na Brooklynie, w dzień pracując w wydawnictwie, w nocy pisząc książki. Następną jest kontynuacja *Więźniów Szarości*.

„Głęboko skrywane sekrety, magiczne rody i atmosfera strachu – nie możecie przegapić tej niesamowitej powieści”. **Christine Henry**

„Posępnie ekscytująca opowieść o potworach z lasu i strasznym dziedzictwie – oraz o nastolatkach dość dzielnych, by walczyć z jednym i drugim”.

Rosamund Hodge

„Christine Lynn Herman jest wrażliwym obserwatorem niepokojów okresu dorastania”. **SFX**

„Ten nastrojowy, klimatyczny debiut ma wiele do zaoferowania młodym miłośnikom grozy. Fani serialu *Riverdale* znajdą tu wiele dla siebie”. **BOOKLIST**

WIĘŹNIOWIE SZAROŚCI

Bestia jest coraz bliżej...

Po śmierci ukochanej siostry Violet Saunders wraca z matką do jej rodzinnego miasteczka, by odkryć, że rządzi się ono przedziwnymi prawami. Rodziny jego założycieli dysponują szczególnymi mocami pozwalającymi na powstrzymanie potwora uwięzionego w Szarości. Nazwa miasteczka, Cztery Ścieżki, odwołuje się do czterech sposobów, w jakie walczą z Bestią rody założycielskie. Gałęzie podporządkowują sobie drzewa, Kamienie tworzą rzeźby zdolne odegnać zło; Sztylety potrafią niszczyć, a Kości... mają zupełnie wyjątkową moc.

Violet wcale nie cieszy się na wieść, że jest częścią tej układanki. Ma żal do matki, że wywiozła ją do leśnej głuszy, zataiła rodzinną historię i wplątała w sam środek potwornych zdarzeń. Ale karty nie mogą kłamać: talia omenów przepowiedziała Violet kluczową rolę w obronie Czterech Ścieżek przed Bestią. Co jednak może zrobić ktoś, kto nie ma pojęcia o swoich mocach, przeżywa żałobę i cierpi z powodu obojętności matki? Czy znajdzie przyjaciół wśród skłóconych potomków innych założycielskich rodów? Czy razem zdołają powstrzymać tajemniczą Bestię przed pochłanianiem kolejnych ofiar?

www.bukowylas.pl

Polub nas
na Facebooku

